

Wydawnictwo
Książki

FIJOLEK NOWOROCZNIK LUBELSKI

NA ROK

1846

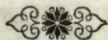
LITERATURZE I POEZYZI POŚWIĘCONY

(Ozdobiony 3 rycinami)

zebrany przez

L. S.....

Fijołku! Dla czego pokora która cię okrywa,
obudza tyle miłych uczuć w sercach? nietylko
cnota jest wielką kiedy się w swjej świetności
okazuje w czynach chwalebnych, ale i niemniej
jest szlachetną ukryta przed każdego wzrokiem,
prócz przed okiem prawdziwego przyjaciela, lu-
bię twą ozdobe, świetna różo, ale i fijołka uwiel-
biam zarówno z tobą.



WARSZAWA,

W DRUKARNI POD FIRMA JULIANA KACZANOWSKIEGO

przy ulicy Długiej Nr. 543.

—∞—

1846.

FILOLOG
LUBELSKI
NOWORÓZKI
Ze zbiorów
Im. J. J. Michałkiewicza

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exemplarzy.

w Warszawie d. 29 Września (11 Paźd.) 1845.

Cenzor:

Niezabitowski.

P. I 667

W Drukarni pod tytułem...
1845

(Wyjmek).

A z daleka ciągnie chmura

Nad zachodem

Za ogrodem

Czarna ponura

A na niej ognistemi piszą się głoskami,

Przepowiednie burzy.

J. J. Kraszewski.

Szumiały niebiosa z pod sinej powłoki,
Wiatr kręcąc gwałtownie piaszczyste tumany,
To czarnym je słupem porywał w obłoki,
To z rykiem znów wicherzył skupione bałwany.
I huczał po ziemi i groził naturze,
To szumiał po puszczy — po skałach — po morzu,
I fale ich burząc, wył — ryczał w przestworzu,
Niszczącą i dziką roznosząc tam burze.

1*

Me oko nie widzi,—daleko choć sięga,
 Mgły tylko wirują z świstaniem ponurém,
 I tylko piorunu ognista skrzy pręga,
 Pod czarnym żalobnym chmur grubych kapturena
 Ścierają się chmury, grzmi piorun z ich łona,
 I grotem błyskawic niebiosa przeraża,
 I znowu je gruba pochłania zasłona,
 Tak ciemno i straszno jak w sercu zbrodniarza.
 Znow tuman zgęszczony kłębi się, bałwani,
 To warczy wściekłością, to paszczę rozszerza,
 I huczy piorunem w obłoków otchłani,
 I ogniem piekielnym w powietrze uderza.

Huragan gdy leci na puste obszary,
 Tak wyje okropnie, przez piasków zawieje,
 Tak jęczy step wyschły spalonej zachary
 Gdy Samum swą grozą po puszczy szaleje.
 Tak piętrzy się wzdyma kurzawa zwichrzona,
 Tak styrpy olbrzymie zamiata wir tłoki,
 Gdy z zaspów wynurza skał nagich ramiona,
 I z szumem rozdziera pierś twardą opoki.
 O, kogo napotka ten odmęt topieli,
 O, kogo w objęcia pochwyci — uściska,
 Wybielą mu kości na skwarnej pościeli,
 Jak piaski pustyni, jak jej skał urwiska.

Wszak straszne są burze gdy wyją nad nami,
 Z przelotem błyskawic z ulewą potoków,
 Wśród wichrów zamieci z piorunu razami,
 Co z grzotem rażącym padają z obłoków.

O jeszcze straszniejsze są w piersi człowieka,
 Widziałeś ty kiedy zbrodniarza sumienie?
 To ogień pustyni, tak straszna w niem śpieka
 Huragan w niem wyje — w niem piekła wzburzenie.

Widziałeś gdy morze swe fale rozdziera,
 Aż na dnie war kipię i pianą się burzy.
 Tak wściekle namiętność zbrodniarza pierś ściera,
 Gdy serce mu czara trucizny zachmurzy.
 A wulkan widziałeś jak lawą płomieni
 Przez dymów zawoje, ognisty słup zrywa,
 Jak lazur się wtenczas żarząco czerwieni;
 Spojrz na dno krateru co przepaść odkrywa!
 O! choćbyś wskroś ziemi zagłębił źrenice,
 Czy poznasz ten pożar co z mocą tak szumi,
 Czy przejrzysz te dymów — popiołów ciemnice,
 O! choćbyś je przejrział — twa myśl je zrozumie?
 Wszak straszny jest wulkan, gdy zagrzmi z pieczary,
 Gdy czoło w dymiące się kłęby owinie,
 I złączy z chmurami popiołów wał szary,
 I groźną powodzią przez niebios sklep płynie.
 Widziałeś z przestrachem gromady tam ludu,
 Patrzyły na dzikiej natury zjawiska,
 Trupie ich oblicza szukały w nich cudu,
 A przecież nikt myślą niedotknął ogniska.



W I E S Z C Z.

(Fantazya).



Tam w świat nowy, w świat nowy nieznanym,
Wzlecić aż do niebios szczytu;
I tam w myślny wir porwany,
Błyszczyć jak połysk błękitu.
Tam Serafina promieniem,
Rój pamiętek roztląć w łonie,
Duch ożywić Boskiem tchnieniem,
A myśl nową skrą rozplonie.
Pomknąć duchem do tej mety,
Gdzie świat złudzeń dla poety.

Gdzie w pośród zwodniczych marzeń
 Wyobraźnią duchy goni,
 Goni rozognionym wzrokiem,
 Za mamiącym ich urokiem;
 Co mu w duszy mocą wrażeń,
 Czarodziejską pieśń zadzwoni.

Tam myśl jego rozmarzona,
 Wijąc w duszę ciąg pamiątek,
 Każdy drogi sercu szczątek,
 Śwą istotnością obejmując,
 Ich powabem zachwycona,
 Ponętny obraz rysuje.

Bo poecie co swe technienia,
 W harmonijne zlewa pienia
 Dosyć choć promyk świecący,
 Dosyć kwiateczek pamięci,
 Co mu czucie — serce wzruszy,
 I ożywi żar tlejący;
 On to dla serca uświęci,
 On to wyrwie z swojej duszy,
 By tylko uwić dla duszy.

Wydrze z łona to uczucie,
 Tych zbawiennych technień wysnuć
 Co zawsze tam — do początku,
 Do tej Boskiej dąży strony,
 Dla której w uczuć swych wążku,
 Uwił wieniec poświęcony.

Tamby poznał życie nowe
 I za sfery gwiazdziste,
 Przelał myśli swe ogniste,
 I pojął duchów rozmowe,
 Ów cały świat uroczy
 Co jak mdlawy błysk ognika,
 Po powietrznem tle roztoczy
 Pasma blado-promieniste,
 Po chwili gaśnie i znika.

On tamby śpiewał ochoczy,
 Bo natury tchnienie czyste
 Życiem by go owionęło.
 Bo w niem jego umysł młody,
 Szukał szczęścia i swobody;
 A oko serca przejrzyście
 W blasku słońca utonęło.

Spojrz!—jak promień z zaobloku
 Prosto skroń wieszczą rysuje
 Utkwił w jego jasnym oku...

I w spojrzeniu
 Jak w promieniu,
 Zajaśniała
 Dusza cała,
 Ile czuje!....
 W jego łonie
 Ogień płonie.

Już wyteżył rękę drżącą,
 By uderzyć w lutnię brzmiącą.

Uderz wieszczu w lutni strony!
 Niech wydadzą głos pieszczony!
 I duch wzniosą w świat uroku
 Niech swój dźwięk,
 W ożywczej harmonii potoku,
 Wleją w serca pełne męk.
 Niech osłodzą jego troski;—
 Iskra nadziei
 Roztli w tobie płomień Boski,
 I okrąży każdą cząstkę;—
 Każdą poruszy w kolei,
 Jak drogą dla się pamiętkę.

Uderz w strony!

Bo ich tony,

Lubią chwytać świat i ludzie;

Gdy w czarownym ich upływie

Jak w uludzie,

Serce tonie;

A duch na marzeń niwie

Niebieskim ogniem płonie.

Ty tym ogniem ożywiony,

Nucisz słodko pienia swoje,

I w czarowniczym ich tonie,

Do powietrznej wzniesion strony,

Rozwiewasz po niebios łonie,

Miły dźwięk;— a duchów roje,

Boskim bardem zachwycone,

Rozjaśnia chmurną zasłonę.

Kiedy wydasz dźwięczne tony,
 I zanucisz błogie chwile,
 Chwile rozkosznej młodości,
 I wspomnisz rodzinne strony,
 Gdzieś wpośród tkliwej miłości,
 Doznał szczęścia pieśczoł tyle!
 W oku twojem życie błysnie
 I pierś odetchnie zboląa;
 Nadzieja w serce się wciśnie.
 Kiedy glosisz serca rany,
 Głos twój tkliwy przerywany,
 Czoło chmurą zasępione,
 Wzrok ogniem życia niepała,
 Łono się wzdyma ścieśnione,
 Nadzieja szczęścia skonała.

Tyle marzeń — tyle myśli,
 Co młodzieńczy umysł kreśli,
 Dusza ich objąć niezdola
 Serce nie może pomieścić;
 A tak błogo — miło z niemi;
 Jak gdybyś na ziemi
 Widział nadziei anioła;
 Ach! chciałbyś wiecznie je pieścić! —

A ty marzysz — marzyć miło,
 Swe marzenia wdziękiem poić,
 W lube tony czucie stroić,
 Serca rozniecać zapaly;
 Twoje myśli — twe marzenie,

To twe kwiaty ideały;
 To twe życie — świat — istnienie!
 Gdy się ich pieścisz rozkoszą,
 Jakieś czucie sercem włada,
 Tchnienie wolniej odpowiada;
 Tysiąc ci pociech przynoszą.

Całe niebo oświetlone,
 Gwiazd tysiącem nęcąc oczy,
 Wkoło sieje blask uroczy:
 Ty spoglądasz myśli swoje,
 Powab wieńczy w wdzięków zwoje.
 Rzucasz okiem w różną stronę,
 Każda złotym błyskiem świeci.
 Ty chcesz gwiazdki — w gwiazdce życia
 Chcesz w niej duszy — ona tylko,
 Zajaśnieje jedną chwilką
 Zgaśnie — błysnie — znów uleci
 A ty czekasz jej odbicia.

Twe myśli — twoje mary,
 Twe pamiętki, sny kochane,
 Wymarzone — malowane,
 Tyś tak szczęśliwy z niemi.
 Chociaż czasem z smutku czary
 Wychylisz napój trujący,
 Przecież w nich zapal tlejący
 Troski i smutek złagodzi
 Życie na nowo osłodzi.
 Tyś tak szczęśliwy z niemi.

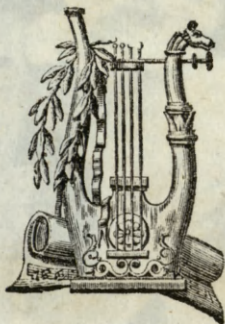
Twoje gwiazdy wieszczą cienia,
 I marzenia młodociane,
 Pierwiastkowe te natchnienia,
 W twym umyśle kołysane,
 Ty za nimi zawsze wszędzie
 Myślą gonisz — duszą gonisz,
 Dla której życie rozplonisz
 Która twym aniołem będzie.

Wieszczu! błędzisz w życiu marzeń;—
 I jak sen w uludzie świata;
 Duch twój krąży w wyższej sferze.
 On na silnych skrzydłach wrażeń

Wyobraźnią porwany
 Rwie kajdany,
 Rzuca ciała,
 I ulata,
 Wolny — śmiało
 Zkąd byt bierze,

Do nadziemskiego świata.—
 Tam tło nieba piersią porze,
 Czasem w przelocie zawiśnie,
 I na czarowne przestworze,
 Promyk światła ciśnie.
 I chce wyżej wznieść się jeszcze,
 Przedrzeć chmury, pojąć cuda,
 Wskrzesić w łonie iskry wieszczą:
 Stój duchu! to uluda!...
 Tam myśl twoja niech nie wzlata

Bo tam w nieścignionej dali,
Ten zarzący płomień świata
Jak pył nikły ciebie spali.
Tam Bóg mieszka wśród swej chwały,
Tyś mu winien tve natchnienia,
Tyś mu winien tve zapaly,
I te iskrę zachwycenia
Którą każdy wielbi w tobie.



Ten karzący pionu...
 Jak był nikt ciebie spali.
 Tam bóg mieszka wsad swój chwali.
 Tyś mu winien twoje abelanie,
 Tyś mu winien twoje kapale,
 I te karę zapłaćca
 Klona każdy wiecht w tobie.



De...
 Tam...
 I...
 I...
 I...
 I...
 I...
 I...
 I...
 I...

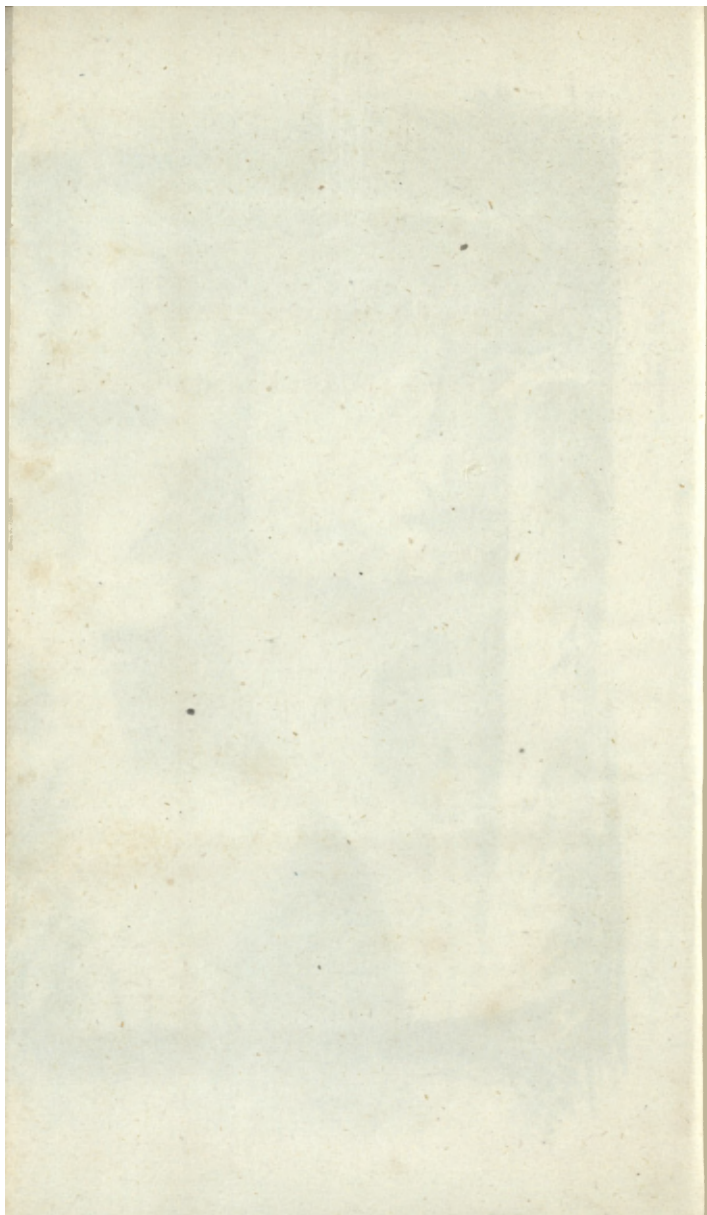


Rysował i ryt. J. M. Felawski

<http://rcin.org.pl>

widok z Krakowa

WIDOK ZAKRZYWIENIA



... i uderzających nagotła obrzów, a wtemczas ohoj-
... tożąc na własną rękę w unieję jego zniknie!
... Kto gozta szaleści i wykości, nigdy lasu nie-
... puzystym dorozel, wanoit-się atroznyj Xamb-
... Habsburg (1) którego dołd pozostle bezpłdki, pa-
... gnił nad smutną gwałow Olluskich mowam.

ZAMEK RABZTYN,

WSPOMNIENIE HISTORYCZNE

(z Ryciną)

przez

Wincentego Hipolita Gawareckiego.



Nunc segeles ubi Troia fuit.

Virgil.

Spieszymy za pięknosciami przyrody w obce i dalekie kraje, a co się w własnej ziemi znajduje często i niewiemy; w głuchem to zapomnieniu i niewiadomości, a co jeszcze gorzej w pogardzie zostaje

Potrzeba, aby każdy chcący w obce zapuszczać się kraje, pierw rodzinny przejrzał i zwiedził, a znajdzie okolice pod względem widoków nieustępujące zagranicznym. Ile rozmaitości, ile wspaniałych

i uderzających napotka obrazów, a wtenczas obojętność na własne rzeczy w umyśle jego zniknie!

Na górze skalistej i wysokiej, niegdy lasem nieprzebytym porośłej, wznosił się starożytny Zamek Rabsztyn, (1) którego dotąd pozostałe szczątki, pa-nują nad smutnym piasków Olkuskich morzem.

Upozioma góry tej i zwalisk Rabsztyna, niegdy gło-śnego w dziejach naszych grodu, zalegają na równi-nie gruzy i ruiny Olkusza, a dawniej Ilkusza, sław-nego przed laty kopalniami srebra i ołowiu.

W około miasto niegdy świetne, ludne, i zamo-żne, otaczają nieprzejrzone piaski, po których ledwie czepiące się poziomo paproć i karłowata sosna smu-

(1) Góra ta zwana także Rabsztyn, należy do pasma gór dochodzących do Chęciny, Bolechowa, Miedzianki, w wnę-trznościach których znajdują się srebro, ołów, miedź, bizmut, galman.

Rabsztyn zdaje się iż ma nazwę niemiecką, i początkowie mianowano go *Rabsztein*, ta się później zmieniła w *Rabsztyn*. Kilka zamków w okolicach krakowskich podobnego są zakoń-czenia, jak to: *Olsztyn* nad Wartą, a jak kronikarze piszą *Holsztein*, *Czorstyn*, *Melsztyn*, nad Dunajcem. Końcowe syl-laby *stein* przemienić się mogły w *styn*. Wyraz *Stein* w języku niemieckim znaczy kamień a istotnie dopiero wymi-erzone zamki na skałach i ich urwiskach wybudowane były. Nawet gniazdo rodziny Herbartów, od pierwotnej jej dzie-dziny w Szląsku *Felsstein*, otrzymało nazwę spolszczoną *Fel-sztyn*, lub *Fulsztyn*, z których jedna osada nad rzeką Smo-trycz w Podolu, druga nad rzeką Strwiąż, blisko Dobromiła powstała.

tny widok oku czynią. Aczkolwiek przyroda upośledziła zakąd ten ziemi, zważając go zewnętrznie atoli, ukryła skarby nie ocenione w jego tonie, które za czasów panowania dynastji Jagiellońskiej w Polsce, nietylko miasto Olkusz, lecz i kraj cały bogaciły, darząc go srebrem i innemi kruszcami. Dziś tylko wspomnienie zostało, a karty dziejów ojczy-
stych, pamięci naszej przywodzą sławne kopalnie miejsca tego.

Święcki dostatnie, początek, stan, i upadek kopalni Olkuskich wystawił. (2)

Opaliński, (3) mówi, że Olkusz sławny był niegdym kopalniami srebra, cyny, i ołowiu, rozciągającymi się na mile do koła, w których przeszło tysiąc koni używano do pracy, i dostarczały rocznie sześć tysięcy grzywien czystego srebra, a pięćdziesiąt tysięcy centnarów ołowiu. Najazd szwedzki za Kazimierza Wazy zniszczył te zakłady, a górników w podkopach do Częstochowy, Szwedzi na śmierć nieomylną wystawili. Odtąd woda zalała kopalnie i gruzy tylko kwitnącego niegdym miasta zostały jego wspomnieniem. Pierwsi żydzi do opuszczonych mieszkań wprowadzili się, i ci dotąd miasto zaludniają.

(2) W opisie starożytnej Polki, wyd. II z r. 1828 T. I. Str. 126 i dalsze.

(3) W dziele Polonia defensa w r. 1648 wydanym.

Zdaje się iż sama potrzeba obrony Olkusza i jego mieszkańców powodowała do wystawienia zamku na górze mniej dostępnej, a nad tymże miastem panującej.

Kto, i kiedy był jego założycielem, trudno wykazać w mgłę upłynionych wieków. Za panowania Władysława Jagiełły w Polsce, Spytko z Mielsztyna pamiętny różnowierca miał go w posiadaniu, i z niego napady czynił, aż roku 1439 z powodu najazdu na miasto Korczyn, przez wojsko królewskie mając sobie wydaną bitwę, w czasie tejże zabity został, a zamek jego Rabsztyn na rzecz króla wzięto. (4)

(4) O czym Bielski w kronice wyd. w Warszawie Gałęzowskiego r. 1830 T. IV księga III Str. 181 pisze:

„Lata pańskiego 1439, Król złożył sejm w Korczynie po Wielkiej Nocy najwięcej dla heretyków, którzy się już poczęli zamnażać w Polsce. Na który Spytko z Mielsztyna, że był heretyk zbrojno przyjechał, mając z sobą nie mało zbranej drużyny, i stanął we wsi swej Piaskach, blisko Korczyna, ztąd najechawszy na Korczyn, uderzył na gospodę Władysława biskupa kujawskiego, i Mikołaja Lasockiego h. Dołęga, dziekana krakowskiego, rano gdy jeszcze spali, i złupił je; takżeż klasztorowi uczynił, gdzie stali Jan Roniepcowski kanclerz, i Jan Oleśnicki marszałek, ale ich tam nieznalazł, bo się byli schronili na zamek przed nim, gdy je z jego obozu ostrzeżono. Zbroiwszy to, wyciągnął z miasteczka, potem położył się obozem blisko miasteczka, gdzie Nida wpada w Wisłę, a tam się otoczywszy wozmi jął wną-

Początkowie był prywatną własnością, a po odjęciu go Spytkowi z Mielsztyna stał się starostwem niegrodowem (5), w dzierżeniu różnych osób z woli i daru monarchy zostającym. Niegdy liczony był do województwa Krakowskiego, dziś należy do powiatu Olkuskiego, gubernii Radomskiej.

Wśród rozruchów dla rozdwojonego wyboru króla po śmierci Stefana Batorego w roku 1587 zaszytych, osadzony był Rabsztyn ze strony sprzyjającej Zygmunтови królewiczowi szwedzkiemu, która go monarchą polskim ogłosiła, załogą, a tej przywódził Gabryel Hołubek, litwin śmiały i waleczny

trze okopować, wszakże nie przyszło mu do tego, albowiem król z trzaskiem kazał wszystkim za nim [wyciągnąć, i dać mu co przedź bitwę. A tak Hinko z Rogowa, h. Działosza i Dobek z Szczekociua, ruszyli się za nim, i zwiedli z nim bitwę, w której gdy się dosyć bił mężnie, zabit. Zaczem się inni wszyscy wnetże rozpierzchnęli, z których jedne pobito, drugie pojmano', ale je król kazał puszczać, zwłaszcza to chłopstwo, których tam było niemało. Jeszcze się trochę ruszał Mielsztyński, kiedy o nim prawo osądzono, i jako gwałtownika domowego pokoju, i występce przeciw Majestatowi królewskiemu, osądzono, przez trzy dni tak [leżał] juago, niepochowany. A zamek jego Rabsztyn wzięto na króla. Mielsztyn, za przyczyną panów, jego zenie dano, który potom po dziedzicze przyszedł w dom Jordauów. Potomka też jego niemialo to szkodzić, gdyż oni, tego niebyli nic wiinni.“

(5) Starostowie byli grodowi z władzą, czyli jurysdykcją drudzy niegrodowi, dzierżący dobra królewskie te notaryuszowie królewscy.

żołnierz. I gdy arcyksięcia Rakuskiego Maxymiliana, także wybranego królem polskim z strony przeciwnej, posiłkujące wojska z Szlązka i Łuzacyi zbliżały się ku Krakowu, a bez zachowania porządku i ostrożności, przez ciasne i przepaściste miejsca przechodząc, miały już Rabsztyn, w tenczas ów Hołubek niespodzianie w sto koni z zamku tego wypadłszy, na nieprzygotowanych uderza, nieprzyjaciel tworzy się, mięsza, i gdy już w nieładzie uchodzi, powstaje za gór ogromny krzyk, nowe ukazują się zastępy, (byli to górnicy, olkusecy) i wpadają z natarczywością. Ślęzacy we wszystkie strony pierzchają, część jazdy do Bitomia uchodzi, wielu było zabitych, znaczna część jeńców, i wszystkie obozowe sprzęty naszym dostały się w zdobyczy. (6)

Porażka ta nieprzytłumiła w Maxymilianie nadziei dostąpienia spokojnie berła polskiego, który z głównym wojskiem stał obozem w Mogile pod Krakowem.

Roku następnego 1588 już po odbytej koronacyi Zygmunta III. arcyksiężę niechcący odstąpić roszczonych pretensyi do tronu, okolice wedle Krzepie i Wielunia, w które się z wojskiem udał, niszczył i uciemieżał, przeto hetman W. koronny Jan Zamojski przedsięwziął wyprzec go z granic króle-

(6) Dziejów panowania Zygmunta III, w Warszawie w drukarni Zawdzkiego i Węckiego, 1819. T. I. Str. 106.

stwa, i t \acute{e} m ko \acute{n} cem d. 13 stycznia tego \acute{z} roku wyruszył w pole przeciwko niemu, lecz arcyksi \acute{a} że spodziewaj \acute{a} c si \acute{e} dalszych posiłk \acute{o} w z W \acute{e} gier i Morawii odcia \acute{g} nęł do Szlązka, pod miasto Byczynę. Hetman atoli id \acute{a} c za nim w pogo \acute{n} , stawił mu pole w d. 24 tego \acute{z} miesi \acute{a} ca, wtedy Hołubek sławny wycieczką z Rabsztyna, ł \acute{a} cznie z krewnym hetmana Zamojskim, na czele oddziału rozpocz \acute{e} li krwawe z nieprzyjacielem przedgrawki, udaj \acute{a} c jak gdyby tył wzi \acute{a} ść mu chcieli, a pierwszy nacieraj \acute{a} c zbyt natarczywie na dworskie rot \acute{y} arcyksi \acute{e} cia, odparty ze strat \acute{a} , i sam trzema kulmi przeszyty został. Taki miał koniec odważny ten rycerz. (7) Śmierć

(7) Oto jest jego biografia:

Gabryel Hołubek, litwin, z rodu niskiego, śmiały, zręczny i waleczny żołnierz. W czasie wojny za Stefana kr \acute{o} la, ze brawszy nie małą liczbę kozaków pod buławą Rudziwiła hetmana służył dzielnie, jako ochotnik, nie bior \acute{a} c żadnej płacy; na łupach tylko zdobytych na nieprzyjacielu przestawał. Wiele w tej wyprawie dokazywał, lubo nietylko z biłnym narodem, lecz i z żywoły walczyć musiał. U Starzycy z 700 jeźdzcami, 3,000 nieprzyjaci \acute{o} ł poraził, i zamek opanował. W kilku innych potrzebach szczęśliwy, i mężny czynnośc \acute{i} ą, odwag \acute{a} , rad \acute{a} , i sił \acute{a} ciała, imie swoje wślawił. Stanisław Grochowski znany poeta, jego śmierć chwaleb \acute{n} ą w obronie tronu poniesio \acute{u} ą, pięknym rymem potomnym podał wiekom. Str. 184 T. I obrazu pan \acute{o} w: Zygmunta III p. Fr. Siarczyńskiego Lw \acute{o} w. 1828 i obraz \acute{o} w starodawnych zebra \acute{n} ia Kaz. Wł. W \acute{o} jcickiego, w Warszawie r. 1843. T. I. Str 227.

atoli jego pomszczona została świetnym zwycięstwem którego skutkiem było wzięcie arcyksięcia Maxymiliana do niewoli, i zatrzymanie go w zamku Krasnostawskim, aż do jego zrzeczenia się praw do korony polskiej.

Za rządów Zygmunta III. Mikołaj Wolski z Podchajec, marszałek W. koronny, (8) jak mówi Sabe-
styan Petrycy:

(8) Wolski Mikołaj z Podchajec, z wielu względów na znamenitą pamięć w dziejach naszych zasłużył. Był on synem Stanisława marszałka nadwornego, koronnego, kasztelana Sandomir. W roku 9 życia do Gracu wyprawiony, gdzie wielu panów polskich brało nauki, tyle się umiał podobać Maxymilianowi arcyksięciu Austryackiemu, iż go wziął na swą opiekę i razem go z synami swymi Rudolfem i Maciejem wychowywał, i uczyć kazał. Przy bystrym dowcipie prędki w naukach postęp uczynił, i dzieciuch przyjeżdżającego Karola V do Bruxelli, mową, łacińską pochwalną tegoż cesarza powitał. Gdy się do ojczyzny wrócił, Zygmunt August Miecznikiem kor. go mianował; znowu do cudzych krajów dla wydoskonalenia się w nabytych wiadomościach wyjechał. Wiele świata zwiedził, wszędzie z postrzeżeń swych korzystać starał się. Na dworze Rudolfa wiele względów pozyskał, iż nietylko uprzejmie przyjętym lecz i zatrzymanym został. Temu obranemu cesarzem, imieniem króla polskiego powieszowanie złożył. Otrzymawszy godność nadwornego Podczaszego cesarskiego, lat 16 w usługach, i stale w łaskach Rudolfa przepędził. Za powtórny powrotem Zygmunt III marszałkiem nadwornym koronnym uczynił Wolskiego, i starostwa mu Olsztyńskie, Rabsztyńskie, i Kirzepickie nadał. Znowu wyprawiony w poselstwie do Klementa VIII papieża, do

„Zamki Rabsztyn i Krzepicki, chociaż nie swoje, wielmożném budowaniem, które inni starostowie gnoją, na nowo wystawił, odnowił, ciosami, obrazami, i słupami ozdobił.“

Przejdźmy teraz do opisu szczegółowego warowni Rabsztynu, o jakich nam wiadomość lustracje udzielają. Z tych pierwsza z roku 1660 przedstawia w słowach:

„Zamek na skale przyrodzonej, complectitur lati-

Macieja cesarza, do księcia Toskanii, do Arcyksiężnej matki królowej Anny, wszędzie i sobie i imieniowi polskiemu, zjednął zaletę. Używany od Rzeczypospolitej do usług publicznych, w każdej z chwałą się sprawił. Wszędzie rozsądek, znajomość prawa, gorliwość i bezstronność jego wielbiono.

Przyjemny dla wszystkich, najwięcej jednak z cudzoziemcami rad był obcował, tych do kraju sprowadzał, utrzymywał, i wspierał. Lubił nauki, i rękodzieła, muzykę i tę sam zwał dobrze, i w niej biętych sprowadzał. Lecz w chemiczne doświadczenia nadto się zapuszczał, królowi Zygmuntovi III w nich pomagał, tak iż często zamykali się w osobnej gorzelni aby bez świadka, wolniej mogli oddać się chemicznym warzaniom, pędzeniom, topieniom i podobnym robotom, w których część znaczną majątku swego przetopił. Rzecz można o nim, iż wzory lepszych budowli, ogrodów, zwierzyńców, jemu w tym wieku kraj był winien, czego pamiątki w Rabsztynie i Krzepicach długo trwały. I ten był pożytek tylu jego do obcych krajów podróży, dla których nieustannym wędrownikiem *perpetuus viator* był zwany. Dożył późnej starości, i w tej zszedł r. 1630. Szczęśliwy, kto przyczynić się może do szczęścia rodaków swoich! Obrazu panów: Zyg. III już przywiedzionego T. II, str. 322.



fundium niemałe, który od Szwedów na ustępowaniu spalony jest. Propugnacula pierwsze od mostów które są dwa, wały staroświeckie, sypane z fossami sutemi do bramy wjazdnej, która tylko jedna jest. Pokoje po obu stronach kosztowne, ale w ruinę poszły. Trzecia strona największa, którą nieboszczyk JP. Myszkowski, marszałek w. koronny, z gruntu wymurował, o 44 circiter plus minus pokojach, ta jako tylko z fundamentów wywiedziona była, w murze tylko samym stoi.“

Lustracja z roku 1765 wyraża o tymże gmachu „Wjeżdżając do zamku, brama nad tą rezydencją spustoszała. W dziedzińcu po prawej stronie, wieża na skale bez pokrycia, w niej pokoi spustoszonych cztery. Rezydencja quondam o trzech kondygnacjach spustoszała, same mury tylko stoją, częścią poobalane, stajnie i inne pomieszkania spustoszałe, studnia w skale wykuta, murami obalonymi zawalona.“

Ostatnia na koniec lustracja z r. 1789 opiewa o tymże:

„Zamek na skale wystawiony, spustoszały, pozostała jego tylko murów, rozwalonych stoi, na drugiej połowie dach do reszty spada, przez co już pokoje pogniły. Rezydencja starosty z izbami, spiżarnią, dobrze utrzymane, dachem gontowym pokryte. Folwark przystawiony do muru. Studnia bardzo głęboka w skale wykuta, nowo wyrepero-

wana, dachem pokryta. Szpichlerz pod gontami z piętrzem porządnem, stodoła o dwóch boiskach, browar pod gontami, z suszarnią, palarnią, izbą do rozczyniania słołu, izbą dla pisarza i z szpichlerzem. Góry mineralne mogące co importować w tym starostwie znajdują się, lecz łożenia wielkiego potrzeba kosztu na dobywanie ich, dla czego tak z gór, jako i huty żadnej intraty, podobnie jak i w dawniejszych lustracjach nie dostrzegliśmy. Lasy jak są wielkie, tak i dobrze dotąd utrzymywane, najmniej nie uszkodzone, mogą przynieść do półtora tysiąca intratę. Do pilnowania tych lasów jest leśnych ośmiu, i leśniczy. Starostwo to w powiecie krakowskim, posiada JP. Miecznikowski ab anno 1775. Summa intraty rocznej złotych 15,618 gr. 16 d. 4.“

Dziś warownia ta zupełnej ruinie uległa, rysunek jej szczątków w r. 1838 umiejętnie zdjęty, przedstawia wieżę okrągłą, dotąd w całości, acz bez pokrycia utrzymującą się, nadto ściany zewnętrzne z oknami dwoma rzędami osadzonemi, grubość znaczną murów, moc i trwałość ich oznacza. Jakie było wewnętrzne urządzenie zamku, trudno tego w zwaliskach dostrzedz, jednakże zwracając uwagę na obszerność miejsca, jaką zaległy, niemniej i posadę, łatwo można powziąć przekonanie, iż Rabsztyn do rzędu obronnych i więznych w wiekach ubiegłych grodów należał. Że więzienia obszerne mie-

ścił w murach swoich nieuległa wtpliwości, bowiem po wiekopomnej bitwie pod Grunwaldem i Tanenbergiem, korzystnie ze strony polskiej w roku 1410, (dnia 14 lipca) stoczonej, jeńcy znakomitsi krzyżacy, w zamkach warowniejszych w kraju osadzeni, i w Rabsztynie trzymani byli.

Nadto za panowania Kazimierza IV, syna Jagiełły po nastąpionym zabójstwie w Krakowie roku 1461, Andrzeja Tęczynskiego, kasztelana Wojnickiego, przez pospólstwo zburzone, z woli wyroku, syn, zabitego Jan Tęczynski osadził w więzieniu Rabsztyńskim trzech mieszczan Krakowskich, Bełzę, Tesznera, i Wolfframa, i dłużej nad rok tamże trzymał aż zakład w ilości złotych ówczasowych 6,200 od nich odciągnął. (9)

(9) Dziejopis Bielski obszerniej opisuje to zdarzenie w księdze IV na str. 104, 105, 110, T. V wydania Warszawskiego u Gałęzowskiego z r. 1830.

Nic będzie od rzeczy przytoczyć takowe: Roku 1461 dnia 16 lipca Andrzej z Tęczyna, kasztelan Wojnicki, mieszczanina krakowskiego Klimunta za to, iż mu ten płatnerz niewygotował zbroi w czasie właściwym, zbił go najprzód w własnym jego domu, a potem publicznie na rynku. Za znieważonym ujęli się miejscy rajcy i poszli do królowej żony Kazimierza IV wówczas w Krakowie nieobecnego, skarżyło ten gwałt, lecz nim z zamku wrócili z oznajmieniem: że o przybyciem króla wymierzona będzie sprawiedliwość, już zebrane pospólstwo, zamknąwszy bramy miasta, rzuciło się na dom Koźliakowski w ulicy Brackiej, w którym ów Tęczynski przebywał. Tenże schronił się do kościoła Franci-

Widok zwalisk mocniej tej niegdy warowni wzniesca tkliwe przekonanie że wszędzie stopa nasza depcze po szczątkach przeszłości, wszędzie spotyka

szkańów wraz z synem Janem, i z kilku sługami. Pospólstwo bez względu na świętość miejsca, zdobyło kościół, wynalazło ukrywającego się Tęczyńskiego. Takowy cofnął się ku zakrystyi, w tym ktoś go ranił w głowę, a ranny padł na schody w zakrystyi, i tam od zjadłego pospólstwa zamordowany został. Za przybyciem w grudniu tegoż roku króla do stolicy swojej, pozwani zostali rajcy krakowscy na sejm do Korczyna, lecz niestanąli odwołując się do przywileju przez Kazimierza W. roku 1336. udzielonego, iż nigdzie nie mogą być sądzeni, tylko na zamku krakowskim. Wyprawili wszakże do Korczyna Jana Oraczewskiego, pełnomocnika swego, i czterech innych, lecz ci przed zaciętością szlachty uciekać ztamtąd musieli a pozwanych mieszczan, tym czasem na gardło osądzono, i 80,000 grzywien, kary pieniężnej naznaczono. Za powrotem króla do Krakowa zapozwano na zamek rajców i mieszczan krakowskich, w dniu 5 Stycznia 1462 roku, a uważając odwoływania się ich do swych praw za późne, ponieważ go na sądzie korczyuskim nieużyli, ogłosili wyrok na mieszczan krakowskich mocą którego czterech rajców, czterech z pospólstwa, i rotmistrza sług miejskich na karę śmierci skazano, a radnego Marcina Belzę, oraz mieszczan Jana Fesnera, i Jana Wolframa, darowanych gardłami od Jana syna Andrzeja Tęczyńskiego zabitego, na Rabsztyn do więzienia Tęczyńskich wydano. Z tego się okazuje iż wówczas starostwo Rabsztynskie w dzierżeniu Tęczyńskich zostawało, której herbem był *topór* godło starożytnie rodziny czyli szczepu z którego domy Tęczyńskich, Osolińskich, Rabsztynskich pochodziły, różniące się tylko nazwiskami, od włości i zamków posiadanych wziętemi.

nas wzrok zniszczenia upłynionych wieków, nad to, odświeża pamięci wspomnienia zaszłych zdarzeń, jakie przytoczyliśmy, i tych które mogą być jeszcze wykryte przez późniejszych badawców miejsca tego.

Jeografowie nasi dawniejsi nieuczynili w swoich pismach wzmianki o Rabsztynie, a nawet i Władysław Łubieński w swojej jeografii (10) przemilczał o tem grodzie, na zniszczenie którego połączyli się czas i ludzie!

Obecnie posępną miejsc tych opuszczonych samotności zaledwie głos puszczyka z szumem wiatru zmieszany, kiedy niekiedy swym żalonym jękiem przerywa, a w porze lata huk burzy, i trzask bijących gromów w przyległe skały, oświecone błyskawicą, wędrowca, jeżeli wówczas kroki tu błędne swoje zawiódł przerażeniem trwogą napełnia. (11)

(10) W roku 1736 wydanej.

(11) W roku 1841. wydana została w Warszawie powieść w drukarni Banku polskiego, pod nazwą *Starosta Rabsztyński*, obraz z domowego życia polaków w drugiej połowie wieku XVIII.

Nie wchodząc w jej rozbiór, niechaj mi wolno będzie nadmienić: iż powie ci tak zwane historyczne, nie są to dzieła dla osób mniej uczonych, bo prawda zawsze tracić musi na ozdobach zmyślenia, a nielepiejże przeto wcale nieposiadać wiadomości, jak nabywać takowe mylnie?

Toż samo i o pismach scenicznych powiedziećby można w których częstokroć nazwy osób tylko są historyczne, a działania ich przeciwne prawdzie dziejopisarskiej, zaiste wypadki życia uaszego nie zawsze zwykły bywać takie, jakieby do napisania wedle prawideł przyjętych, dzieła scenceznego posłużyć mogły, — zatem miejsce prawdy wyobrażenia pisarza, zając musi. ;

DYSKRECYA

(z francuzkiego).



Przed kilku miesiącami rzecz działa się w Anglii tak jak ją wam opowiem.

Miss Lydia utraciła rodziców mając lat 12. a miała już 5 od czasu jak mieszka u swojej ciotki, mistress B... która zaraz po osiéroceniu Lydii mianowana została opiekunką i która miała zastępować jej matkę, Całym majątkiem młodej sieroty był szczupły kapitalik, którego procent należycie pokrywał jej potrzeby, ale też to i wszystko. Sir Williams B... mąż jej ciotki, i miss Tanny ich córka dopełniały familijnego grona. Cztery te osoby mieszkały cały rok w wielkim zamku hrabstwa Warwich, i kiedy niekiedy tylko zwiedzały Londyn. Anglicy w krajnie mgły i deszczu, mają na wsi prawdziwą i ulubioną swoją siedzibę. Włochy zaś w swojej czaro-

wnej okolicy, pod tém uroczem niebem, otoczeni najhójniejszą w cuda naturą, prawie nigdy nie opuszczają miast: jak to sobie wytłomaczyć! Wspomniane kontrakty przypominają mi, nie wiem dla czego iż Wolter człowiek najmocniej przywiązany do świata, poeta najmniej opisowy w swoim czasie, rzucony był razem ze swym zgoła paryzkim mózgiem i piórem pełnem soli i żółci, na łono lasów, gór i uroczysk Helwecyi, gdy tymczasem Rousseau, który dusił się w obrębie miast i który umierając chciał choć drzewko zobaczyć, większą część swego życia przepędził na ulicy Platrière, w najciemniejszym i najbłotnistym zakątku Paryża. A przytém wiele jest innych rzeczy, które takż dziwacznie dzieją się na świecie jest to widać skutkiem postępu naukowego.

Powiedzmy słówko o familii B...

Sir Williams jest to poczciwy anglik, rosty i tłusty; sześćdziesiątą jego głowę przy zupełnie rumianych policzkach, okrywają w trzech czwartych częściach już posiwiałe włosy; pije on dużo, mówi mało i nie śmieje się nigdy: nie jest jednak bynajmniej smutny, ale raczej poważny i zimny.

Był on niegdyś członkiem izby deputowanych, objawiał w niej swoje zdania bardzo trafne, bardzo zwięzłe, głosowania jego były zawsze sumienne, przyjmował projekta które mu się sprawiedliwe wydawały, a odrzucał te które uważał za złowróbnne lub niesłuszne, nie chciał nakoniec być niewolniczym

stronnikiem ministeryum, ani dla jakiegoś systematu należeć do opozycji. Poszło zatem że nie mając innych widoków nad dobro publiczne, innych namiętności jak sprawiedliwość, innego celu nad tryumf prawdy i nie podciągając się pod sztandary ani władzy ani stronnictw, ten prawy człowiek, pełen światła i rozumu, został jednoznacznie ogłoszony i złym obywatelem.

Powrócił więc do swej zagrody wygwizdany przez wszystkie polityczne usta, wymazany z każdego klubu, okrzyczany przez każdą gazetę, odepchnięty przez wszystkich wyborców; co razem wzięte bynajmniej nie mogło wpłynąć na rozweselenie jego humoru. Potem zjawiała się podagra, i otóż od 10 lat nie rusza się z domu i prawie nikogo nie przyjmuje. Ale też na to trzyma sobie z 20 lub 30 dzienników w formacie wielkiego atlasu; co też jedyny jego stanowi wydatek, a przy ośmiu tysiącach funtów szterlingów dochodu, zaledwie to zbyt nazwać można. Żyje on, pływa w tych stosach foljałów, szczęśliwy jeżeli w wieczór może sobie powiedzieć: wszystkom przeczytał!

Jasna rzecz, że ten człowiek nie widzi, nie rozumie i nie wie nic co się około niego dzieje, który to przymiot bardzo ceni jego żona.

Mistress B... nie jest już młodą; co większa nigdy młodą nie była. Wiek ma siedlisko w sercu, w charakterze, w umyśle i rozlewa się na twarzy. Jeden

jest tylko wiek i jeden na całe życie. Są tacy ludzie którzy zawsze mieć będą lat 20 i są tacy co zawsze mają z 55. Mistres B... należy do tej drugiej kategorii. Sucha ciałem i duszą, oczki ma okrągłe których blask pozbawiony ognia, wyobrażenia ciasne równie jak jej suknie, umysł szarpany dumą niegdyś osobistą, dziś polegającą na osobie córki; przytém zawsze niespokojna niewiadomo o co; przewraca wszystko lub porządkuje to w parku, to w zamku, wygania służących, dokucza chłopom, processuje się ze wszystkimi sąsiadami; chełpi się ze swego majątku, zazdrości drugim najmniejszych korzyści, nadzwyczajna dewotka bez najmniejszej pobożności, wstrzeźliwa i surowa przez nieczułość, nigdy nikogo nie kochała wczém też każdy jej się wywzajemnia; metodyczna... E! jużście przecie musieli się jej dobrze przyjrzeć i poznać że ta pani nie jest kobietą.

Córka jej Fanny, jest to długa panna, biała i ruda, która trzy godzin dziennie czesze się ołowianem grzebieniem, aby też kiedyś mogła uchodzić za blondynkę, figura jej niekształtna, rysy bez wyrazu. Mógłby ją może ktoś nazwać piękną, ale to chyba tylko ten, co sądzi i o piękności obrazu z większej lub mniejszej ilości białej i różowej farby, którą malarz na nim rozprowadził, przed czém to właśnie lord Byron uciekł aż do Afryki. Miss Fanny

żyje wreszcie w zgodzie ze swym rozumem, i powiadają że jest bardzo łagodnego temperamentu.

Przyjaciółki mianują ją powszechnie *dobrém cielątkiem*. Ja zaś, w dobre cielątka nie wierzę: nigdy dobroć z głupstwem jedną drogą nie chodzi. To jednak jest pewnem, że Miss Fanny od lat dziesięciu, uczy się fałszywie śpiewać i bez taktu tańczyć, że odbiera codziennie i o jednejsze godzinie też same rozkazy, i że posiada to spokojne spojrzenie i ten niewinny uśmiech, które rodzą w ogóle mniemanie iż wiele panien mają jeden charakter, czyli raczej że nie mają żadnego; jest to rodzaj moralnego uniformu, który może pokrywa wiele miłych lub innych jeszcze jakich błędów i z którego to panny rozbięrają się po paradyzie. Jest także rzeczą pewną że Miss Fanny biegnie bardzo prędko, chociaż bez szczerzego pośpiechu, aż na wsehody dla przywitania ojca; gdy tenże w chwilach wolnych od podagrycznych cierpień wraca z przechadzki i że staje gotowa i wyprostowana w sali jadalnej do śniadania i obiadu dwiema minutami i pół wcześniej niżeli rodzice; jak również że wieczorem, na umówiony znak z przykładną cierpliwością bierze się do przyrządzenia herbaty w tym wielkim salonie, w którym aż do chwili spoczynku, nie słyhać innej rozmowy prócz głuchego szmeru samowara huczącego na fajerce spirytusem. Ale miss Fanny za te wszystkie ponure zatrudnienia, od południa chodzi w uroczystej toalecie

w sukni białej bardzo jasnej z nader pięknymi kokardami, u fryzowana jak na bal; z szyją i rękami obnażonemi po łokcie. Dziwna i miła nader rzecz że to samo widzieć można we wszystkich ogrodach i we wszystkich oknach angielskich: w zimie czy w lecie podczas deszczu lub pogody, wszędzie spostrzegać się dają piękne dziewice lekko i wykwinicie wystrojone; przejdź tylko któregoś dnia przez najmniejsze miasteczko, a powiesz że w tym dniu wszystkie panny idą za mąż. Ale nie dosyć jest przestać na starannych strojach i okazałem wystąpieniu na scenę, trzeba także żeby role były piękne i sztuka zajmująca. Czy też znajdziemy to w zamku B...?

Tak tedy w pośród skreślonej wyżej familiję, dostała się młoda sierota Lydia, kochająca, poetyczna żywa, pełna marzeń... z serca i imaginacji podobna do tych rozkosznych utworów geniuszu Szekspira swego ulubionego poety, równie jak ona pochodzącego z hrabstwa Warnick, dla boskich wdzięków ciała i nieporównanego wyrazu fizynomii, godna być mianowana siostrą kastylskiej Floryndy i Andaluzyjskiej Xymeny. Słyszałem niedawno od kogoś że miss Lydia jest jakby uroczym widmem Ossyana ubarwionem i ożywionem przez słońce Grenady. I prawda, ten kto to powiedział nie omylił się ani na jotę.

W miesiącu lipcu zeszłego roku, Lydia opuściła

zamek B..., otrzymawszy od swej opiekunki pozwolenie, przepędzenia kilka tygodni o parę mil od zamku, u innych krewnych od których by chętnie nigdy nie odeszła. Byli oni nie bogaci, mieli serce proste i umysł wykształcony, trzy wielkie zalety, chociaż pierwsza jest dosyć powszechną. Gdy powróciła do zamku, zastała tam młodzieńca przybyłego z wizytą, rzecz dziwna! którego zatrzymano na obiad, nadspodziewana uprzejmość! który tam zanocował, to już cud niesłychany! Tym młodzieńcem jak ją wkrótce uwiadomiono był hrabia Henryk S... francuz szlachetnej familii, a jeszcze szlachetniejszego sposobu myślenia i etykiety, co już nie wymagało uwiadomienia. Posiadał także znaczny majątek, chociaż ten nie mógł iść w porównanie z dostatkami sir Williama B..., a rodzice jego którzy przy końcu emigracyi mieli dosyć blizkie stosunki z tym wybornym Anglikiem, przystali właśnie doń syna dla podziękowania mu za doznane niegdyś względy, dla odnowienia z nim znajomości; a może też dla ukazania go, za jedną drogą, jednej z najbogatszych dziedzierek w trzech królestwach.

Mistress B..., która marzyła tylko o znakomitszych związkach dla swej córki, pojęła od razu ważność odwiedzin młodego podróżnego, najstarszego syna jednego z najpierwszych magnatów Francyi, do którego domu od trzech przeszło wieków, tytuł xięcia był przywiązany. Przynosiła ona dla przyszłego

xięcia nader wspaniałe przyjęcie: rozwinęła długo uśpioną wystawność swego znakomitego dworu: zaprosiła całe zdziwione sąsiedztwo... nareszcie stała się prawie uprzejmą! obchodziła już ona w duszy spodziewane zaślubiny, pychy i chciwości. Wielu Francuzów ostatniemi czasy pożeniło się z Angielkami, te też poprzednie okoliczności tém bardziej ją zachęciły, chociaż prawdę powiedziawszy zatem nie idzie utrwalenie pokoju między temi dwoma narodami. Minstress B..., myślała sobie: „Hrabia Henryk nie będzie tyle nieroztropnym żeby wypuścić z ręki niezawodny posag wynoszący obecnie 4,000 funtów szterlingów rocznego dochodu, przytém Panny jest miłą nader osobą. Co do mej córki zobaczymy czy ona nie zechce być xiężniczką!“ Wtém miała niezaprzeczoną słusność: nie jedna bogata panna której głowa zaprzątwniona tylko dwornością i dumą oddała swą rękę pełną złota pierwszemu lepszemu tytuliście, nawet nie patrząc na niego... lub też co jest nawet zapamiętałej przyjrząwszy mu się dobrze czyli innemi słowy nabyła tytułu za pieniądze.

Podobny jednak kontrakt kupna i sprzedaży nie stosuje się do hrabiego Henryka, który od razu ujmuje swą przyjemną powierzchownością, i zniewala ku sobie każdego wyższem ukształceniem i delikatnością uczuć. Ojciec proponując mu podróż do Anglii starannie ukrył przed nim plan małżeństwa, któryby od razu Henryk odrzucił, bo on chciał sam

się ożenić, nie żeby go ożeniono; nie pojmował spekulacyi jakie się ztąd wywiązywać mogą, pragnął raczej aby traf lub opatrność dozwoliła mu uczynić zgodny z jego sercem wybór; najwięcej zaś lękał się zawrzeć małżeństwo w skutek głębokiego namysłu. Stary książę znając jego sposób myślenia, i polecając mu zacząć zwiedzenie Europy od Angli, która zapewne w tym względzie zasługuje na pierwszeństwo niby przypadkowo powierzył mu list do dawnych swych przyjaciół z czasów emigracyi. Ale przy tém wszystkiem spodziewał się iż zgodnie z jego najgorętszym życzeniem, Henryk dobrze przyjęty, i ulubiony co koniecznie nastąpić musiało, nabędzie zdrowszych i rozsądniejszych wyobrażeń we względzie małżeństwa, a z tego może się wyrodzić przywiązanie do Fanny, w czém on nie upatrywał rażącego niepodobieństwa.

Henryk przybył téż do zamku w jak najniewinniejszej myśli, oddał Mistress B... list swego ojca list jak można wnosić, z ręcznie nader przez nią zrozumiany umieszczono go w gustownym pawilonie umeblowanym z przepychem jednej tylko wielkiej Brytanii właściwym; do usług przeznaczono mu dwóch żokiejów, którzy razem wzięci nie ważyli ani 30 funtów, przytém upudrowanego stangreta, lando i tilbury gotowe ruszyć za pierwszém skinieniem, dwóch wierzchowców i sforę psów. Z tego wszystkiego Henryk wybrał tylko konia dla przejażdżki po są-

siednich okolicach. Mimo tego co dzień ucza; a co wieczór assablée na którym miss Fanny śpiewała zwykle pietnaście romansów, za którymi szło tyleż ballad. Sir Williams B... nie był nigdy uczestnikiem zabaw, i nie mógł przyjść do końca ze swemi za- ległemi gazetami. Nawet i sam Henryk mało znaj- dował upodobania w tych wszystkich uciechach, ale zato znalazła w nim wielkie upodobanie jedna osoba, która bardzo pragnęła wzajemnie się podobać. Po- tem następowały nadszoki matki, zdania dwo- jaki sens zawierające z których on ani jednego uchwy- cić nie mógł, bo myśl o przedmiocie takim jak mał- żeństwo do tego stopnia była mu obcą, że nie sądził nawet aby ona i komu innemu przeszła przez głowę.

W takim tedy stanie, ten ważny interes znajdował się od dziesięciu lub dwunastu dni nie postępując dalej ani na włos, gdy miss Lydia wróciła z swej niedalekiej podróży.

Zaraz nazajutrz potem, obojętność hrabiego Hen- ryka ku miss Fanny przybrała zarys odrazy, która rosła i szpetniała, w miarę tego im więcej on upa- trywał wdzięku w obejściu się i rozmowie tej bie- dnej kuzynki, jak zawsze nazywano Lydię.

Pierwszy ogień wiejskich uciech zwolniał i usta- pił miejsca rozkoszom poufałych i zajmujących wie- czorków, tudzież umysłowych zalotności, które nie- pospolitą zrzadzają krzywdę temu odrzucającemu nie które nazywają światem.

Ranki schodziły na przejażdżkach wierzchem lub karetą w parku i jego okolicach, a szczególnie na nieprzewidzianych i urozmaiconych rozmowach które są jakby przechadzką imaginacyi; ale czy to w salonie, czy na dworze, czy to we względzie piękności sztuk lub natury, czy to we względzie uczuć i gustów, sławy lub cnoty; a nawet we względzie mód i toalety, jedném słowem, w najpospolitszych i najważniejszych przedmiotach, zawsze zdania Lydii i Henryka były z sobą zgodne.

Podobieństwo wyobrażeń zapowiada sympatię serca. Dwie osoby które jedną rzecz zarówno polubią, są gotowe i siebie nawzajem polubić. Alł Mistress B... bynajmniej niczego podobnego się nie lękała podług niej biedna Lydia nigdyby się nie ośmieliła wznieść swych oczu tak wysoko; nigdy Henryk nie byłby zdolny spuścić je tak nisko. Tak tedy myślała w duchu Mistress B... Pycha rzadko jest podejrzliwą.

W sąsiedzkim zamku miał być dany bal kostiumowy. Po raz pierwszy Lydia serio pomyślała o gustownym stroju. Przyrzędziła sobie nic nikomu nie mówiąc, wykwinny kostium à la Pompadour, i w sam wieczór przed bale, nim nadeszła pora ubierania się, Lydia wielkimi drzwiami w głębi weszła do salonu ciotki, przebrana i gotowa do tańca. Miała na głowie wielkie pióra przyczepione do włosów stosownie utrefionych i upudrowanych, kołnierzyk z czarnego aksamitu spięty grubym djamentem, je-

dynym jej własnym klejnotem, przytém długi stanik z jasno błękitnego atłasu od pasa otwarty i ustrojony w białe róże, wyżej przy lewém ramieniu bukiecik, rękawy przy łokciach obszyte szerokimi koronkami, suknią przestronną z gazy różowej, z fartuszkim z tegóż samego atłasu co stanik; w lewej ręce trzymała rozwinięty wielki wachlarz. Był to strój bardzo piękny, Lydia jeszcze go bardziej uroczym czyniła przez nieporównaną zgrabność swych siedmnastu latek, moc przyrodzonych wdzięków i przybraną (pożyczoną) zalotność. Prezentując się w ten sposób z ułożonemi stosownie rękami, nóżką wysuniętą, z oczami do połowy spuszczonej i prawie złośliwym uśmiechem, Lydia zdawała się mówić: „Otóż jestem! kto mnie zamówi do pierwszego menueta?”

W salonie powstał odgłos zadziwienia, uwielbienia i sprzeczności. Sir Wiliams, siedzący za sofą dam, upuścił dziennik; młoda wdówka przybyła z wizytą wykrzyknęła: „Prześlicznie!” Hrabia Henryk który stał obok sir Wiliamsa, nie mógł powstrzymać podobnego wykrzyknika: miss Fanny przygryzła usta.. Czas już i nam się ubierać „rzekła spiesznie i głośno Mistress B...”

Bal! któż zdoła opisać urok tej zabawy? muzyka, taniec, połysk świeateł i klejnotów, cała poezya zbytku a jak to wystawne upojenie jest małą rzeczą w porównaniu z rozkoszą ukrytą i prawie niemą

dwóch serc, które milcząc, odpowiadają sobie, w porównaniu z rozkoszą Lydii i Henryka! kostium dodaje tyle śmiałości nawet najlękliwszej osobie! człowiek zdaje się zupełnie innym. Prawda śmieiej ukazuje się pod zastoną. Henryk nie chciał za nadto mówić; albowiem przed oświadczeniem miał na uwadze całą okropność jakaby spowodowało, mogące nastąpić sprzeciwienie się ojca, którego nie odzowna wola, zdawała mu się już oczekiwać, z wyrzutami i zupełnem odmówieniem; z tém wszystkiém gorąco pragnął zapewnić się o tajemnych uczuciach Lydii i zręcznie ją zagadywał; ona też mimowiedzy odpowiadała szczerością spojrzeń i milczenia, oraz bezpieczeństwem jakie jej kostium zapewniał. Henryk uzbrojony tém niemém oświadczeniem przygotował się iść w zapasy z wszelkimi przeciwnościami.

Temczasem zbliżyła się pora w której młody Francuz miał opuścić zamek dla udania się w dalszą podróż, ale ani gospodyni ani gość bynajmniej o tém nie wspominali. Raz z rana odebrawszy wiadomość z Francyi, Henryk był żwawszym jak zwyczajnie jego uprzejmość stała się obsitszą, a wyrazy jego skierowane do Lydii były pełne tajemniczego wzruszenia i tkliwej wesołości, która jej młodą duszę przenikała nieznanem pomieszaniem i lękliwą nadzieją. Tak zszedł dzień i wieczór. Cała familia była zdziwioną tém wezbraniem dowcipu i uprzejmości ze strony hrabiego; Lydia mimowolnie przez to była

uszcześliwioną. Przez całą noc, sen nie postął na jej powiekach, ale jej myśli spoczywały na czarownych marzeniach i słodkich przeczuciach.

Nazajutrz gdy zadzwoniono na śniadanie, Lydia pieszcząc w sercu swą drogą tajemnicę, tak jak perłę w morzu, zapomniała o wszystkiém i przeto niezdażyła się ubrać. Kończąc właśnie toaletę, 'przez szyby swego pokoju spostrzegła ciotkę i hrabiego Henryka, którzy wracając razem przez wielką łukę, żywą zdawali się toczyć rozmowę. Ubrała się tedy spieszenie i we dwie minuty stanęła w sali jadalnej. Śniadanie jak zwykle odbyło się ceremonialnie. Za nadejściem godziny przechadzki, Henryk wymówił się jakimiś zatrudnieniami i odszedł do swego pokoju. Wieczorem siadł obok sir Williama i przeczytał mu w głos ogromny dziennik z czego pocziwy Anglik niezmiernie był 'uradowany: poczem hrabia zbliżył się do dam i mówił z nimi o rzeczach ogólnych w sposób oziębły i grzeczny, nieuniknął bynajmniej z miss Lydią rozmowy, ale pierwszy do niej nie przemawiał. Nazajutrz, to samo z tą tylko zmianą że przed godziną spoczynku Henryk pożegnał wszystkie osoby, oświadczając że jutro skoro świt opuszcza na kilka dni zamek, dla oddania wizyty w okolicach, poczem wróci i złoży ostateczne pożegnanie. Prosił bardzo grzecznie dam aby mu jakie sprawunki zleciły, z miss Lydią

obszedł się jak z drugimi... nawet nie mniej uprzejmie, i odjechał.

Upłynął już tydzień, a nikt w zamku nie wymówił imienia hrabiego Henryka; ale to pewna że go nikt nie zapomniał, a Lydia mniej niż kto inny. Niestety! umysł jej błąkał się w zdziwieniu, a duszę ciężar smutku ugniatał.

— „On żeto, mówiła do siebie bez przestanku, tenże to sam który nagle tak się odmienił? Ah! dla czegoż był tak uprzejmym, tak tkliwym? i dlaczegoż stał się tak okrutny, zimny? Jak można do tego stopnia we dwa dni się zmienić? Czyż powiedziałam, lub uczyniłam co takiego coby go obraziło?... albo raczej czyli on nie miał zamiaru zrobić sobie igraszkę z biednego serca i zakrwawić je! a jednak on taki dobry, taki szlachetny! co mówię! to jest barbarzyńiec, z sercem szatańskim przy rysach archanioła!... o mój Boże! ale, może ja uniesiona dumą wzięłam jego przyrodzoną uprzejmość za jakieś wyższe uczucie! może też ta oziębłość i zamyślenie jest skutkiem powzięcia przykrej jakiej wiadomości, a której ja jestem zupełnie obcą. Nie, nie ja się nie omyliłam są rzeczy w których mylić się nie można, moje poprzednie przekonanie, jest prawdziwe ale dla czegoż ta nagła zmiana? i t. p. i znowu po sto razy, dobra Lydia rozpoczynała to nieszczęsne koło wątpliwości i nieodgadnionych pytań po których błądziła jej dusza jak jakim piekielnym odměcie; a boleść jej serca uciśnio-

nego tajemnicą, której nikomu wyjawić nie mogła, gotową była co chwila we łzach się objawić.

W sobotę po wyjeździe hrabiego Henryka Mistriss B... siedziała z córką i siostrzenicą w najcienistszym gajku, podczas południowego słońca. Fanny czerwieniła się ze złości, Lydia z żalu pobladła, a na twarzy Mistriss B... gniew wykazywał się przez zielone plamy siedziała już z godzinę, a żadna ani słowa nie przemówiła. Nareszcie pani zamku przerwała to powszechne milczenie jak lwica zapory tamujące jej wychód z jaskini i przewracając swe okrągłe nadzwyczaj pałające oczy, odezwała się przyciśnionemi do zębów ustami: „Miss Lydio uprzedzam cię że hrabia Henryk dziś lub jutro wróci żeby się z nami przed odjazdem do Francyi pożegnać; zechcesz przeto nie być obecną lub oddalić się za jego przybyciem. Ależ moja ciociu jakąż masz przyczynę, żeby mnie... Czyliż nie dosyć jest panno, przerwała miss Fanny tonem zapamiętałej cierpkości, że ci moja matka rozkazuje abyś się do jej woli zastosowała?”

Otóż macie *dobre cielątka!* Matka i córka wstały i zostawiły Lydię samą i uciemieżoną. Ponieważ biedna sierota miała oczy na dół spuszczone, spostrzegła prawie natychmiast w piasku obok swojej ławki, papier pisany, a na nim swoje imie, które naprzód jej wpadło w oczy, gdyż było skreślone charakterem odznaczającym się pośród innych wyra-

zów. Podniosła ten papier, poznała rękę hrabiego Henryka, którego kilka wierszy miała w swoim stambuchu, i nim zdołała zebrać myśli, uniosła go drżąc z wzruszenia w oddalony zakręt gajku. Był to list rozpieczętowany, a na nim adres: do *Mistriss B...* Los Lydię może był w tym liście, ale ten list nie do niej był pisany... Jej ciotka, która może ją najniegodniej zdradziła, zasługuje również na zdradę, która jest prawie mimowolną, ale błąd byłby jedynie przed Bogiem! List pisany do kogo innego powinien być rzeczą świętą; jest to owoc drzewa wiadomości dobrego i złego. Czyliż Lydia może go dotknąć? Ciekawość zgubiła pierwszą kobietę! Lydia powierzy się opiece swego anioła stróża; ona nie zechce narażać swej duszy, bodajby dla ocalenia życia!... Po takim przedsięwzięciu, dziewczyna zastoniona ze wszech stron krzakami polnej róży, oparła się łokciem o starożytny marmurowy wazon, drugą ręką przycisnęła drogie pismo do serca, i smutnie przed siebie spoglądała. Sztuka grecka w takiej postawie przedstawiłaby statuę *Dyskrecyi*.

Tymczasem *Mistriss B...* dostrzegłszy brak listu, nie spokojnie wracała tą samą drogą i spostrzegła Lydię w takiej postawie z listem w ręku. Nie wątpiła że on wszechstronnie przez jej siostrzenicę przeczytany został... Jakżeby ona mogła przypuszczać tyle cnoty? Przybiegła tedy z wyrzutami i zawołała: „A więc tak!... ten szaleniec w wigilię swego od-

jazdu żądał odemnie twej ręki! chciał abyś została jego żoną, ty która nie posiadasz ani znaczenia, ani majątku, ani innych zalet prócz układnej minki, która go na chwilę ujęła; ale ja przez wzgląd na jego familię, na niego samego, przez sprawiedliwe uczucie obrażonej godności w osobie mojej córki, jedynej stosownej dla niego żony, powinnam była sprzeciwić się temu szaleństwu. Co większa dla zerwania z jego oczu smutnej zastony, i dla uczynienia bezwładnem w jego ręku pozwolenia które właśnie tylko co otrzymał od ojca, równie jak on słabego; musiałam mu powiedzieć że ty tłumisz w sercu inne uczucie, i że ręka twoja przyobiecana... Dowiedziałaś się zapewne wszystkiego z tego listu, który twoja występna chytrność przyjęła. Przekonałaś się też bez wątpienia że odjeżdżając dziś lub jutro, hrabia Henryk nie chce ciebie napotkać... Tak, to ja całą rzecz poprowadziłam i szczycę się z tego. Ja boleję nad niezastużoném nieszczęściem, ale brzydzę się niezastużoną pomyślnością, brzydzę się tobą, miss Lydię, wychodź precz z mego domu.

— Ah pani, ja odejdę ztąd, rzecze Lydia, przebacząc ci wszystko, wszystko prócz kłamstwa, które popełniłaś oszukując Henryka we względzie mych uczuć, i dając mu opinię o mnie, którą pragnęłabym wydrzeć bodajby kosztem mego życia a potem przyjęłabym śmierć z radością. O nieba! mógłże on wziąć za nikczemną zalotność, za bezwstydną igraszkę, to

prawdziwe to czyste wzruszenie, którego przy nim doznawała! On uwierzył temu kłamstwu, opuścił mnie ze wzgardą! Ah! moje nieszczęście jest niczem w porównaniu z moją hańbą. Oto jest twój list pani, nawet nie zaglądałam do niego, chciałam ci go oddać, a ty przyszłaś mnie o wszystkim uwiadomić; ja nie kłamię, o bądź pani pewna, nie kłamię, wróc mi przynajmniej jego szacunek, a potem możesz mi odebrać życie!...

— Boska Lydio! moje do ciebie należy“ wykrzyknął ktoś padając przy niej.

Był to hrabia Henryk, wrócił on właśnie z swęj krótkiej podróży i szukał Mistriss B... w parku, dla pożegnania się z nią, gdy przypadkiem usłyszał z sąsiedniej alei kilka słów ze sceny tak ważnej dla niego. Ukrył się dla wysłuchania dalszego ciągu, a rozwiązanie łatwo odgadnąć można.

Szczęście miss Lydii, wiadomość o jej przyszłym małżeństwie z hrabią Henrykiem rozniosła się jeszcze tego samego wieczora pomiędzy ludźmi zamkowemi i w całej okolicy, Sir Williams B... w kilka dni także dowiedział się o tém... z *Morning Chronicle*.

K...



Ileż się uroku mieści
W ustach pięknej, gdy ta słowy
Ojców ozwie się!

Lub żartowi niewinnemu
Puści wodze mimo woli,
I trzpiotliwie, po swojemu
Draśnie z lekka — to nie boli,
Nie urazi cię.

Bo to Polce w każdym czynie
Świecą niegasłe pochodnie,
Cnota, prawość — to w nich słyńcie,
To są ich gwiazdy przewodnie;
Polkom za to cześć!

I w świetlicy szumnie, gwarno,
Młodzian prawi — dziewczę prawi,
Wszyscy się do koła garną.
Co za sprzeczka tak ich bawi?
Daj nam o tém wieść.

Kiedyż nie wiem sam — nie zgadnę,
Bom już w późnej przyszedł porze.
— Jak jest! mówi dziewczę ładne,
I ja z panem się założę,
Ze to było tak.

Zgoda zakład — i wnet panie
Co chcą, mówią młodzianowi.

— A teraz niech no pan powie
Co chce od nas, i dostanie
Na wygranej znak!

Patrzy młodzian po świetlicy,
Ręką wodzi po swém czole,
I czynnej jego żrenicy
Jawią się kwiaty na stole,
Dziatki naszych niw!

Wtém pytają niecierpliwie:
Coż pan wybrał? powiedz przecie;
Alić młodzian rzekł skwapliwie:
Wieniec panie uwijecie.
— Wieniec? a to dziw!

Na co? — Może mi posłuży
Do ozdoby na pogrzebie..
— Cóż to? żyć już nie chcesz dłużej?
Myślą taką nie dręcz siebie
I żyj długo nam!

* * *

Tam po wzgórzach i po błoniach
Hasa jeździec na swym koniu,
To mu cwałem biedz dozwoli,
Znów go ściągnie i powoli
Jedzie, jedzie sam!

Naszych lasów król, dąb stary
W górę strzelił swe konary,

I pniem swoim, liśćmi swemi
 Dziwny tworzy cień po ziemi
 Jeździec zmierza tam.

Koń jak spojrział na to dziwo,
 Uląkł się, potrząsnął grzywą
 I puścił się w dał;
 Aż tu przepaść, głębią zoczył
 Upadł młodzian, gdy koń skoczył,
 Słychać jęk — aż żal.

* * *

Kwila dzwony — nie daleko
 Przed tym domem stoi wieko.
 A kto idzie z tamtej strony?
 Jest to orszak zasmucony.
 Co u dzicwic w ręku? kwiatki,
 Róże, lilie i bławatki.
 Piękne rączki wianek zwiły,
 I na wieku zawiesiły.

A. Z.



W piątym swoim, jaśnie światem
Dziwy twory cieni po ziemie
Jedynie kmieta tam.

Kon jak spoznał na to drwina
Ustał się, porzucił grzywa
I pisał się w kłopot
Aż tu przepadł, stoła kłopot

SKARB UKRYTY.



I niechże kto powie: Lud prosty — bydlęta!
O zajrzyjcie w serca. jest tam iskra święta:
Jest czucie głębokie, jest cnota prawdziwa!
Tylko ją szarawa sukmana zakrywa.

S. Jachowicz.

W pięknym i wspaniałym dworze
Raz mieszkało dziewczę hoże,
Dobre sobie — lecz to szkoda,
Śmierć ją matki pozbawiła;
A kiedy sienota młoda,
Obcych oddana staraniu,
Wśród nich lata swe pędziła.
A bez matki, to dziw rzadki,
By w życia swego zaraniu
Odebrała cnót zadatki,

I wszystkie miała zalety,
Co zdobią serce kobiety.

Więc panienka nasza miła
Dumną i wyniosłą była,
Nie spojrziała na wieśniaka
Mówiąc Chłop nie godzien tego
By szacunek mieć dla niego,
Gbura, kmiecia i prostaka,
Bez rozumu czucia wiary—
Cóż w nim? głupstwo, przesąd stary!

Pozostawmy ją w tym błędzie,
Może go żałować będzie.

Wiatr miota liśćmi — pochmurno i ciemno
Jak w jesień. — Dziewczynka do dworu przypada,
Strudzona pośpiechem, że ledwie zagada:
„O pani kochana, tej chwili pójdź ze mną!
Mój ojciec umiera — a póki on żyje,
To pani coś bardzo ważnego odkryje.“
— „Ja pójść mam za tobą? a wietrzno na dworze—
No! i ten dziad stary — co on dzisiaj chce!
Co za tajemnicę udzielić mi może?
O pomoc dla dzieci będzie nudził mię —
Niech starszych poprosi. O ruszaj w swą drogę!
Do ojca twójego nie pójdę — nie mogę.“

Próżno dziewczynka strokana
Prosi i ze łzami błaga,

Bo to wszystko nie pomaga;
 Idzie biedna zapłakana,
 Myśląc, że gdy do dom wróci,
 Niezmiernie ojca zasmuci,
 Złą przynosząc mu nowinę
 Jeszcze w śmiertelną godzinę.

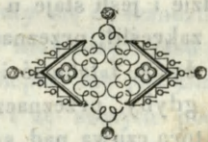
Wiatr silniej zaszumiał — pochmurno i ciemno,
 Wnet będzie ulewa — Dziewczynka przypada,
 Strudzona pośpiechem, że ledwie zagada:
 „O pani kochana, tej chwili pójdz ze mną!
 Mój ojciec umiera, i do nas cię prosi,
 I taką wiadomość przezemnie ci głosi,
 Że kiedyś przed laty, gdy wojna nastąpiła,
 Nieboszczka twa matka (niech światłość jej świeci)!
 W ogrodzie skarb ojcu zakopać kazała,
 Klejnoty, korale i drogie kamienie;
 A gdy ich blask zbyt jest uludnym dla dzieci
 I młodych panienek — więc dała zlecenie,
 By ojciec dopiero to wskazał ukrycie
 W twym roku dwudziestym — lecz kończy już życie
 A tobie jedynie wieść powie tajemną.
 O pani kochana, tej chwili pójdz ze mną!“

A ona dwa razy powtarzać nie daje,
 Czempędz jej pośpiesza — choć chmurno i ciemno —
 Przybiegę do chaty — lecz cóż tam zastaje?
 Staruszek już ducha wyzionął w tej porze,
 I skarbów ukrytych jej wskazać nie może.
 Darmo się sama na siebie gniewała,
 Szukać po całym ogrodzie kazała;

Wszędzie kopano, skarbów nie ujrżano
(Widać był w dobre złożony ukrycie).
I gorzko sobie wyrzuty czyniła,
Że swoją dumą nieumiarkowaną
Ostatnie chwile starca zakłóciła,
Co o niej myślał, gdy kończył swe życie

Któs jej powiedział: Niech ciebie ta strata
Nie smuci tyle — wszak jesteś bogata.
Lecz z obecnego naucz się zdarzenia,
Jak źleś robiła, żeś człekiem gardziła,
Którego takie zdożyły przymioty,
Wierność, uczciwość — i dla tej już cnoty,
Że chciał dotrzymać swego przyrzeczenia,
Godzien szacunku, tak, godzien był tego,
Byś choć raz jeden wstąpiła w dom jego.

A ona mile słuchała tej rady —
Oby się ze swej poprawiła wady!



MARYA.

I.

Jeden ze starożytnych porównał życie ludzkie do bańki na wodzie, którą lada zefirek tłucze; dla czego? czy przez trwanie? nieraz życie jest zbyt długie, nie jeden musi nawet samobójczą ręką przeciąć bieg jego — jedna jest tylko strona, którą można porównać życie nasze do bańki na wodzie — fatalność która pędzi łódką tu i owdzie i jeśli staje u celu, to rzadko drogą którą sobie zakreslił; przeznaczenie mówią ludzie jest tajemnicą życia, fatalność i przypadkowość podrzędne jednak gdyby przeznaczenie stanowiło życie nasze, siła która czuwa nad spełnieniem tego przeznaczenia niezawodnie musi odbierać od kogoś rozkazy, by posłannictwo człowieka na ziemi zawięzło do portu. Jednak spytajmy człowieka, co zna

z życia? każdy odpowie niedołączy i z powyższego tedy punktu wychodząc, władza która rządzi ludźmi może być złośliwą kiedy nas rzuca na ścieszkę cierpienia i boleści.

Byt więc człowieka nie jest urządzony, lecz pod wpływem zbiegu okoliczności jest ciągłym dążeniem do jednej i wielkiej myśli szczęścia! Przy wstępie do życia jest jedno szczęście miłość — szczęśliwy kto raz przynajmniej mógł być pod wpływem lubej istoty, z którą dzieląc Boskie uczucia mógł powiedzieć, nie zostawiam żądź nie spełnionych i bez żalu mój grób zobaczę, lecz któż w miłości był szczęśliwym, w uczuciu tak ruchawém które zaledwie błysnie, już blednieje?...

W drugiej połowie życia, albo żałujemy pierwszych poranków uczuć, poezji, słowem młodości, albo dążymy za wielkim słowem ludzkości, żądzą sławy, dostatków, panowaniem, bo tutaj dzisiaj błyszczą nam szczęście, lecz te zabiegi, praca, wysilania się nieraz albo pełzną wydarte zręczniejszym umysłem, a jeśli przyczepimy się do frandzli złotego płaszcza wielkości, nieraz nie mamy czasu poznać szczęścia, gdyż wielkość oślepia, lub jest zimniejsze w istocie jak w marzeniu i ze szczytu poezji spadamy na ziemię.

Jednak jest szczęście dla ludzi, a tём szczęściem jest owo tak zwane nieszczęście, które zakrywa przed nami drogę życia, które niepewne coraz wpędza nas

na nieznanne ścieżki; słowem ta różnorodność, ta wieczna przemiana, ta nietrwałość.—Śmiało więc śmiało rozwinmy żagle naszego życia, pozwólmy dać wiatrom różnych kierunków, puśćmy wolny bieg, nie splammy serca i sumienia, i narzekając ciągle na los przeciwny wesoło przebrniemy, i z burz łez i przeciwności, zostanie pociecha wspomnienia!..

o Nie płaczmy... nie narzekajmy, a oskarżać opatrność i jej przypisywać niedoskonałość naszą jest bluźnierstwem, doskonalenie się wolne oparte na doświadczeniu, jest jedyną drogą człowieczeństwa, na której nieraz napotyka się czułe serce, wdzięczny uśmiech, miłosny pocałunek. Ah! czyż nie dosyć dla człowieka? ograniczyć swe żądze, niezazdrościć, patrzeć na nieszczęśliwszych żyć sercem i cnotą, jest najczystsza filozoficzna doskonałość i szczęście człowieka.

Porzućmy filozofią, która nie wszystkim w smak, otrząśnijmy pióro z ciężkich rozumowań, a śpiewając skaczymy po niwie życia, po tym horyzoncie wiosnianym z zieloną barwą, upstrzonym tu i owdzie bławatkami:—niechcę wspaniałych róż, wonnych gwoździków, zostawiamy te rozkosze najerzone cierniem wielkości i dumie. Ty mój czytelniku jeśli masz dobrą wolę zechcesz przestać na skromnym fijołku, bławacie lub niezapominajku, w prawdzie nie są to kwiaty Raju lecz w zamian nie skalą ich róże, nie omrocą jak gwoździk: Fijołek wonią obwlecze życie, bław-

watek zachwyci oko, a niezapominajek jeszcze przy grobie, miło w wspomnieniu zakwitnie.

Takim siołkiem, bławatką, a bardziej jeszcze niezapominajką, była hoża Marya z pięknymi osiemnasto-lety — Młodość i czułe serce jest najpiękniejszy skarb kobiety, jednak najczęściej wkrada się weń robak, co go toczy nieraz przez całe życie; i rzadko kobieta pierwsze uczucia miłości składa przed ołtarzem na łono kochanka, najczęściej łącząc swą rękę z przyszłym małżonkiem, zasyła ostatnie westchnienie kochanej niegdyś istocie.

Wesoła Marya żyła pod skrzydłem matki i ojca, którzy powstawszy z prochu umieli zgromadzić złoto, sądząc że zimny blask jego przyczyni światła tej gwiazdzie młodości, która zesłaby rozweselić ich posępną starość. Córka nie przyjęła zasad jakie z zapalem chwycili rodzice, naśladować wielkość i wady tych którym się zdaje, iż opatrność dla nich tylko była matką, innym zaś macochą. Serce dziewczyny zostało tak czyste tak szlachetne, że żadna żądza nie zatrąła swym jadem — jednak te cnoty i przymioty przedwcześnie poświęcone zostały spekulacji, i jeśli nie dla zysku, to przynajmniej tej żądzy co pali serca ludzi którzy powstawszy z niczego chcą się wynieść nad innych, by pić z kielicha fałszywej wielkości, który słodki, nieraz gorzyc ma na dnie.

Takimi żądzami napełnione serce rodziców, długo skrywało dumę pozorem starań i pieczołowitości

nad młodością Maryi—jednak gdy małe dziecko wi-
 ła lalki lub skacząc nuciło śpiew nianki, już w ci-
 chości ducha poili się rozkoszą zbrodniczą, i widzieli
 w swém dziecku nie ofiarę, lecz istotę która przynie-
 sie sławę ich imieniowi i zaspokoi dumne żądze.

Marya była szczęśliwą,—młodość pstrzona kwiaty
 i dostatkiem, nieznała zmartwień prócz małych prze-
 szkód, które nie pozwoliły biegać po ogrodzie lub
 gdy lalka nie chciała być posłuszną,—już miała lat
 piętnaście, a jeszcze zabaw swych dziecinnych za-
 pomnieć nie mogła. Budowa Maryi była wątłą
 zdawało się, iż najstabszy pomimo niedoli zni-
 szczy słabą roślinę, która nieżyje tylko słońcem,
 rosą, i wonią kwiatów, wszystkie jej formy by-
 ły kształtne chociaż niewydatne, pojedynczo wzię-
 te były prawie bez powabu chociaż stanowiły pie-
 kną całość uroczą, małą kobietkę, — lecz ta dro-
 bność nie była z tego rzędu co robi kobietę podo-
 bną do kłębka, gdzie wszystko jest razem tak po-
 wikłane, tak splecione, iż jeden rzut oka jest dosyć—
 nie—Marya była doskonałość na małą skalę, w opty-
 ce, była z tej liczby kobiet, którą człowiek lubiłby
 piastować na ręku, kazać spoczywać przy sercu, i
 jak dziecko przytulone do łona umie liczyć każde ude-
 rzenie serca.

Pomijamy jej nieczułą i bez życia młodość jaką
 prawie wszystkie dziewczęta prowadzą do pewnego

czasu — pomówimy o Maryi gdy już czuć zaczęła.

Gdybym chciał odmalować obraz jej, za nadto bym sobie schlebiał, byłoby to tylko zimne odbicie przedmiotu, byłby to posąg ozdobiony, we wszystkie wdzięki przyrodzenia mniej jej spojżenia.

Gdy siła natury zapaliła jej krew swym ogniem, gdy jej odkryła w części tajemnice powołania, ta młoda latorośl płocha i wesoła, zyskała jeszcze w darze czułość, w wysokim stopniu, a chociaż prawie wszyscy uważamy czułość jako naturalne następstwo naszej organizacyi, bardzo mało jest serc prawdziwie czułych, bo kto tylko ma uczucia prawdziwe a przeto wielkie, ten jest cnotliwym.

Odtąd ta dziewczyna, przybrała pewien gatunek powagi wstydlivej, skromność rozlana na lica świadczyła nieraz, że jej serce w namiętnych ogniach czeka słodkiej chwili wymiany, a że była w epoce najkrytyczniejszej życia, jednak najpiękniejszej, za którą każda niemal wzdychała kobieta, weszła w ów labirynt po którym błędzi westchnienie nim się z drugim złączy, droga słana kwiatem nim rzeczywistość uszczknie gałązkę rozkoszy, tej drogi żaden widz nie dostrzeże, niepojmie najprzezorniejszy rozum, jest to rozmowa dwóch dusz, które się same z daleka rozumieją jak płyny galwaniczne.

Marya lubiła namiętnie muzykę, i któżby ją nie lubił, — mówią że muzykę skradł człowiek przemysł-

ny z Syonu, i że herubini w przedsionku niebios wynaleźli ją na cześć Twórcy, my ludzie sądźmy ją więcej po ludzku, muzyka jest dzieckiem miłości, piérwsze jej tony były płaczącym dźwiękiem, który szukał echa w drugim sercu.

Marya więc lubiła muzykę i tak ją w miłą umiała stroić barwę, iż zdawało się że wszystkie tony nie rodzą się pod jej palcami, lecz wprost wyrrywają się z serca—słyszeć ją i nieupaść pod jej niewinnemi grotami. Stoicyzm godny części, jednak trudno wierzyć by człowiek był tak silny, chyba że już dla niego życie zmartwiało. Pojmujemy co się działo w duszy wystawionej na tak słodkie wrażenia, melancholija muzyki, rozkosz miłości wznosiły duszę do Nieb Empiryjskich. Każdy dźwięk zdawał się służyć za komunikacją sercom—w takim zachwyceniu w takim zapale zapomina się o życiu, bo cały nasz byt przechodzi w drugą osobę, jest to metempsihozis za życia.

Gdy chcąc duszę rozweselić, śpiewać piosnki serca lub tęsknoty, zlekka dotyka klawisza, czy to szuka ulgi lub pociechy, lub chce dzielić z dźwiękiem instrumentu ogniste namiętności serca, lub maluje stan jego właściwy, ileż pomysłów w każdym tonie i nieraz wpadając w zapał, zda się że nieczułe strony nabrały życia, że ta harmonja nie może być tylko dziełem nadludzkiej istoty, że cuda jej tylko należą.

Marya widziana przez mikroskop gustu, znawca znajdzie piękne dzieło natury, malarz miły koloryt swych zmysłów, poeta nowe natchnienie. Marya łączy w sobie trzy ważne przedmioty przyrodzenia, muzykę w organie, malarstwo w osobie, poezję w spojrzeniu.

Mówią, że w księdze przeznaczeń palcem Bóstwa skreślona jest biografia nasza i przepisana droga którą dążyć mamy, jest to sofizm a owa księga przeznaczenia jest fatalność, jaśniej mówiąc przypadek który pędzi łódkę życia naszego,—wszystko co nas otacza wszystko co spotykamy w długiej i nieraz zbyt ciężkiej kolei jest skutkiem przypadkowości, i niechaj każdy z uwagą rozbierze swe życie, przyznać musi że przypadkowość przyczyniła się do jego szczęścia lub niedoli, cnoty lub zbrodni.

Ty co trzymasz te kilka wyrazów przed oczyma jeśli jesteś człowiekiem którego serce czuć umie, umysł co się zastanawia, powiedz wiele razy przypadek wpłynął gwałtownie na twój byt, wieleż razy nie zniweczył twoich majowych marzeń, twoich zielonych myśli, lub często wyrrywając cię z otchłani cierpień, ozłocił byt twój, jeśli nie na całą przyszłość to przynajmniej na bardzo długo, póki tenże najpiękniejszym jaśniejąc blaskiem nie uległ nowej fatalności, a tak losy życia ludzkiego są nakształt gwiazd co w jednej chwili lecą na *Zenith* ledwie go dosięgną, spadają na *Nadir*.

To co powiedziane należy najwięcej do życia towarzyskiego, gdzie nie trzeba mieć oczu ostrowidza by dojrzeć te ścieszki na które przypadkowość wpędza ludzi, lecz skutki fatalności mniej spostrzegać można gdzie serce główną gra rolę, spytajmy się kobiet których cel życia, jedna tylko niwa, czyli najczęściej burze nie zniszczyli ich plonów, i ciernie urosły gdzie rzucały ziarna najczystszych uczuć.

Wiktor był młodym człowiekiem któremu los pokazał Maryą, był on w porze wieku, w którym wrażenia zostawiają ślad na zawsze. Może niejedyn wyobrazi sobie że to był nowy adonis? nie, kobiety rzadko szukają wdzięków w mężczyznach, więcej silnej i namiętnej duszy, dla tego miłość kobiet jest zawsze więcej szlachetną, więcej trwałą, i śmiało twierdzić można że ta, która jak motyl biega po łące, szuka powabów, lub się zrzekła miłości, lub jej czuć nie umie, lub odczarowana szuka li tylko uciechy.

Wiktor połączył w sobie wszystkie przymioty męzkie, namiętne serce, wyobraźnią żywą, cokolwiek romantyczną, charakter śmiały otwarty a przytém tak łagodny i przyjemny, iż wszyscy którzy z nim z blizka żyli nie mogli się oprzeć temu pociągowi jaki mimowolnie nakłania nas ku drugim. Nieszczęścia pierwszej młodości zbyt wczesnie kazały mu świat zbrzydzić albo raczej rostać się i jako badacz, patrzeć na ludzi. Żyjąc sam bez wymiany uczuć, myśli jego prawie zawsze za sferą materialnego życia—samo-

tność, wypiętnowały na twarzy wyraz słodkiej i czulej melancholii, bez cieni rozpacz i gwałtownych cierpień. Takie twarze lubiemy podziwiać, szczególnie kobiety, i rzadko która nie starała się żeby na tło duszy melancholicznej nie rzucić chociaż jednej o sobie myśli, lub całą tę rozległą niwę zapłonić swoim obrazem, jest to kokieterja cnoty, bo najszlachetniejsza kobieta, najstalsza kochanka ma nieraz podbudzoną miłość własną, chce być kochaną, i nic nie dając rości prawo do wszystkiego.

Było to w dzień piękny niedzieli, w dzień nabożeństwa i miłości. Dzwon starożytnej wieży ogłosił wiernym chwilę modłów, tłumy cisnęły się przed ołtarze Boga który czytał w ich sercach, lecz to nie do nas należą—te tajemnice serc, zobaczmy lepiej co nas prowadzi do świątyni.

Wiktor wszedł równie jak wielu młodzieży pędzony ciekawością a mówiąc prawdę szukać rozrywki, patrzeć na piękne grzesznice schylone przed potęgą Boga. Wiktor był mało wiernym, bo nasz poczciwy wiek 19 zmienił świątynię Bożą w Bursę, gdzie równie zabawki jako i najważniejsze sprawy biorą początek i koniec, jest to godło dzisiejsze—modlmy się robiąc interessa.

Wiktor tedy jak inni spokojnie przyglądał się osobom lub exaltował duszę piękną, architekturę i malowidła, tak przebiegając okiem tu i owdzie, wzrok jego spotkał się z wzrokiem władcy dziewczyny. Jakby

piorunem rażony—lica jego okryły się różem który-
stawał się tém silniejszy, gdy tę samę burzę spostrzegł
na twarzy młodej kobiety — miłość złączyła dwa
serca.

Przechód ze stanu zupełnie nieczułego życia do
miłości, jest może jedną chwilą co nagradza, jeśli nie
wszystkie cierpienia to przynajmniej pociesza w przy-
krej podróży, którą przebiegamy między kolébką
a grobem — ten przechód z jednej do drugiej epoki
z jednego świata w drugi, jest tak silny ze wraże-
nia nigdy się niezacierają z pamięci — dla tego to
kobieta wszystko poświęci dla pierwszego ko-
chanka.

Wiktor i Marya były dwie istoty, których serca
równocześnie złączyły się jednym ogniwem; ich du-
sze stworzone dla siebie zrozumiały się, zmieniły
byt wajemny, tak że serca nienależały do osób, każda
tylko była siedliskiem drugiemu; nowe farby obwle-
kły świat cały — nieczułe głązy oddychać się zdały
miłością — ludzie tak piękni, tak dobrzy, chociaż
tak obojętni pojedynczo kochali oni całą ludz-
kość.

Odtąd Marya i Wiktor niemieli tylko jedną myśl,
albo wyraźniej mówiąc, niemieli żadnej, byli w go-
rączce którą czas leczy, zostawiając serce w le-
targu.

Zostawimy ich na czas— pozwolmy im cieszyć się
miłością, nie zdradzajmy tajemnic, które nie każdy

pojmie — bo jeżeli jesteś mój czytelniku, materialistą będziesz drwił z uczucia — i dobrze zrobisz — jeśli jesteś Romantykiem, znajdziesz malawidło wzruszeń duszy za słabe — śmiać się będziesz i dobrze zrobisz jeśli nie jesteś ani jednym ani drugim — rzuć księgę z daleka — a tak najlepiej postąpisz!...

Nic trudniejszego w romansach jak znajomość między kochankami, szczególnie jeśli ją miłość poprzedza, bo gdy miłość jest owocem długiego obcowania, uczucia rodzą się zwolna, wzrastają z czasem jaki przepędzany z osobą nam miłą lecz jeśli znajomość ma być następstwem miłości, — jeśli dwa serca szukają tysiącznych sposobów, tysiącznych wybiegów ażeby się zbliżyć — o ta chwila tak pożądana, jest tak straszliwą i trwożną, że często drżymy za jej zbliżeniem się.

Wiktor i Marya byli w tém położeniu.

Miłość szczerą jest bojaźliwą, z najdowcipniejszego człowieka robi często istotę dziwną że ani sam ani oko drugich rozpoznać go może — z kobiety zwykle robi wszystko, lub ją stawia na szczybel gdzie jasnieje jak Bóztwo, lub ją rzuca na drogę bezprawia i błędu, na której znajduje hańbę i wzgardę tych nawet, co ją w otchłań popchnęli *va vietis*.

Wiktor i Marya, od pierwszej chwili poczuli miłość wyższą, szlachetną, bezinteresowną, okrytą naj-

piękniejszą maską obłędu, maską wiary, która z dwóch istot robi dwa bóstwa nawzajem się wielbiące — a chociaż uczucia skrywali, jednak nim usta przemówiły, już tysiące przysiąg i wyznań wpłynęło przez oczy do duszy — była to miłość dwojga niewinnych dzieci, miłość aniołów!...

W takim stanie rzeczy, wiemy że Marya była pod władzą Rodziców, i gdy dziewczyna wita na kłębek nadziei słodką tkankę miłości, rodzice z swej strony roili jej małżeństwo stosowne do myśli jaką sobie stworzyli—dla Maryi trzebabyło małżonka z wielkim imieniem. — To jest cechą wszystkich mierności ze zazdrością drugim szczebla na który przypadek stawia, ta zazdrość przybiera różne kształty raz jest pozorną wzgardą, drugi raz, obojętną filozofią, najczęściej podtem czołganiem — uważając urodzenie człowieka *a priori* wszyscy ludzie są równi, przez to że jednakowo na świat przychodzą niedołężni — lecz zastosowawszy tegoż człowieka do towarzystwa a w którym żyć musi, ta równość znika, bo zaraz w kolebce dziecie należy do rodziny która w narodzie trzyma wyższe lub niższe miejsce, chociaż człowiek talentu. zawsze się przedrze przez barjerę którą mu urodzenie postawiło pod nogi—i tylko pół rozumy, ambicja i chciwość, krzyczą że nie są poznani, że hierarchia towarzyska stoi mu zawadą.— W dzisiejszym wieku, chociaż pieniądz odpowiada wymazowi człowiek—są jednak osoby które niemając za-

dnych zasług osobistych, tylko skarby krezusa, szukają blasku cudzego by ten ich oświecił, albo chwalcąc cnoty nad dziadów zda im się że podziwianie dzisiejszego pokolenia dla cnot starożytnych doda im ceny—lecz dzisiaj mało cenią cnoty zodbicia żądają więcej, i chcąc mieć prawo do poklasków, stawiaj wszranki własną osobę...

Nie złego rzędu ludzi był ojciec Maryi on szukał wielkiego imienia, a szczęście dziecka musi przyjść samo przez się skoro świat cały będzie bił pokłony.

Po długich podróżach i pracach odkrył nareszcie hrabiego Rumitłę.

Hrabio Rumitłło był człowiekiem zeszłego wieku, wieku filozofii, wieku ateizmu, wieku który zniknął zabrawszy z sobą całe szczęście przyszłych pokoleń wiarę i liuzję jedyne środki pomyślności—zostawił nam wzamian roztrząsanie i rozbiór dwa zabójcze narzędzia, które koniecznie muszą doprowadzić serce do niewiary, a umysł do zagłębienia się w otchłań w której albo ginie albo wypływa Epikurejczyk — Hrabia Rumitłło był dzieckiem tego wieku, bez serca bez wiary, bez cnoty, matematyk życia.

Odarty z przesądów niewierzył w żadną wyższość, ani urodzenia ani talenta, lecz wiedział i umiał obrócić na korzyść własną jutrenkę hrabioską która oświecała jego skronie — przyznać trzeba, że pan hrabia Rumitłło miał także i swoją piękną stronę, i przy wadach serca i duszy, posia-

dał przymioty które mu zjednały imię przyjemnego człowieka, polor edukacyi, znajomość świata i słabości jego przekonały go że tylko schlebiając drugim można dojść wszystkiego, prawda nie jest drogą szczęścia lecz nędzy — tak dmuchając w próżność kobiet, schlebiając dumie mężczyzn, od jednych dostał nazwisko miłego, od drugich otwartego człowieka — przytém zręczne lekce ważenia tytułów i honorów zniżały go do poziomu ludzi z którymi obcował, lub wywyższało ich aż do równości z panem hrabią. — dla tego to cała okolica brzmiała w pochwały i kadziła dla pana hrabi Rumity.

Ta opinia ogólna o cnotach przyjemności i łstwem pożyciu pana Rumity, do tego tytuł Hrabiego, były całym posagiem jaki ojciec Maryi znalazł dla swojego dziecięcia.

II.

Mimo postępu jaki człowiek zrobił w tajemnicach przyrodzenia wiele jeszcze zostało nieodgadzionych przyczyn, których skutki jawnie spostrzegamy, nawet wątpić trzeba żeby kiedyś zostały zgłębione. — Siła stworzenia, siła organizmu szczególnie w swoim pierwiastku zostaną na zawsze skryte przed rozumem i badaniem, bo inaczej umysł przedarłby się w chaos z którego niepojęta ręka świat wprowadziła, poznałby stwórcę porzuciwszy co

nas dotyczy pośrednio, a zwróciwszy całą uwagę na nas, spostrzegamy w sobie tak dziwne zdarzenia, że mimo całej znajomości i rozumowania, powiedzieć musimy, że w budowie naszej jest siła rządząca, której nie pojmujemy. Do tych fenomenów policzymy sen i miłość, lecz nie jako potrzeby niezbędne bytu.

Miłość ma dwie potrzeby, dwa działania zupełnie przeciwne sobie, jedno dąży do zniszczenia tego uczucia, drugie do utrzymania przez cześć prawie Boską jaką oddajemy osobie kochanej, tę cześć, tę miłość że tak powiem anielską, spekulacja wypędziła prawie z naszego towarzystwa, okryta pośmiewiskiem, i włożyła na rachunek Dafnisa i Filidy, tę miłość płaczącą w gaiku nad strumieniem, a na miejsce jej wprowadziła, zalotność i kokieterję u kobiet, bałamuctwo i niestałość u mężczyzn; jednak jedni i drudzy chcąc dojść swoich celów, muszą jak Dafnis i Filis wdychać i płakać.

Sen starożytni osądzili jako obraz śmierci, jednak jest to jeden tylko stan w którym człowiek przekonywa się że żyje, z tego to stanu powstała pierwsza myśl o nieśmiertelności, i że mamy duszę, która jest cząstko stwórcy, gdyby sen zamykając nasze powieki, zostawiał nas w bezwładności i w odrętwieniu, gdyby nietylko ciało ale i duch usypiał, był nasz byłby nicością, bo wówczas cały związek, który nas przykleja jako ogniwo ogromnego łań-

eucha, byłby przerwany spoczynkiem bezwzględ-
nym, lecz gdy ciało spoczywa, dusza, która nie-
potrzebuje spoczynku, działa czynnie, nieraz dzia-
łanie jej rozciąga się dalej niżeli pozwolono prze-
rzeć człowiekowi, nieraz ostrzega go o szczęściu
lub niedoli, nieraz przedstawia obraz całego życia,
w małej miniaturze, szkic przeznaczenia, zawsze pra-
wie zaciemniony dziwactwem marzenia.

Mnóstwo osób w życiu prywatnym zadało sobie
pracę zbierać na piśmie zdarzenia własne. Marja ró-
wnie zadała sobie podobną pracę, wypisujemy do-
słownie.

„Sen... w jednej chwili ujrzałam się w pośród
najpiękniejszego ogrodu, o jakim nigdy nawet nie-
marzyłam, był on moją własnością, przytykał do
wspaniałej budowy gotyckiej, której zupełnie nie-
lubiłam, szczególnie dla ciemnego koloru jaki czas
nadał starożytnym murom. Ogród był obszerny,
kwiaty okrywały brzegi dróg, gdzie stawiałam no-
gi, miła, wiosenna zieloność, woń przyjemna, za-
chwycaly zmysły, byłam w uniesieniu, przebiegałam
z niewymowną radością i dziecinnym szalem kręte
ścieszki, zostawiając ślady na piasku. Tak żyjąc szczę-
śliwie, zaczęłam spostrzegać zmianę we wszystkich
krzewach; wiosna ustępowała przed skwarem lata,
lecz ta zmiana równie była w całej mej istocie, z mło-
dej dziewczyny stałam się dojrzałą panną, wyrazić
mój stan ówczesny, nie jestem w mocy, przypomi-

nam tylko ile byłam szczęśliwą, widząc się słuszną panną, przybraną wdziękami, jakie różnią kobietę od dzieciństwa, cieszyło mnie to chwilę, lecz wkrótce ten stan został nieznośny, nuda, tęsknoty, niespokojność opanowały duszę moją, niewytlomaczalne żądze obudziły się w łonie, byłam w gorączce nieznanym namiętności.

„ Tak goniąc widma wyobraźni, spostrzegłam w ustroniu stoletni dąb, wywrócony z korzenia, którego jednak niektóre gałązki jeszcze piękna, lecz ciemna barwiła zieloność. Obok tego drzewa spoczywał młody mężczyzna, opartą miał głowę na ręku; na moje przybycie podniósł na mnie niebieskie swe oczy, a te spojrzenie tak silnie wpadło mi w serce i myślałam że nigdy go niewymaże z mej pamięci, wdzięki jakie go okrywały były nadludzkie, nigdy niewidziałam dotąd równego mu człowieka, a wszystkie cuda przyrodzenia, które przed chwilą widziałam rozlane na ziemię, spłynęły na jego miłe oblicze, niemogłam nacieszyć oczów, pożerałam go spojrzeniem, a ile razy oczy jego spotkały wzrok mój, czułam w sobie mocne wzruszenie, tak przyjemne, tak słodkie, iż tylko w obłądach snu można go doznawać,—zapatrywałam się z rozkoszą w jego oblicze i im dłużej go widziałam tém byłam szczęśliwszą. Zbliżywszy się ku sobie popchnięci nawzajem nieznaną mocą, wziął moją rękę, i, lekkie ściśnienie, sprawiło na mnie tak silne wrażenie, iż

ledwie nieomdlałam, chwila to była zapomnienia, a serce tak wzruszone iż mogłam zliczyć każde uderzenie jego,—burzę tę jeszcze mocniej uczułam, gdy nieznany młodzian wyrzekł: Marjo! ty tylko jedna na wieki będziesz w mém sercu!.. i ja chciałam mu to samo powiedzieć, lecz młodzian oddalił się szybkim krokiem, kilka razy głowę obrócił, w końcu zupełnie straciłam go z oczu, długo jeszcze patrzyłam w tę stronę. Łzy rzęsiste spłynęły po mojem licu, ileż te łzy przyniosły ulgi sercu memu, zdały się gasić płomień duszy: w takim stanie ledwie dostrzedz mogłam nową zmianę w całym przyrodzeniu, młode owoce zastąpiły kwiaty, świeża zieloność zwiędniała, byłam w pośród skwaru letniego, upał dzienny zmuszał mnie do szukania cieni i spoczynku. W końcu ogrodu wznosiło się piękne wzgórze okryte smętnemi jodłami, pośpieszyłam, a błądząc w ponurej cichości drzew starożytnych, ujrzałam skromny pomnik,—ten obraz śmierci nie był mi straszny, bo tak byłam nieszczęśliwą, że mało dbałam o życie, młodzieniec zniknął, a z nim całe marzenie o szczęściu, były to pierwsze dziewicze uczucia, pierwsze ognie miłości co prędko zginęły. Oglądałam z radością prawie ten smutny obraz, a urywając bratki które rosły przy nagrobku, czytam: *Oboje tutaj spoczniemy*, ocknęłam się.

„Upłynęło dość czasu zanim przyjść mogłam do siebie, wspomnienia minionego snu, obraz mło-

dzieńca, pomnik grobowy snuły mi się po głowie, łyżę co przez sen wylałam, jeszcze nieoschły z twarzy,—w ciągu rana gdy matce dzień dobry zanioślam, widząc na mnie zmianę, pytała się o zdrowie, nie śmiałam jej wyznać, zresztą była to pierwsza miłość moja, niechciałam jej powierzyć nikomu.

III.

Wiktor nie miał żadnego majątku. Matka jego należała niegdyś do familji znacznej imieniem i bogactwy; lecz cios przeciwny tak zmniejszył pomyślność, iż ledwie było dosyć na pierwsze potrzeby życia.

Nie zostało tylko dwoje dzieci, pan hrabia Rumitło i jego siostra, matka Wiktora, która słuchając głosu serca, oddała swą rękę, z małym posagiem, człowiekowi, którego nad życie kochała. Zaspokojenie jakie znalazła w tym związku, zastąpiło blask dostatków, na łonie których często się narzeka, lecz niedługo trwało szczęście, czas potrzebny by dziecku dać życie, pieczołowitość ojca nie mogła wystarczyć wychowaniu dziecka, mężczyzna niezna tych zatrudnień wyłącznych kobiecie, dla zaradzenia złemu, wszedł w nowe związki,—człowiek łatwo się pociesza, szczególnie gdy żal opiera się na mogile, pocieszył się więc młody wdowiec i tak dobrze, że zapomniał o pierwszym dziecięciu; nowa żona była szczęśliwszą, rok w rok rodziła to sy-

na, to córkę, tak, że familja stała się zbyt liczną, niedostatek wielki, macocha nie miała czasu myśleć o cudzém dziecku, zresztą cóż ją miał obchodzić byt dziecka zupełnie jej obcego; ludzkość, miłość bliźniego, zawsze w ustach człowieka, lecz rzadko w sercu. Wiktor więc został oddany sam sobie, wzrastał w siły, lecz serce dziczało, niebyło przychylniej ręki, któraby obcięła kolce i chwasty, niebyło matki, nieznał ani jej spojrzenia, ani jej tchu, tej kąpieli mistycznej dzieciństwa, która łagodzi naturalną srogość człowieka, uczy go pierwszej miłości, miłości matki, nim zacznie kochać Boga. Dla Wiktora nie było tego szczęścia, sam, sam jeden bez matki, coby łzę otarła, nieznał z kolebki prócz płaczu, matka pierwsze bóstwo na ziemi, najbliższa istota serca, której Bóg nawet swoje jedyne dziecię powierzył, matka, jej wspomnienie budzi zapach, szacunek i miłość, jedna istota z którą trzymamy nierozdzielny związek, na jej uczuciach położono pierwszy kamień związku towarzyskiego, pociąg człowieczeństwa ku sobie.

Wiktor nieznał tych pociech, powierzony cudzym rękom, o tyle miano o nim starania, o ile potrzeba było do utrzymania go przy życiu, wzrastał bez uprawy, lecz gdy przyszedł wiek pojmwania, gdy spojrzał w życie, zawczasie zrozumiał, iż musi sam myśleć o sobie, i pozyskać przez wychowanie samego siebie to co stracił przez przypadek, ojciec

myślał o synie, bo wiek edukacyi się zbliżał, cała więc myśl młodzieńca zwrócona ku nauce, — w tym postępie widział swoją przyszłość, przyszedł czas, trzeba było wejść na ocean świata, miał wprawdzie mały majątek matki który mu z prawa należał, myślał o zużytkowaniu tej summy, ojciec otoczony liczną rodziną był prawie w niedostatku, zamiast pomódz synowi, przez prośby tyle wymógł na nim, iż zrzekł się wszystkich pretensyi na korzyść swoich siostr i braci, a tak został bez kawałka chleba, trzeba więc było wynaleść sposób do życia, służyć obcym by mieć utrzymanie, zaczął od wuja hrabi Rumitły, który mało co bogatszy nie dał mu żadnego wsparcia, prócz błogosławieństwa, tém jedynie opatrzony udał się w świat, szukając zatrudnienia, lecz w młodości miłość często włazi w drogę.—Wiktor zobaczył Marją, jednak miłość nie nasyca, trzeba było myśleć o rzeczach zupełnie ziemskich. Po długiem staraniu i pracach, dzięki styczności familijnej z hrabią Rumitłto, umieszczony został w biurze z małą pensją, leez. mniejsza o pensją, mógł widywać Marją,—gdy ojciec Maryi już prawie ukończył ułożone małżeństwo, nie omieszkał korzystać, by dać więcej dowodu szacunku hrabiemu, otworzył progi domu swego dla Wiktora, który nie dał sobie dwa razy powtórzyć podobnego zaproszenia, był więc uważany jako dziecię jednej rodziny prawie kuzyn Maryi. Gdy z jednej strony

rodzice z wolna przygotowywali wszystko na przyszłe małżeństwo, Marja i Wiktor używali Boskiego szczęścia miłości,—taki stan trwał kilka miesięcy, przypadek zrządził iż wszystkie plany zostały zniszczone.

W domu Maryi był ogródek w którym znajdowała się mała altana, czyste więzienie gdzie biedne rośliny żyją bez słońca i powietrza, w tym ogrodzie igrały dzieci, Marja i Wiktor, jak igra młodość bez trosk i smutku; nareszcie zmęczeni skryli się do altany, spocząc na ławce kamiennej, rozmawiali z sobą, zwolna ich rozmowa zaczęła słabnąć, mówili tak cicho, tak cicho, że tylko serce usłyszeć mogło, nawet zazdrość niebyłaby w stanie dosłyszeć, lecz czego zazdrość niedosłyszcy, przejmie i usłyszcy interes, ojciec był świadkiem ich rozmowy.

List ojca Maryi, do jednego z swoich przyjaciół.

Jestem, mój stary przyjacielu, jeśli nie w rozpacz, to przynajmniej mocno zmartwiony,—na łonie więc przyjaźni idę troski złożyć.

Wiesz że mam córkę która dochodzi wieku, gdzie trzeba myśleć o zamęściu, jako baczny ojciec o przyszłość dziecka, przyrzekłem ją hrabi Rumille, przypadek który się zawsze mięsza w czynności ludzkie, przypadek, mówię, zdarzył, że siostrzeniec hrabi

Rumiły znajdował się w naszym mieście, uważając go jako część mojej rodziny, bez trwogi przyjąłem do domu mego. Nadspodziewanie Marya i Wiktor pokochali się jak dzieci, niezatrważa mnie bynajmniej ta płochota bez sensu, jednak... gdy słyszałem ich rozmowę, postanowiłem ich najprędzej rozdzielić. Zdziwiło mnie jednak, szczególnie Marja, o której niemyślałem żeby mogła tyle umieć dziewczyna, która nic więcej nieczytała, prócz książki nabożeństwa, nie słyszała prócz zasad czystej moralności, z kąd się nauczyła tych deklamacji miłosnych, widać że dosyć dla kobiety aby zaświtało w głowie, a już staje się uczoną i wymowną. Wiktor wprawdzie był skromny, lecz kobieta jak tylko chce, wszystko zrobi, i z tak lekkiego chłopca, zrobił się człowiek namiętny, nieznający nic więcej pod słońcem, jak swoją miłość, wierność i Marję. Szczęściem dla nich byłem świadkiem tajemnej ich rozmowy, pieczołowitość ojcowska nakazuje mi zarządzić złemu, chociaż wiem dobrze, że Marja niepoświęci pana hrabiego młodzikowi bez znaczenia i majątku, lecz w podobnych zdarzeniach lepiej nieufać jak nadto dowierzać, jeszcze się śmieje z planu dwojga kochanków, po długich przyrzeczeniach, przysięgach i całej litanii miłosnej. Wiktor pierwszy wpadł na myśl, że to marzenie małżeństwa między nimi nie łatwo przyjdzie do skutku, z powodu różnicy majątku. Marja (to są jej wyrazy)

wyrzekła: *o gdybym ja miała, to pewnie byłbyś bogaty.* Ułożyli sobie, że Wiktor będzie się starał w przeciągu lat kilku zapewnić los swój niezawisły i wówczas dopiero żądać jej ręki, lecz ja co znam jego sposób myślenia i serce, wątpię żeby kiedyś mógł dojść czego, niema charakteru dość giętkiego żeby się dopchał do ogniska fortuny, żyje za nadto ewangelicznie, a dzisiaj trzeba żyć przez wyrachowanie,—pocziwy człowiek, szlachetna dusza niezajdzie daleko, niepotrafi, niebędzie umiał ani przeskoczyć, ani podleść, i gdyby Marja czekała aż jej cnotliwy kochanek zrobi majątek, umarłaby starą panną.

Niechciałem im nawet dać poznać, iż wiem ich tajemnice, przeciwnie chcę nawet działać prosto w ich myśli, niezawsze dochodzi się do celu stając w widocznej opozycji z człowiekiem, łatwiej i pewniej jest walczyć bronią której się nielekka, wiem aż nadto, że moja córka będzie posłuszną mej woli i raz Wiktor oddalony, wszystko pójdzie jak najlepiej, lecz oddalenie jego niepowinno mieć na sobie cechy gwałtownego rozdziału, bo inaczej upor dziewczyny kosztowałby mnie użyć powagi ojcowskiej. Dla tego to mój stary i dobry przyjacielu powierzam się twemu doświadczeniu.

Idzie tutaj o przyszły los Wiktora,— i Marja, która jest tak dzisiaj gotową czekać, wątpię żeby się jej nieuprzykrzyło, zresztą łatwiej się czeka gdy

się już ma męża, nie mówię to do mojej córki jest to ogólna maksyma. Myślę ci tedy powierzyć Wiktora byś go zatrudnił u siebie, pozwolił mu nawet rocznie zarobić pewną sumkę, (o czém ja pamiętać będę) lecz nie bardzo raptem otwieraj korek, prędko pomysłność dodaje dumy człowiekowi, lecz gdy się jest na ścieszcze na końcu której błyszczy nadzieja, człowiek jest więcej skromny, podległy, więcej niewolnik nie tak śmiało występuje. Raz Wiktor w twoim domu, i małżeństwo Maryi z hrabią Rumitko skończone, możesz wówczas zatrzymać dzi siejszego pretendenta, może ci być użytecznym.

Czego oczy niewidzą, za tém serce nieboli, odwieczna prawda, zręczne zastosowanie tej prawdy, nieraz stanowi szczęście wielu osób. Marja nawet łyzy nie wyleje w dzień odjazdu Wiktora, on zaś sam opuści ją z ochotą, bo za lat kilka ma wrócić z laurem na głowie, z majątkiem, wprawdzie omylą go rachuby, lecz skutek zostanie i będzie z czasem błogosławił Marję, bo przez nią doszedł jakiegokolwiek położenia na świecie.

Wracając jeszcze do Wiktora, najważniejszą jest rzeczą tak go zatrudnić by nie miał czasu myśleć o Maryi, albo raczej żeby myślał tylko o niej ogólnie, to jest przez cel swej pracy, by w tej pracy widział jej obraz, byle tylko niemyślał cząstkowo, nic tak nie wylęga myśli romansowych jak próżniactwo, praca tylko i ciągłe zatrudnienie neutralizują

ten jad co nazywają miłością, dla tego staraj się zaradzić go ile możności, korzystaj z człowieka który ci da podwójną pracę raz zwykłą, drugi raz pracę nad siły, którą tylko nadzieja ponieść jest w stanie.

Gdyby zaś Wiktor, co się zdarzyć może, jako młody człowiek, wdał się w jaką intrygę miłosną, puść mu co prędzej cugle, patrz przymkniętém okiem, niech swej lubej poświęci wszystkie czas, a że podobnego rodzaju związki stygną bez pieniędzy, nie żałuj, daj ile będzie potrzeba fantazjom, mnie tylko przysyłaj ogólną summę do zakwitowania. Chciałbym najmocniej by tak się stało, niestałość mężczyzny, ma wielki wpływ na serce kobiety i nie jedna wzięła za męża, nieznośnego człowieka, tylko by się pomścić niewiary. Bądź co bądź posyłam ci Wiktora, on ci odda ów list rekomendacyjny.

Umiej od razu podbić go pierwszym wrażeniem, jest on dumny lecz biedny, łatwa sprawa, ani się spostrzeże na zranieniu tej dumy, bo ambicja popycha go do żądzy majątku, korzystaj z tych dyspozycyi, dmuchaj w ognisko, a wielka myśl, godność człowieka, z dymem uleci.

IV.

Religja i prawo położyły za zasadę szczęścia społeczeństw związki między mężczyzną a kobietą.

Zastanawiając się z zimną rozważą i rozbierając popędy serca człowieka, poznamy że małżeństwo w gruncie, jest narzuceniem, przemocą prawie więzów, które, rzadko albo nigdy, bez plamy przez ciąg życia znosić możemy. Słabość natury naszej, prędkie z użycie sił sklejących ten związek, są powszechnie punktem oparcia, z którego sądzymy niepodobieństwo trwania tego szczęścia, jakie za błyska w pierwszych dniach dla nowożeńców. Te krzyki, te obwiniania niedoskonałości człowieka, służą za wymówkę nawet za tłumaczenie, a że nic nie jest stałe na świecie, z tej przeto ogólnej maxymy wychodząc, uznano że małżeństwo musi tracić pierwotną woń, więdnąć a nawet zupełnie usychać.

Popędy człowieka ciągną serce na tę rozległą niwę miłej różnaitości, która nas zaspokaja, lecz potrzeba nakazuje nam pewne prawa, pewne obowiązki, które koniecznie szanować potrzeba, a tak człowiek poświęcił wiele rozkoszy osobistych dobru ogólnemu. Są wprawdzie ludzie którzy tyle okazali mocy charakteru, według jednych, tyle słabości, według drugich, że się usunęli z pod praw powszechnych; lecz cóż zyskali? Zapomnienie lub wzgardę, nareszcie samotność i odosobnienie, i na rozległym horyzoncie świata, zostali jak zbłąkani w pustyni zaludnionej posągami z którymi niemogą sympatyzować, lub chcąc się, że tak powiemy, odurzyć, rzucali się na fałszywe rozkosze i na przedajnym łonie napa-

wali zmysły, by później poznać nicość własną. Te obwiniania siebie, mają w gruncie pozór prawdy, i małżeństwo jest najczęściej klęską, klęską potrzebną jednak w społeczeństwie, nie następuje zatem żeby go zupełnie potępiać i jeśli jest złe, trzeba myśleć o poprawie i strzedz się błędów które to złe, zamiast ulepszyć, pogorszają, gdzieindziej więc nie w niestałości natury ludzkiej leży źródło nieszczęścia, które jest klęską tak straszną towarzystwa.

Do pierwszej klasy trzeba policzyć ważny bardzo bodziec, interes, który tak wielkie w życiu wywiera wpływy iż jest prawie zasadą bytu towarzystw, i dzisiaj śmiało twierdzić można że komu fortuna odmówiła hojnej swej ręki, ten napróżno serce i cnotę, nawet zasługę ofiarować będzie, obojętność lub szyderczy śmiech, całą nagrodą, i puste serce będzie rzucał ludziom pod nogi, aż skołatany cierpieniem, z radością grób zobaczy; nawet uczucia, najszlachetniejszą cząstkę człowieka prawie nabydź można, i te dzisiaj ten zyskuje, kto z liczby targających najwyższą zechce ofiarować cenę. Interes rządzi światem, cóż gdy do tego usposobienia człowieka, wszystko się spiknęło, by w nim widział jedyne i niewyczerpane źródło szczęścia, edukacja ogólnie wzmacnia to przekonanie.

Młodzię męzka wychowana w liczném gronie, złożona z różnych odłamków narodu, ma ciągle

przed oczyma obraz wielkości drugich i chociaż w dzieciństwie nie ocenia jeszcze wartości pieniężnej, już zawczasu uczy się poznawać, że tylko przez dostatki można zaspokoić żądze.

Kobiety jeszcze zmyślniejsze istoty łatwiej i prędzej pojmują, lecz że one są trudniejsze w poświęceniu się na korzyść cudzą, dodano do ich wychowania fanatyzm religijny, posłuszeństwo, w końcu, mniej więcej, niedoświadczenie—tak wychowana młoda dziewczyna, ślepo postępuje za radą najlepszych przyjaciół rodziców, by najczęściej później im złorzeczyć.

Dwa główne punkta dla badacza, następuje rzut oka na towarzystwo ludzkie, pierwszy jest przywiązany do tego co nazywamy *człowiek*, drugi do *osoby*, i te dwie natury złączone i w zgodzie z sobą stanowią prawdziwą istotę moralną, ideał stworzenia, istotę Boską. Stosunek jaki człowiek trzyma względem całego towarzystwa, odpowiada pozycji jaką trzyma kobieta względem mężczyzny, jak towarzystwo musi być zawsze w stanie odpornym względem człowieka, musi się ścięrać krok w krok, żeby nieustąpić ani piędzi, ani jednej linii z pobojowiska, żeby nie wydarł zwycięstwa, tak kobieta stawia puklerz niezwalczony ogólnej żądz, a chociaż połowa zysku zostaje jej w korzyści, jednak niemając innej obrony jak wstyd i wybieg, musi używać tej strasznej a na pozór tak łagodnej bro-

ni, która nieraz rujnuje spokojność jej życia, wyciska wiele łez drugim, musi jednak cierpieć, by niezginąć w opinii świata.

W naturze kobiet jest więcej miłości, niżeli u mężczyzn, jednak popędy wstrzymywać, zakopać je na długo i bardzo długo w głębi duszy, umieć się nieraz wyrzec tego co jedynem nazywała szczęściem, jest przywiązane do tajemnic serca kobiety, wprawdzie raz tylko ta granica przekroczona, raz tylko zerwane więzy, ginie kobieta, nie zostaje tylko płec,—ale nie ma kobiety, został kwiat bez woni, szkielec żyjący, nie sercem ale żądzami, i słusznie pani Stał powiedziała, że: „kobieta nadpoczęta jest kobietą zjedzoną.

Stowarzyszenie nasze nie jest skutkiem ani wypływem z potrzeb, lecz więcej związkiem obrony przeciw napaści drugich, i gdyby wszystkie charaktery były podobne sobie, gdyby ludzie nieróżnili się przez żywość krwi, namiętności, charakteru lub przez burzliwe chęci, wówczas wielka familja ludzkości mogłaby się obejść bez praw, sędzi i kata. Ten trójnożek prawo, sędzia i kat, są węgielnym kamieniem porządku, albo raczej właściwiej mówiąc towarzystwa, na nim zbudowana jest dosyć słabo cała hierarchia ludzka.

Święte zachowanie przysięg wierności małżeńskiej, oto jest cel prawa, targanie jej jawne lub skryte, oto jest skutek prawa: jawne, gdyż mężczyźnie wol-

no zdradzać i być niewinnym byle nie pod jednym dachem, skryte, bo prawo nie karze kobietę która jest tyle szczęśliwą, że tajemnica błąd kryje: a tak jeden i ten sam występki tylko popełniany przez osoby płci różnej podlega karze i nie, wprawdzie następstwa występku są różne, lecz pod względem serca i uczuć boleść jednaka.

Wierność kobiet, czyli nieskalanie osoby, uważają ludzie za wielkie szczęście w życiu i najpięwszą zasługę kobiety, i tę jej niedolę i cierpienie ochrzczono imieniem cnoty. Jeśli mamy prawdę powiedzieć, trudno jest wierzyć w ową cnotę, lub jeśli przypuścimy na chwilę jej panowanie, to przyznać musimy że ta wola jest tylko samolubstwem, i że ta kobieta jest tylko cnotliwą która złączyła swe serce z istotą która była prawie dla niej umyślnie stworzoną, by złożyć doskonałą jednostkę. Jest jeszcze inny przypadek, gdzie cnota kobieca istnieje, wówczas gdy kobieta z cnoty szuka chwały, istota zimna bez serca, z organizmem na tak niskim stopniu że nic czuć niemoże; lecz ta cnota ani w jednym ani w drugim przypadku nie może się liczyć za zasługę, bo pierwsza nie żąda szczęścia bo go posiada, druga również żądać go niemoże bo ocenić nie potrafi. Lecz gdybyśmy chcieli podziwiać cnotę, szukajmy jej w licznym gronie kobiet, które bez miłości weszły w związki małżeńskie, które chciwość rodzicielska rzuciła na łono nikczemnego

bogacza, lub które uwiedzione blaskiem i wielkością, zapomniały o obowiązkach serca,—tu gdy znajdziemy cnotę, podziwiamy ją! Serce nasze ma swój cel i wie czego żąda, za tą żądzą goni przez całe życie, nieraz wprawdzie usycha samo w sobie, jednak dąży zawsze za jedną i stałą myślą szczęścia Boskiego, a szczęście tak żądane, za którym łożymy całe siły życia, gdy się spełni, nic niepozostawia do żądania.

Lecz wróćmy do Maryi.

Pierwsze chwile małżeństwa, były tem przejściem do nowego stanu, jaki doświadcza młoda osoba, która przez tytuł małżonki, nieraz drogo kupiony, nabywa w obliczu świata. Nieznane rozkosze napętniły pierwsze dni całym obłędem serce dziewczyny, lecz w miarę postępu czasu, gdy dusza ocknęła się z chwilowego letargu i rzuciwszy okiem w około, spostrzegła niedołęzną i nieznośną starość, do której wiosenny ranek jej życia przykutym został, gdy instynktem kobiety poznała, że jest szczęście na ziemi—szczęście, lecz które dla niej nigdy niepowinno być znane, łzy cierpienia skropiły świeże lica, boleść wkradła się do duszy.

Długa nauka nad człowiekiem, może sąd znawcy doprowadzić do tej doskonałości, że unie odgadywać tajemnice, które często wymykają się przed okiem całego świata. Nieraz w uśmiechu wesela, w radości, jakiej drudzy zazdroszczą, ten kto ma

dar czytać w głębi serca, zadrży z boleści patrząc ua ofiarę która musi nucić pieśń uciechy na grobie cierpienia—kobiety, których życie całe jest walką między sercem a obowiązkiem, między żądzą a niesławą, przedstawiają nam ten fenomen fatalnego przeznaczenia, tę galerę pożycia, do której przykuwa niecofnięta siła, albo tylko po zagrobem pozwoli błyszczyć nadziei, lecz nadzieja z pozagrobu? martwa, głucha i z ziębła jak całun, przyszłość ale przyszłość z śnieżną skronią, zmarszczonem czołem, z lodowatą ręką!

Jest dowiedzioném, że kobieta żyć niemoże bez walki uczuć i namiętności, i jakkolwiek skierowane te uczucia, czy płyną ze źródła szczęścia lub niedoli byle tylko poruszały sprężyny serca, byle burzyły krew w żyłach, są dostateczne dać życiu kobiety tę siłę i to wytrwanie, które nieraz w podziwienie nas wprawia. Czuć jest pierwszą potrzebą kobiety, cierpienia nawet są tak jej miłe, tak je wiernie przechowują w duszy, że tylko śmierć je ugasza. Marja znajdowała się w tém ostatniem położeniu, wyobraźnia ją zgubiła. Wiktora obraz raz wdartszy się do serca, został tak głęboko wryty, że gdy nadzieje marzonego szczęścia, obwiedły na progu małżeństwa, cały obraz przyszłości przedstawił się przed oczy nieszczęśliwej ofiary, nic okropniejszego jak wspomnienia, szczególnie wspomnienia, których ślad na zawsze powinien być wymazany z pa-

mięci, ich obraz jest ostrzem wbity w serce, i gdy pierś przytłoczona boleścią śmie ulżyć westchnieniem, ostrze te zagłębiają się w ranie i boleśnie kalęczą.

Pożycie domowe Maryi było zupełnie bierne. Te dwie osoby fatalnością popchnięte na jedną drogę, niemogąc się złączyć w żadnym punkcie, ani złąć w jedno ognisko, wywierały na siebie siłę odporu, jak płyny galwaniczne, chociaż przeznaczenie zmuszało ich do jednej dążyć mety. Pan Rumiłło, któremu małżeństwo przyrzuciło najmniej dwa razy tyle wieku, któremu podagra, wier-na towarzyska, zabroniła prawie ruchu, niemogący już ani czuć ani żądać instyktem zachowania, starał się przedłużyć ile możliwości nędzne życie, i najdłużej spogląda na ow świat, ów wielki teatr gdzie grając niegdys pierwsze role, dziś zszedł na widza. Zona cierpliwa istota, zamknąwszy swe życie w byt cichy, na pozór bez nawałnic, nietylko że niebyła szczęściem męża, ale uważał ją jako ciężar, który podkopywał spruchniałe podstawy jego życia. Jak wszyscy starzy obdarzeni pedogrą i młodą żoną, był nudny do zabójstwa, i w pierwszych chwilach Marja umierała z boleści, gdy mąż zgrzybiały dawał uczuwać młodemu dziecku swe prawa, jej, której dusza wrzała jak ognie piekła za innemi rozkoszami.

Tak chybione życie, tak odczarowane nadzieje na pierwszym progu bytu, wpłynęły na charakter i zdrowie Maryi. Młodość zamiast utrzymywać ją obudzając namiętności, paliła ciało żądzami przywiązaniem do tego wieku, obowiązki bez rozwagi przyjęte swoim głosem niesławy krok w krok towarzyszyły, a tak z tej miłej istoty, pozostał żyjący szkielet. Jej lica straciły czerstwość, nieme oko błyszczało jeszcze całym ogniem, lecz osłonięte odzieniem melancholii, co cechuje wielką niedolę i rezygnacją; a styczność z obumarłym starcem udzieliła jej prawie starości. Wiktor był dla niej istotą przywiązaną do jej myśli, a chociaż od czasu małżeństwa nie dał o sobie żadnej wzmianki, jednak młoda kobieta chowała wiernie ten obraz, a ta miłość bez celu, bez nadziei, utrzymywała ją na cierpkiej drodze cnoty małżeńskiej. Kto wie gdzieby Marja szukała szczęścia gdyby nieznała Wiktora, kto wie gdzieby nieoddalenie jego, czyby pan hrabia Rumiłło gorzko nieopłacił łakomstwa co go wciągnęło w więzy, gdzie pogrążył byt najmiłszej istoty.

Marja marzyła Wiktora, inaczej mówiąc cackała jedyne szczęście; ta żądza szczęścia jest tak przywiązana do naszego życia, że marzenie zapełnia nie raz brak życia, lecz każdy inaczej to szczęście uważa i najczęściej kładąc je w najżywsze ognisko żądz, gdy te przeminą lub stygną, wyrzekamy na smutne przeznaczenie, sarkamy na bóstwo że nas two-

rzy na cierpienia. Ta iskra życia naszego będąc utworem serca i imaginacyi, to szczęście otoczone jest różowym i przejrzystym obłokiem, który raz tylko zachmurzony, traci na zawsze blask i uroczę i więcej już nie zajaśnieje. W życiu młodej Maryi ten ideał był przywiązany do jej najżywszej do pierwszej miłości, którą dzisiaj ocenić umiała.

Gdy pochodnie hymenu zatliły dla niej łuczyciem śmierci, lała łzy gorzkie, tę czystą krew serca, którą sączy istotna boleść, a które raz ronione, odrętwiają duszę, zostawiając na licach łożyska któremi płynęły.

Mimo tajemnicy jaką Marja pokrywała cierpienia, oko matki dostrzegło że jej jedyne dziecię, ma rozdartą duszę i cierpi. Gdy zimna jesienne czuć się dawały, wieczory spędzano zwykle przy ognisku domowym, Marja wlepione w drżące płomyki machinalnie bawiła oczy, bo myśl jej była gdzieindziej. Sniła na jawie z otwartem okiem, marzenia unosiły ją po znanym od jej żądź niebie; tak marzyć jest to oszukać niedolę, oszukać tylko, bo serce bez nadziei niemogąc się przyczepić na ziemi tylko do złodowatego łona, niech żyje przynajmniej złudzeniem.

Widząc panoramę osób przy tlejącem ognisku, można było dostrzedz na twarzach różne zmiany, jakie dusze udzielały obliczom. Ojciec Maryi okiem szacunku i podziwienia spoglądał na zięcia; szyderczy

uśmiech wyrażał dziwną radość połączoną z czołganiem się i powagą, a najwięcej wewnętrznem zaspokojeniem, patrzył na hrabiego jak w obraz, ledwie się nie modlił. Marja blada jak statua grobu siedziała przy kolosie smętarza, smutnem okiem spoglądała na męża, lecz po każdym rzucie oka śmiertelne drżenie przebiegało po niej, ale szybkie jak błyskawica tonęło w duszy. Pan Rumiłło znudzony życiem, a więcej jeszcze młodością żony, był martwy, tylko cierpienia pedogry zmuszały go kiedy niekiedy zbliżyć lub odsunąć nogi od ognia. Matka Maryi, osoba bez znaczenia, cierpiała cierpieniem dziecka, lecz nieśmiała mówić, lękała się męża, od niedawna bo prawie w lat sześć po małżeństwie córki, spostrzegła dopiero w jaką ją otchłań popchnęła. Te cierpienia były dla niej pierwszą karą, nieśmiała się upokorzyć pocieszaniem, kryła udręczenie, lecz rozstając się z Marją, pocałunek pożegnania jaki jej dała, był tak silny, że dziecię zadrżało mimowolnie w jej objęciu.

Jak serce nasze spostrzeże, że osoba nam miła boleje, staramy się ją pocieszać, by czułość, jaką okazujemy, zastąpiła brak szczęścia lub wróciła spokojność straconą, pojmowała matka, bo niegdyś była młodą, że tajna miłość pożera serce córki, nieraz zręcznie naprowadzając rozmowę chciała wybadać tajemnicę, nawet sama zamknęłaby oczy na występki, by tylko dziecię mogło być szczęśliwe;

niegdyś silne zdrowie Maryi niknęło od dnia do dnia, umierała zwolna gasnąc, wszelkie środki były niedostateczne, postęp złego nie mógł być zwalczony, bo rana była w duszy nie w ciele. Ojciec tylko, zapamiętały, niepoznawał nieszczęścia, i jeśli jakie zmartwienie czasem go dotknęło, to tylko że jeszcze niema wnuka lub wnuczki hrabią.

Tak przeszła szósta zima i wiosna po szósty raz rozkwitła na ziemi. Świeża i powabna wiosna okryła świat młodocianem tchnieniem, lecz dla Maryi nie było już zmiany, zima, wieczna zima. Wiosna wprawdzie nastroczyła jej nowe rozrywki. Rośliny, później kwiaty rozweseliły długie dnie ciągłego smutku, bo często kobieta gdy niemoże zapełnić czczości życia, rzuca się gwałtownie w jaką passję, by nadmiar czułości dzielić z czemkolwiek, byle tylko nie z wspomnieniem, i te kobiety co namiętnie lubią ciszę nauk, samotność religijną, lub wir świata, nie są szczęśliwe, przywołują złudzenia na pomoc, by w tym chaosie ich dusza miotana na wszystkie strony, straciła myśl stałą co je dręczy. Te spostrzeżenia są tém pewniejsze, iż uważając młode i dziewiczne serca mężatek, których małżeństwo nie jest według ich myśli, wszystkie te kobiety mają jakieś namiętności, fantazje, które stają się wyłącznym horyzontem gdzie ich życie upływa. Jest to ich poezja nieszczęścia, poezja żałoby, śpiewana n ajczęściej istotom bez życia, istotom wyobraźni, które barwią,

jakiem same chcą, kwieciami. Marja tedy lubiła rośliny; młoda, piękna, cierpiąca, z wątlm życiem, oddała się piastowaniu roślin. Nauka tak piękna, tak mało zrozumiana, chociaż dowiedziona podobieństwem do prawdy, nastreczyła jej sposobność zajęcia umysłu. Jeden z poetów angielskich Darwin, pisał wiersze o miłości kwiatów, to dzieło imaginacyi przypadło jej do gustu, niebędąc sama matką, stała się macochą istot którym nauka odmówiła czucia, a które jednak, mimo zdań tak sprzecznych za lub przeciw, wprowadzają nas w podziwienie. Bez zgłębienia tajni przyczyn, podziwiać i wielbić skutki było celem Maryi. Rozjaśniać aż do pojęcia przyczynę, niechciała, bo gdy raz powątpiewanie zastąpi prawda lub jej pozór, rzeczywistość i pewność odbierają najpiękniejszą barwę, poetycznego zmyślenia.

Wątpić jest słodziej jak być pewnym, pewność jest martwą, wątpliwość większą połową życia, bo ciągle zwraca serce na jeden punkt, koło którego bezustannie krąży, a tak utrzymuje żądze nasze w sferze wyobraźni, ciągle powołuje dusze do wzruszeń, wątpić, jestto kochać. Prawda jest skamieniała i gdyby wszystko w około nas było rzeczywistością, życie nie miałoby powabów rozmaitości, i dla tego to miłość ma dla nas tak wielkie powaby, że byt ich istotny jest powątpiewanie, i kochać prawdziwie jest ciągle wątpić.

Marja tedy rzuciła się w pielęgnowanie roślin, i tak pokochała to zatrudnienie, iż dnie jej życia przechodziły w ogródku. Otworzyła chętnie księgi ludzi, którzy zajmowali się długo tą cudownością natury, ale odczytawszy je, znalazła za nadto odległe od punktu, z którego sama rzecz pojmowała; bez życia, bez poezji, prawdy lub pozory i domysły sprowadzone do prawd, cała nauka, same pewniki, a które za lat kilka znowu zostaną kłamstwem!.. Lineusz jeden zdawał się, według niej, zasługiwać najwięcej na uwagę. Styl jego tak powabny, pełen pomysłów, najwięcej się zbliżał do tkanki botanicznej młodej Maryi. Lineusz tedy i Darwing, byli dwaj ulubieni autorowie z którymi żyła.

Lineusz najwięcej ożywił tę naukę tą myślą, nieśmiało wprawdzie rzuconą, że rośliny czują, a Darwing czarownem zmysleniem zbudował ich miłostki, cokolwiek za nadto podobne do miłostek istot doskonalszych, na uczuciu bądź co bądź Marja przystała na tę teorię, która jej miłe kwiatki wcielała do czującej harmonii. Stworzenia, siła żywotna jest dzisiaj znaną, drogi jakich natura używa do dopięcia swego celu odkryte, organa życia są pojęte, jednak człowiek który tworzy wszystko podług siebie, musi znajdować wszędy podobieństwo do siebie i podług ograniczonego sposobu widzenia i pojmowania tworzyć naukę, naginać do niej przyrodzenie, podawać swe prawdy za niemylne, a że kil-

ka szczęśliwych doświadczeń, uwieńczyło pomyslnym skutkiem rozumowania, rozkazuje by mu wierzone. Lecz w naukach, szczególnie natury, gdzie cudowność zachwyca serce, wiele zostało niedowiar-ków, którzy zapuszczając umysł nie w labirynt rozumowań, lecz patrząc w świat okiem podziwienia, wierzą że rośliny czują, tajemnicę, którą ręka stwórcy zakryła pojęcia człowieka, naturalista jest w stanie wyrezonować aż do przekonania; drogę którą roślina wydaje podobną sobie rozjaśnił, a znaki czułości, są tylko skutkiem tego lub owego składu fiber, przyjmujemy naukę bez sarkania, lecz nie w imieniu Maryi, dla czegoż więc te same fibry w innej roślinie są zupełnie martwe, dla czego rośliny, szczególnie w chwili ich miłostek, tak zręcznie umieją dawać baczenie by nieprzyjaciel niezniszczył ich płodu? i na cóż gdy im jest obojętna bytność przyszła, bytność potomstwa? Tu trzeba uchylić dumne czoło! korzyć się przed nieznanym władcą i wierzyć że cały łańcuch stworzenia, ożywia jedna i ta sama siła miłości, dzisiaj nauka wyrzekła: iż wszystko żyje, więc wszystko czuje, a co tylko czuje, to kocha, następstwo konieczne, przynajmniej najłatwiej pojęte umysłem człowieka. Z tego punktu Marja uważała rośliny i przeskakując ze szczebla człowiek, na szczebel roślina, niemogąc w życiu tak prędko odczarowaniem znaleźć szczęścia, zstąpiła na zieleniącą się ziemię, kochała istoty którym udzieliła życia i czucia.

Nikt niemoże zaprzeczyć, iż uważając tę naukę nie z punktu na jakim dzisiejsze badania ją postawiły, lecz przywołując na pomoc poezją, rośliny stają się zbyt interesowne dla człowieka, któż niepodziwiał ręki stwórcy w tak pięknem dziele, kto ani raz nie przepędził długich godzin, patrząc na świeżą murawę lub zieloność drzewa, a kwiaty, kwiaty, owa świątynia miłości, owo łożo rozkoszy wystane jedwabnym puchem, słodkie, wonne i ciche ustronie, gdzie wierni małżonkowie, w milczącej rozmowie spełniają najwyższe przeznaczenie, potomstwo, do czego natura stworzyła wszystkie istoty czujące! o ktoby śmiał bluźniąc, wyrzec, że dla roślin wszystko jest obojętne, iż dla nich niema wielkiej chwili, chwili miłości, ten jest mniej jak roślina, jest bez serca.

Marja tedy była zajęta pielęgnowaniem swoich wychowanek, odpłacały jej tę pracę pięknem roślinieniem i kwieciami, i gdyby Marja, równie jak one, była tak pielęgnowana ręką miłości, równieby jaśniała wdziękiem i czerstwością, lecz dla niej świat był zamknięty, żyła zmuszaną do miłości, nieczując jej, stan ochydney, a który tak często napotykamy.

V.

Szósta rocznica małżeństwa Maryi, zastała ją przy zatrudnieniach, jakim się dzisiaj oddała, niebyła ona

dla niej różną od innych pięciu co ją poprzedziły, ani nawet od dnia święta, dla tego nieuczula żadnej słodyczy nawet wspomnienia.

Sześć lat życia naszego ileż zmian sprowadza—ta długa epoka szczególnie młodoci, składa się z tylu różnorodnych cząstek, z tylu zdarzeń, iż każdy dzień ma swoją oddzielną barwę, każda chwila inny kierunek, każde uczucie nowe źródło! Młodość niknie szybko gdy nią jest prawdziwie, ten wir, ta Scylla i Charybda życia naszego, coraz mniej się burzy; wichry które nas na nie wpędzają, zwolna moc tracą, uczą jak unikać przepaści, lub już ich nienastreczają—po pielgrzymce sześćioletniej, gdy człowiek wróci się myślą na punkt z którego zaczął swą podróż, gdy spojrzy* po przebieżonej drodze, zauważa i nieraz z żalem zawoła przeszłości, a silny doświadczeniem chciałby na nowo zacząć drogę, lecz wówczas gdy umiałby korzystać, zostaje doświadczenie, dawniejsza droga znikła, ślady stały się wspomnieniem, a życie nasze wchodzi nieznanie w nowe manowce, by ślepo prowadziły nas namiętności, a tak postępując, od dnia do dnia, człowiek przechodząc życie, uczył się wszystkiego, nabierał doświadczenia, i nauczywszy się, doświadczywszy, umarł, zostawiając martwe nauki potomkom, którzy z nich korzystać nie będą, bo doświadczenie jest jak ból lub rozkosz, wyłączne. Nic przykrzejszego jak pedantyzm doświadczenia, nic więcej nie

odstręcza jak moralne nauki, które człowiek przeszłości rzuca pod nogi ludziom nadziei, przeszłość woła stój! bo tam przepaść, nadzieja; brudy! ten opór niepochodzi ani ze złego serca, ani z niedowiarstwa, ani nawet z zarozumiałości; nie, sprężyny jakie nami poruszają są zwykle namiętności, każda namiętność bierze początek w sercu, dla tego zła czy dobra, przybiera wdzięki poezji i porywając człowieka nigdy w prawdziwym świetle niepokazuje skutków, nędze tylko stroi powabem, a jak raz upadniemy jak pokutować trzeba, wówczas nieopstrzeżone namiętności przychodzą na nowo w pomoc z nowymi nadziejami, oświecają drogę życia i zmieniawszy pozornie kierunek znowu nas popychają, ku doświadczeniu, aż gdy ów starzec, niegdyś młodzian, niechący słuchać przestrogi, stanie nad grobem, znowu on nawzajem zaczyna dawać nauki pokoleniu młodemu, które równie, jak on dawniej, rozśmiewa się teraz i krzyknie—dalej! dalej na fale życia... Tak ludzkość postępowała od początku, tak postępuje, i jeśli bez zrozumienia powiedziéć wolno, tak ciągle będzie postępować, chyba jeśli stwórca zniszczy rodzaj ludzki i na nową formę stworzy człowieczeństwo. Tak więc człowiek co się dotyczy jego osobistości, niechce ani może nawet korzystać z przeszłości, bo inaczej życie niebyłoby jego własnością, i to jest owa wolna woła religii, która niczem innem nie jest, jak sposobnością przej-

ścia drogą doświadczenia. Wprawdzie ta sposobność jest następstwem zbiegu okoliczności, ducha czasu, często żądy lub przemocy, jaką powaga jednych osób wywiera na drugie, w tej ostatniej kolei znajdują się najczęściej uczucia serca, i jego skutki, małżeństwo, w tych związkach gdzie interes grał główną rolę i gdzie jedna osoba sprzedaje sama siebie żądy cudzej, materyalne korzyści zastępują naturalny brak zaspokojenia, jakie znaleźć powinna, lub przekradając granicę, szuka gdzieindziej prawdziwych lub zwodniczych uciech—lecz gdy niewinność niemogąc przewidzieć dalej jak obowiązki wdzięczności i posłuszeństwa, gdy serce żyje od chwili do chwili, czeka i żąda, gdy rozkaz rodziców każe dziecku kłamliwe wyrzec przysięgę, tam później jest boleść gwałtowna co rozdziiera duszę, a której głos żalu nieraz pada jak srogi wyrzut na życie oprawców, jednak gdyby tak cierpiącej istocie śmiano powiedzieć że czas, posiadanie, zużyłoby nawet tak silną miłość jakiej doznaje, niechciałaby ani słuchać ani wierzyć.

Przecież w życiu naszym nic nie jest trwałe, wszystko musi mieć koniec jak początek, i jak w świecie burza zastępuje promienie słońca i nawzajem, tak w sercu ludzkim, jedno uczucie gaśnie, twarzenie, umiera, na jego gruzach powstaje nowe i tak z kolei... niech ci co kochali z zapalem po pewnym przeciągu czasu porównają pierwszą chwilę

miłości z obecną, pierwszy dzień, pierwszy miesiąc, pierwszy rok z następnym, tu dopiero poznają, jak czas nielitościwie, chwila po chwili, godzina po godzinie obrywa kwiaty, z owego wienca, który płacząc na własne skronie nieraz krwią broczyliśmy ręce, jak czczość napełnia ten obszar na którym niegdyś kwitnęły rozkosze, tylko czasem rzucając okiem na potomków, pocieszamy się tą myślą samoluba... to krew moja!...

Marja jak wiemy była małżonką bo tak rodzice ułożyli, a jaśniej mówiąc, mimowolnie popchniętą w pomarszczone i ostygłe objęcia męża. Stan jej był tym boleśniejszy bo narzucony przemocą—płakała więc, a łzy jej miały podwójną gorycz, wyrzut żalu i cierpienia własne, jej życie bladło, nadzieje więdły, serce tylko kiedy niekiedy biło wspomnieniem. Tak przeżyć lat sześć, trzeba mieć duszę silną, żeby jej niewyrugowały troski, lub spodziewać się w odległej, bardzo odległej nadziei, któraaby niepozwoiliła życiu ulecić. Muzyka, wielka pociecha człowieka w niedoli, nietylko że nie bawiła Maryi, lecz jej dźwięki przywołując zakopane wspomnienia rodziły cięższe smutki, do tej harmonii przywiązana była najpiękniejsza epoka życia, gdy serce oddychało świeżem powietrzem niewinności, horyzont bez chmury, bez burzy, czysty i przejrzysty jak woda strumienia; o te pamiątki są drogie, te przywołujemy, temi pocieszamy się, lecz wtenczas

tylko, gdy serce obumarłe już niema nadziei, niczego nieżąda;—lecz tak długo jak krew silnie krąży w żyłach, gdy duch utrzymuje. Księga dawnych pamiątek jest zamkniętą, zakopaną i śmiałą ręką nie chcemy odwinąć karty, na której pierwszy wyraz szczęście, i cóż kiedy po niem płakać trzeba lub narzekać, że tak szybko obwiedło; lepiej zostawić, przeczekać póki świeża rana—o gdy się zbliżni, przyjsć jak na smentarz okryty żałobą, wylać łzę, upuścić westchnienie niby na grobie miłej nam istoty. Marja przeto zaniedbała zupełnie muzykę, chociaż nieprzestała jej lubić namiętnie, jednak lękała się ruszyć klawiszy, by same jej palce, nie zanuciły dawnej piosenki, ową piosenkę którą niegdyś śpiewała; nie przez fanatyzm cnoty małżeńskie, nie przez głos powinności, o! nie... lecz przez bojaźń zwiększenia rozdzierających ją boleści, przez egoizm—są piosenki, są nawet oddzielne tony, na odgłos których mimowolne porusza drzenie, lub łzę wyciska—i najtwardsze serce, zbrodnicze, niech usłyszy piosenkę swój wioski, piosenkę, którą nucił dzieckiem, zadrży radością i myśl swoją poszłę na owe niwy.

Ledwie pierwszy brzask dnia wymknął się z zagóry, Marja wbiegła do ogrodu i odwiedziwszy z kolei wszystkie kwiaty, pobiegła usiąść na ulubione miejsce do altany, gdzie sześć lat temu poraz ostatni widziała Wiktora, to miejsce napełniało ją

zawsze jakąś tęsknotą, tą lubą tęsknotą co dręczy i morduje, a którą jednak powołujemy z ochotą, w jednej chwili przedstawił się jej obraz szczęśliwego życia tak jednostajny, i gdy wszystko w okół niej szło kierunkiem zakreślonym ręką stwórcy, ona jedna została na tym samym punkcie; przypomniała sobie pierwszy dzień małżeństwa i nie miała tej nawet pociechy, by dzień pierwszy był piękniejszy lub przynajmniej różny od następnych. Są jednak pociechy których najzazdrośniejsze niewyszedzi oko, najprzezorniejszy nieodkryje umysł: myśl—ta jedna została młodej kobiecie, nią się pocieszała, to drzewo w cieniu, którego niegdyś jak dzieci bawiła się z Wiktorem, ta sama kamienna ławka, która mieściła ich razem, te kamyki pod nogami, podobne listki, młode gałązki, tak samo zielone, tak samo powabne, te same które niegdyś widziały ich śmiechy, ich spojrzenia, słowem obraz wspomnienia, ów gaik był dla Maryi świątynią, gdzie jak starożytnych, bogowie domowi, strzegli kroków jej życia. Chociaż Marja lękała się wspomnień, jednak ów gaik, który ciągle widziała, a bardziej że koło niego pielęgnowała swe rośliny, nieobudzał ciężkiej melancholii, owszem przywoływał tę wesołość, która nietylko rozwija się w duszy, lecz nawet rozkwita na twarzy— pod wpływem tego uczucia była Marja, i odrzucając z przed oczu smutne pasmo własnego życia, dała się unieść tej

wesołości, która nas popycha jak lekki pyłek, w miarę jak umysł nasz odzyskuje spokojność, blednieje chmura niedoli przed okiem, słońce wschodzi i zwolna doznajemy miłej nam swobody. Ten stan nowy dla Maryi, prawie nieznanym, nawykłej do cierpienia był tym powabniejszy, iż zdawało się jej, iż łaska wyższa, oko stwórcy spojrzało nakoniec, na swoje dziecię cierpiące i zesłało jej ulgę—zwróciło swe oczy ku stwórcy, długo je wlepiła w błękit, nie chciała zwrócić zrzenicy ku ziemi, ku tej ziemi, której wnętrzości nie drżą na widok cierpiącego człowieczeństwa, lecz poją się jego łzami. Przeczucie którego zrozumieć niemogła, przeczucie niewypływające z prostej rachuby, lub wyciągnięte z podobieństwa, lecz to co się w nas samo rodzi, a które winno swój początek owemu zmysłowi, który niesłusznie szóstym nazwano, a który jest własnością przywiązaną do naszej cząstki nieśmiertelnej, słowem siła Boska; siła stworzenia, siła pojmwania, dar który nam udzielił w małej części, ojciec ogólny całej ludzkości, jest to ta władza która panuje ludziom, ich korzy, jest to geniusz: wyższość której żadna zazdrość, żadna przemoc ani przeciwność nie zniszczy, iskra która nie gaśnie i która tak długo tleć będzie, póki świat istnieje, przewidzieć, pojąć, zrozumieć są jego własności. Wyroczone starożytnych, przepowiednie zbyt często spostrzegane między ludźmi, w końcu te natchnięcia, których czło-

wiek doznaje, niepewność, nieskończoność, w której brnie są skutki tego wielkiego działacza natury. Są wprawdzie tak samozwani filozofowie materyaliści, którzy ośmiewają prostotę co niechce wierzyć w ich naukę, według nich uczucia są naturalnym skutkiem organizacyi, pociąg jednych ku drugim, łąza mimowolna, wesołość, są następstwa z otaczających okoliczności lub wolnej woli człowieka, nie myślimy zbijać ani przyjąć kłótni rozprawiania, każdy sądzi jak może, nie tak jak powinien.

Krótko trwało złudzenie Maryi, był to tylko chwilowy blask, który zaświecił cokolwiek, jeden kwiat wonny w pośród cierni i bezdroży.

Są jednak ludzie którzy wierzą w ciągłe szczęście i że nie wszystko jest w tak ciemnym kolorze. O! błogosławiona wiara, szlachetny zapał, niewinnej duszy, która dla tego wierzy że żąda, pragnie bo czuje — jednak, biada jej!.. biada; niestety! przyjdzie chwila, co będzie złorzeczył, płakał, a nikt jego żalu nieposłucha, nikt łązy nicobetrze, wiara w trwałość szczęścia! lecz niestałość jest godłem człowieczeństwa, na tej słabości przewrotność buduje wszystkie plany, bo wie, iż człowiek po pewnym przeciągu czasu jeśli niezałąuje co zrobił, chociaż duma niepozwała przyznać się do błędu lub żalu, jednak już dawnego postępku nie broni z takim zapałem, a tu jest pierwszy ślad, iż zmienił kierunek, przystał pod nowe sztandary. Gmin który ani umie,

ani może jeszcze wydać wyroku, ma w sercu tę siłą obserwacji, którą najdobitniej wyraża w tej maksymie tak prostej i tak wielkiej, iż człowiek zmienia naturę co siedm lat.

Filozof inaczej tę myśl by wyraził, możeby nawet obszerne utworzył księgi, lecz kmiotek filozof bliski przyrodzenia, w kilku słowach wyraził nie system, nie przyczyny, lecz skutek.

Ta myśl wiecznej zmiany, jest wykonaniem najwyższej dążności człowieka ku doskonaleniu się, bo ten jest charakter nadany człowieczeństwu, który, znowu nasz filozof kmiotek, nazywa wrodzoną ciekawością, jednak z kąd pochodzi iż oznaczono prawie czas zmiany? liczba siedem, jest liczbą kabalistyczną, do której przywiązana jest fatalność, a że zmiana nie zawsze się obraca na dobre, ztąd wzięto lat siedm za okres, cyfra ta nawet może być tylko czystym płodem imaginacji, niemówmy tedy o niej, lecz z bliska przypatrując się namiętnościom naszym gdy tę wywrą całą siłą, i później stygną, serce jest zupełnie zubożnione, potrzebuje więc czasu i odwagi do nowego, ożycia, przeciąg jaki poprzedza ostatnie burze i następne walki, jest ową epoką zmiany, która się znowu przeistacza, przybiera formę doskonalszą lub zbrodniczą, stosownie do punktu gdzie dąży, a tym sposobem następuje nowy byt który człowiek prosty podciągnął pod zmianę natury, filozof pod szranki postępu, polityk pod ule-

pszenie, religja pod natchnienie, zbrodniarz pod potrzebę. Słowem każdy tak zręcznie umie na własną korzyść wyrozumować, iż patrząc zawsze ze strony z której on rzeczy widzi, zdaje się że sam jeden zdrowo tylko sądzi, inni wszyscy błędzą.

Ten przeciąg sześćioletni był dla Maryi tém stanem cnoty małżeńskiej, któ ra niegrzeszy dla tego że powab grzechu niema dla niej uroku, bo li tylko przywiązany jest do osoby której oddalenie i nieobecność tak długa, rzuciły barwę obojętności na wszystko. Marja więc była cnotliwą, to jest że mając starego męża, nie miała kochanka. Lecz myśl jej i uczucia należały do Wiktora, i gdy stary mąż narzucony przemocą, często dumnie myślał o starości żony, niewiedzia! iż ona w tej chwili była więcej niż występna, bo najszlachetniejszą cząstkę swoją, to co stanowi prawdziwie wielkość kobiety i szczęście mężczyzny, oddała innemu, a tylko zimne prawo posiadania bez podziału zostawiła mężowi. Jednak ludzie przez źle zrozumiane rachuby, przez tyranią jaką wywierają nad kobietami, cieszą się tą cnotą, pobbżają, nawet tolerują chęć podobania się, nawet miłość własnych żon ich nie rani byle ta nieprzechodziła granic serca; a gdy lzy spostrzegą, westchnienia usłyszają, cieszą się wewnątrznie że tak wielką siłę panowania wywierają nad żoną, że ta niekochając już męża lęka się zdradzić, tylko tajemnie płacze i wzdycha. Nedorzeczna zarozu-

miałość co pojąć nie może że niema na ziemi nic obrzydliwszego, a zarazem nieszczęśliwszego jak istota, która jest tylko czystym narzędziem miłości bez udziału uczuć, lub która, dzieląc rozkosze w objęciu jednego, myślą i sercem spoczywa na inném łonie—podług zdania niektórych ludzi co się głęboko zastanawiali nad sercem kobiet, milion razy jest łatwiejsza do przebaczenia niewierność jak niestałość pokryta cnotami obowiązku. Marja była w ostatniej kategorii, lecz Marja była ofiarą, była tylko posłuszną, ona nie starała się przekonać, nawet przed małżeństwem o swoim przywiązaniu, Marja kochając Wiktora, milczała.

Najmilszy dzień w tygodniu dla Maryi, był niedziela, bo jej przypominał pierwsze wzruszenia serca, pierwsze spojrzenia Wiktora, miły jej był ów kościół gdzie na łono stwórcy niosła zmartwienia, gdzie składała ciężar niedoli u stóp ołtarzy, na jednym miejscu na tém samym zawsze siedziała, a gdy przypadkiem było zajęte przez inną osobę, w ówczas jej modły były rozerwane, bez związku, była niespokojną, zazdrosną nawet. Tego dnia przybyła wcześniej jak zwykle, usiadłszy zanurzyła umysł w rozpamiętywania religijne, gdzie często pociecha płynie w serce skołatane, kościół napełniał się mnóstwem ludu.

Niedaleko od Maryi, prawie na przeciw niej, stał mężczyzna, w jego oczach malowało się podziwie-

nie i wrażenie, jakiego doznajemy na widok niegdys znanego miejsca, przypomnienia malowały się w jego wzroku, ten sam przybytek, to samo bóstwo, ta sama uroczność, wszystko jak było, tylko czas szczerzył mocniej mury i przelatując zostawił swe piętno, lecz w tém rozważaniu była ponura melancholija, jakiś żal i boleść—czyliż w tych miejscach kochał lub płakał? spodziewał się lub przeklinał?... Tak błędząc niestałą myślą tu i owdzie, spostrzegł nareszcie tę co szukał—zobaczył Marję, Marja poznała Wiktora, lecz Wiktor zebrawszy wszystkie siły wyszedł z świątyni, Marja również niemogąc się doczekać końca tak długiej dzisiejszej mszy, opuściła nabożeństwo i wróciła jak zwykle do domu.

Jest to zbyt wielkie szczęście, zobaczenie się, po długim lat upływie; szczególnie gdy serca żądają się nawzajem, Marja tak była wesołą tej niedzieli, iż zdawała się zapomnieć całej przeszłości, wszystkich boleści, jedno spojrzenie złagodziło cierpienia lat wielu, ale to było spojrzenie kochanka, Marja tak długo cierpiąca, zapomniała że cierpieć można, nowa epoka życia zakwitła, uczuła się być kochaną, widziała miłość błyszczącą w swej zrzenicy, a ledwie przyszła do domu, pierwsze starania (dajmy kobiecie) pobiedz przed zwierciadło, radzić się podchlebnego często przyjaciela, biedna kobieto! niechciała przyjąć iż jej bladość, boleść, napisana na obliczu, są daleko droższe kochankowi niżeli

czerstwość i zdrowie. Lecz Marja chciała być piękną, piękną jak anioł, piękną dla swego Wiktora, mimo miłości własnej, zadrżała widząc się tak zmienioną, teraz dopiero zaczęła żałować, że nadto pozwoliła boleści wpływać na zewnątrz.

Muzyka ożyła na nowo pod jej palcami, ta piosenka stara, dawna, co niegdys śpiewała—jednak gdy otworzyła usta by zanucić wyrazy, niemogła natrafić na tę samą harmonję, którą tak dobrze znała, była to ta sama piosenka, lecz dźwięk zupełnie nowy, dźwięk jej utworu, improwizacja serca, szczytność rozkoszy, powitanie Wiktora z którego przytomnością zesłała świetna jutrzeńka nadziei i pogody po długiej zimie! Zwolna muzyka zaczęła tracić całe piętno szczęścia, jakiś brzęk melancholiczny przeplatał jej strumienie, a które można było wytłomaczyć, niestety! mnie niewolno kochać, nakoniec smutek wkradł się pod palce, które zamiast tonów wesela, wydobywały jakiś śpiew grobowy, zmartwiała ręka.

Puściła swe myśli wolno, które snując się jak widmo przed oczyma, wskazywały to Wiktora, to męża, to miłość, to obowiązek, była to jej walka cnoty małżeńskiej, z jednej strony niestawa, z drugiej szczęście, z jednej zgrzybiały małżonek, z drugiej kochany Wiktor, dodajmy do tego odosobnienie, żądza. On tylko utkwiał na tle jej marzeń jak anioł pociechy niosący z sobą kwitnącą

gałązkę miłości. Nagła zmiana nie uszła bacznego, a bardziej kobięcego oka matki. Wesołość córki obita się o serce macierzyńskie, które od niedawna dopiero spostrzegło smutne przeznaczenie swego dziecka, odgadła że serce popchnięte zostało do życia bodcem miłości, lecz kto się zjawił co potrafił obudzić skrzepłe uczucia.

Matka Maryi była z rzędu kobiet, które tolerują wszystko, nawet niewinność w potrzebie, byle pokrywała tajemnicą, wedle niej cnota potrzebną była w oczach świata, i byle tłuszcza krzyczała szerokiemi gardłami i chwaliła, mniejsza o spokojność wewnętrzną i taką jest większość ludzi, nie zgłębia lecz sądzi oczyma, dla tłumu podziwienia cnoty, dla niej korzyści z przeniewierzenia—z tego to punktu sądząc i serce swej córki, nalegała na małżeństwo z hrabią Rumiłło, wprawdzie korzyści szczególnie pieniężne niebyły ze strony małżonka, lecz tytuł hrabiego tak wiele brzmiał w jej uszach, iż zdawało się że jej dziecię, raz pani hrabina, osiągnie wszystkie żądze i w odmęcie światowym jego rozkoszach i tolerancyi, będzie umiała nagrodzić poświęcenie jakie robi, biorąc zgrzybiałego starca, i wzorem wielu małżeństw, pogodzi powierzchowność obowiązków z sercem, miłość tajną pozorem wierności. Wprawdzie podeszły wiek zięcia mało zostawiał nadziei widzieć się otoczoną licznem gronem wnuków... lecz Marja była młodą, hrabiną, bogatą

mężatką, a najwięcej żoną starego męża, którego tytuł spłynie na potomków, kołysana tak słodkimi obrazami i tak rozrządziwszy życiem córki, spokojnie zasypiała, nie wątpiąc że ją przeczucie nie zdradzi, że przykłady wprowadzą Marję na tę drogę, a serce dokończy, lecz gdy po lat upływie, wszystkie te zamki na lodzie znikły, gdy nasza pani hrabina, wbrew zwyczajom, nie chciała korzystać z tak pięknego i szczytnego losu, który niejedna kobieta obróciłaby na swoją korzyść, nie mogła pojąć jak młoda osoba, opuszczona, zaniedbana od męża, odpycha sposobność nastroczającą zadowolenia siebie samej, nietracąc szacunku świata. Lecz Marja nie mogła zdradzać siebie, Wiktor był tylko jeden człowiek, który ją pojął, zrozumiał, trwała w nie-szczęściu. Matka zaczęła dopiero żałować przeszłego błędu i tytuł hrabiny był dla niej o tyle gorzki o ile dawniej ją zachwycił. Ostatnia zostawała nadzieją, podeszły wiek zięcia, drugie i nowe małżeństwo.

Są w życiu naszym silne oddziaływania, które ludzie powiększej części nazywają niestałością lub słabością charakteru. Ludzie, którzy w życiu niezmieniają się, są bardzo rzadcy, wyo brażenia a następnie sąd, będąc najczęściej skutkiem otaczających nas okoliczności, musi ulegać wpływowi jakie zmiany tychże wydarzeń sprowadza, zresztą wiek, wiek tak rujnuje naszą machinę, iż w miarę jak spręży-

ny słabną, ruch jest wolniejszy, uczucia leniwsze, sąd pewniejszy. Są wprawdzie istoty które się chlubią iż nieznają zmian moralnych życia, lecz kto zbliża im się przypatrzy, dojrzy że ta słabość przywiązana jest li tylko do jednego punktu, do jednej namiętności, która stanowi małą cząstkę istoty, a że się nie zmienia to dla tego, że dotąd niemógł natrafić na silniejszy działacz, lub że widzi tutaj zapewnione lub obiecane korzyści. Ciągła wiara szczególnie w to wszystko co nas dotyczy bezpośrednio, niemoże być trwałą, bo wówczas doskonałość musiałaby być udziałem człowieczeństwa, stan okropny, pewność łącząca bez przedziału terażniejszość z przeszłością i przyszłością; a kolébka życia i grób byłyby nietylko wyrazy jednoznaczne, lecz byłyby obrazem jednej i tej samej myśli. Skoro więc Stwórca ulepił człowieka, niepodobnym sobie, lecz na swoje podobieństwo, człowiek więc ma przywiązaną do swego istnienia oddzielną drogę którą przebywszy, kończy się jego podobieństwo do Stwórcy, wówczas dopiero łączy się z nim, czyli wraca z kąd wziął początek. Zmiany ciągłe w życiu są tą drogą, drogą niezupełna niepojętą, tylko dwoma ostatecznościami, wiarą lub odcieniem, wiara ściśle wiąże terażniejszość z przyszłością, człowieka z Bogiem, ateiz niezna przyszłości terażniejszość zastępuję wszystko, żyje przypadkowo od dnia do dnia, patrząc na kres ostatni, grób jako zupełny koniec.

Marja wierzyła, a ta wiara, że Stwórcą niezapomina o nas, tém mocniejszą się stała, że przypadek sprowadził raz jeszcze ku niej Wiktora, który zajmował całą jej myśl i serce, puściła się więc bez trwogi, nowemi kołysana nadziejami, i w tém zdarzeniu widziała prędzej spełnienie wyższych wyroków, niżeli traf ślepy. Łatwo jest bardzo zastosować wypadki życia, szczególnie jak się te spełniają, do natchnień które serce żywi, łatwo nawet w mówić w siebie, iż to było napisane w przeznaczeniu, nieobwinać siebie, owszem z pewnością poddać się rozrządzeniom Stwórcy, który nam każe po tej a nie innej dążyć drodze. W tém była zdarzeniu Marja, nieraz człowiek spełniający zbrodnie, pociesza się tą myślą iż bóstwo gdyby wiedziało, że źle robię, zabroniłoby spełnienia, lub dałoby moc oprzeć się ponęce występku, a tak rzuciwszy pozorne tłumaczenie się na wpływ niewidomy, nie dbamy tylko o uwienczenie pomyslnym skutkiem własnych widoków.

Z tej zasady wychodziła Marja, a że Wiktor raz jeszcze pokazał się, postanowiła swe życie z nim złączyć ścisłym węzłem, oddać mu najczystsza miłość, tak świętą, tak Boską, której przez litość Stwórcą sam przebaczy, daruje błąd, jeśli błąd popełni. Czekala co chwila ujrzeć Wiktora, który nieomieszka odwiedzić swego wuja i ją—młodą swoją kuzynkę.

I nieomyliła się, tegoż samego dnia Wiktor był w domu hrabiego Rumiły.

W miesiąc potem dzienniki stolicy umieściły następujący artykuł:

Dnia wczorajszego jeden z mieszkańców przedmieścia stawił się w policyi i złożył następujące zeznanie:

Od miesiąca przeszło młody człowiek w towarzystwie jak sędze swej żony, wynajął odemnie na sześć tygodni mały domek z ogrodem który posiadam o kilkaset kroków za miastem, mój nowy lokator oświadczył mi, że jeżeli po miesiącu niezgłoszę się, będę miał prawo wynajęcia komu innemu. Przystawszy na powyższe warunki, odebrawszy należną mi sumę oddałem klucze i tegoż samego wieczoru nowi mieszkańcy weszli w chwilowe posiadanie, jednak nie byłem spokojny, lękałem się zdrady i miałem pilne baczenie, niemogłem przecież dostrzedz prócz szczęścia jakie otaczało młodych małżonków—przyszła nareszcie chwila, w której będę miał prawo według woli rozrzucić moją własnością. Do dziś dnia to jest od pół miesiąca niewiedziałem zupełnie co się dzieje, lecz gdy termin wyszedł, udałem się dzisiaj rano do owego mieszkania, lecz wszystkie drzwi znalazłem zamknięte, lekając się jakiego smutnego wypadku, przychodzę

żądać pomocy władzy, by raczyła użyć swej siły i oddać mi własność należną.

Policja niewidziała w tém zeznaniu prócz intrygi miłosnej, której bohaterowie chcąc się osłonić tajemnicą, wynieśli się bez wiedzy, chcąc jednakże zadosyć uczynić żądaniom obywatela, troskliwa o jego spokojność, udała się na wskazane miejsce. Znalazła istotnie wszystkie wejścia zamknięte, skutkiem czego kazała je otworzyć—nic zaś bardziej niezastanawiało urzędnika policyi, jak, że klucze znajdowały się w zamkach wewnątrz—którędy więc wyszli mieszkańcy, dostano się do pierwszej części mieszkania, tu wszystko było na swoim miejscu, przejrzano następnie kilka innych pokoi i tu również nic nieznaleźli—zostawał tylko sypialny, jecz drzwi od niego były najtrudniejsze do odemknięcia, a co najwięcej uderzyło przytomnych, to staranie z jakim pozatykane były wszystkie szczeliny tak między posadzką i drzwiami, jak po bokach—w końcu zdołano i takowe odbić, lecz zaledwie krok postąpili, zmuszeni byli cofnąć się napowrót, w tej bowiem chwili mocny fetór z zgnilizny i psucia się ciała, tak silnie na nich wyziewem uderzył, iż kilka chwil nikt wejść się nieodważył, aż nareszcie rzucona garść zapalonej słomy, i otworzone okna, dozwoliły im obejrzeć te miejsce, jakie dwie drogie istoty za grób sobie obrały, na łóżku leżały dwa ciała, które zepsute przez czas niezostawiły

dosyć śladu do rozpoznania osób, ledwie można było rozróżnić kobietę od mężczyzny, trup jeden spoczywał na ręku drugiego, koło łóżka stały dwie wielkie miski napełnione popiołem niez mieszanym, to jest mającym kształt węgla z których powstał, obok stało pudełko pełne węgla z mieszkciem służącym do rozniecania żaru. Na stoliku lichtarz w którym zapewne sama zgasła świeca. Niedozwolono poruszać tych ciał dotąd, dopóki by niezaleziono dowodów wykazujących przyczynę samobójstwa i kto były zmarłe osoby, na biurku leżały paszporty dwojga zmarłych i papier z napisem: „Ci którzy tu wejdą pierwsi, niech westchną za dusze Wiktora i Maryi, umieramy z własnej woli.“

Oprócz tego był list zaadresowany do hrabiego Rumiły. Policja zabrała papiery, na nowo dom zamknęła i zdawszy raupt, otrzymała rozkaz pochowania na pół zepsutych trupów; list zaś odesłano hrabiemu.

Pisano w Tuluzie dnia 10 Sierpnia 1838 r.

W domu za piecna — wywazaj klamki
 Czegoś mi podobno chwiał pacierza
 Lecz ciągle siedzieć to wyznaję
 Kęs chleba albo katechizm nieśkakała
 Gdzie niegdzie dala by dobry ludziska
 Boćcie tak starzy — toś prawda niepamięć
 Casyby już przeszła i nie ma
 Ciali wam drogocniejszą niż dłaż odanę
 Mój dobry opieszkał do siebie

ODPUST PRZERWANY.



Dzień schodzi — słońce skryło się za borem,
 Za ciemnym lasem, już pól nie pozłaca
 Swoim promykiem. Z zamierzchłym wieczorem,
 Kres dziennym trudom. Wieśniak do dom wraca,
 Ustają gwary — czasem tylko może
 Pluśnie się ryba na owem jeziorze,
 Co tak daleko rozłacza swe wody,
 Idzie o kiju starzec siwobrody;
 Zmierza ku wiosce; aż nagle śród ciszy,
 Tętent i turkot za sobą posłyszysz,
 Jakiś podróżny wkrótce minął jego,
 Pojechał dalej — a dziad w wolnym chodzie
 Włókł się, aż w wiejskiej stanąwszy gospodzie,
 Zastał tam gościa pierwej przybyłego.

Mój dobry ojczy! a skąd-to idziecie?
Czyli wam droga daleka, czy bliska?
Czasby już przestać tułać się po świecie,
Boście tak starzy.—Toć prawda mój panie,
Gdzie niebądź dali by dobre ludziska
Kęs chleba albo kątek na mieszkanie,
Lecz ciągle siedzieć, to wyznam ja szczerze,
Czegoś mi nudno odmawiać pacierze
W domu za piecem—a w naszej krainie
Tyle wielkimi cudami miejsc słynie;
A póki śmierć mię ze świata nie zbierze,
Kromia modlitwy, cóż lepszego zrobię?
Modłę się zatem i sercem i usty,
Abym spokojny skon wyprosił sobie,
I szczęście bliźnim. Gdzie tylko odpusty
Wokół zasłyszę, wnet wyruszam w drogę,
Na chwałę Bożą, wlokę się jak mogę.
Ale coś w duszy zaległo kamieniem,
Smutno i tęskno—bo Nieba nie zawsze
Dobre są na nas, wprzód były łaskawsze
I łatwiej ludzkie przyjęły oliary;
(Bo nie dopiero dziś żyję—dziad stary,
Mówię, poznawszy długim doświadczeniem),
Psują się ludzie—bo coraz to gorzej,
I coraz większe zło u nas się mnoży;
Tak widno że nas dotyka gniew Boży.
Walą się cerkwie, chwieją się dzwonice,
A pany niechęcą poprawić budowy;
Zamiast spróchniałą podeprzeć kaplicę,
Raczej dla siebie wystawią dwór nowy,
Lub karczmę nową dla ludu zgorszenia,

Niepomni swego i bliźnich zbawienia.
 Więc Niebo za to i chłosty zadaje,
 Pożogi, susze, głód, nieurodzaje,
 Grady, powódzie, pomór na bydłęta;
 Jakich klęsk stara głowa nie pamięta,
 By dawniej były—i w takiej potrzebie
 Nie dają nawet przystępu do siebie!
 Nie dość że stare świątynie się wała,
 Ogień je niszczy—i jeszcze się pała,
 Z ludzkiej przyczyny.

Tak to drogi panie,
 Stało się dzisiaj na nasze skaranie.
 Spłonęła cerkiew tutaj we wsi jednej
 W czas nabożeństwa; a z cerkwi lud biedny,
 Wyjść nieuścignął—tylko bardzo mało
 Z pożaru duszę swą wynieść zdołało.

Może pan dobry nie śpieszy się w drogę;
 To ja opowiem rzecz, krótko jak mogę.

Odpust był w wiosce—pobożne ludziska,
 Sciekają w cerkiew z daleka i z bliska;
 A nikt nie przyjdzie z rękoma próżnemi:
 Lecz dla kapłana i księźego slugi
 Niesie dar, mieniem swem dzieli się z nimi;
 Ow bochen chleba, kilka groszy drugi,
 Lub garść przedziwa;—a dla chwały Bożej
 Jarzącą świecę, albo lampę złoży
 W pańskiej świątynicy.

A w cerkwi aż ciasno,
 Jaki tłum, światła goreją tak jasno,
 Wonieją ziola; lud wierny w pokorze

Modli się, bije w pierś, jęczy i wzdycha.
 Prośba na ustach, a w oku łza cicha
 Chce ściagnąć na się zmiłowanie boże.
 Tuż za pasterzem, głos prosty, niestrojny,
 Woła lud, woła do Pana nad pany:
 „Od moru, ognia, powietrza i wojny,
 Od śmierci nagłej i niespodziewanej
 Uchroń nas Panie!“ W tem, u stóp ołtarza
 Płomień się zakradł w zniesione przedziwo;
 Buchnął i wrzasnął, aż lud się przeraża,
 Jakby nie klęczał, zerwał się co żywo,
 I ku drzwiom wszystkie się tłumy cisnęły;
 Gasić pożaru niechcąc, biegną razem,
 I jakby ciężkim przywalone głazem,
 Tak się potężnie podwoje zamknęły,
 Że ani otworzyć.—Wrzask, wycia i stęki,
 Trwoga i rozpacz; narzekania, jęki,
 Skon z uduszenia, a ogień się szerzy;
 Ni w boską pomoc lud wtedy niewierzy,
 Zapomniał.—Tylko kapłana wołanie,
 Jedno na cerkiew—głos ledwie słyszany,
 „Od śmierci nagłej i niespodziewanej,
 Od moru, ognia, zachowaj nas Panie!
 My grzeszni Ciebie Boga tu prosimy,
 Przepuść nam Panie! Wysłuchaj nas Panie!
 Marjo Panno! głos do Cię wznosimy,
 Za nami przyczyn się! Módlcie się święci!“

Zamilkł śpiew kapłana...

Małej wiary ludzie!

Niepomni jego słów, strachem przejęci,
 Swoje zbawienie we własnych ręk trudzie

Gdy zakładali—dościgli ich kara,
 Za to zwątpienie o niebios pomocy,
 Wszyscy znaleźli śmierć w płomienną moc,
 I tak się cała skończyła ofiara.

Lecz między nimi kilku dobrych było,
 I w wierze mocnych, ja tak sądzić muszę:
 Bo z ognia ptastwo w powietrze się wzbilo,
 To pewnie jakie pobożne, cne dusze;
 A w końcu wleciał i gołąbek siwy:
 O! mój gołąbku, ty święty kapłanie!
 Tyś-to nas wiary nauczał prawdziwej,
 Leć po nagrodę swą. Niech się tak stanie!

Przez czas ten cały ja przed cerkwią byłem,
 O ich zbawienie gorąco prosiłem;
 Spiewałem pieśni—wszystko nadaremnie!
 Gdzie trzask płomieni i powszechna trwoga,
 Widno nie doszła ma modła do Boga!
 I jakąż pomoc mieć mogli odemnie
 Starego dziada, co schylon latami
 Nic niedokáže słabemi silami,
 I sam zaledwie zagłady ująć zdołał.

Oni spłonęli! Czemuż między nimi
 I mnie nie było? Ja pewnie bym wolał,
 Nędzne me życie zakończyć wpożarze,
 Bom się już nażył—niż jeszcze po ziemi
 Tułać się. Ciężko—ciężko mię Bóg karze!

—Ucis się starcze! wszak wiesz to dokładnie,
 Że nawet włoszek nam z głowy nie spadnie

Bez jego woli. Spokojnym być trzeba,
I wszystko przyjąć jak działy Nieba.

— Tak! przyjąć—ależ i wyznać to muszę,
Iż żal po bliźnich przenika mą duszę;
Wielum znał między zginionymi,
Na chwałę boską i ludzką lat tyle
Jeszczeby żyli—dziś w jednej mogile,
I stos popiołów wznosi się nad nimi!!

Tak wola Nieba chce—uczysz mię panie,
I Bóg wam zapłać za to nauczanie!
Wdzięczny wam, póki nie zgaśnie to życie.

— Już miesiąc kroczy po niebios błękitcie,
I noc tak jasna. Trza mi w drogę dalej.

— Ja na tej ławie mą głowę położę;
A gdy się zorza na wschodzie zapali,
I ja wdał pójde o kiju żebraczym.

— Zdrów bądź mój dziadku! gdy się gdzie zobaczym,
— Niech Bóg prowadzi! *Tam* ujrzym się może!

A. Z.

brodził, już to że go rodzi niepospolity erudyta, przytém był łysy. Z tego tytułu miał prawo zamysłania się w czasie gry o wysokich zagadnieniach. Przeto nieraz usłyszał od współrycerza słowa prawdy, lecz wymawiał się jak mógł, to w ogólności, że nie arcy był wyćwiczony w dogmatach kiksa, to w szczególności że mu natenczas fortuna nie sprzyjała. Poczém napowrót odnowił ze studentem niedokonana rozmowę. Rzecz szła o łacinie, jak się o tём często powtarzany Alwar i Cycero domyślać kazali. Dwaj przeciwnicy zadawali sobie nawzajem gęste ciosy w różnych językach. Zdawało się iż zapomnieli o wszystkim na świecie, oprócz rozbierej materji. Z równym udziałem i ciekawością, przysłuchiwała się kontrawersu tuż za nimi siedząca pani starościna, druga małżonka pana Brońskiego, dama niepospolitego rozumu, acz daleko młodszą od męża, którego jednak (jak sama o tём upewniała) wielce miłowała. Sprawiało to jej nie małą przyjemność, że syn jej tak mężnie sprawnia się w gorącym djalogu. Spór, jakem już nadmieniał, był zacięty. Pan Gawroński trzymał za Alwarem, łajał zaś na zabój nowszych, naprzód dla tego iż ich nigdy nieczytywał, powtóre: iż mu się w głowie pomieścić niemogło, aby plemie niedorośliwych szkolników, miało starego magistra za nos wodzić. Filozofja, mówił on, zbadawszy do dna głęboką szklanicę, filozofja jest jak wino; jej moc... kiksa, zainto-

nował Lisicki z Podlasia, i w tej samej chwili zleciał na plac lekko uzbrojony wyżnik, bicz królów, dziesiętek i tuzów. Porwał się Gawroński co żywo, jednym skokiem przeniósł się od filozofii do kiksa, jeszcze na pół dogmatycznym okiem rzucał na karty... niestety jeden tylko niżnik w przymocie wartownika stał zgięty obok trojga szóstek... i ten ostatni ze świetnej rodziny potomek paść musiał ofiarą wyżnika. O! niegodziwe wino,—zawołał,—*quae tantae tenent morae!* jak cię trzeba to cię niema. I nie pierwaj ochłonął, aż pani starościna, jeszcze oddana słodkim wrażeniom, a zatem źle zrozumiawszy wyrzekanie magistra, po sam kołnierz napełniła szklanicę. Porwał ją magister i wypił... wypił do dna, z taką szybkością z jaką była nalana, tylko w odwrotnym kierunku. Zwycięstwo na stronie Lisickiego z chorążycem herbu Rogala. Naprzód trojaki zadzwoniły do odwrotu, a potem sami gacze odeszli i zasiedli na długiej sofie u podnóża starego zwierciadła. Nastąpiła wieczerza. Cóż tam było ceremonii, a co komplementów wykwintnych lecz szczyrych. Wieczerza, jak wiadomo, ma dwa w sobie pierwiastki—idealny, pogadankę i materjalny, pożywienie. Pierwszy wzniosły, lecz oderwany, drugi zrosnięty z żywiołem. Z tych: sam idealny pierwiastek należy do czytelników, materja jest przedmiotową cześcią, własnością bohaterów. W czasie naszego wieczoru rozmowy szły żywo. Pan Ga-

wroński, zawsze prymując, zaczepił jakości o mitologję. Śmierć, powiada, jestto niewiasta, która fatalną kosą podcina latorośl, a wtenczas człek jako on budynek z podgryzionemi fundamentami obala się i rozsypuje. Tuż dopiéro starosta, nieustępując pola, jął mu wyrzucać że onę sentencją nie jako figurę rozumie, lecz za istotną bierze prawdziwość i niewie coby ona kosa albo latorośl znaczyły. Mienił tedy śmierć być czemści magnetyczném, co wszystko do siebie pociąga. Poparł zdanie Brońskiego student zręcznym wierszykiem Horacego: omnes eodem cogimus. Co jednak ledwie że go o gniew ojca nieprzyprawilo. Gdy był bowiem ostatnią dykcją niespełna zrozumiał, owszem za zarzut wziął, nie pofolgowałby pewnie synowi, gdyby go Gawroński na prawdziwą treść tekstu nienaprowadził. Więc nuż tedy chwalić syna i akademję. Student ośmielony tym laurem, wyliczył dwudziestu sześciu autorów, nielicząc w to skryptów, co na korzyść Brońskiego traktują o śmierci. Mniemania w tym przedmiocie, mówił dalej, są tak różne i przeciwnemi czoły walczące (*adversi frontibus pugnantio*), iż trudnoby z tej massy coś stanowczego wyciągnąć. Przyczyną tego jest rozmaitość punktów widzenia rzeczy, opinja ulubiona, systemata, metody et cetera. Wyznać należy iż ta myśl najlepiej się wszystkim podobała, a szczególnie starostom. Tylko magister wątpił nieco, kilka razy

przykładał ją do swojej sentencji, szczerze sobie życząc, aby do niej całą powierzchnią przystała. Nakoniec rzekł: może to i prawda, ale zawsze... zawsze filozofja będzie miała swoje znaczenie. O! nic nad to pewniejszego, — rzekli jednogłośnie student i starosta. Najtrafniej sądził o tém, jak się zdaje, pan Chorążyc, lecz zdanie raczył tylko przed starościną otworzyć. Przytém mienił się, dla zaszłej w głowie inflamacji do roztrząsania tak ważnego przedmiotu na ten raz niezdolnym. Widać jednak było że zawadzał o temperaturę i jak głośzą starzy jego sąsiedzi, przypisywał śmierci zupełnie opadnięcie ciepłika. Nieomieszkwał też czasem badać stopnia ogrzania na czole, uważając je za skalę życia. Szczęściem jego czoło pokazywało natenczas gradus ulotnienia. Po wieczery mnóstwo innych jeszcze przedmiotów rozbiérano. Zapół w wymowie rósł w stosunku prostym do liczby wypróbnionych szklanicy. Pani starościna była niezmiernie wesoła, prawiała wiele o zasługach męża. Niestety! i czemuż ten kochany małżonek, tak znacznie wyprzedził ją w latach. Jego siwa głowa, już dobrze wyżęta, głos drżący i inne oznaki starości, zasmucały ją niekiedy. Rozczulała się na wspomnienie nierówności wieku, zapewniając uroczyście, że gdyby owa przez magistrę opisana niewiasta, przyszła kiedykolwiek dla upomnienia się o należną sobie ofiarę, ona naówczas z rozpostartém objęciem, ze

łzami nareszcie, z przemocą stanęłaby jej na drodze, własną szyję ugięła pod cios haniebny. Pan starosta tak się rzeczonym komplementem ucieszył, że pękał ze śmiechu, dając żonie do poznania że chce za to jej miłą rączkę pocałować, co też wkrótce uczynił. I rozczuliło się całe grono poczciwych starców, wyjąwszy magistra, który, czy się zadumał czy zasnął, bo znacznie głową kołysał i wzdychał głęboko. Posiadał on nie w mniejszym stopniu talent do rezonu jak do chrapania, co rzadko. Nie dziwna bowiem myśleć, lecz myśleć i spać sztuka jest, sztuka nie pomierna. Czuł wartość tego przymiotu pan Gawroński, bo nawet myśląc spać lubił. Pani starościna uważała go nie mało, magister też uważał starościneę; niechcąc jednak jaśniej wykazać tajemnych ku temu pobudek, odwoływał się do tej jedynie zalety, iż była zacną panią, godną sąsiadką, matką przykłądną; a za podobne przymioty któżby niekochał dobrej starościny? Co gdy tak było, zadrzemał magister onego wieczora, więc nie był świadkiem tkliwej sceny, która zaszła na sali i która mocno by go wzruszyła. Tymczasem mając do czynienia z innym światem, zdawał się zupełnie nie należeć do życia rzeczywistego. Przeto jak muzyk niestosujący się do taktu ogólnego, odegrywał niestosowne minki, krzywił gębę wielorakim trybem, uśmiechał się, to znowu odmrukiwał jakiś niezrozumiały monolog, opędzał muchy na-

trętne z nosa, które, że tak powiem wiązały go z realnością. Już się też wyczerpały wszystkie zapasy wina z butelek, a z głowy wszystkie arabskie powieści, kiedy uderzyła dwunasta, granica ostateczna gadulstwa. Grono ruszyło się z miejsc swoich i rozeszło w różne strony ziewając.

Pani starościna spała. Starosta krzątał się jeszcze ze świecą i odgładzał zagięte kartki w gazetach, które jeszcze wczoraj do przeczytania wygotował. Wkrótce dmuchnął na świecę, zadusił konający knot i padłszy na łóżko zasnął. Magister przecierał sobie uporczywie lepiałe się oczy i gniewał się mocno na Eneasza, iż piękną Helenę chciał zabić. Rzecz tę opisał rodem z Mantuy, a obecnie pod ręką magistra leżący Wirgiliusz. Mówią że go nabył od antykwarjusza Mojżesza, ten wziął go w spadku po prapradziadku swoim i ręczył że ta Eneida szła wprost z Watykanu, z kąd trafem wymknąwszy się, schroniła między kuchenne sprzęty na żydach. Magister zasłyszawszy od szwagra Mojżeszowego o cudownych jej kolejach, drogą za nią zapłacił, lecz nie przepłacił. Teraz siedzącemu w samotności przyszła na pamięć owa sławna w szkołach narracja o zburzeniu Ilionu. Dobył więc z zaszklą w pergamin oprawną księgę; lecz czyto mając myśl czém inném zaprzątniętą, czyli lękając się szkodliwych sercu wrażeń, umył zawczasu ręce od Eneidy (była bowiem wielce zakurzona) i zagiąwszy

kilka kartek w drugiej pieśni, zasnął szczęśliwie. Pani Brońska długim czuwaniem odcięta od snu, pociągała często za sznur od zegaru, chcąc się u niego dowiedzieć, jak daleko jeszcze do rana. Pan starosta czuł w ustach oczywisty niesmak, gniewał się i sam sobie czynił wyrzuty, łajał handlarzy wina, że niestrawność do kraju przywożą. Mniej więcej tego samego zdania był śpiący za ścianą Chorażyc herbu Rogala, lecz spał i chrapał na całą okolicę. Przeszedł go w tém względzie chrapomanii Lisicki z Podlasia, bo i przy stole rej prowadził i był ostatnim w ziewaniu. Za to w przeznaczanem do tego czasie, w rzeczach chrapania nikomu ustąpić nie lubił.

Była już druga po północy, jeżeli słuszną dać wiarę podeszłemu zegarowi, którego podwójne, acz dobrym basem wymówione hasło, bez szkody jednak przebiegło po wszystkich pokojach, nie pociągając za sobą żadnego wstrząśnienia. Gdyby ktokolwiek z badawców chciał się zakradnąć myślą do śpiącego dworu Brońskich, rzekłby zapewne iż wszystko w nim wymarło, chwilowe zaś mruczenia Gawrońskiego i reszty, wzięłby za psoty szczurów, owych czworonożnych współwłaścicieli spiżarni ludzkich i spichrzów, co to pod firmą prawego posiadacza, uczują w nocy i wyprawiają zakazane pląsy, a kocie łapki w ciągłym utrzymują baczeniu. Pani starościna czuwała. Wczorajsze różnobarwne

powieści krążyły jej po głowie. Była to kobieta wychowana pod wpływem staroświeckich pojęć o strachach, przeszkodach i t. p.; a zatem miała nabytą skłonność do figlów imaginacyi przyrodzonych w wieku. Rzecz dziwna na pozór że tak potężny w swoich organach rozum, niewymyśli na nie raz przecie jakichkolwiek egzorcyzmów. Jakkolwiek pani starościna starała się oganiać z tych natrętnych myśli, dziwiła się wszelako i zrozumieć nie mogła jak się działo, że w tak ciemnej nocy wzrok jej dostrzegał jakieś dziwaczne figury skaczące nad powierzchnią podłogi. To niby długa wysmukła postać, w płaszczu czarnym przesmykała się po pokoju, to niby jej kapelusz rozwinął się w nieskończenie długi pas i zniknął zamieniając się w formę ptaszków otoczonych na około miljonami iskierek, to niby niedźwiadek uwiązany na sznurku cieniutkim rozdziawiał paszczę pod najrozwartszym w świecie kątem i różne takie rzeczy. W takim to stanie była starościna, kiedy okazało się nowe, już nie jak pierwszej oderwane, ale in concreto istniejące, rzeczywiste zjawisko. Z lekka, otwierają się drzwi, niewidoma jeszcze osoba zamyka je za sobą, zbliża się i niestety... cała ubrana była w bieli, stała z wolna, zdawała się szukać czegoś albo wystrzegać aby jej nie usłyszano. Starościna chce krzyknąć, lecz usta jej zaniemiały, sam uprzykrzony kaszel opuścił ją w tej dobie. Widmo tymczasem

zbliża się i usiada na krześle niedaleko od łożka nieszczęsnej starościny. Komu zdarzyło się czytać stare gawędki albo słuchać prządky traktujące o upiorach i latawcach, kto dziecinne wyobraźnią przeładowałszy tem pół-poetycznym, pół-gminnym pokarmem, uciekał co żywo z kąta do komina, nie mogąc z zimną czyli raczej z ciepłą krwią odważyć się na przejście przez ciemny korytarz, ten odmaluje sobie w myśli położenie naszej bohaterki. Drżała biedna jak listek, zanurzała się głęboko w poduszkę, lecz trudno było stać się głuchą i ciemną, nszy słyszały najmniejszy poruch romantycznego gościa, oczy przez grubą poduszkę widziały. Widmo już stało nad łożem, jedną ręką wsparte o poręcz, a drugą wyciągając ku głowie starościny. Ta, odcięta od władzy i opieki rozumu, oddana w całości na ofiarę strachu, wyglądała tylko pędzszego rozwiązania tragedji. Ale kiedy upior uczyniwszy jeszcze jeden krok przyłożył rękę do ust męczennicy, kiedy z jego głowy jak z głębi pustego gmachu wysunęło się kilka ciemnych i niezrozumiałych słów podobnych do mrukliwej deklamacji niedźwiedzia, wtenczas starościnie się zdało, że ta ręka miała dwanaście sążnistych palców, a każdy z nich lodowaciał. Cały traktat o strasznej bogini magistra stanął jej przed oczyma. Ah! sprawdził się on aż nadto. Bo widmo kończąc tajemniczą mowę, podniosło straszliwą rękę, chcąc zapewne zadać cios

fatalny, nakoniec po chwili rzekło albo raczej pi-
snęło w te słowa: „grzeszniku, dni twoje spełniły
się, nie pomny na przeznaczenie tve, ośmieliłeś się
jeszcze haniebnym trunkiem zaślepiony, wątpić o
mojej władzy, skarcieś mądrego starca który ci
silną potęgę moją opisał! gotuj się, wracaj do
przytomności jak najrychlej, bo wkrótce utracisz ją
na zawsze, albo powiedz co masz na usprawiedli-
wienie.“ Usprawiedliwienie, jedno słowo tylko,
usprawiedliwienie, sprawiło że rozum starościny
wrócił w dawne stanowisko, odzyskał moc odby-
wania logicznych czynności. Ktoby się był spodzie-
wał; że starościna odważy się na odpowiedzenie
śmierci acz drżącym głosem: „Królowo wielowła-
dna! ja jestem ż... żoną tego nieszczęsnego blu-
źnierca...“ Na te słowa widmo, jakby na skinienie
czarodziejskiej laski, rzuciło się ku drzwiom sta-
rosty, nie zważając już na dalsze wyrazy, w któ-
rych może najtkliwsza prośba o przebaczenie była
zawartą. Lecz cios już był dany... starosta jęknął...
jęknął i zamilkł. Niepojęty gość pomału wraca zno-
wu do pokoju, gdzie go po raz pierwszy ujrziała
pani Brońska, a wraca skromnie, omija krzesło i
łóże, idzie wprost do okna, uderza w wiszące tuż
zwierciadło, zruca je na ziemię i wylatuje oknem...
Starościna, przyszedłszy do zmysłów po raz drugi,
chce wołać na męża, aby rozstrzygnąć straszną za-
gadkę... chce wołać i już na pół zawołała, lecz da-

lej nieśmie. Wstrzymywało ją jakieś uczucie; Bóg wie co to za uczucie było, nie mieszczące się w karbach opisu... Nareszcie niedaleko od dworu, w ościenych mu kurnikach, odezwały się kilkakrotne kukuryku, hasło zwycięstwa poranku nad nocą, kryzys władzy szatańskiej. Bohaterka nasza, w nocnym czepku, w skutek dziwacznej katastrofy pomiętym i wykręconym, przy pierwszym zabłyśnięciu światła, zaopatrzona w stanowcze i neutralne „stało się,“ powstała z łóżka, aby doświadczyć czy to wszystko było tylko marzeniem lub nie? Już prawie była bliską pożądanego wniosku, gdy nagle wpada jej w oczy potłuczone zwierciadło. Jak piorunem rażona na miejscu, zrobiła kilka stąpień bez znaczenia... Stanęła, i znowu dalej, i te kilka kroków dalej dowiodły ją do drzwi starosty... po co ona tam szła? jeżeli nie sama, tedy kto inny niech za nią odpowie... aby go powitać? a jeśli nie żywy? aby płakać nad nim, a jeżeli żywy aby śmiać się — nie, było to coś innego zupełnie. Zamyślona i bardzo dziwnie zamyślona, spostrzega że drzwi przeciwko zwyczajowi stoją na pół otwarte, a na pół zamknięte, jak usta osoby, która, chciawszy coś wyrzec, w tym przerażona, albo z innej nagłej przyczyny, zamilknie; trzymając usta na granicy milczenia i mówienia. Podobno to spostrzeżenie było okropniejszemu nad wszystkie dotąd widziane sceny. Ten próg mały był dla niej górą olbrzymią. Nie

przestąpiła go wcale, weszła tylko głową i szyją i słuca. Był tam jakiś szmer pomieszany, a że okienica trzymała pokój we mroku, nie można przeto było dorozumieć się, czy ten należał do szcurów, czy do kogo innego. Biegnię więc po służących, budzą Lisickiego, proszą aby w tak śpiesznej potrzebie przybył w szlafroku. Zawołany wchodzi, nadstawia ucha i po chwili rozmaitych badań, donosi mglejącej prawie kobiecie, że niema tak wielkiego niebezpieczeństwa jak sądzono, gdyż stary chrapie jeszcze niezgorzej. Jakoż w istocie niebawem wstał, ubrał się i przyszedł na kawę. Starościna niewiedziała właściwie od czego zacząć historją. Jednak opowiedziała ją jako tako, naturalnie, o ile zapamiętać mogła. Smieli się wszyscy do rozpuku, śmiał się Broński z urojeń kobiecych, zagrzebując niekiedy włosami nieznaczny siniaczek, który mu jednak wyglądał z pod zasłony i bardzo był do twarzy.

D. T.



I.

DO CZCICIELA DOBREGO TONU.

Któż cię opiszę, wieściom pochwalnym uwierzy?
Pierwszys na ucztach, pierwszy w igrzysku tancerzy!
Ale duch twój, niestety, rozkoszą znękanym
Nie wzbije się nad ciało, nie wyjrzy przez oczy,
Bo oczy twe, jak szyby zgruchotanej ściany,
Którą zamek konając, wnet w gruzy zatoczy.
A cóż gdy duch wygaśnie—patrzac na ruiny,
Jego dawnej siedziby, któż z przechodni powie,
Ze tam na radę, niby rozumni mężowie
Chodziły wielkie myśli, rodząc wielkie czyny,
Nie tak powie przechodzień—zmylony na chwilę
Ominie grób, gorzkiego nie szczędząc uśmiechu,
Na podziękę czasowi, że wytrwalszy wsile,
Na wieki wieków zburzył siedlisko przepychu,

Władzę cisnął żywiołom, która za dni życia,
 Służyły ci tak wiernie, darzyły zasobem,
 Mocy, blasku i barwy, aby wprost z powicia,
 Ciało wnieść na tron, duszę zostawić za grobem!

Tak, jużes dziś za grobem przyjacielu młody!
 Bo choć zamglony dymem bogactw i urody,
 Odwracasz się i dawnej znajomości przecyzysz,
 To wzrok winiąc, zbyt słabej pamięci zlorzczysz,
 Ja, człowiek, ja twój bliźni, miałbym również ciebie
 Nie kochać, nie uronić lzy na twym pogrzebie,

Lecz ten obraz na później,—dziś dopóki lata,
 Póki w twarzy tli jeszcze myśl niby wesola,
 Biegaj po błoniach życia, po salonach świata,
 Chwytaj kwiatki z rąk pięknych rzucane dokoła,
 I oklaski ubrane w cudzoziemskie słowa,
 Tak zimne i niewieście, jak usta i mowa.

Wtenczas jaśniejąc zdala od wdzięków i złota
 Którym oby nie jeden raczej z twych współbraci,
 Skrzepił siły stargane na drodze żywota,
 Pomyślisz że gród cały wzrok na tobie traci;
 Wtenczas poglądaj, jeśli w biesiadników tłumie
 Nie ukrywa się sędzia, srogi lecz nie mściwy,
 Poznasz go ze spojrzenia—grono nie zrozumie,
 Lecz to spojrzenie stanie za wszystkich podziwy.

II.

WSPOMNIENIE NA MYŚL GMINNĄ.

Oczy moje oczy, gdzie wy spoglądacie,
 Ku Lubelskiej stronie.....

Cudnaż to strona, cudna z dziejów i urody,
Zna ją ptastwo ościenne i w pieśniach opiewa,
Jej kręte ścieszki, wzgórza, zwierciadlane wody
Wktórych słońce po wstaniu twarz sobie umywa,
Z chmur i z ciemności nocnych—a gdy odświeżone,
Wchodząc na niebo świetną przywdzieję koronę,
Tu go od wszystkiej ziemi pieśń hołdowna wita,
U szczytu kościół, niby proporzec zatknięty,
Przed wieki nad rodzajem człowieczym straż trzyma,
Burzy w miasto niepuszcza—na dole rozbita,
Stracona z góry rzeka burzy się i wzdyma,
I dąsa i zlorzczy falami z koryta,
Znów chce wejść na pagórek, zaś pagórek święty,
Już drzewa zamieszkały—z nich jedno w odmęty
Rzucają się z wybrzeża, a inne do góry,
Szczelblują jak swawolna dziatwa i na mury
Pną się jedno przed drugim, by przeleść do grodu,
Lecz grod zamknął się z człkiem i zabronił wchodu,
Naturze—dziś sam mieszka zdala od natury,
Czasem tylko przechodzień, jak kropla dęszczowa,
Burzą losu zagnany w te drzewa i chłody,
Powita je i długo pamiątkę przechowa
O jakiejś stronie cudnej z dziejów i urody.
Grodzie w którym spędziłem szczęśliwszy wiek młody,
Jeszcze cudniejszy dla mnie z dziejów i urody!
Przez głębią tych zarośli, przez liści potopy,
Wieleż to razy płocze nosiły mię stopy.
Tutaj, jak dziś pamiętam, grono przyjacieli
Wybiega tłumem, słodką wieścią się podzieli,
Wieścią, Bóg wie jak blachą, a w chwilach przechadzki
Samotnej, kiedy prośby, pytania daremne,

Jeszcze przed wschodem czatując z zasadzki,
 Schwyta westchnienie, imię podsłucha tajemne,
 Więc wypada, natrząsa się z dum i uczucia,
 Natrząsa się... lecz nie tak bolała ta rana,
 Jak dziś udział nieszczery, litość pożyczana,
 Lub uśmiech bez natchnienia, żal bez współuczucia;
 Słówka pełne słodczy, pełniejsze zatrucia.

III.

Ustęp z XII pieśni Nalo,'

wielkiego poematu w mowie Sanskryckiej (*).

Damajanta, córka Bimy, po długim i bezskutecznym szukaniu zwyciężonego w bitwie małżonka, udaje się do gaju, świętego siedliska Braminów, z zapytaniem o przyszłości męża (Nalo).

(*) Niniejszy ustęp umieszczony jest u Boppa (ks. Gr. M. Sanskr. Berlin 1834) pismem, które naród dewangary, czyli *pismem bożem* nazywa. Majestatu pełna dźwięczność mowy Sanskryckiej (zawierająca się w przemagających żywiołach głosowych, w olbrzymich budowach wyrazów, w doskonale rozwiniętym organizmie spółgłoskowym) jest zapewne jedną zdobitą znamion, odznaczających jej poezje. Wszakże dodać wypada, iż ze względu na wewnętrzną istotę, wielka myśl estetyczna ożywia to ciało starego wschodu, tak sławne i okrzyczane w dziejach starożytnego postępu. To też również wielkie imiona jak w innych tak i w tej dziedzinie wydał nasz wiek naukowy, czy to z badań dziejowych, czy językowych. Dość przytoczyć imię Boppa, Humboldta, Wilkinsona, Haughtona, aby się pokorą przejąć i uwielbieniem.

Umieszczając niniejszy ustęp, niby grosz jeden z wielkiego skarbcu patryarchalnej literatury, winniśmy uprzedzić czytelników Fijołka, iż mielibyśmy za zniwagę jego przekształcać w czémkolwiek grube, lecz drogie i szczer-złote piękności wspomnionego poemu. Ale zarazem jakaż w świecie forma mogłaby się zdobyć na doskonałe odbicie staroindyjskiego świata, którego wyobraźnia bujna, malowidła fantastyczne, już od wieków złożone są w grobie! Wszakżeż to razem z myślami i postaci odżywają swój wiek i okwitają na zawsze. Wybraliśmy więc formę miarową, starożytną, z tém ograniczeniem, iż zamiast daktylicznego, użyty jest czasem inny naszemu układowi metrycznemu właściwszy:

Wstąpiła do granic samotnej siedziby kochanka Nalusa,
 Perła głów białych, pobożna i trzykroć błogosławiona.
 I chyląc się woła, witajcie bramany, i korzy się znowu;
 Witaj, nawzajem! całe odrzekło jej grono.
 A jako przystało oddawszy jej hołdy, sędziwe kapłany,
 Siądź Damajanto, mówili, a powiedz co mamy uczynić,
 Tu świetnej postawy odrzekła niewiasta, o błogosławieni,
 Pokój wam, pokój trzykroć, szczęśliwi i wolni od zmayı,
 Pokój w ofiarach, wśród ogniów i zwierza i ptaków wszelakich,
 Więc też pokój i tobie, odrzekli, czcigodna pokój ci wszędzie!
 Lecz powiedz nam cudna kobieto kto jesteś, co pragniesz uczynić?
 A wszako na widok twych liców i tyłu niezmiernych powabów
 Stał się nam podziw nie mały — odpocznij i smutku zaniechaj!
 Czy tylko nie jesteś królową tych lasów, tej rzeki boginią,
 Czyś nie jest tej góry boginią, o powiedz nam prawdę czcigodna!
 Ta znowu odpowie do mędrców, nie jestem tej góry boginią,

Bramini, nie jestem królową tój rzeki, tych lasów królową,
 Ja jestem śmiertelną, tak zważcie u siebie, odziani świetnością,
 Że wszystko wam powiem za prawdę, a co wam opowiem słu-
 chajcie :

W krainie Widarbisz jest Bimus imieniem, co trzyma nad ziemię,
 I strażę i rządy—ten moim rodzicem, o pierwsi z bramanów
 A mężem władca Niszadów, Nalo pełen rozumu,
 Ichwały bohater, zwycięzca w potyczkach, a słynny mądrością,
 On włada Wizami, cześci Bogów, szanuje imiona Bramanów,
 Ma w pieczy plemię Niszadów, potężnego w świetności i sile
 W rozumie, czynach i słowie niemylny, postrachem dla wrogów
 Nalo szczęśliwy, on Bogów ukochał, wziął grody ościenne,
 Pierwszy pomiędzy królami i blaskiem do Brama podobny,
 Mąż dzielny, z obliczem światłości księżycy z dużemi oczyma,
 Zbił wrogi, urządził ofiary i czytał z ksiąg Wedos-Wedangos,
 Przeciwnik legł przed nim, a twarz ma jak słońce i jasność księ-
 życa.

A jako czcigodny stróż ziemi, sam cnoty i prawdę polubił,
 Tak wezwan do walki od niecných i w boje wprawionych zbro-
 dniarzy,

Bez serca i wiary—dziś władzę utracił, utracił dostatki,
 Tegom ja pana nad pany i króla nad króle małżonką,
 A Damajanty mam imię, pragnącej twarz jego oglądać
 Jam to troskliwie przez lasy i wzgórza, przez rzeki i stepy,
 Przez wszystkie bagniska i gaje błędząca, tu z raną na duszy,
 Po mężu walecznym, oręża świadomym, nieszczęsna zabiegła,
 Jeśli w te gaje, samotne siedziby wybrane przez Bogi,
 Niezblądził król Nalo, mój luby co rządzi plemieniem Niszadów,
 Ku niemu stroskana wybiegłam w te puszcze bez drogi bez śladu,
 A wielce straszliwe, gdzie mieszka nie człowiek lecz tygrys naj-
 dzikszы,

Tak jeśli w dniach kilku i nocach nie ujrzę obliczów małżonka:
 Wnet ciało rzucając ulecę w dziedzinę szczęśliwszej przyszłości.
 Gdy słyszą te żale i łkania niewiasty po gaju ustronnym,

PRZEKLEŃSTWO

SZKIC

Z DRUGIEJ POŁOWY XVI WIEKU.

(z ryciną.)

przez

L. S.....a.

Wszystko kochany, co fraszce rolnicy, zdrowi i ci
Mieszkańcy, jak nikt nie umiał, tak przetrwał i dzisiaj
Kochany.

Co dzisiaj przetrwał i dzisiaj, i tak nie da wrogów pogromcy,
Wszystko to to jest, jak nie da ci tytuś i tak
Wszystko to to jest, jak nie da ci tytuś i tak

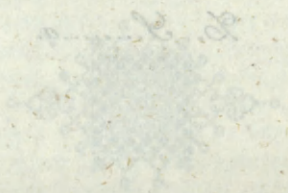
PRZEKAZANIE

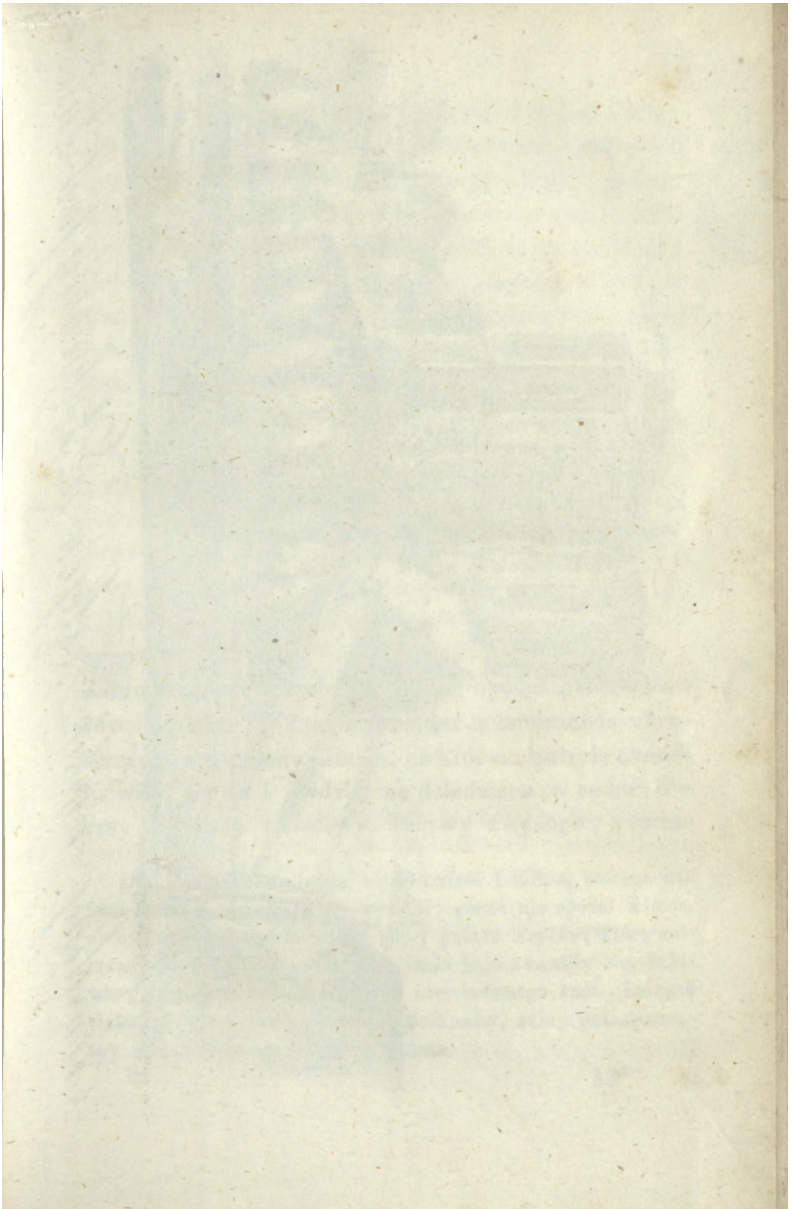
00000

W DROGIEJ POLOWY XXV WIEKU

(a tytuś)

1900





I.

Wewnątrz kiry katafalk i trumna, a wszędy
Błado się pała świece, czarno, głucho wszędy,
Błady jak łysk od gromnie, co mu na twarz wbiega
Smutny jak śpiew umarłych co się tam rozlega.

Marja Malczewskiego.

Na wzgórzu Czechówki (*) nie opodal pałacu Tarłów, w roku 1582 stał dworzec z modrzewia chruszczianym ogrodzony płotem, po którym gałęzie chmielu wiły się tu i owdzie, na dziedzińcu w różne floresy usadzone zieleniały krzewy z hyzopu, rozma-

(*) *Czechowka*, jedno z przedmieść Lublina, którego za budowania wznoszą się na wysokiej górze nie opodal miasta, na owem przedmieściu widać ruiny pałacu Tarłów, który zniszczał starością, albowiem sklepienia jego zawaliły się, zabwszy trzy panny szlacheckiego niewiadomego rodu, których ciała spoczywają w kościele Dominikanów, ruiny pałacu smutny widok stawiają oku przechodnia.

rynu, bzu i fiołow, w środku stał słupek z kótkami żelaznym, mosiężnym i srebrnym do przywiązywania koni (*), dalej gołębnik, w rogu ciennik pod rozłożystą lipą upstrzony gałązkami błękitnego powoju, a opodal gumna. Dworzec z modrzewia na Czechówce znała młodzież okoliczna, bo była tam dziewczka, jak mi Bóg miły cudnej urody, miała lica jak dwie róże, usta by korale, a oczy—oczy—jak dwie lśniące gwiazdy co błyskają niebieskim ogniem na lazurowym niebie, gdy szesnastą dobiegła wiosnę nie było dnia w tygodniu, by sroczka skrzecząc na płocie nie wyróżyla nowego do Czechówki gościa, co przybywał w zalecanki, lub by Hanna wychodząc o wschodzie słonka na podwórzec, nie ujrzała u swego okna zawieszzonego wieńca z kwiatów (**), gdy śliczna Hanka obdarzyła miłym spojrzeniem którego z zalecających, rodziła wściekłą zazdrość w sercu drugiego i nieraz zawiśni orężem rozstrzygali zaszele między sobą spory. W niedzielę gdy głośniejszy dzwon Farnego kościoła (***) wzywał na mszę świętą, Han-

(*) Do pierwszego kółka wieśniak mógł przywiązać konia lub bojar przysłany z listem, do drugiego niższy dworski, do trzeciego wyłącznie szlachcic dworzani.

(**) Złożyć wieńiec, na łóżku dziewczyny, zawiesić go u drzwi lub u okna jej komnaty było oznaką zalotów.

(***) *Fara* na ulicy Grodzkiej, przez Leszka Czarnego po zwycięstwie nad Jadźwingami, założona na cześć Archanioła Stróża r. 1282, stoi przeszło półszóstego wieku, dziś zamknięta, albowiem zagraża niebezpieczeństwem.

na szła z ojcem do Lublina, a młodź biegła by choć ujrzyć krasne lica dziewczki Jana Bożydora z Czechowki, nie jeden westchnął boleśnie ujrzawszy oczęta anielskiej Hanny, że jej posiadać nie może, a każdy oddałby życie za jeden pocałunek koralowych ust jej, które krom ojcowskiego uścisku nie znały w swém życiu innego. Pomiędzy ubiegającemi się o rękę Hanny było trzech różnych młodzieńców, co dzielnie potykali się z pohańcem: Jakób Przyłęski z Piasków (*), Andrzej Mikosza z Tatar (**) i Jan Ościk z Sobieskiej Woli (***), tak rok upływał a ojciec Hanki głaszcząc jej rumiane lica, mawiał doń nieraz:

(*) *Piaski*, miasteczko niegdyś dziedziczne Pawła Bogusława Orzechowskiego herbu Rogala, dziedzica Orzechowa wziemi Chełmińskiej, który był Podczaszym, a potem Podkomorzym, wiele urzędów sprawował z zaletą, r. 1576 zjazd Sandomierski do króla Stefana posłem go swoim i mową wyznaczył, na sejmie obierzczym króla Zygmunta III r. 1587 koła rycerskiego ster trzymał, jako marszałek poselski i przy zabezpieczeniu różnowiercom wolności sumienia gorliwie obstawał. Na wyszłą księgę *Hieronima Powodurskiego* pod napisem *Wędzidło*, wydał Orzechowski obronę swego wyznania *Epistomium na wędzidło* r. 1583, piaski potem były w posiadaniu Stanisława Orzechowskiego syna Bogusława, a następnie zostały dziedzictwem Suchodolskich i dziś są w rękę ich spadkobierców.

(**) *Tatary* były niegdyś przedmieściem Lublina, dziś wieś prywatna, początek swój i nazwisko biorą od czasów oblężenia przez Tatar za Kazimierza Wielkiego r. 1340 wówczas usypali Tatarzy wprost zamku na łąkach wielkie okopy Bystrzycą i Czerniojówką zwane, dziśłysą górą.

(***) *Sobieska Wola*, cztery mile od Lublina, gniazdo fa-

— I cóż moja Hanka, wybierzesz-że sobie jakiego rażnego chłopięcia, byś po mej śmierci miała nad sobą opiekę? jużci to i czas po temu moja luba dziewczko, a pan Mikosza wielce docięra, szlachcic też to z urodzenia i retorykę skończył, uczciwy, bogobojny i już zaprawił prawicę na harcu z Tatarami.

Hanna gdy tak przemawiał doń rodzic, spuszczała oczęta, nierzekłszy słowa tłumiła westchnienie tłoczące pierś jej dziewiczą, bo od pół roku Hanki pobladły jagody i oczęta nie takim błyskały ogniem i na ustach z koralu nie igrał uśmiech wesela, nie raz w zadumaniu długie spędzała godziny, a gdy pieśń zanuciła, głos jej był tak smętny a pieśń tkliwa, rzewna, że aż serce od żalu pękało. Okoliczni sąsiedzi w podszeptach mówili: że Hanka kocha skrycie, że co wieczór w późną godzinę gdy kur ma zapiąć, jeździec na gniadym koniu podjeżdża pod wrota dworca, z którego Hanka wychodzi kryjomo i pod lipą w cienniku z nim długie spędza godziny. Od pół roku pokochał Hankę Janusz Oźga, dworzanin Andrzeja Firleja kasztelana Lubelskiego z Dąbrowicy (*) i dziewczę kochało go skrycie przed

milii Sobieskich, tam mogiły Jadźwingów przez Leszka Czarnego wybitych, lud pokazuje, tu się rodził król Lewart.

(*) *Dąbrowica*, o milę od Lublina, była gniazdem sławnej w kraju naszym familii Firlejów, o której tak Bielski w swej kronice w księdze wtorej na karcie 56 mówi: „Król Łokietek peregrynując przez Frankonią, był w domu u szlachcica jednego, który używał herbu Lewart, tedy teuz szlachcic od-

ojcem, bo raz gdy Janusz bywając w Czechowce zwałnił się z Andrzejem Mikoszą, nie szukał pomsty za obrazę czci swojej, rzekł Bożydar gdy doń powtórnie zawitał :

dał mu syna swego za sługę, którego król do polski przyjechawszy, opatrzył i z bogatą wdową ożenił, a ta acz miała syna, wszakże był duchownym proboszczem u św. Florjana. Z tąż wdową on Frankończyk miał syna Ostarjusza, który potem był Obożnym królewskim, z tegoż urzędu miasto Firleger, niemieckiego słowa jęto go zwać Firlejend, a potem potomki jego po dziś dzień zowią,“ familja Firlejów wzniesła się za panowania Zygmunta I, pr otekcja królowej Bony wiele temu domowi do wzrostu pomogła, o czém napisał Krasicki:

Ta co od nas uciekła z niezmiernym połowem,

Chytra, chciwa, lubieżna, włoszka jedném słowem,

Co się przy pańskich dworach dość zwyczajnie dzieje,

Tém co zdarła od drugich, stroiła Firleje.

Józef Konstantyn Bogusławski, kanonik Wileński, w opisie życia sławnych polaków, powiada: iż czytał w starym rękopiśmie: że gdy królowa Bona witając Mikołaja Firleja kaszt. Krak. het. koron. przychodzącego do niej z uszanowaniem chwaliła na nim piękny jego ubior, Firlej dowcipnie odpowiedział: Królowo, wiem o tém dobrze, że ci się podobam, bowiem w twojej skórze chodzę,“ ów Firlej miał wielkie względy u królowej. Ile pamięć Bony łączy się z wspomnieniem Firlejów miałam tego dowód oglądając zwałiska zamku Dąbrowicy: mieszkańcy jego bowiem za przybyciem tam moim wiedzeni ciekawością, wyszli przyglądać się, gdy oglądała ruiny, a jedna z kobiet rzekła: Co tak imościunia przygląda się owemu zamkowi, toć pono był on królowej Bony, a później jakieś Firleje tu mieszkali. Dąbrowica w roku 1582 uależała do Andrzeja Firleja kaszt. Lub. starosty Sand. potem była w posiadaniu jego spadkobierców, dziś dziedziczy pan Lingienau.

— Słuchajno waszmość, kto nie pomści za obrazę swego honoru, nie wart czci uczciwych ludzi, ani, by ich progi śmiał deptać swemi nogami, za-prześtań waszmość odwiedzin u Jana Bożydara w Czechowce, który, gdybyś waść był jego synem, wy-gnał by go z domu za czyn niegodny rycerskiego serca.— Janusz ściał zęby, a gdy sromotnie opuszczał dziedzieniec Czechówki, w duszy jego zawarła straszna zemsta. Poznał dobrze ojciec Hanki dworzani-
nina z Dąbrowicy, już on nie jedną obrazę płazem puścił, nie jedną dziewczkę z niesławił, a dwudziestą czwartą licząc wiosnę życia, jeszcze się nie stał z pohańcem, co granice kraju niszczył i łupił, gdy Jan Bożydar w tém wieku nie jednego ubił Bisurmana, zatem nie lubił widzieć młodzieńca co mógł dźwignąć w prawicy swej oręż, by pod pierzyną, a nie w polu otwartém spoczywał, czekając dnia następnego bitwy z pohańcem.

Jan Bożydar znany był z męztwa, pierwsze miał on pole do okazania odwagi za Zygmunta I, podczas wtargnienia na Ruś Tatarów, którzy rozpuściwszy w zagony, niszczyli kraj około Winnicy, gdy Bernard Pretwic (*) pędził ich aż pod Oczaków, oj-

(*) *Bernard Pretwic* herbu Wczele, starosta Barski, go-dzien pamięci potomnych, pogromca Tatarów, lud długo o nim śpiewał piosnkę :

Za czasów pana Pretwica,

Spała od Tatar granica.

Pretwic umarł r. 1561 starostą Trembowelskim.

ciec Hanki dzielnie się sprawił w owej potrzebie, placboju ścieląc trupem Tatarskim — r. 1549 wspólnie z tymże Pretwic, Janem Herbutem, Aleksandrem i Prokopem Sieniawskim, gdy Tatarzy Peremirkę oblegli i tam jako dzielny rycerz walczył, nie opuścił on żadnej wyprawy aż do roku 1575. Kiedy Konstantyn wojewoda Kijowski zebrał ludu niemało naprzeciw Tatarom wkraczającym w granice kraju, którzy aż pod Sieniawę podeszli, a ztamtąd rozpuściwszy w zagony palili miasta, wsie, a krom pobitych, starych ludzi i małych dzieci, wywiedli ludu w niewolę pięćdziesiąt i pięć tysięcy, koni sto pięćdziesiąt tysięcy, bydła i owiec bardzo wiele nie wspominając innych łupów szat, złota i srebra (*), a tak prędko uchodzili, że dogonić nie można było, trocha naszych pędzili ich aż do granic Wołoskich, by odbić swoich na przeprawie pod Chocimem, ale z zamku broniono przystępu ogniem ze strzelb, a czerni Tatarska zmykała uprowadzając łupy; na jej czele był Alekieriej sułtan z chorągwią kitajki białej i czerwonej, wszereż na dwa sążnie, a na wierzchu kutas z końskiego ogona farbowany, a było pod nią ludu 15,000, dalej Łazidgieriej Sultan z chorągwią kitajki zielonej i białej, pod nią było Tatar 10,000, Alikieriej z chorągwią czerwoną od dwu ogonach, pod którą szło Tatar 10,000; Salkieriej z chorągwią kitajki czerwonej i białej z kutasem, było tam ludu

(*) Kronika Bielskiego księga szósta kar. 202.

15,000. Za tym szedł sułtan Kikierej z chorągwią kitajki białej i zielonej o czterech ogonach, a wiódł z sobą 8000 ludu. Za tymi szli Cirkusowie, Pietyhorecy, z chorągwią kitajki białej i zielonej z kutasami, ludu tam było 7000; Dobrudcy i Białogrodcy Tatarowie, szli wprzód przed wojskiem z Bukajem, których było 1000. Komuników też było o jednym koniu chłopów wyborowych 15,000, a nad temiż wszystkimi wojskami mieli władzę najpierwszą synowie cara Prekopskiego, których tam było siedmiu (*), w owej to sławnej wyprawie, gdzie mała garstka polaków walczyła przeciw tak ogromnej massie pogan, ojciec Hanny był ranny i więcej nie zdolny by z orężem w ręku mógł służyć ojczyźnie. Bożydar dosłużywszy się stopnia rotmistrza, utraciłszy ukochaną żonę, osiadł z jedyną córką w szczupłej zagrodzie na Czechowce odziedziczonej po ojcu.

II.

Zbudziła się ze snu natura, znikły śniegi co matkę ziemię w lodowatych tuliły objęciach, zazieleniały łąki na których mała trawka wychyliła drobne listki jak młoda dziewica twarz czarowną na świat złudzeń, i strumyk czyściejsze toczył wody,

(*) Cały opis historyczny patrz kronikę Bielskiego księgę szóstą kar. 203.

i skowronek bujał wysoko nucąc śpiew zmartwych-
wstania, a w łonie śmiertelnika zatliło nowe życie,
gdy świat osłoniła szata nadziei—w początku maja
r. 1583, zmrok zapadał, gwiazdy błysły na niebie,
księżyc wzniosł się na niebieską przestrzeń oświe-
cając wyniosłe wieże Lublina i okoliczne wzgórza,
nic nieprzerywało nocy ponurego milczenia, gdy
tentent konia dał się słyszeć i na łące od strony
Dąbrowicy ukazał się jeździec osłonięty szarą opoń-
czą, zbliżył się do modrzewiowego dworca, stanął
u wrot, a z siadłszy z konia, z cicha wemknął się
furtką; po małej chwili skrzypty drzwi dworca i
postać Hanny ukazała się na ganku, dziewczę jakby
walcząc z uczuciem, którego zwyciężyć nie mogła,
wolnym krokiem zdążyła ku ciennikowi, kędy ukryty
stał jeździec przybyły.

— Hanno, — rzekł cichym głosem gdy się doń
zbliżyła, — jesteś gotową?

Dziewcze milczała zalana łzami.

— I znowu płaczesz, — krzyknął przybylec ude-
rzając pięścią w stół kamienny.

— Na miłość Boga Januszu, ulituj się nademną,
nie żądaj bym sromotnie dom rodzica opuszczała, —
wołała Hanna z rozpaczą załamując białe rączki, —
ach odkryimy mu miłość naszą, prosimy...

— Prosić twego ojca, — krzyknął Janusz zgrzy-
tnąwszy zębami i na rękojęść oręża rękę położył
i błysnął wzrokiem pomsty na wybladłą twarz swo-

jej ofiary,—chodź,—mówił uśmiechając się szatańsko,—chodź, kur już zapał i koń czeka u bramy.

— Nie mogę,—zawołała Hanna opierając się gwałtownej sile Janusza, który ją za rękę ciągnął do furty,—ulituj się,—wołała młoda dziewczica,—jeszcze dozwól dzień jeden spędzić z moim ojcem, tak dzień jeden, jutro, jutro opuszczę rodzinną zagrodę, opuszczę świat cały dla ciebie,—i załamawszy ręce w niemej rozpaczce padła na kolana i łzawe oczy wzniosła do nieba wołając:

— Gdy mnie zdradzisz, Bóg litościwy będzie moim mścicielem!— w postawie i głosie Hanny było coś nadludzkiego, Janusz schylił mimowolnie czoło ku ziemi, jakby się lękał spojrzeć w niebo, gdzie mu Hanna wskazuje swego mściciela.

— Jutro,—rzekł po chwili,—jutro pamiętaj, ale gdy mnie zdradzisz, biada—i kończąc te słowa dośiadał rumaka i cwałem ku Dąbrowicy popędził.

Hanna z bijącym sercem wróciła do dworca, weszła do komnaty gdzie jej ojciec spoczywał snem cnotliwych, a głos sumienia ozwał się w jej duszy, gdy spojrzała na sędziwe jego oblicze które blask księżycy oświecał. O strasznym jest ów głos w duszy występnej córki, co się poważa zdradzać swego ojca, lub matkę co ją światu w boleściach wydała! Hanna stanęła nieruchomą, gdy rotmistrz gwałtownie rzuciwszy się na łożu, wołać żałośnie począł:

— Hanno! Hanno!

Przystąpiła do łoża, a starzec przecierając oczy, zapytał:

— Jesteś, oh to dobrze, był to sen tylko—i stary rotmistrz przeżegnawszy się nabożnie, obrócił do ściany i usnął głęboko, spokojnie.

Hanna odeszła do swej komnaty nie śmiejąc wznieść swej myśli do stwórcy, bo Hanna była występna! jedna chwila zapomnienia pozbawiała ją wszystkiego na świecie oprócz strasznej jego wzgardy!.. gdzież Hanno skryć zdołasz swoją niesławę?.. nie sąż wszędzie ludzie sędziowie twych czynów?.. gdzież zdołasz ująć ich badawczych spojrzeń?.. piekielnych uśmiechów?.. nie szukaj szczęścia po świecie, gwiazda jego nie oświeca żywota niewdzięcznego dziecięcia, ani błyska światłem zbawienia nad głową występnej niewiasty!.. pokój chwilowy czeka cię w martwym łonie ziemi, lecz i tam nadejdzie godzina srogiego ocknienia, co cię powoła do nowego bytu!.. Hanno zdrzyj! sąd straszniejszy od sądu który na cię wydali ludzie czeka cię w wieczności! Bóg ojciec cnotliwych, odwróci od ciebie niebieskie oblicze, będziesz potępioną!..

— Co ci jest moja Hanko,— pytał jej z troskliwością ojciec, gdy nazajutrz wyszła podzielić z nim śniadanie,—twoje lica jakoś pobladły straszliwie?

— Nie spałam noc całą,— odrzekła Hanna oczy spuszczając ku ziemi.

— A ja spałem,—rzekł Bożydor,—ale sen miałem okrutny, jeszcze mi serce pęka, gdy o nim wspomnę, Boże odwróć odemnie jakie nieszczęście—i rotmistrz westchnąwszy dodał po chwili: — śniło mi się moja Hanko, że późno wieczorem chodziłem po naszym ogródku, gdy głos jakby pochodził z nieba w te słowa ozwał się do mnie: Starcze mało ci chwil pozostaje życia, ale nim dobije godzina twego żywota, czeka cię wielkie umartwienie, tu blask oczy moje uderzył, spojrzałem ku niebu i nad moją głową w czarnej chmurze ujrzałem krzyż ognisty, — wstrzymał się rotmistrz westchnął i dodał po chwili,—gdym miał stracić twoją matkę moją lubą Marysienkę, widziałem właśnie we śnie krzyż temu podobny,—ojciec Hanki umilkł i otarł dwie duże łzy co mu zbiegły na lica,—znikł ów krzyż,—rzekł na nowo rotmistrz, kończąc opowiadanie, a z czarnej chmury biły pioruny, aż się ziemia trzęsła, jeden uderzył w nasz dworzec i w chwili obrócił go w peżynę, gdym nań spojrzał, ujrzałem same jego gruzy, a na nich białą postać niewiasty, która śpiew żałosny łączyła z głosem powstającego wichru, krzyknąłem: Hanno! biała postać znikła, strwożony chciałem dobiec do ciennika pod lipą. O! Boże!.. zastałem tam ciebie klęczącą z dzieckiem na rękę, a rycerz w czarnym kirysie trzymał miecz nad twoją głową, chciałem cię uwolnić, gdym znowu głos z nieba usłyszał: usuń starcze rękę twoją, dziecię

niewdzięczne niegodne troskliwości rodzicielskiej, głos ucichł, a głowa twoja ucięta potoczyła się pod moje nogi, krzyknąłem, znikł czarny rycerz, a ja wołać począłem: Hanno! Hanno!

Rotmistrz przejęty do żywego opowiadaniem, przeżegnawszy się zmówił nabożnie różaniec do Przemienienia Pańskiego, poczem dodał:

— Boże uchowaj moja lubo Hanko, abyś kiedy śmiała pogardzić cnotą, strzeż jej i kochaj, jest ona klejnotem dla niewiasty, gdyby, czego mnie Boże uchowaj, miałbym dożyć twojej niesławy, wtedy Stwórco Niebieski odpuść, ale niewyrzeknę cobym mógł zrobić!...

Gdy domawiał tych słów drżącym od łez głosem sędziwy rotmistrz, Hanna okryta śmiertelną bladością potoczyła się z ławy na ziemię, przełknięony ojciec, krzykiem przywołał służebne, podniesiono Hannę, położono ją na łożu i dopiero po kilku godzinach przyszła do siebie, a troskliwy ojciec pytał co chwila:

— Moja dziewczko co ci jest, gdybym wiedział, że sen mój tak cię zatrwoży, nie byłbym rzekł o nim słowa.

Gdy tak przemawiał, serce biednej Hanki szarpały zgryzoty sumienia, widzi konieczność opuszczenia Czechówki, bo wie że jej ojciec będzie nieubлагanym, tak dzień ubiega, nadchodzi wieczór i gwiazdy błysły na niebie i księżyc jasno świeci, kur za-

piał i tentent konia słyhać już na łące, coraz bliżej, coraz bliżej, coraz mocniej bije serce Hanny i wszystko do koła ucichło, i jeździec stanął u bramy, czeka w cienniku, pies ulubiony rotmistrza wierny Azor, zawył straszliwie gdy Hanna wychodziła z dworca, drżącą stopą przebiegając dziedzieniec, żegna lubą zagrodę, sędziwego ojca, żegna kwiat każdy co w szczęśliwych chwilach swego życia własną sadiła ręką, co niegdyś równa mu wdziękami kwitła z nim razem szczęśliwie i niewinnie pod ubogą rodzinną strzechą, jak on pod nieba osłoną, dziś on jaśnieje wdziękami i prostotą, Hanna umarła dla świata, bo czyż żyje dlań niewiasta co świętokradzką dłoń swoją podniosła by stargać wieniec niewinności, zdobiący skroń jej dziewiczą? Hanna z niemą boleścią zbliża się do Janusza, podaje mu dłoń skrzeptą... idą... straszna ciemność otacza ich do koła, chmura leci od północy, leci szybko, w niej huczy, błyska, w niej strzały i pioruny dla przestępców, w niej głos pomsty niebieskiej na głowy wyrodných dzieci!.. błysnęło, zagrzmiało, i trząst piorun u nóg Hanny i Janusza... stanęli nieruchomi, a w chmurze huczało jak w piekle, błyskało straszliwie... Janusz podniósł głowę schyloną ku ziemi, bo i zbrodniarz zadrży gdy widzi straszne cuda natury i ujrzał przed sobą sędziwe oblicze rotmistrza, który na straszliwe psa wycie pod jego drzwiami, i powstanie burzy, wybiegł szukać nieprzytomnej

w dworcu Hanny i nadbiegł w chwili, gdy Oźga miał ją uprowadzać z dziedzińca.

— Potworo,— krzyknął Bożydar, chwytając Janusza za barki, gdy ten z siłą odrzuciwszy jego rękę, dosiadł konia i popędził cwałem, a nad głową jego błyskało i grzmiało, biły nie opodal pioruny, a żaden nie trafił w niecne jego serce, widno że jeszcze nie nadszedł czas zemsty, gdy się zbliżył do Dąbrowicy, ustała burza, a przy bladym świetle księżycy co się wymknął z za popielatej chmury, ujrzał jak barczysty mężczyzna zastąpił mu drogę, a łapiąc konia za cugle krzyknął:

— Stój Januszu Oźga.

— Kto mnie śmie zatrzymywać?—zapytał.

— Andrzej Mikosza z Tatar.

— A jak się macie,—zawołał Janusz tłumiąc w sobie uczucie trwogi która w nim zrodziła widok Andrzeja i podał mu rękę.

— Usuń ją,—krzyknął Mikosza,—moją prawicę podaję temu co jak cnotą tak rycerską odwagą zasługuje na jej przyjacielskie uściśnienie.

— Tak to?..

— Że waść widzisz przed sobą nie swego przyjaciela ale przeciwnika, bo Andrzej Mikosza jak żyw nie sprzyjał nigdy podłości i zdradzie.

— Powściągnij waszmość swój język,—zawołał Janusz.

— A waść zsiądź z konia i spraw się z tym co

staje w obronie skrzywdzonej niewiasty, jedziesz z Czechówki niecny poganinie, gdzie podejściem i obłudą uwiodłeś dziewczkę, zgotowałeś jej pohańbienie w oczach ludzkich, a na głowę sędziwego rodzica ściągnąłeś sromotę. Andrzej Mikosza miłował Hannę, uczciwie jak Bóg przykazał i jak miłuje prawy nieskażony rycerz, stawaj do obrony potępieńcze z hajduckiem sumieniem,—krzyknął Andrzej grzmiącym głosem, spychając z konia Janusza, który z całą siłą padł na ziemię, błysnęły miecze, lecz gdy uwodziciel Hanny widział przemagającą siłę jej obrońcy, zręcznie poskoczywszy na koń cwałem zmykał z miejsca walki, gdy zdumiony Andrzej zawołał:

— A niecny, podły tchórze.

Janusz przybywszy do zamku smucił się w duchu, że nieprzywiódł do skutku zemsty którą zgotował dla rotmistrza, miał bowiem niecny zamiar uwiodłszy Hannę, wykraść ją i sromotnie opuścić, żałując że mu się nie udał czyn niegodny, legł na spoczynek i po krótkiej chwili usnął głęboko; kto zaburzył czyją spokojność, kto sierocie wydarł niewinność i skrzywdzić ją potrafił, ten może przeżyć pierś bliźniego razem śmierci, wydrzeć serce z łona własnej matki, ten może usnąć, gdy czyn zbrodni spełni,—śpij potępieńcze, aż póki nie wybije godzina ocknienia, aż póki pokrzywdzeni nie powsta-

na z prochu by zaświadczyć mogli nikczemność two-
go życia w oczach sędziego ludów!..

Gdy wymknął się Janusz z ujęć żyłastej ręki rot-
mistrza na dziedzińcu Czechowki, podniósł Boży-
dar leżącą na ziemi córkę i bezprzytomną zaniósł
do dworca.

— Gdzie Janusz,—wołała co chwila,—gdzie mój
ojciec?

Starzec siedział ponury, chmury straszniejsze jak
na niebie kryły jego czoło, straszniejsze pioruny
jak w naturze uderzały w seree rotmistrza.

— Co chcesz,—zapytał gdy Hanna nie ustannie
przywoływała go do siebie.

— Gdzie Janusz,—pytała,—on mnie zdradził.

— Zdradził,—krzyknął Bożydar chwytając za
rękojść oręża.

— Ach! uderz, uderz,—wołała Hanna odsłaniając
białe łono,—uderz, bo ja żyć nie mogę, jestem
zhańbioną!..

Ojciec Hanny z dzikiem wejrzeniem podniósł miecz
nad głową dziewczycy, która klęczała u nóg starca,
ale wstrzymał dłoń dzieciobójczą, tylko ujawszy
rękę Hanny rzekł głosem grzmiącym:

— Szkoda broczyć oręża co w tyłu bojach służył
prawemu rycerzowi we krwi z hańbionej niewiasty,
idź precz z moich oczu dziecię niewdzięczne, wyro-
dne, idź tułać się po świecie i nieznajdź w niczyjem

sercu litości dla siebie, jak jej w sercu rodzicielskim nie znajdujesz, nieś za sobą śmierć i zniszczenie, jakieś je w duszę twego ojca wniosła, bodaj istota której dasz życie, pomściła kiedyś mojej niesławy.

I rotmistrz krwawemi zapłakawszy łzami, otworzył drzwi sieni i kazał wyjść Hannie, lał deszcz, błyskało, a każde uderzenie piorunu zdawało się w duszy Hanny stwierdzeniem przez wyższą istotę przekleństwa które nad jej głową wyrzekły usta rodzicielskie.

III.

Nazajutrz po ulewnej nocy, dzień zawitał jasny i słońce wstało jak zwykle, i ptaki śpiewały jak zawsze, i świat cały śpiewał, w duszy tylko rotmistrza smutek zaległ czarny, bo pogrzebał wszystkie nadzieje co z takim urokiem pieści rodzicielskie serce, spędził noc całą na ławie i oka nie zamknął, tylko wzdychał i niekiedy z boleścią wykrzyknął:

— Czemu dozwoliłeś Boże łaskawy dożyć mi takiej sromoty, czemu lepiej dziki Tatarzyn nie zdjął mi głowy z karku.

Gdy dzień zajaśniał, zdjął rotmistrz miecz ze ściany i ostrzył go dobrze na obie strony, starannie jak kiedy wychodził na wojenkę z bisurmanem,

wziął świąteczny żupan, siadł na koń i pojechał traktem Dąbrowickim—przybywszy do Andrzeja Firleja kasztelana Lubelskiego, zapytał stojącego u drzwi pachołka:

— Gdzie jest Janusz Oźga?

— Jeszcze przed wschodem słońca zamek opuścił.

— Gdzież się udał?—krzyknął rotmistrz.

— A bies go wie, nigdy on się nie sprawiał nikomu kędy go czarci wodzili po świecie.

— Jak się macie panie rotmistrzu,—zawołał kasztelan schodząc do dolnych komnat, gdy ten rozmawiał z pachołkiem,— proszę was — mówi drzwi otwierając,—siadajcież, cóż was tu sprowadza.

— Sromota miłościwy kasztelanie.

— Jak to?

— Znacie mnie od dawna, wiecie żem spędził żywot jak przystoi na uczciwego człowieka, biłem nieprzyjaciół kraju jak to winien prawy czynić rycerz, czyn hańbiący nie plami życia Jana Bożydara z Czechówki, ale własne jego dziecię ściągnęło nieślawę na ojcowską głowę,—gdy kończył te słowa rotmistrz, łzy mu spłynęły na sędziwe lica, a łkania niedozwoliły mówić.

— Tak miłościwy kasztelanie,—dodał po chwili,—wasz dworzanin Janusz Oźga uwiódł mi dziewczkę, przybyłem pomścić się mojej zniewagi, zdjąć głowę pohańcowi albo samemu skonać,—i rotmistrz

wyjął ostrą szablę i błysnął nią przed oczy kasztelana.

— Janusz — rzekł pan Firlej, — wczoraj jeszcze miał zamek opuścić, pojechał w świat lepszego dla siebie szukać szczęścia.

— Podły Tatarzyn, — krzyknął rotmistrz, — szuka szczęścia gdy zniestawił sierotę, starcowi nad grobem siwy włos skrył sromotą i wydarł mu jedyną w życiu pociechę, by mógł skonać błogosławiąc swoje dziecię! i gdzież to on znajdzie owe szczęście niecny zbrodniarz, kiedy światem rządzi Bóg sprawiedliwy co karze przestępców! żegnam was kasztelanie, muszę śpieszyć, bym póki śmierć w oczy nie zajrzy wydarł serce z piersi poganina! — i Bożydar nie czekając odpowiedzi wyszedł z komnaty, dosiadł rączego rumaka i cwałem do Czechówki popędził, by tam zrobić rozporządzenie na czas oddalenia w celu szukania Janusza, gdy stanął przed dworcem, Andrzej Mikosza wyszedł na przeciw rotmistrza.

— Jak się macie zacny młodzianie, — rzekł starzec i zamlikił, westchnął tylko i łzę cichą co mu zbiegła z oka otarł kryjomo, młodzian czule uściśnął rękę jego i stanął nieruchomie w miejscu, kiedy zwykł był siadywać obok Hanny.

Nazajutrz po ulewnej nocy, gdy ojciec Hankę z domu swego wygnał, dzień brzask swój roztoczył po

niebie, młoda dziewczyna szła traktem Dąbrowickim i rzewnie płakała, ręce łamała i na drodze pod krzyżem padła na kolana, ręce i oczy wzniosła do nieba, lecz płacz jej rzewny odbiły nieme krańce świata, ginął w powietrzu co ziemię dzieli od nieba, bo głos dziecięcia co przeklął ojciec, co matka od swego odepchnęła łona, niedosięgnie nigdy krain niebieskich i Hanka, bo to była ona, na darmo prosiła Boga, na darmo łzami wybladłe sperłała lica, ani płacz, ani prośba nie doszły ucha Wszechwładnego, bo nad jej głową zawisło przekleństwo rodzicielskie!.. powstała, widzi tam na wzgórzu nieopodal zamku Dąbrowickiego, ile dozwoli brzask dojrzyć dzienny pędzi młodzian na gniadym koniu zbliża się...

— Janusz,—krzyknęła Hanna, koń stanął i córka rotmistrza znękana żalem i zgryzotą na kolana upadła,—Januszu—wołała łkając,—rodzic mnie wygnał z domu obarczył przekleństwami!

— A ha—rzekł w duchu Ożga, dość już ma moja zemsta,—i cóż chcesz odemnie,—pytał z szyderczym uśmiechem klęczącej przed nim Hanny.

— Litości.

— Litości, cha, cha, cha,—zaśmiał się szatańsko i dalej popędził światami.

Hanna powstała, wzgarda Janusza zadała jej cios śmiertelny, a słowa przekleństwa brzmią straszliwie w jej duszy: idź tułać się po świecie i nieznajdź

w niczyjem sercu litości jak jej w sercu rodzicielskim nieznajdujesz, już się ziściło, Janusz zaśmiał gdy mu rzekła o litości, zaśmiał straszliwie i popędził daleko. Hanka powstała by zejść z traktu gdzie każdy przechodzień ciekawie nań spoziera, nie opodal od drogi widzi ogrodzony smętarz, tam Hanka idzie, otwiera wrota siada pod krzyżem na mogile, już słońce jasno świeci, słyszy tentent konia, to pewno Janusz, myśli w duchu: może mu żal Hanny, podnosi głowę; to jej ojciec pędzi cwałem ku Dąbrowicy z duszą co pała straszliwą zemstą, zadrżało jej serce, łzy trysły z oczu i ku ziemi schyliła czoło i rzewnie płakać poczęła, nie długo znowu koń tentni, Hanna spojrzęła jej ojciec powraca, westchnęła, załamała ręce i tak pod krzyżem na zimnej mogile została, aż gdy księżyc zaświecił, późno wieczorem skrzyły drzwi smętacza, wszedł dziadek brodaty i spojrzęł w stronę kędy postać bieleje Hanny, znak krzyża zrobił, zmówił wieczny odpoczynek i powolnym krokiem zbliżył się pod krzyż.

— Wszelki duch Pana Boga chwali czego potrzebujesz,—zapytał nabożnie.

— Spoczynku,— odrzekła Hanna, — zlitujcie się dziadku pozwólcie mi tu noc spędzić.

— Ksiądz pleban,—rzekł dziadek, poznawszy że nie z duchem ma do czynienia,—każe starannie wrota zamykać by bydło szkody nie zrobiło, wychodźcie ztąd bo zamknę wrota.

— Gdzie mieszkanie dziadku, może będę mogła noc spędzić u was,—mówiła Hanna.

— Ja mieszkam nie opodal tej kośnicy, bo ja kopię doły dla umarłych i mam dozór nad smętarzem, ot tam— rzekł wskazując za parkan,— mam chałupkę, ledwo się sam zmieszczę, ciasno jak w grobie—i dziadek zatrzasnął drzwi za odchodzącą Hanną.

Gdy rotmistrz przybywszy z Dąbrowicy rozporządził w dworcu na Czechówce, już stał koń przed sienią, ścisnął rękę Andrzeja i rzekł doń ze smutkiem:

— Bywajcie mi zdrowi szlachetny młodzianie, Bóg nie raczył wysłuchać prośb moich, bym was kiedy jak syna mógł uściskać, zostało mi krom tego sroga boleść i sieroctwo, niech się dzieje święta Twórcy wola widno żem zawinił kiedy pokutuję,— i rotmistrz wyszedł przed sień, twarz jego śmiertelna pokrywała bladość, gdy miał się na koń nogi mu się zachwiały, świat do koła okręcił i padł na ręce Andrzeja—gdy go cucono otworzył oczy gwałtem podniósł głowę wołając:

— Podajcie mi miecz mój, podajcie mi konia, ja nie skonom aż się zemścić potrafię,—i starzec przez siłę zwlokł się do progu, lecz znowu zachwiały się mu nogi i świat do koła okręcił, padł trzymając goły miecz w rękę, tarto i cucono, ani znaku życia

tylko zimny a lica śmiertelne, usta zsiniałe i rotmistrz skonał z bolesti.

Hanka wyszedłszy z smętarza gdzie noc spędzić chciała, nie wiedząc gdzie zwrócić swe kroki, po chwili jakby wiedziona nicpojętą siłą, ujrzała się na drodze prowadzącej do Czechówki, zbliża się powoli, bieleją ściany modrzewiowego dworca, widzi okna, w nich światło jasne goreje.

— Co to pyta siebie, czyli mój ojciec biesiadę wyprawia? gdy śpiew żałobny ponury uderza jej ucho o i płacz rzewny słychać pod dworcem pachółka rotmistrza, i pies Azor wyje żałośnic, wchodzi w dziedziniec, zbliża się z trwogą pod progi rodzinnej strzechy nie pyta nikogo, bo jej serce drży a słowa giną na zsiniałych ustach, wchodzi do sieni, drzwi rozwarte a na środku komnaty wysoki katafalk, płoną świece jasnym ogniem, na nim martwe zwłoki rotmistrza, a śpiew rozwlekły, ponury, żałobny, przerywa głuchą cichość w około zmarłego, Hanna załamała ręce i bez duszy padła u progu, podniesiono Hankę, otworzyła oczy, spojrzała na mary, łza lic jej nie rosi, ona się śmieje, o śmieje, ale tak strasznie że aż zimno przechodzi po ciele.

Dnia trzeciego po śmierci rotmistrza, pełno ludu dziedziniec Czechówki zalega, i świece płoną, i rząd

księży idzie śpiewa żałośnie, a barki sąsiadów co dokoła czcili cnoty Bożydara, dźwigają martwe jego zwłoki, a za trumną nie opodal idzie dziewczka, jej lica śmiertelne, oczy krwią zaszłe, usta zsiniałe, idzie, to skacze, to śpiewa żałośnie, lub się śmieje, a lud z żalem powtarza:

— Biedna Hanka, widno bies ją opętał.

Rozwarto drzwi wiecznego pokoju, rozwarto wrota smętarne, gdzie nędzny śmiertelniku zatopiony w uciechach świata, twe znikome ciało rzuca zimnej ziemi, rzuca na pastwę robakom. Postawiono trumnę rotmistrza nad głębokim dołem i księży głośniejszej zaśpiewali i sąsiady rzewniej płakać poczęli, a Hanka w dół wskoczyła wołając:

— Tu, tu, przysypać mnie ziemią, niech z nim razem spoczywam!

Wydobyto Hanke, wstawiono w dół trumnę, rzucono ziemi, śpiew ucichł i lud się rozszedł, spojrzęj człowiecze jak znikomy twój koniec, przysypią ziemią, zapomną ludzie, żona i dzieci zapomną, a ty marzyłeś, o marzyłeś złote światy i cóż ci zostało z owych doczesnych omamień, cztery zbite deski i garstka ziemi!

Noc rozpostarła szary płaszcz nad światem, głucho dokoła i smutno dokoła, a na smętarczy cicho, ponuro, tylko na świeżej mogile bieleje coś zdala, to mogiła Bożydara, a postać biała czyli to duch jego co mu żal świata zstąpił w noc ciemną? nie—

to Hanka, Hanka krzyżem leży i ściska ją w zimnych objęciach.

IV.

Słońce zniżało się ku zachodowi w pogodny dzień lipcowy, w rok po śmierci rotmistrza, roztaczając do koła siebie jaskrawą łunę której blask ognisty odbijały złociste wieże zamku Dąbrowickiego, wieczór był piękny, wszystko ożywione miłym jego chłodem nowego po dziennym upale nabierało życia, ptaki głośniej świegotały, słowik milej nucił, po zielonych łąkach piękniej odbijały różnobarwne kwiaty po których tu i owdzie trzody była malowniczy oku stawiały obraz i melodyjna nuta rodzinnej dumki granej na wierzbowej fujarce przez młodego pasterza, pomykając głos po rozległych smugach łąk leciał w odległą przestrzeń, w duszy słuchacza brzmiąc tonem pełnym czucia i harmonii, bo i cóż milej przemawia do serca jak ów głos tęskny co o rannej dobie, lub o wieczornej porze owie się gdzieś opodal na łące lub w zielonym gaju, to głos czarowny, głos co mieści poezją wiejskiego życia, co wdziera się do duszy by w niej zbudzić pieszczone uczucia, co naszą istotność unoszą w świat zaczarowany—oto jest władza owej fujarki pasterza, której głos brzmi po łące, co odbijają echa ustronń odległych, dalekich, i w ów wieczór

obraz natury upiękniła dumka pasterza, i młodych dwie dziewic, których wysmukłe kibicie jak duchy snuły się o podal zamku pomiędzy gałęziami zielonego gaju, słuchały owęj uroczej fujarki pasterza,—jedna z wspomnionych dziewic była małego wzrostu, lic białych, składnych, pięknych czarnych oczu; druga wyższa od pierwszej, pięknoscią twarzy i błękitem oczu gasiła urodę swęj towarzyszki, włosy ciemne w pukle uczesane zapinał bogaty grzebień, a kibieć wysmukłą ścisnął czarny kabat, dość raz było spojrzeć na czarowne lica owęj niewiasty, by ją od razu pokochać, by serce jednego z najniestalszych zapalić dla siebie silnem niewygastem uczuciem, jeszcze nieznalazł się nikt tak szczęśliwy by pozyskać zdołał odwzajemnienie uczuć, stęsknione tylko serce dziewicy w młodej i ognistej wyobraźni tworzyło obraz tego półbożka co by mógł mieć prawo do jej miłości; byłżeby szczęśliwszy od niego być kochanym i kochać piękną i cnotliwą niewiastę jaką była Katarzyna Herbart? od kilku dopiero miesięcy przybyła ona do Dąbrowicy, była sierotą, matkę utraciła prawie w niemowlęcem wieku, jej ojciec chorąży Herbart odumarł ją dopiero od roku, polecając Katarzynę i jej znaczny majątek opiece kasztelana Firleja z Dąbrowicy, jako przyjacielowi lat młodocianych, a pragnąc szczęścia swęj córki objawił umierając swą wolę kasztelanowi, aby gdy serce Katarzyny zrobi

wybór chociaż z najuboższego młodziana, żeby się niesprzeciwiano jej woli, chybaaby cel jej miłości nie był godzien jej ręki pod względem czci i honoru;—druga niewiasta Dorota Kalińska pokrewna kasztelanowej, więcej od roku bawiła w Dąbrowicy; skłonności dwóch dziewic, téż same uczucia za przybyciem Katarzyny połączyły je nierozdzielnym węzłem przyjaźni, Katarzyna z Dorotą przy jednychże krośnach długie dnia spędzały godziny, ich zdania w wyszyciu wzoru zawsze jedne były, ich myśli jakby z jednej wypływały duszy. Dwie dziewice gdy ucieła fujarka pasterza, wesoło biegały po łąkach, zbierały kwiaty, lub się goniły, to w skokach przebiegały wierzbowy lasek co nie opodal zamku zieleńiał w dolinie, gdy słońce znikło z przed oczu żyjących gdzieś ginąc za krańcami świata, nucąc wesołą piosnkę, zwróciły swe kroki nad staw szeroki co przed oknami zamku roztaczał spokojne wody, gdy się doń zbliżyły, śpiew smętny, żałosny uderzył ich ucho i na wzgórzu co z jednej strony wznosiło się nad stawem, ujrzeni kobietę z dzieckiem na ręku, która oparłszy głowę na wychudłej ręce, wlepiwszy oczy krwią zaszcze w wody jeziora, nuciała żałosnie. Dorota ujrzawszy ją cofnęła się gwałtownie o kilka kroków, przyciągając za sobą swoją towarzyszkę.

— Co ci to? — pytała Katarzyna.

— Uciekajmy—zawołała strwożona Dorota,— to

opętana, co od roku strachem napełnia tutejszą okolicę, uciekajmy Katarzyno bo jej oczy czarują, jej widok sprowadza nieszczęście, a śpiew jej smętny przepowiada śmierć nieomylną, gdy ją tu raz pierwszy ujrano uderzył piorun w zabudowanie dworskie, gdy usłyszano śpiewającą na wale zamkowym umarła ochmistrzyni panien respektowych, mówią że wtedy gdy spłonęły zabudowania, czart dał jej w nagrodę to dziecko co widzisz trzyma u łona,— często widzieć ją można w murach zamkowych, chociaż nikt jej nie widział wchodzącej, i wyjdzie niepostrzeżoną, oddalmy się,— mówiła Dorota i dwie przyjaciółki biegły około stawu, opętana śmiała się przeciągle, a gdy głos jej dokojał ucha dwóch dziewczec, strwożone z szybkością wpadły w zabudowania zamkowe.

— Czy słyszycie panie Jakóbie, — mówił jeden ogrodniczek stojąc w oknie izby czeladnej do kucharza co przyrządzał wieczerzę,—jak opętana trele wywodzi, całą noc spać mi nie dała, tylko chodząc po ogrodzie wyła żałośnie.

— Niech ją czarci porwą,—rzekł kuchmistrz,—już komuś śmierć wróży.

— Ot chodźwa,—mówił śmiały Jonek, — siedzi nad stawem, łącno ją spławić (*).

(*) Pławienie posądzanych o czary na tém polegało, by

— A niech ją bies porwie, — zawołał złąkniony kuchmistrz, — gdy człowiek głos jej usłyszy, straszliwe niesie pomsty, a gdyby się śmiał dotknąć, skonałby na miejscu.

— Na co ją pławić, — odezwał się stary odźwierny, — mam ci ja sposób poznawania czarownic.

— A jaki? zapytali ciekawie obecni.

— Trzeba tylko mieć sér w ostatnie dnie zapust zrobiony, — mówił z tajemniczą miną stary odźwierny, — wzięść deskę z trumny w której trzeba by był otwór przez sęk zrobiony i z tym pójść w czasie rezorekcyi do kościoła, stanąć w kącie przy wielkim ołtarzu, zacząć jeść sér, a dziurą z deski patrzeć na niewiasty, zaraz poznasz między nimi czarownicę, nie będą one siedzieć przodem do wielkiego ołtarza chociaż tak się wydaje, że razem modlą się pobożnie, na głowie mają rynki, donice i kotły, w czasie rezorekcyi gdy z procesją w około obcho-dzą, to czarownice na przeciw tyłem się cofają (*).

— Ale jakbyś waszmość zrobił z opętaną, co nam już kością stanęła w gardle, — zagadnął Jonek, — widział ci ją kto w kościele?

— Ale ba, — odrzekł kuchmistrz, — kiedy ksiądz pleban miał umrzeć, wszakci ją słyszano jak śpiewała w dzwonnicy, ot właśnie jak dziś, a rano była

niewinne tonęły, winne zaś pływały po powierzchni wody, co było dowodem znowy z czartem.

(**) Podanie dawne dotąd utrzymujące się między ludem.

w kościele, i choć ludu moc było, nikt nie siadł z nią w ławie, tylko ją każdy przechodząc krzyżem świętym żegnał.

— Józiek,—krzyknął Jonk na chłopca stajennego co przechodził koło okna ze sznurem po trawę na łąki,— chodźwa spławić opętaną bo już śpiewa komuś na śmierć.

I obaj wzięwszy długą linę pobiegli ku stawowi, gdy obecni w kuchni wiedzeni ciekawością, to jest: kuchcik ubielony mąką, kucharz z różnem, pomywaczka z ściereką, stróż z miotłą, wybiegli nad staw kędy pobiegł ogrodniczek, śmiały Jonk przystąpił blisko opętanej, gdy Józiek z obawą skradał się za nim, trzymając w pogotowiu nogi do ucieczki, Jonk blisko już będąc chciał zarzucić linę by ująć opętaną, gdy mu się noga na śliskiej murawie zemknęła i z inpetem ze znacznego wzgórza spadł razem z liną w głębie obszernego stawu.

— Oto masz czarownicę, — krzyknął kuchmistrz,

Jonk zanurzony w wodzie coraz głębiej tonąc, głosem przerażenia wołał ratunku, nikiiedy znikł całkiem z oczu widzów, to znowu nad wodą ukazała rękę, gdy jeden z dworzan skoczył w wodę i po chwili wyniósł na brzeg ale już martwego Jonka, na krzyk trwogi wszyscy wybiegli z zamku, i Dorota rzekła do Katarzyny patrząc na zwłoki śmiatego Jonka.

— A co nie mówiłam, że jakicś czeka nas nie-szczęście.

Opętana pozostała na wzgórzu, czasem tylko zanuciła załosnie, już i ciemność zaległa i księżyc co się wymknął z za góry, skąpał twarz złotą w spokojnych wodach jeziora, oświecając śmiertelne jej oblicze, ona jeszcze nie ruchomą siedziała na wzgórzu, nikt z mieszkanców Dąbrowicy nie śmiał przerwać jej pokoju, wspomniawszy śmiałego Jonka, tylko zdala każdy ją omijał, i gdy śpiew jej ozwał się w powietrzu, znakiem krzyża tłumiono strach, który głos opętanej wrażał w duszę strwożonego słuchacza—w noc dopięro późną gdy pogasły światła na zamkn Dąbrowickim i wszystko sen ujął głęboki, a puszczyk z wieży począł grobowe wołania, postać opętanej przebiegła dziedziniec zamkowy strachem przejmując kryjących się o podal wartowników i pomknęła przez łąki, pola na smętarz nie opodal wznoszących się wież grodu Lubelskiego; stanęła przy jednym z grobowców co mały zielone krzewy i znikła jakby ziemia rozwarłszy martwe łono, białą jej postać w zimne przyjęła objęcia.

V.

Tumany kurzawy wznosiły się do koła Lublina, w miasto ciągnęło mnóstwo złoconych kolas i kupa

zbrojnego rycerstwa, ulice: Krakowskie Przedmieście, Rynek i Grodzką aż pod zamek (*) zalegało mnóstwo szlachty i mieszczan, każde okno, dachy i dymniki napełniają ciekawi, bo był to zjazd na sejm konwokacyjny w sprawie Samuela Zborowskiego, naznaczony na dzień 22 sierpnia 1534 r. strojno i zbrojno jechali rycerze, tam Husary, których bogato szamerowane kurtki, a bogatszy dołman spływał po ramionach, a ich proporce, tarcze i drzewce aż szklnią od złota, hercują na pięknych dzianetach-któ-

(*) *Zamek* dziś mieszczą się w nim więzienia kryminalne i poprawcze, oraz sąd poprawczy wydziału Lubelskiego. Budowa zamku sięga starożytności, podług śladów w archiwach miejskich i podań ustnych, Bolesław Wielki jeszcze 1025 roku miał tu wystawić zamek drewniany, na górze odosobnionej zewsząd nad łąkami i wodami w stronie wschodniej. Roku 1240 Tatarzy go spalili, r. 1246 zdobyty sztuką przez Rusinów, został przez Daniela księcia Halickiego opasany murem sztańcami, r. 1340 Tatarzy usiłowali zdobyć zamek, wzięwszy go zburzyli mury przez Daniela wzniesione. Kazimierz Wielki wypędził Tatarów i zamek odbudować polecił, postawiono wyniosłe baszty i sztańce południowe. Zamek Lubelski oprócz swojego przeznaczenia był miejscem sądów wójtowskich prawa Magdeburgskiego, mieszkaniem starosty i monarchów w czasie ich bytności w Lublinie, w nim odprawiały się sądy ziemskie i grodzkie, Władysław Jagiełło wymurował w dziedzińcu kościół. Synowie Kazimierza Jagiełłowicza pobierali tu nauki, wieża zamkowa służyła za więzienie dla szlachty (in lurri et influndo), na wierzchu za mniejsze przezwinięcia, w lochu zaś który tak jest głęboki jak sama wieża wysoka, za zbrodnie tylko.

re pokrywają bogate siatki, drogie rzędy w karpia łuszczkę nabijane, strzemiona, wędzidła srebrne lub złote, owdzie ciągną rycerze strojne po kozacku z sajądakami złocistemi, tam dalej lekkie pancerniki, z różnych stron miasta idą błyszczące kolasy, wybijane aksamitem, a w nich siedzi sędziwy senator co radą ma wpływać na skutek obrad sejmowych, za kolasami jadą hajducy, pacholki prowadzą powodne konie, których siodła, czapraki, napiersia i naszyjniki nabijane, haftowane srebrem lub złotem, a brzegi siodła perłami sadzone, — nad wieczorem szmer powstał w mieście i ciekawi co na chwilę odeszli miejsc zajętych, tłumem się do nich rzucili, a masy skupionego ludu posunęły się w stronę z kąd powstał okrzyk:

— Król jedzie! — i nie dziw że każdy ciekaw widzieć swego mocarza w którego dłoni wyższa istność złożyła losy ludów, ich szczęście i byt przyszłych pokoleń, widzieć owego mocarza co rządzi szlachetnym narodem, co umie prawym sercem kochać go i czcić jak ojca. W bogatej kolasie przez sześć arabskich strojnych koni ciągnięty, siedział król Stefan, twarzy pociągłej, dużej ale wielce przystojnej, płci śniadej, żywym rumieńcem okraszonej, nosa kęs zakrzywionego z jakim attyle malują, włos kruczy wymykał mu się z pod bogatej czapki na czoło, a gdy z uśmiechem kłaniał się zgromadzonemu ludowi co go witał z okrzykiem cu-

dney piękności zęby błyskały z ust jego jak drogie perły—obok niego siedział poważny senator ulubieniec króla Jan Zamojski, podpora i chluba rzeczypospolitej—twórca królów!

— No Grzesiu chciałeś widzieć króla, — wołała w tłumie otyła przekupka, wypychając naprzód niezgrabnego dragala.

— A gdzie on gdzie matulu,—krzyczał Grześ na całe gardło, roztrącając sobą lud zebrany około Krakowskiej Bramy (*), — gdzie on matulu, bo ja jeszcze nie widziałem króla?

— No patrzaj gapiu, jest przed tobą, o w tej złocistej kolasie, co tak się wdzięcznie kłania.

— A ha to król,—krzyknął Grześ uradowany,— a wszak-ci to on człowiek, — wołał otwierając gębę.

(*) Krakowska Brama wystawiona r. 1342 z funduszków miejskich, z rozkazu króla Razimierza Wielkiego, dawniej była środkowym punktem fortyfikacji miejskich na drodze do Krakowa idącej, dopiero r. 1511 król Zyg. III przywilejem swym pozwolił rozebrać stare wały od gmachów Jezuickich do Krakowskiej Bramy ciągnące się. Tu umieszczony wielki zegar, oraz straż ogniowa, z ganku o godzinie dziesiątej, jedenastej i dwunastej w nocy strażnik trąbi pobudkę, w czasie pożaru spuszcza ją zegar, przed wieżą znajduje się piękna gotycka wystawa, na wieży bramy Krakowskiej było także więzienie (in turri), dotąd jeszcze widzieć można obszerną, żelaznemi wrotami obwarowaną komnatę z dwoma małemi okienkami, gmach długim przeciągiem lat podupadły, kazał odnowić król Stanisław.

— Cóż chciałeś bałwanie?

— Bo mi mówił Antek, że król to ma twarz zło-
cistą jak słońce.

— Głupis, — rzekła rozgniewana przekupka, gdy
w tłumie śmiech powstał z mądrego Grzesia i ktoś
się odezwał.

— O to mospanie wyrosło drągalisko, a nie wie
że król człek jak każdy, tylko się rodzi z koroną
na głowie.

Tu jeszcze głośniej się zaśmiano, a Grzesz pędem
poleciał za kolasą królewską.

Nie opodal za orszakiem króla szła bogata landa-
ra, a w niej jechał sędziwy senator pan Firlej z Dą-
brawicy, obok niego poważna małżonka, a na prze-
ciw Dorota i Katarzyna, młodź hercując na dziel-
nych dzianetach, strzelali oczami na kraśne lica dwóch
dziewic co boskie oczęta spuszczały ku ziemi wsty-
dliwie, niedaleko od miasta gdy landara pana Fir-
leja na trakt Lubelski wjeżdżała, jechał za nią mło-
dzian widno po barwie że z orszaku królewskiego,
był on cudnej urody i szykownie sadził z kopyta
na gniadym koniu co gradzko dźwigał swego jeźdca,
lica miał ściągłe, a rumiane jak krew z mlekiem,
włosy w kędziory spadały mu na barki, wąsy he-
banowe misternie uczesane dodawały wdzięk uro-
czej twarzy, a czarne oczy rzucały ogniste wejrze-
nia, wzrok młodzieńca w jedno miejsce był zwró-
cony, to jest na powabną twarz Katarzyny, również

piękne oczy dziewicy śledziły postać owego grackiego rycerza, na którego przenikliwe wejrzenia, nieraz zarumieniona wzrok ku ziemi spuszczała, gdy dojeżdżali kamiennego słupa co czarny, smutny jak pomnik grobowy wzniosł swój kolos na przeciw Radziwiłłowskiego pałacu (*), młodzian spiął konia ostrogą chcąc bliżej pomknąć landary, gdy postać opętanej w białej długiej osłonie widziana nad stawem w Dąbrowicy, stanęła przed koniem hożego jeźdca, który stropiony, począł się cofać, stawać dęba, parskać, i spłoszony pędem sunąwszy naprzód z swym panem w szalonym biegu leciał rozbijając tłumy zebranego ludu. Katarzyna widząc to przeraźliwie krzyknęła:

— Opętana—i twarz zasłoniła rękoma.

Wszyscy z landary spojrzeli za jeźdcem, który w oka mgnieniu znikł im z oczu, serce Katarzyny

(*) *Pałac Radziwiłłowski*, dziś bióro Rządu Gubernialnego i mieszkanie Gubernatora Cywilnego, przed wieki stał tu pałac Radziwiłłowski. Zygmunt August wziął go w posagu za żoną Barbarą Radziwiłówną Gastoldową, dla czego przed mieszkaniem królewskim r. 1569 wystawiono słup kamienny na pamiątkę. Tu wspomniany król Zygm. Aug. od książąt Brandeburskich hold odbierał. W późniejszych czasach w posiadaniu był Sanguszków, potem w czasie wojny obrócony na lazaret, nabyli go później Szeptycy, potem Finkowie, następnie stał się własnością rządu. Spalony r. 1829 odnowiony został i jest jednym z najpiękniejszych gmachów miasta, pokryty cynkiem, otworzono dwa boczne pawilony, przymurowano dwie wieże.

biło mocno, jeszcze nigdy z taką siłą nie uderzało w jej spokojnem łonie, i gdy stanęli przed pałacem książąt Radziwiłów, gdzie pan Firlej miał naznaczoną gospodę, Katarzyna drżąca zaledwo wejść zdołała do przygotowanych komnat.

— Co ci jest,—pytała Dorota widząc jej pomieszanie.

— Ah nie wiem, widok opętanej— i Katarzyna twarz zasłoniła rękoma, nie pojmując bo jeszcze nigdy nie kochała, że widok młodzieńca dał jej w całej sile uczuć urok pierwszej miłości—miłości gwałtownej, co z całą potęgą owłada młode serce, bo ją zdradza jedno boskie wejrzenie, o! miłość podobna, jest rajem dla duszy, póki w niej w całej panuje sile, miłość podobna jest śmiercią naszych utudzeń gdy utracą czarowną władzę, gdy znika jej powab, na grobowcach lubych, drogich omamień kwiat smutnej rzeczywistości rozwija żałobne listki, ów kwiat co swą zjadliwą trucizną niszczy wszystkie omamienia i rzeczywistość w nagłej odsłania nam prawdzie. O miłość podobna, co jeden rzut zdradza oka, spożywa w nas wszystkie inne uczucia i zostawia duszę naszą jak owe gruzы pomników głuchym chwastem porośle, co oku przechodnia smutny stawiają obraz dawnej chwały i świetności, w duszy podobnej jak na owych gruzach nie zagrzmie śpiew uroczy chwały i zwycięstwa, nie rozwinie kwiat nadziei obok gałęzi dzikiego chwastu zielonych li-

stków, głos tylko puszczyka piewcy grobowego w duszę samotnego wędrowca wrazi trwogę i smutek.

V I.

W bocznej komnacie na zamku Lubelskim, w dni parę po przybyciu orszaku królewskiego trzech dworzan późno wieczorem rozmawiali z sobą:

— Pij, — mówił gracki młodzian podając kufel wina Oleśnickiemu, — pij za zdrowie Katarzyny Herbert.

— Zdrowie Katarzyny Herbert, — wykrzyknął dworzanin, przyjmując kufel.

— A cóż będzie z ową czarno-brewą Jadwisią, którą we łzach zostawiście w Krakowie, — zagadnął dworzanin Marcinowski (*), rzucając gniewliwe wejście na hoźego młodziana.

— Pozdrówcie ją odemnie i kwita, a jeżeli chęć wam potemu możecie ją po mej stracie pocieszyć.

— O nie łacno, nie łacno bo was Jadwisia serdecznie miłowała, — odrzekł Marcinowski, — było też to cnotliwe i dobre dziewczę, nie godziło się rzucać ją na pastwę umartwieniu.

— Ale Jadwisia uboga, a Katarzyna Herbert uro-

(*) Marcinowski i Oleśnicki byli istotnie dworzanami króla Stefana.

dziwa i bogata, — odezwał się Oleśnicki w obronie stając młodziana.

— Że uboga, to wolno na szwank narażać sławę niewiasty, — krzyknął Marcinowski podochocony, stuknąwszy kuflem w stół dębowy, — to nie cnie, to nie na rycerza przystoi, który winien bronić sławy niewieściej.

— Ale, ale, — rzekł Oleśnicki obracając się do hożego młodzieńca, — powiedzcie mi jakieście ją aż tu wynaleźli.

— Oto jak wam już mówiłem, — odrzekł zagadniony, — jadąc z orszakiem królewskim, niedaleko za miastem, ujrzałem ową boginię, nie oddalałem się od landary, by wzrok mój napoić jej wdziękami, aż w mieście chcąc pomknąć bliżej by ujrzyć który z senatorów jedzie, owe przekłete widmo stanęło mi przed koniem, który uniósł mnie w miasto, niewiedziałem gdzie jej szukać, gdy dziś będąc w orszaku królewskim, co mu towarzyszył na ratusz do sali sejmowej, ów zdarzył się wypadek, że śmierć zaskoczyła zacnego pana Kochanowskiego (*), pan

(*) Jan Kochanowski, wojski Sandomierski sławny poeta, stając w sprawie o zabicie przez Turków Podlodowskiego, brata swej żony, tknięty apopleksją w ratuszu, wobec zgromadzonych na sejm padł i umarł d. 22 sierpnia 1584 r. Ratusz wspomniany stoi w rynku, wymurowany z funduszków miejskich w r. 1389 na użytek magistratu, tu obierano wójta, prezydenta, wice-prezydenta i rajców. Stanisław August zrestaurować polecił on ratusz. Później nadwreżony odnowili Au-

Firlej kasztelan Lubelski zasłabł ze wzruszenia widząc śmierć tego męża, kazano mi go odprowadzić do gospody i tam znalazłem ową czarnobrewą dziewczkę, której opiekunem jest pan Firlej z Dąbrowicy, na którego dworze lat kilka spędziłem.

— Wiwat,—krzyknął Oleśnicki,—zdrowie Katarzyny Herbart i Janusza Oźgi,—gdy Marcinowski trunkiem rozmażony chrapał na całe gardło.

— Szczęście się wam uśmiecha,—mówił Oleśnicki bełkocząc językiem,—dziewka też to hoża, bom ci ją znał jeszcze gdy z swoim ojcem była w Krakowie, a do tego bogata, o niezmiernie bogata.

Zaiskrzyły się oczy Janusza.

— To już opuścicie dwór królewski,—zagadnął Oleśnicki z przymkniętymi na pół oczyma.

— Nieinaczéj,—rzekł Janusz,—pozostanę w Lublinie, a zyskawszy przychylność Katarzyny i zezwolenie pana Firleja, udam się nad Dniestr dla odziedziczenia spadku po moim ojcu i dopiero wyprawię gody,—jeszcze nie dokończył mówić Janusz, gdy Oleśnicki położywszy głowę na stole twardo usnął i Oźga marząc o przyszłym szczęściu które miał znaleźć na łonie boskiej Katarzyny, położywszy się na wygodne łoże zasnął głęboko.

stryacy, w roku 1836 kosztem rządu powtórnie go naprawiono, w tym gmachu odbywały się Trybunały koronne, od roku 1578 aż do rozwiązania swojego 1793, dziś zajęty jest przez trybunał.

Nazajutrz wieczorem dzwony grodu Lubelskiego ozwały się jękiem i żałobny orszak szedł Krakowskim Przedmieściem, któremu przodkował długi szereg księży, a ich śpiew poważny, grobowy, przerywał chwilową głuchą ciszę pogrzebowego orszaku, i któż spoczywa ujęty snem wiecznym w tej trumnie co wysoko wzniesioną widać z pomiędzy niezmiernej masy ludu, zwłoki to wieszczą, wieszczą, co pieniem przemawiał do serc tych co go z żalem na wieczny dziś wiodą spoczynek, zwłoki to owego Kochanowskiego, co w pamięci potomnych nigdy nie skona, za trumną postępuje król i kanclerz miłośnik uczonych, którego poważne lica głęboki wyrażają smutek, bo cenił i poważał talent i cnoty poety, poczet co za miasto odprowadzał ciało zmarłego, które wiedli do Zwolenia by je w grób familijny złożyć, składali senatorowie na sejm przybyli, szlachta, mieszczenie, a nawet wiekiem i znaczeniem szacowne niewiasty, tłumy ludu ulice zalega, nie opodal za trumną szedł pan Firlej, małżonka jego, Dorota i Janusz obok Katarzyny postępował w milczeniu; gdy krzyk przeraźliwy ozwał się nie opodal zwracając uwagę przytomnych i biała postać opętanej z żalosnym jękiem wpadła pomiędzy tłumy ludu, który ją ujrawszy, rozstępował dobrowolnie i stanąwszy przed Katarzyną i Januszem wołać poczęła:

— O tak, tak, wiedli martwe jego zwłoki.

I opętana biegła za trumną, powietrze napełniając żalonym jękiem, strwożona Katarzyna cofnęła się opodal, a Janusz w białej postaci opętanej, poznał ową niewiastę co mu konia spłoszyła.

— I cóż u czarta,—rzekł w duchu młodzieniec, szukając w tłumie znikłej Katarzyny,— to widmo zawsze mi staje na przeszkodzie.

Po skończonym sejmie rozjeżdżać się poczęto i miasto wróciło do dawnego stanu, ulice mniej ludne, nie toczyły się po nich złocone kolasy, ani widno było zbrojnych rycerzy, Janusz po oddaleniu dworu, nazajutrz rano gdy słońko wstało ze złotej pościeli, pojechał do Dąbrowicy, nie długi czas tam zabawiwszy, zyskał miłość Katarzyny i zezwolenie kasztelana, poczem wyjechał nad Dniestr dla odziedziczenia spadku, wyjechawszy z dziedzińca zamkowego puścił wolne wodze koniowi, a sam marzył o przyszłym szczęściu z Katarzyną, gdy koń jego stanął, Janusz podniósł głowę, spojrzął do koła i ujrzał przed sobą dworzec z modrzewia gdzie go koń zaniósł z dawnego nawyknięcia, widok dworca przywodzi mu na pamięć czarowne włości córki starego rotmistrza, pusty i zarosły jego dziedziniec, otwarte okna kędy wolnie przelatują sowy, ani żyjącej istoty, pies tylko Azor wyje żałośnie. Janusz mimo wrodzonej beczelności odwrócił oczy od wi-

łoku zniszczenia i gdy zsiadłszy z konia miał schodzić z góry na dół, zapytał przechodzącej żebraczki.

— Kobięcino, czy w tém dworcu nikt nie mieszka?

— Nikt miłościwy panie, krom samych duchów odrzekła, — żył ci tu przed rokiem poczciwy pan rotmistrz Bożydar, co wspierał biednych, był ojcem każdej sieroty, póki on żył i mnie biednej nie tak sroga doskwierała nędza, boć nieraz Boże świat nad jego duszą, dał mi hojną jałmużnę, miał-ci on i dziewczkę piękną jak słonko o wschodzie, co okrutne miała szczęście do ludzi, pokochał ją młodzian z hajduckim sumieniem i zdradził, jej rodzic przeklął i wygnał ją z domu gdy się dowiedział że nań sromotę ściągnęła, a sam chcąc gonić poganina co mu ją zniesławił, skonał widno z wielkiej boleści, tu niewiasta otarła tzę z oka i po chwili dodała:— Hanka odtąd jakby w ziemię wpadła, mówią ludzie że umarła, drudzy powiadają że ją widują na tém nie opodał smętazu, a czasem po północku, gdy kur ma zapać, biała osoba z dzieckiem na ręku chodzi po tém dworcu, widno że to duch Hanki tuła się po świecie, boć i Bóg nieprzyjmuje do nieba dziecka co przeklął rodzic, kto żyw—mówiła dalej gadatliwa żebraczka,— nie przystępuje pod ten dworzec, bo broń Boże kto zasłyszcy śpiew smętny białej osoby, to go wielkie spotyka nieszczęście,—gdy kobiecina skończyła opowiedanie, śpiew żałosny

rozległ się pod dworcem, żebraczka krzyknęła i uciekać poczęła. Janusz obrócił oczy na dworzec, w który uderzył piorun z nadchodzącej chmury, śpiew ucichł i po chwili biała postać niewiasty ukazała się na dziedzińcu i znikła na drodze prowadzącej na smętarz—w postaci widzianej na dziedzińcu poznał Janusz białą osobę która już dwa razy ukazała się oczom jego, i gdy schodząc z góry w dociekaniach się pograżył, Andrzej Mikosza stając przed nim zawołał:

— A tuś waszmość, o teraz nie wymkniesz mi się,— i młodzieniec uchwyciwszy go za rękę, powiódł na smętarz przy drodze,— tu, rzekł rozprawiemy się z sobą na grobie rotmistrza, niech się duch jego ucieszy że znalazł mściciela,— i młodzieniec wyjął ostrą szablę i dzielnie nacierał na Janusza, gdy ten widział przemagającą siłę swego przeciwnika i śmierć dla siebie nieuchronną, z boku grobowca Bożydara podniósł się duży kamień i biała postać opętanej stanęła pomiędzy dwoma przeciwnikami, którzy zdumieni spuścili orężę, a Janusz poznał niewiastę przed chwilą widzianą przy dworcu z modrzewia.

— Stój,— rzekła biała postać wstrzymując rękę Andrzeja,— jeszcze nie nadszedł czas zemsty, nie ciebie Bóg do niej przeznaczył,— i niewiasta odrzuciła białe okrycie osłaniające ją do koła,— dwaj przeciwnicy cofnęli się mimowoli, ujrawszy jej trupie oblicze i dziecko na ręku, którego wzrok zio-

nął piekielnym wejrzeniem, a jeden policzek był czarnym nacechowany znamieniem.

— Czyli nie poznajesz swej Hanny,—rzekła obracając się do Janusza,—Hanny którąś zniesławił, patrzaj to dziecko, to twój syn,—rzekła wskazując mu niemowlę,—karmię go własną piersią by z niej wysać mogło nienawiść dla ciebie, ono krew będzie ziało z żył ludzkich, bo to dziecko przeklęte w łonie własnej matki!.. Sądziłeś że Hanna umarła, nie, ona żyje ale między umarłymi, bo dla zniesławionej niewiasty tam tylko schronienie, gdzie nie ma wzgardliwych spojrzeń żyjących, Hanna żyje obok zwłok znieważonego ojca,—żyje ale nie dla świata, żyje dla ciebie Januszu! O, ona cię nigdy nie opuści, — kończąc te słowa znikła z przed oczu dwóch przeciwników, Janusz choć przestraszony widokiem Hanny, umiał korzystać z zadziwienia Andrzeja który oddawna sądził Hannę umarłą i dosiadłszy na koń cwałem ku Lublinowi popędził.

W trzy miesiące później złocona kolasa toczyła się traktem Dąbrowickim, a w niej siedział Janusz, dążąc na gody weselne, gdy już zmrok zapadał, ukazały się wieżyce zamkowe, już dojrzec można było jak w oknach gorzał jasny ogień, gdy konie cofnęły się w kolasie.

— Cóż to? — krzyknął Janusz.

— Wszelki duch Pana Boga chwali,—zawołał wo-

źnica znak krzyża robiąc,—biała osoba zastąpiła nam drogę.

— Ruszaj,—krzyknął Janusz.

Wóznica zaciął konie, które stając dęba groziły rzuceniem kolasy w przepaść, gdy Janusz wyskoczył i śmiało przystąpił do białej osoby.

Śmiech rozległ się w powietrzu i Oźga cofnął się o kilka kroków, poznawszy Hannę.

— Spieszysz na gody, — rzekła mu przeciągając śmiech co trwogą przejmował,—patrzaj jak goreje światłem zamek Dąbrowicki, tam śmierć, tam czeka cię oblubienica z śmiertelnem obliczem, z martwym sercem,—i Hanna zniknęła z przed oczu strwożonego Janusza i pomknęła drogą ku zamkowi.

Ochłanawszy z przestrachu zdążył Janusz do Dąbrowicy i gdy stanął przed zamkiem cichość panowała, chociaż w oknach zamkowych gorzało światło, śpiew tylko ponury słyhać było chwilowo, Janusz w biega na wschody, staje u drzwi godowej sali, w której ma nań czekać oblubienica piękna jak poranek wiosenny.

O nieba! wysoki katafalk wznosi się w pośrodku a na nim martwe zwłoki Katarzyny!.. Janusz krzyknął straszliwie, a pierś jego wzburzona falą bolesnych uczuć wydawała jęk przeraźliwy nie ustający.

Ozwał się śmiech u proga i biała postać Hanny stanęła obok katafelka.

— Boli cię serce—mówiła,—o i mnie tak bolało,

gdym spojrziała na martwe zwłoki mojego ojca, sły-
szałam ten śpiew i nie pękło mi serce od żalu, to
hymn wesela dla ciebie Januszu, a głos słodkiej pom-
sty dla ucha i serca Hanny. Hanna tylko być mo-
że twoją narzeczoną, ona cię nie opuści, ona ci za-
wsze wywróży gody gdzie żałobnie śpiwają, ona
ci wskaże grobowce gdzie skryjesz najdroższe życia
nadzieje, bo Hanna dziecię przeklęte od ojca za nią
idzie śmierć i zniszczenie.

I opętana znikła zostawiając Janusza w martwej
boleści — pochowano zwłoki Katarzyny, której ra-
ptowna słabość przecięła pasmo dni wiosennych. Ja-
nusz płakał nad grobowcem i potem wsiadł w bo-
gatą kolasę i samowolnie pojechał kędy Dniestr
toczył wody do małego zamku co na górze wzo-
sił stare wieżyce.

Pół roku Janusz poświęcił żałobie i znowu my-
ślał o godach z piękną Elżbietą, córką bogatego sta-
rosty, co nie opodal zamku Janusza obszerne miał
włości, już dzień wesela naznaczono i bogata kolasa
pana młodego stanęła przed zamkiem starosty, i
druchny wywiedli pannę młodą i wkrótce stanęli
przed kościołem i ksiądz stułą związał ręce, panna
młoda wsiadła do mężowskiej kolasy, w której dziel-
ne rumaki skoczyli hyżo dążąc na zamek starosty,
już, już, nie daleko pod zielonym laskiem wieżyce
bieleją zamkowe, gdy doje żdźzali rozstajnej drogi kę-
dy na wzgórzu krzyż stoi, a na nim z namię męki

Chrystusa, pod nim klęczy biała osoba, oczy i ręce wzniosła do nieba, a śpiew jej smutny, żałosny, grobowy, słychać z pod krzyża daleko. Janusz spojrział i zadrżał, oczy odwrócił, bo ze zdumieniem poznał postać Hanny i rzekł w duchu :

— I gdzież się skryć przed nią potrafię ?

Krzyknął na woźnicę by hyżo pośpieszył, gdy pod krzyż dojeżdżali postać powstała i śmiechem straszliwym powietrze rozdarła, konie skoczyli w szalonym pędzie i nie opodal od krzyża pękła kolasa i panna młoda z niej padła na ziemię, i na murawie martwe Elżbiety zostały zwłoki, znów śmiech przeciągły, straszliwy ozwał się pod krzyżem i postać zniknęła z przed oczu, druchny weselne, ojciec stroškany i mąż w żałobie, martwe ciało Elżbiety przywiedli do zamku i w miejscu gdzie mieli być weselne gody na marach złożyli.

VII.

Nie minął i roczek, a Janusz zapomniał o uroczej Elżbiecie i gody wyprawiał z młodą i bogatą wdową, błogo upłynęło latek dwadzieścia w dobranej parze, a szczęście małżonków pomnaża jedyna córka Helena, co piękna jak zorza o świcie, a świeża jak lilia, wabiła z okolic i odległych ustron młodź polską waleczną, pierwsi panowie nieśli hołd Helenie nie

jeden srebra i złota kładł jej w ofierze i włości bogate, rozległe, i mitry książęce, nie jeden rycerz sławny z męstwa pragnął nagrody za krew przelaną w uroczem spojrzeniu Heleny, gdy już dobiegała szesnastej wiosny, książę bogaty poprosił o rękę i zamek Janusza grzmiał wesołą uciechą, lały się małmazye, alikant, muszkatel, grzmiały toasty przy głośnej kapeli, wił się polski taniec po godowej sali, a Janusz z uciechą patrzył na dziewczkę co urodą i cnotą podeszłe lata rodzica krasiała, gdy wpadł do sali dworzanin wołając:

— Tatarzy, Tatarzy, a na ich czele ów czarny djabeł co tak straszliwie morduje.

— Czarny djabeł— zawołali, i każdy pochwycił za ostrą szablę, a niewiasty krzykiem rozpaczy napełniały powietrze, bo czarny djabeł od lat dwóch blisko był znany w okolicy z mordów i pożogów, i sama wieść o nim, przejmowała strachem i wypłaszała lud trwożliwy z ich spokojnych siedzib, Janusz pierwszy skoczył do okna i ujrzał na walach postać niewiasty i śpiew jej żaloszny doleciał mu ucha i poznał Hannę, za którą leciała dzika horda bisurmanów, a na ich czele straszny ów Tatar zwany czarnym djabełem w okolicy, krzyk powstał do koła:

— Dalej do broni, do broni, bo dziki Tatarzyn idzie na zagładę, zabiera nam żony, znieśliwi córki, wymorduje braci,— i błysły gołe miecze i wszyscy

wyszli naprzeciw czerni Tatarskiej, a dziki Bisurman nakształt pół miesiąca zakrzywionego, szykiem stanął do attaku (*), wypuszczając grad kul na zamek, potem ruszyli Tatarskie szwadrony, a ich księżyce, buńczuki, końskie ogony i szable zakrzywione, były w oczy strwożonych niewiast, co z okien zamkowych patrzyły, nakoniec horda na hasło dzikiego czarnego Tatara, z przeraźliwym krzykiem: Hałaj, Hałaj, rzuciła się na dziedziniec zamkowy, opór ze strony weselných gości nie mógł wstrzymać masy Bisurmanów, mord się rozpoczął, gorzały zabudowania, płacz niewiast które Tatarzy w plon wiedli, jęk rannych i krzyk rozpaczy matek co z ich dziećmi rozłączał pohaniec, ostatni dzień sądu stawiały przed oczy.

— O Boże! Boże! ratujcie, — wołał Janusz, gdy mu jedyną córkę wiódł ów czarny djabeł Tatarski dowódzca, i na koń posadziwszy leciał z nią przed hordą jak wichur co tańczy po stepach. Janusz chciał go gonić, lecz upadł, to się podniósł i znów upadł, wydając jęk rozpaczy, który strasz na boleść z piersi rodzicielskich wydzierała.

— Stój! — zawołał głos co wstrząsnął Januszem, i Hanna stanęła przed nim i śmiać się poczęła przeciągle, straszliwie, — twoją córkę w plon powiódł dziki Tatarzyn, a wiesz kto on jest, cha, cha, cha, to twój syn, twój syn, — krzyczała Hanna z dziką

(*) Kronika Marcina Strijkowskiego kar. 345.

radością,—oddałam go Tatarom, by z niego powstał mściciel znieważonej niewiasty, mściciel popiołów jej ojca, patrzaj, o patrzaj gdzie horda Tatarów, tam twój syn, tam twoja córka co ją powiedli na hańbę!

Z piersi Janusza wydarł się jęk bolesny.

— Boli cię serce, o tak bolało mojego ojca, gdy konał z żalu i sromoty.

Janusz padł na kolana przed Hanną wołając żałośnie:

— Ulituj się, ratuj moje dziecię od ciężkiej sromoty!

— Błagałam i ja twojej litości, — mówiła Hanna grobowym głosem,—pamiętasz w dzień ów straszliwy gdy mię rodzic wyгнаł z domu, obarczył przekłębty, pamiętasz na drodze pod krzyżem, zaśmiałeś się w ów czas rzucając mnie biedną na hańbę, o patrzaj dokoła, już wszystko w gruzach, a twoja córka ot tam dalej, patrzaj dokoła, wszystko już w gruzach jak ów dworzec na Czechówce, czy słyszysz jak żałobnie śpięwają, tak jak przy zwłokach mojego ojca, jak wtedy, wtedy, — i Hanna gubiąc się w myślach rękę przyłożyła do czoła, do serca, a Janusz milczał i tylko spoglądał za uchodzącymi Tatarami, a łza, łza krwawa wybiegła mu z oka.

— Ty płaczesz, — mówiła Hanna śmiejąc się,— płacz, płacz, bo tak płakał mój ojciec, gdyś mu zniestałwił jedyną córkę.

Bolesne westchnienie wydarło się z piersi Janusza

podniósł się z kolan, ujął za szablę lecz znowu padł na kolana, wyciągnął dłonie kędy Tatarzy wiedli Helenę, zachwiał się, pochylił i skonał z boleści, jak skonał stary rotmistrz.

Spiw opętanej smętny, grobowy, przerwał cichość co dokoła plac krwawych mordów zalegała, po chwili zaszumiały wody Dniestrowe, a na ich powierzchni widać było postać opętanej, którą unosząc fale to nurzyły w bezdnach, to znowu ciskały na powierzchnią jakby wzburzone bałwany chciały wyrzucić z lodowatych objęć dziecię od ojca przekłute, po chwili grobowa cichość dokoła zalegała i tylko w oddali słychać było krzyk dzikiej hordy, Hałaj, Hałaj.



KROTKIE WSPOMNIENIA

ŻYCIA I PISM

SEBESTYANA FABIANA KLONOWICZA.

zebrane

przez

Z. S.....a.

KROTKIE WSPOMNIENIA

1832

WYDAŁO DZIAŁO KRAJOWE

WARSZAWA

1832

WYDAŁO DZIAŁO KRAJOWE

Miło jest wspomnienie o mężu wsławionym cnotą lub nauką, którego kolebką była ich ojczysta ziemia, zatem nie wątpię że miło będzie i dla czytelników Noworocznika Lubelskiego znaleźć w skromnym jego zbiorze acz krótkie wspomnienie o rodaku poecie co żył i umarł w Lublinie. Sebestjan Klonowicz zwany po łacinie Acernus, urodził się w Sulmierzycach w Wielko-Polsce roku 1551, po skończeniu zaszczytnie nauk w akademii Krakowskiej udał się do Lublina, tam ożenił, a uzyskawszy prawo obywatela miejskiego obrany został burmistrzem a potem prezydentem. Wiek w którym żył Zamojski, był wiekiem złotym dla literatury polskiej, zdobili go nieśmiertelny Kochanowski, uczony Herbart, biegły Rejnhold, wymowny Hejdenstejn, sta-

wny Piskorzewski, dowcipny Symodenes, między niemi nie poślednie trzymał miejsce i nasz Lubelski poeta Sebestjan Klonowicz, wydoskonalony w językach greckim i łacińskim, których posiadanie w ówczas imie uczonych. Jedną, biegły w rzeczach starożytnych, ściągnął na siebie uwagę współobywateli wyłącznie zaś Mikołaja Firleja wojewody Lubelskiego miłośnika nauk, opiekuna uczonych którego światło i godność senatorska między najpierwszemi obywatelami mieściły, często lubiąc przebywać w Lewartowie dziedzicznym miasteczku położonym blisko Lublina, Mikołaj Firlej miał sposobność poznać wielkie Klonowicza talenta. Lewartów w ów czas był nauk siedliskiem, zewsząd tam uczeni się zbiegali, a uprzejmość z jaką ich wojewoda przyjmował coraz większą ich liczbę sprowadzał. Klonowicz często przebywając w Lewartowie, miał sposobność zbogacić swoje wiadomości i tak już obszernie, nakoniec poczuwszy się na siłach wziął pióro do ręki i pisać począł — wiersz jego tak łaciński jak polski płynny, łatwy i wielkim dowcipem nacechowany. Dzieła Klonowicza są następujące :

Rexolania Sebastiani Sulmyrcensis Acerni, civis Lublinensis 1584, wiersz jest łaciński z godłem: Sic canimus Sylvae Sylvae sint consule dignae. Virg. przypisany magistratowi Lwowskiemu, zawiera obraz kraju, mieszkańców, płodów, obyczajów, miast i wsi Rusi czerwonej.

Flis Gdański czyli o żegludze polaków do tego miasta, w którego przemowie wyznaje, że ułożył ten poemat w czasie dwu-tygodniowej żeglugi do Gdańska, ku przestrodze i ucieszeniu szyprów polskich po Wiśle pływających i ku ulżeniu na wodzie tęskności ich, wydany w Rakowie r. 1601 tła miejsca druku nie dla rzeczy nieraz wspomniona książka paloną była (*), ocaliło ją od zguby późniejsze wydanie w Warszawie r. 1643, nie tylko co do rytmopisarskiej sztuki ale i co do skreślenia dokładnego biegu Wisły, rzek do niej uchodzących, w jej nurcie haków, raf, zatorów, prądów, ostrowów i t. d. co do wyrazów wiślanej polskiej żegludze właściwych, nazwisk statków wodnych i t. d., szacowne jest to dziełko Klonowicza, obok tego wiersz piękny, naprzykład ujście Narwy do Wisły:

Tam Narew leśna którać zajdzie w oczy,
Z prawego brzegu czarne wiry toczy.
Przy swoim lądzie daleko się wiesza,
Niżli się z Wiślaną macią pomięsza.

Worek Judaszów z skór wilczej, lisięj, rysięj i lwięj. Kraków r. 1603, wierszem tem wyszydza Klonowicz wszelkiego rodzaju oszustów, o różnych zdradach i łakomstwa rodzajach, o podłe zyski zabiegów, wielce bywa trafny i dowcipny w całym tym opisie, tak zaczyna:

(*) Raków w XVI i XVII wieku był siedliskiem sekty Arjańskiej czyli Socyniańskiej.

Pytasz mnie kto to idzie w tej szafranęj szacie?

I z tą brodą cicową? tak ci powiem bracie:

Jest to on Iskaryot....

Dalej własność skór tłumaczy:

 Ci są wilkom podobni, do dobrego mienia,
 Z cudzej pracy dostają, jako wilcy z cienia,
 Drudzy prośbą, pochlebstwem, albotęż zmyślonem
 Nabożeństwem, biorąc chleb ludziom omamionym,
 Tych lisowi chytrością możesz przypodobić,
 I w Podolski zawoik możesz ich ozdobić.

Trzeci rodzaj przemysłu podobien do rysia,
 Bo włosem jarzębatym oszuka i żysia..

Czwarty rodzaj co mocą narabia,

Tak czudy pot i pracę do siebie przewabia i t. d.

Pamiętnik księząt i królów polskich, z przypisem Janowi Firlejowi Podsk. koron.

Pożar i upomnienie do gaszenia, i wróżba. o upadku mocy Tureckiej r. 1597, z godłem: Już o ścianę gorz. przypisał księciu Ostrogskiemu Januszowi kasztelanowi Krakowskiemu, z powodu wojny toczonej w Węgrzech, wiele ma wierszów i myśli pięknych, przypis zaczyna od słów: Owoj zgoła miło o tém prorokować oświecone książe! coby człowiek rad widział i t. d.

Erazma Roterodama dworstwo obyczajów do-brych r. 1614. Dziełko to elementarne dobrze przyjęte było, często powtarzane jego wydanie, o czém wspomnina uczoney Juszyński.

Wykład reguły św. Benedykta i życie tego św. ojca. Kraków r. 1597. Znac z przepisu do Wereszczyńskiego opata Sieciechowskiego, gdzie się starym sługą klasztorным mianuje, iż u tych zakonników dobrze był widziany i ich względów doświadczał.

Żale nagrobne na śmierć Kochanowskiego, w Lublinie r. 1585, wiersz godny jak powiada Siarczynski, obydwóch rymopisów pracy na wzór Idylli Teokryta.

Katonowe wiersze podwójne dobrych obyczajów uczące, prawie wedle potrzeby poprawione i rytmany polskiem wyświetlone r. 1588 Krak. Piękny ma być przekład rymem polskim czterech ksiąg Katona.

Mowa do arcybiskupa Lwowskiego, Solikowskiego po łacinie imieniem Benedyktynów Sieciechowskich napis: *Honor Paternus.* Kraków 1602.

Największą zaś chwałę jeniuszowi poety przynosi poema o edukacji obywatelskiej, pod tytułem:

Zwycięstwo Bogów, Victoria Deorum 1600 r. nad którym jak sam powiada, lat dziesięć pracował, miał wiersz ten królowi Batoremu przypisać lecz śmierć tego władcy nastąpiona w roku 1586, zniszczyła zamiary poety, przypisał go światłemu Firlejowi—wydaniem tym ściągnął na siebie prześladowanie duchowieństwa, które mu zarzucało, iż bałwochwalstwo ożywia, i nienawiść żydów których obel-

gą okrył,—duchowni wiersh potępiali że tchnął nauką pateizmu czyli czci wielu bogów i był w wielu miejscach palony.

Nakoniec prace Klonowicza jak i dzisiejszych poetów, znajdowały zwolenników, wielbicieli i pogromców, jedni krzyczeli oburzeni jego workiem Judaszowym i potępiali go, drudzy zwali go Owidiuszem Sarmackim. Owcześni zaś niektórzy krytycy przypisują mu więcej talentu jak wieszczowi Czarnolewskiemu, chociaż ani za życia ani później nie był tyle ceniony jak nieśmiertelny Kochanowski. Porównanie swoje z Owidiuszem Sarmackim lubił Klonowicz i sam je czynił.

Nasoni patria Sulmo est, Sulmina nobis. Los chciał aby i w tém byli podobni. Owidjusz przy zgonie nie miał ojczyzny, Klonowicz domu swojego, rozrzutność jego małżonki do nędzy go przywiodła, skończył życie w publicznym szpitalu św. Ducha w Lublinie roku 1608, a życia swego 57. Sławny poeta, mąż zacny i szlachetny człowiek, za ledwie lichym uczczony nagrobkiem, wzniesionym przez jednego z swoich krewnych mieszczanina Lubelskiego Kujek. Skromny jego grobowiec widzieć można w nieznacznem miejscu w kościele dziś zamkniętym Farnym na Grockiej ulicy, na chórze niższym bocznym po prawej stronie, nie wielka z ciemno-orzechowego marmuru tablica jest znakiem grobowca Klonowicza, a na niej napis:

Epithalamium Sebastiani Acerni Sulmiriensis
 Consul Lubl. ad se ipsum
 Corpore dum vivo meditator mente sepulchrum,
 Corpore dum moriat mente superites ero,
 Et licet extingvar. lumen mihi redet Jesus.
 Sic mihi mors lucrum, sic mihi vita mori est.
 Cura Sebastiani Kujek.
 Civis Lubl.
 Consanguinei defuncit.

Wkrótce mury świątyni gdzie wieszczą spoczywają popioły, przetrwawszy na ziemi przeszło pół szosta wieku, legną w ruinę gubiąc i tę słabą pamiętkę jego ziemskiego bytu. O Janie Kochanowskiem wspomina jego czcigodna autorka na kartce 361 w przypisach że w *Przyjacielu* roku 1841 wydanym, była odezwa dzisiejszego plebana Sulmierzyca, szacownego księdza Siwickiego, zachęcając do wystawienia pomnika w miejscu urodzenia-Klonowicza, krytykowi i pogromcy nadużyć w owym czasie, który jaśniejąc przez pół wieku na parnacie polskim, umarł w ubóstwie. Jeżeli godne jest pomnika jego pamięci poświęconego miejsce jego urodzenia, dla czegoż nie byłoby go godnym miasto gdzie wieszczą ów żył poświęcał dla ludzkości i umarł.



CHLEB-KAMIEN.

Besticht man dich mit blutendem Entsagen ?
Durch eine Hölle nur,
Kannst du zu deinem Himmel eine Brücke schlagen ?
Nur auf der Folter merkt dich die Natur ?
Schiller.

Siestro ! przychodzę w twe progi,
W twoje wspaniałe budowy;
Niechaj cię zmiękczą lzy wdowy,
Wysłuchaj siostry żebrzącej, ubogiej.
Patrz co się stało z nami ! wróg nielitościwy
Dom spalił, zniszczył plony, zagrabił dostatki ;
Mąż mój, stając w obronie dzieci i ich matki,
Poległ, ugodzon ciosem z ręki niegodziwej.

Bóg zechce, i w jednej chwili
Człek wszystko swe mienie traci :
My tak byliśmy bogaci ,
Tak wiele włości i skarbów liczyli ;

Umieliśmy ich użyć, i biedny kaleka
Przemówił, wnet radosnem sercem i słowami
Dziękował nam, i wsparty hojnemi darami,
Błogosławił nasz domek, widząc go z daleka.

Siostrze—ja pomnę niestety,
Żeś z dawna, bo w wiek nasz młody,
Zazdrościła mi urody,
Zazdrościła gdy moje chwalono zalety;
Nienawidziła później, żem była szczęśliwą
W miłości, i z mym mężem wtak błogiem pożyciu,
Że mię ludzie wielbili jawnie i w ukryciu,
Kobietę dobroczynną, hojną, sprawiedliwą.

A teraz gniewasz się może,
Iż tutaj, gdzie tyle złota,
Jakaś nikičemna istota
Weszła—i niechby zebrała w pokorze.
Ależ ciebie zwać siostrą! jesteś w rzeczy samej;
Niech me ubóstwo dumy twojej nie podsyci,
Żem wdowa, obarczona dziećmi wyrobniacą,
Jedną miałyśmy matkę—czemuż jej niemamy?!

Ona nas równo kochała;
Więc wimię matki kochanej,
Na ciężkie Chrystusa rany
Zaklinam, nie bądź w gniewie zatwardziała!
Spójrz na mnie miłszem okiem, dosyć tej zawiści!
Tylem przez nią cierpiała, niech zgody godzina
Dzisiaj dla nas uderzy, o siostrze jedyna!
A com z dawna pragnęła, niech teraz się ziści.

Starczyło zdrowie i siły,
 Pracowałam w dzień i w nocy;
 Lecz z niskąd nie mam pomocy,
 Gdy wczoraj dzieci o chleb mię prosily.
 Rzekłam: idźcie spać dzieci, jak się obudzicie,
 Dam jutro.—I uśpiłam od głodu wybladłe,
 Widzieć ich mdlawe oczy, ich twarze zapadłe,
 Widzieć jak każda chwila, przygasza w nich życie.

To cios ostatni dla matki!
 Masz sługi, świetne pokoje,
 Bogate suknie i stroje,
 Na miękkich puchach kładziesz swoje dziatki,
 I wesole, rumiano zdrowo się chowają;
 O! niech na twą pociechę rosna jak najdluzej.
 A moim barlog lichy za posłanie służy,
 Mrą z głodu i powrotu matki wyglądają.

Myśl, jak ich srogo zasmucę,
 Gdy ich nadzieję omylę,
 One ufają mi tyle,
 Że dzisiaj z chlebem do domu powrócę.
 Siostrzo! uczyn to dla mnie, co ja bym zrobiła,
 Gdybym była w twym miejscu, powiedz słowo jedno,
 Przebac dawne urazy, pociesz siostrę biedną,
 Co tyle na tem cierpi, że cię obraziła.

Czem obraziła? do winy
 Ja nie poczuwam się wcale;
 Ty mię w zawiści zapale
 Znać niechcesz i to mych smutków przyczyny.

Daruj! wrócisz mi życie, gdy nad dziećmi memi
 Zlitujesz się,—o słuchaj! słuchaj w imię nieba,
 Jak one ciebie proszą: Ciociu, daj nam chleba,
 Choć mały kawałeczek! miej litość nad niemi!

* * *

Mocniej się łzami zaląła,
 Drżąca z rozpaczy i blada
 Do nóg nieczulej upada,
 Ta na nią z gniewem, szyderczo spojrzęła.
 Idź precz! podła żebraczko, jęczysz nadaremnie;
 Mam wszafie dosyć chleba, lecz przyrzekłam sobie,
 Wprzód się w kamień obróci, niżli dam go tobie.
 Slugo wypchnij ją za drzwi, odpędź ją odemnie.

— Siostró wyrodna i sroga,
 Równa piekielnej poczwarze,
 Niechaj cię niebo nie karze
 Na twoich dzieciach! błagam w imię Boga.
 Wiatr unosi me słowa, próżne moje modły;
 Patrz! każdy gardzi tobą, zgraja sług uciekła
 Od larwy przeznaczonej na pastwę do piekła,
 Oby głosy o pomstę, niebios nie przebodły!

* * *

Wyszła, a pani została.
 Lecz jakaż bojaźń ją wzrusza?
 Czegoż się trwoży jej dusza?
 Ostatnie słowa dobrze spamiętała.
 Zagryzło ją sumienie, coś złego jej wróży;
 Wkrótce jednak te myśli przelotne minęły,
 Duma, zawiść, znów miejsce w jej sercu zajęły.
 A w tem mąż jej z dalekiej powrócił podróży.

— Cóż słyhać, mężu koc any?
 — O, wszystko dobrze się wiezie:
 Człek z domu tylko wyjedzie,
 I wraca, niosąc trzos złotem nadziany.
 Schowaj go. Alem głodny i czuję pragnienie.
 Więc żeby je ugasić, do szafy przybiega,
 W tём zadrzał cały, pobladł—i cóż w niej postrzega?
 Żono, Pan Bóg nas karze! te chleby—kamienie (*).

Pewnieś biednego nie wsparła,
 Co żądał kawałka chleba
 (Mów prawdę—kłamać nie trzeba),
 I klątwa jego, swój skutek wywarła.
 — Wyznaję; własną siostrę wypędziłam z domu,
 Bo żebrać do mnie przyszła.—O niecna istoto!
 Cóż mi ztąd że mam skarby i włości i złoto,
 Kiedy ty mi przynosisz tyle hańby, sromu?

Popraw błąd, drogę masz jedną:
 Idź do swej siostry czempredzej,
 Weź worek, co w nim pieniędzy,
 Oddaj—przebłagać może zdołasz biedną;
 Zabierz się do pokuty w skrusze i pokorze,
 Jeśli przez żal twój szczery doznasz przebaczenia.
 Ale śpiesz się, bo nie masz czasu do stracenia;
 I obyś ją zastała przy życiu, daj goże

(*) W klasztorze Oliwskim, niedaleko Gdanska, zakoune-
 cy pokazują podobne skamieniałości, które od kilku set lat
 mają zachowywać u siebie.

Rzekł, i rozkazy silnemi
 Dumę swej żony zwycięża.
 Ta idzie, przeklina męża,
 Przeklina wdowę wraz z dziećmi głodnemi
 Lecz Bóg patrzył w jej serce, czytał tajemnice
 W głębiach tej czarnej duszy, ucho Jego słyszy
 Klątwę siostróbójeżyni, wymawianą w ciszy...
 Skinął — zrywa się burza, wichry, błyskawice.

Czarne zbierają się chmury,
 A grom za gromem upada;
 Piorun uderzył, i biada!
 Szerzy się postrach dziki i ponury.
 I patrz! gdzie wyrobnicy jak domek ów mały,
 Leży gromem rażona bogata niewiasta.
 Wieść o tem się rozchodzi w różne strony miasta,
 I lud skupia się tłumnie, trwożny i struchlały.

Chmurne rozbiegły się cienie,
 Znów cisza w całej przyrodzie;
 Wszystko w pokoju i zgodzie
 Na bożym świecie, — a słońca promienie
 Ow domek taką cudną jasnością olśniły,
 Że lud zdumiały, dziw ten od razu postrzega
 I do mieszkania wdowy nieszczęśliwej wbiega,
 I widzi ją na ziemi, martwą i bez siły.

Dziatki do serca przyciska,
 Lecz serca ustało bicie,
 I one skończyły życie;
 A w koło luna promienista błyska.

Ze lud padł na kolana, radosnem głosej
 Wielbił Tego, co w sądach swoich sprawiedliwy,
 Grom zesłał siostrze srogiej i nielitościwej,
 A wdowę do swej chwaly przypuścił w niebiosy.

A. Z.



WILLIAM,
SKRÓC Z ŻYCIA GÓRNIKÓW

przez

SEWERYNA S.

115

Wydruk z...
Wydruk z...
Wydruk z...

.MALLIIV

WYDZIAŁ...
WYDZIAŁ...
WYDZIAŁ...

1934

.MALLIIV

PARĘ WSPOMNIENIĘ PRZESZŁOŚCI.

Śługa kościelny z krzyżem i dzwonkiem pośpieszał; przechodzący zaledwie usłyszeli głos dzwonka, z pokorą schylali czoła, bo zaraz postępował kapłan, niosąc w dłoni ostatnią postugę chrześcijańską.

Przed domem, do którego ksiądz zmierzał, stało kilku ludzi z czołem zasępioném, jakąś bolesną myślą nękanych.

— Więc podobno utracimy kochanego nauczelnika, — rzekł jeden z nich.

— Ach tak podobno, lekarze żadnej nieczynią na dziei,—odpowiedział inny.—O mój Boże! nie prędko zapewne dostaniemy razem tak dobrego człowieka i zdatnego zwierzchnika, lecz patrzcie! już ksiądz z Panem Bogiem tam idzie;— tu mówiący schylili odkryte głowy, a kapłan wszedł do mieszkania chorego.

Stalski Fryderyk był nim, do jego to łoża spieczył ojciec Florjan z ostatnim pokarmem duszy.

Całe życie był on mężem prawym, dobrze myślącym, w towarzyskiem pożyciu łagodnym i pobłażającym, w zakresie urzędowania sprawiedliwym i nieugiętym. Całe jego życie było spokojne i ciche; kochał najczulej swoją rodzinę i zawsze się starał o prawdziwe jej szczęście, dla tego nieotaczał nigdy swej żony i dzieci przepychem i zbytkami, bo wiedział że od tych spokój ucieka, żył w mniejszem daleko kółku aniżeli to, jakie mu jego znamienity stopień zakreślał: lecz za to małżonka jego miała zawsze do swego rozrządzenia kilka tysięcy złotych, które już to przez małego Williama, już przez wierne go służbę nieraz tam niosły pomoc gdzie zdawało się że tylko rozpacz pozostaje. Przy takich to wzorach wzrastał William syn państwa Stalskich, na takie spoglądała ich małeńka Paulina.

Cnotliwie i cicho zbiegły dni życia pana Stalskiego, patrzmy na jego koniec. Ojciec Florjan wchodzi do komnat i przy z radością go przyjmuje.

Spokojnie odbywa ostatnią spowiedź, potem wzywa do siebie pana Adamskiego swego przyjaciela, rozmawia z nim w przytomności ojca Florjana, nareszcie, czując się słabszym przywołuje rozpaczającą rodzinę, stojący już w grobie wlewa w nią jednak nadzieję, i żegna temi słowy: „Błogostawiac żegnam cię droga żono i dzieci! żegnam was na czas jakiś, błagam Boga aby wam podobnie jak mnie żyć i umierać dozwolił. Spokojnie rzucam ten świat, bo na nim zostawiam wam przyjaciela, który dla was moje miejsce zastąpi, i który wam w przyszłości moją ostatnią. . . .

Tu chory zamilkł, opadł na łóżko, żona z jękiem rozpaczy rzuciła się ku niemu i padła na ziemię zemdlnona, dzieci sądząc że matka umiera z krzykiem ku niej poskoczyły, a pan Stalski na rękę przyjaciela wyzionął ducha.

Zgasłe zwłoki zmarłego uczczono pomnikiem, osierocona rodzina z milczącą rozpaczłą boleścią wylewała łzy na jego grobie, a ludzie! ci niedługo zapomnieli o cnotach i istnieniu zgasłego męża.

Tymczasem lata bieżą i bieżą, stary czas stopą zgrzybiałą lecz pewną depta i wali granitne gmachy potęgi człowieka. Śmierć wciąż wlecze się za jego stopami. Po skwarném lecie nadeszła jesień, słońce zaledwie z pośród czarnych chmur nocy zaczęło się przebijać, i nieraz nękając w ich falach i brudnych płachtach, jeszcze wszystko prawie mil-

czało, zaledwie czasem jakiś ptaszyna zaświegotał do budzącej się rody, mieszkaniec miasta śnił jeszcze w wygodnym pośnaniu o przyjemnościach, jakimi ma dzień wschodzący przeplatać, lecz nie spał lud który pracę obrał sobie za nieodstępną towarzyszkę: dla którego krwawy trud stał kornem dziecięcim, którem on podług swej chęci powodować potrafi.

Chcesz się z nim poznać cokolwiek, a przynajmniej ujrzyć jego codzienne zatrudnienia, zstąp wśród wzniosłych wzgórz Radomskiej gubernii. Czy spostrzeżasz wśród tej czerni drzew małe budki niby domki przemysłnego bobra: oto są pałace lesistego górników miasta.

Dalej widzisz rozrzucone zabudowania większe cokolwiek, których mechanizm i wygoda, były głównymi budowniczymi, zazwyczaj są to daszki na czterech słupach oparte; znajdujące się nad szybami, przy nich leży mnóstwo narzędzi, młotów, kilofów, tacek, wind, pomp i t. d.

Piąta wybiła na zegarze wiszącym nad budką Szygara (*), stróż zadzwonił, echo dźwięk porwany nosiło go po górach i przepaściach lesistych, każdy z górników zerwał się z pośnania i w pięć minut ubrany spieszył do roboty.

Jednym z pierwszych pracowników był młodzieniec, lat najwięcej 21 liczący, wzrostu więcej jak

(*) Szygar, jest to dozorujący robót kopalnianych.

średniego, oczu czarnych przenikających, włos kručzy ocieniał czoło śniadawe i opalone, i twarz czerstwą i rumianą. Lecz postawa szczupła prawie wątła, nie rokowała ani siły, ani możności wytrwania w pracy, której najpierwszą potrzebą siła fizyczna. A jednak William Stalski był jednym z najlepszych robotników, on przy stalowej woli i wytrwaniu, posiadał silne zdrowie, przytém moc jego dłoni była prawie cudowną. Z pozoru można go było poczytać za słabe pieszczośliwe dziecię, lecz gdy go ujrzano przy robocie dla niespodziewanej siły, robotnicy zaczęli go nazywać żartami: małym djabłkiem.

Gdy się teraz zbliżył do szybu, Sztymar, który właśnie nadszedł w tej chwili, podał mu rękę i przyjacielsko go uścisnął. Po przywitaniu, William wszedł pod zabudowanie, włożył na siebie kitle, opasał się twardym rzemiennym pasem, za którym uwiesił róg z prochem, z drugiej strony lampkę zapaloną, wziął kilof, świder, młot i wyrzekłszy ochoczo do współpracowników, pozdrowienie i hasło górnicze „Glikauf,“ spuścił się w szyb gdzie go taczki czekały.

Sądzę iż niezawadzi wspomnieć dla wiadomości osób, które nigdy prac górniczych i ich zakładów nie widziały, że szyb jest to dół w gatunku studni ocembrowany i głęboki podług potrzeby, z którego w różnych wysokościach i kierunkach są prowadzo-

ne drogi podziemne zwane chodnikami, a tych kierunek i stopień oznacza Makszajder czyli inżynier górniczy. Takie chodniki są prowadzone przez pokłady rudy, której wyłamane bryły, zwożą taczkami do głównego szybu, wkładają w kibel i windują na wierzch. Miejsce wypróżnione natychmiast się zabudowują, w obawie zawalenia i znowu dalej z pracą i wytrwaniem, trzeba jak kret kopać się w łono ziemi. Gdy w tej podziemnej podróży trafią na skałę, za którą znajdują się pokłady rudy, to dla szybszego przebicia się przez nią, wiercą dziury, napełniają je prochem i zapaliwszy takowy, zmuszają uporną skałę do ustąpienia woli człowieka.

William spuściwszy się na dół wszedł do chodnika, gdzie już zastał Grzegorza, swego współpracownika i instruktora szybko pracującego.

— Glikauf, kochany Grzegorzu, — zawołał William podając mu rękę.

— Glikauf, panie William, po co też to pan przyszedł już tak rano, kto to widział, wszak wczorajsze zabudowanie zabawiło nas blisko do północy.

— A Grzegorz dlaczegoż już przy pracy? wszak razem zemną wczoraj robił!

— Ja? to co innego, ja już...

William nie dał mu skończyć, ze śmiechem zasłonił mu usta ręką, i natychmiast obadwa ochotczo pracować zaczęli.

Swit wypędza górnika do pracy, zachód słońca wytrąca mu kilof z ręki, jego praca jest ciężka i mozolna. Wystawcie sobie np. biednego człowieka, którego chodnik jest tak niski, iż w nim stanąć nie może, musi więc dzień cały schylony klęcząc w błotnistem przejściu, które już jego praca uczyniła, przyświecając sobie lampką, rąbać dzień cały, a potem wyrąbane kawały wkładać w taczki, które za sobą wlecze i prowadzi do windy. Lecz to tylko jeden promyczek życia górników, tych synów cierpień i znoju, życia o którym dotąd nie mieliście pojęcia bogacze, gdybym wam dalej odsłonił jego koleje i ciernie, zadrzelibyście i uwierzyli w niedolę.

Kilka tygodni ubiegło od dnia w którym widzieliśmy Williama z Grzegorzem pracującego.

Wszystkie chaty górniczych osad w chwilach roboczych są prawie puste, zaludnione tylko przez starców, kobiety i dzieci. Przeciż przed jedną chatą niezwykle ruch panował. Była siedziba Williama Stalskiego. Sztygar i Grzegorz ciągle wychodzili przed dom, jakby kogoś wyglądając, a przeobrażenie na ich obliczach się malowało. W oknie chaty często pojawiała się drobna twarzyczka kobiety młodej jasnym ocieniona włosem.

Drzwi znowu się otworzyły i Grzegorz zaszepiony wyszedł przed chatę, za nim ukazały się dwie kobiety, pięknie i zbyt gustownie ubrane, aby je można było poczytać za mieszcanki osady.

— O Boże, mój Boże, — rzekł Grzegorz, — to okropne nieszczęście, gdyby się też dowiedział o tym pan Adamski, lub uchowaj Boże matka lub siostra panicza, toć onyby pomarły z rozpaczy. Ach ten nierozsądny Piotr, widząc że lina tak cienka i w tylu miejscach powiązana, i zakładać mu ją jeszcze do windy. A i ten doktor nie przybywa. Co się też to robi z paniczem, tyle krwi mu uszło, tak bardzo jest ranny.

— Nie martw się dobry Grzegorzu, — rzekła starsza z dwóch kobiet, — moje konie są bardzo ręczne a niekazałam ich oszczędzać byleby jak najprędzej przybył lekarz i zapewne tylko co go nie widać, tymczasem powiedz mi mój przyjacielu, jak się nazywa ten młody teraz ranny, którego tak kochasz i którym się tak zajmujesz?

— Jak to? więc panie niewiedząc nawet jego nazwiska niosły mu pomoc, — rzekł zdziwiony Grzegorz, — on się nazywa William Stalski.

— Stalski! — powtórzyła pytająca zmięszana.

— William, — wyrzekła młodsza kobieta, przypominając sobie coś z przeszłości, w tym tentent koni i turkot szybko pędzącego powozu, przerwał rozmowę, zwrócił wyłączną uwagę Grzegorza, i nie dozwolił mu spostrzedz pomięszania na twarzach dwóch kobiet sprawionego, wymienieniem nazwiska Williama.

Lecz poznajmy co to za jeden ten Grzegorz. S. p. Stalski ojciec Williama, podróżując za życia swego po Saksonii w celu naukowym, poznał i polubił bardzo jednego górnika, którego nawet namówił do Polski. Nim był właśnie ojciec Grzegorza. W kilka lat po swoim przybyciu ciągle pracując w górnictwie, ożenił się, lecz niedługo żona mu umarła, zostawiwszy małego Grzegorza. Niewiele czasu upłynęło gdy zwałonem zabudowaniem podczas rabunku (*) przysięciony, zachorował na suchoty i wkrótce umarł, zostawiwszy syna opiece pana Stalskiego.

Młody chłopiec z natury pojętny, od ojca nauczył się mowy swych przodków, a w domu państwa Stalskich, gdzie się nim troskliwie opiekowano, nauczono go czytać, pisać i innych początkowych wiadomości. Gdy dorósł i jak tylko kilof mógł udźwignąć, natychmiast wszedł w zawód w którym jego ojciec całe życie przepędził. Śmierć pana Stalskiego boleśnie go dotknęła, bardziej się więc jeszcze przywiązał do jego rodziny nateraz osieroconej. Można więc sobie łatwo wystawić radość poctwiego człowieka, gdy ujrzał iż William,

(*) Rabunek, jest to czynność mająca na celu zwalenie zabudowań w miejscach pozbawionych rudy, dla uchronienia się na przyszłość przypadku z niespodziewanego oberwania się ziemi w tych miejscach, do tej niebezpiecznej czynności górniczej losem się wybierają.

którego on prawie na swych rękach wypiastował, w czasie całej praktyki górniczej jemu został oddany w opiekę, lecz zarazem można pojąć i boleść jaka go obecnie gnębi z powodu przypadku nieszczęśliwego któremu uległ William.

Lekarz natychmiast opatrzył ranę chorego, stan jego zdrowia bardzo go zatruwożył. Zbyteczny upływ krwi osłabił młodzieńca, a silne stłuczenie głowy pociągnęło za sobą niebezpieczną gorączkę. Kilka dni życia jego było w wielkiem niebezpieczeństwie, przez cały ten czas przy jego łóżku wierny Grzegorz, pani Grodzińska i jej córka Leokadja, jak anioły opiekuńcze czuwali.

Po dziewięciu dniami, młodość i nadzwyczajna siła chorego zwyciężyły śmierć, cześć staraniom dobrych przyjaciół szczęśliwy skutek uwieńczył ich trudy. Jak tylko niebezpieczeństwo minęło, natychmiast pani Grodzińska, która ciągle pod przybranem nazwiskiem była znaną Grzegorzowi, kazała przygotować swój powóz i pożegnawszy tego poczciwego człowieka, a pod poduszkę chorego młodzieńca nieznacznie wsunąwszy pulares z biletami bankowemi, wprzód nim tenże do takiego przyszedł zdrowia, iż mógłby pamięcią ogarnąć jej i jej córki rysy, spiesznie odjechała.

Co za przyczyna mogła być zmieszania pani Grodzińskiej i jej córki, za usłyszeniem nazwiska Williama, zaraz się dowiemy.

Przed dwunastu laty od poprzedniego wypadku, państwo Grodzimscy mieszkali w województwie na ówczas Krakowskiem, w dobrach swych Jakubno. Dom ich był pięknym wzorem dla naszych obywateli, mieszkała w nim bowiem jak bóstwo domowe czczona dawna sławiańska gościnność, błyszczały wszystkie staropolskie przodków naszych cnoty, a nie było przesadów. Dziwnie się tam harmonizowała przeszłość z postępem oświaty pokoleń nowszych.

W gronie przyjaciół państwa Grodzińskich, liczył się pan Stalski, znakomity już podówczas urzędnik górniczy i wkrótce te dwie rodziny, które tyłą cnotami się zdobiły, ściśła połączyła przyjaźń.

Szczęśliwy pan Grodziński iż znalazł tak godnego siebie przyjaciela, pokochał go z całym wylaniem poczciwego serca, i nieraz w rodzinnej pogadance zwykł był mawiać do swego drucha: „Wiesz co Fryderyku, nasza Leokadja ma teraz piąty rok, więcej dzieci nie mamy, potrzeba nam syna, tego znajdujemy w twoim Williamie, za 10 lub 11 lat jaka to będzie para.“ Potem obracał mowę do Williamka bawiącego się z małą dziewczynką. No chłopcze uściskaj swoją przyszłą żonę. William wśród skoków i śmiechu rodziców wypełniał miły mu rozkaz. Stalski wówczas ścisnął dłoń przyjaciela, a ich żony uśmiechały się radośnie.

Tak im wśród wzajemnych odwiedzań o ile na to

pozwały zatrudnienia pana Stalskiego; ubiegło lat kilka.

W tym właśnie czasie przybył do państwa Grodzińskich Sępiński z synem, ich krewny, człowiek bez żadnego majątku i sposobu do życia.

Niegdyś miał on bardzo znaczny majątek, lecz gra i złe życie pochłonęły wszystko. Znać rozpusta i zabawy jakie mógł znaleźć w naszej stolicy, były dlań niedostatecznymi, odwiedzał więc kilka razy Francję, Niemcy i Włochy. Podróż tego człowieka, jak podróż złowrogiego huragana była oznaczona nie jedną krzywdą ludzką, od zemsty zaś uciśnionych, prawie zawsze niekzemny bogacz złotem wykupić się potrafił. W końcu stracił wszystko, obrął więc dom swych krewnych za ostatni punkt oparcia, i jeśliby okoliczności postłużyły, podniesienia jeszcze głowy.

Za przybyciem zaraz swoim, przeczorny ten intrygant, ułożył sobie plan postępowania.

Głównym jego zamiarem było ożenić w przyszłości syna swego Adolfa, z bogatą córką swych krewnych, powtóre: jakim bądź sposobem poróżnić ich z domem Stalskich, którzy dla niego stali się solą w oku. Zobaczymy więc jak mu się te oba plany powiodły.

Pan Stalski posiadał wielki dar poznawania ludzi, skoro tylko ujrzał Sępińskiego niekorzystne o nim powziął przekonanie. Później, zaś widząc jego niecne

zabiegi, bardzo grzecznie wyprosił go ze swego domu.

Rozdrażniony Sepiński poprzysiągł mu wieczną nienawiść.

W obszernych dobrach państwa Grodzińskich, znajdowały się lasy bardzo obfite w zwierzynę. Pan Stalski jako myśliwy często się zabawiał polowaniem. Dnia pewnego, gdy wszyscy zebrani przy kominku gwarzyli wesoło, gajowy dał znać że stado dzików weszło w las Jakubiński.

Na następnny dzień naznaczono polowanie.

Pan Stalski na całą noc pojechał do domu, celem zebrania swego myślistwa, i przybycia wprost na stanowisko.

Zadniało, psy puszczono i zwykłym trybem zaczęto ścigać zwierza.

Okolo godziny trzeciej z południa, dwa huknęły wystrzały, potem kilka razy uderzono w trąbkę, i znowu głucho i cicho wśród lasów, lecz patrzmy oto wymyka się jakiś myśliwy, niespokojnie ogląda się na wszystkie strony i pędzi co koń wystarczy do dworu.

W ganku siedziała pani Grodzińska czekając na myśliwych, gdy raptem usłyszała gwałtowny tentent na gościńcu, a wkrótce przerażony Sepiński stanął przed nią.

— Cóż to dla Boga się stało?

— Przygotuj się kochana kuzyno nieszczęście!

— Nieszczęście, co za nieszczęście mów prędko, może mój mąż, och mów zaklinam cię, jestem przygotowaną na wszystko.

— Mąż pani jest raniony!

— Raniony, raniony tylko, przez kogóż! gdzie? któż ten nieszczęśliwy, co mi wydziera szczęście całego życia!

— Przyrzeknij mi kuzyno że nigdy on w tym domu nie postoi,— rzekł nielitościwy Sępiński,—to ci go wymienie.

— Ach przyrzekam! przysięgam! tylko mów człowieku bez serca. Zaprzęgać! Zaprzęgać!

— Stalski zapewne nieumyślnym strzałem go ranił.

Pani Grodzińska skamieniała na tę niespodziewaną wiadomość, upadająca pod ogromem boleści i przerażenia, siadła do powozu i pośpieszyła naprzeciw męża, którego myśliwi niesli na płaszczach lecz już bez życia.

Pan Stalski zaraz po przybyciu do domu, położył się w łóżko, z którego kilkanaście tygodni się nie podnosił. Dostał prawie rodzaju obłąkania, okropna scena w lesie ciągle się powtarzała w jego pamięci, zawsze zdawało mu się iż widzi przyjaciela upadającego krwią zbroczonego, przeklinającego swego zabójcę. W końcu przeciw biegtości lekarzy, starania żony i zresztą religja ta błoga pociecha pocziwych, powracały mu zwolna zdrowie

i spokojniejszą myśl, lecz czarna troska na zawsze osiadła w jego sercu.

Wprzód jeszcze nim pan Stalski przyszedł do zupełnego zdrowia, młody jego wychowaniec Grzegorz został odkomenderowanym w inny okrąg z wyraźnym poleceniem aby mu nigdy nie pozwalano wracać do miejsc dawnego pobytu—czyby w tém była jaka intryga, czy też tak, tylko urojenie Naczelnika ówczesnego, może się później dowiemy.

W takim stanie rzeczy lat parę ubiegło. — Nareszcie pan Stalski został Naczelnikiem Górnictwa, otrzymał tę znakomitą posadę, z prawdziwą radością podwładnych, bo był mężem sprawiedliwym i dobrym.

Wśród wielu dobroczynnych postanowień, władzy swej ku własnej przyjemności użył tylko na to, aby Grzegorza swego ulubieńca do siebie napowrót przywołać—z czego ten poczciwy chłopak był nad miarę uszczęśliwiony.

Lecz radość Grzegorza wkrótce się połączyła ze smutkiem bo w panu Stalskim ujrzał prawie innego człowieka—taż sama wprawdzie dobroć też łagodność, lecz na ustach jego nigdy uśmiech nie zawitał, i z czoła jego nigdy chmura nie schodziła—boleło to niewymownie poczciwego chłopca, nareszcie raz będąc sam na sam ze swym dobroczyńcą postanowił się coś koniecznie dowiedzieć—lecz cóż brakowało mu śmiałości.

Stalski spostrzegłszy jego odkastywanie, chrząkanie, kręcenie czapkę w rękach czego nie miał we zwyczaju, zapytał go dobrotliwie czyby czego żądał?

Ośmielony Grzegorz wyznał, iż go bardzo dręczy, że jakieś zmartwienia trują widać spokojność pana Stalskiego, a on je z całego serca dzielając nie może odgadnąć ich przyczyny.

Jak to! rzekł Stalski nie odgadujesz powodu innych cierpień, czyliż śmierć najlepszego przyjaciela nie stoi ci ciągle w pamięci.

Ależ panie wszystko koniec mieć powinno, a nawet i żal nie powinien długo tak nas uciskać.

Ależ Grzegorzu! to nie tylko żal przyjaciela! lecz wyrzuty żem go własną ręką zabił.

Pan! a to co znowu!

Jakżeż? czy nie byłeś tu jeszcze wówczas i tonie może być dla ciebie nowiną czegoś więc odnawiasz tak bolesną dla mnie ranę.

Ależ dla Boga nigdy nie pomyślałem nawet żeby kto pana ośmielił się o to posądzać czego nigdy nie spełniłeś.

Zdziwiony Stalski kazał mu tę rzecz wyjaśnić.

Grzegorz tak mu odpowiedział: — Na tem niebezpiecznym polowaniu w lesie Jakubińskim, stanąwszy na granicy, spostrzegłem zbliżającego się pana Grodzińskiego a za nim z daleka dążącego jakiegoś człowieka, nareszcie obadwa siebie niewidząc stanęli

o 80 kroków odległości — w pół godziny pan się tam przybłąkałeś i jakimś fatalnym trafem zajęłeś, stanowisko między nami, jegomość który mi był nicznany, za ujrzeniem pana niemógł ukryć radości a oczy jak u kota mu błysnęły—ja nie pojmując co to wszystko znaczy, stałem spokojnie od niego nie widziany—wtem dzik nadszedł, pan się złożyłeś, on toż samo uczynił, lecz widziałem, że nie do zwierza bo tego wcale niewidział lecz w piersi pańskie, z przerażenia nie wiedziałem co zrobić i tylko gorąco zacząłem się modlić.

Huknął wystrzał pański potem zaraz jego, ja patrzę pan cały lecz jęk mnie doszedł, domyśliłem się że pan Grodziński ranny, bo on był wprost przed panem na stanowisku, pobiegłem mu na pomoc, istotnie znalazłem go sztosem przeszyciego. Przódy jeszcze spojrzałem czyś i pan nie raniony bom widział jak po usłyszeniu jęku zapewne z przerażenia upadłeś pan na ziemię, lecz na szczęście, oprócz przestachu nic więcej nie było.

Wróciłem więc do rannego—zatrąbiłem raz, drugi i trzeci, i dopiero po chwili Józef i Franc. przybiegli do mnie, ów jegomość widać, że zemknął.—Pan Grodziński jeszcze oddychał, lecz wkrótce żyć przestał, Jasek w sosnie niedaleko miejsca gdzie poległ Grodziński znalazł sztof krwią zlany, który głęboko wejść w drzewo nie miał siły.—Próbował włożyć go do pańskiej strzelby dla przekonania się

czy to nie pański strzał był tak nieszczęśliwy—lecz sztof był za wielki i w lufę zupełnie się nie zmieścił.

Józef i Franek dotąd żyją i mogą to samo zaświadczyć, i jeżeli tego nie uczynili, to zapewne z obawy aby się z niemi tak nie stało jak zemną; co ledwie parę słów pisał o tym całym wypadku już ni z tego ni z owego porwano mnie w obce strony i jak w niewoli trzymano z której mnie dopiero dobroć pana uwolniła.

A czybyś poznał tego jegomości?

O nawet w piekle!

On miał wszystko na sobie czarne zacząwszy od duszy aż do torby myśliwskiej.

Pan stalski kilka chwil chodził zadumany, nareszcie dał znak Grzegorzowi aby go samym zostawił.

W parę tygodni przed dom państwa Stalskich zjechał powóz zewszeh stron zasłonięty, około którego jechało dwóch ludzi na koniach — była wówczas godzina 10 lub 11 w nocy, jezdni zeskoczywszy z koni podeszli do powozu i drzwiczki otworzyli— z niego wysiadł jakiś człowiek z zawiązanymi oczyma; którego prowadził drugi razem z nim wyszły z powozu.

W najgłębszem milczeniu tylne drzwi domu się otworzyły, i tam wprowadzono podróżnego.

W sali czarnem suknem obitej, na której ścianach błyszczały stroje i herby, jakiegoś starożytnego

domu, na środku stał wielki stół, czarnym dywanem nakryty— na nim krucyfiks z kości słoniowej, a do koła stołu stało sześć krzeseł na których siedziało sześciu mężów z zakrytymi obliczami także czarno przybranych, w rękę każdego błyszczał pałasz dobyty prócz siedzącego na pierwszym miejscu; który w swej dłoni piastował znamie zbawienia.

Jedna tylko lampka u sufitu zawieszona słabe rzucała światło na to straszne zgromadzenie.

Nowo przybyły został umieszczony na ławce osobnej najbliższej światła, przez co przedmioty w pół ledwie oświetlone jeszcze większe czyniły na nim wrażenie.

Odkryto mu oczy, przerażonym wzrokiem spojrzął do koła—chciał coś wyrzec, lecz zęby tak mu gwałtownie dzwonić zaczęły, język tak mu się poplątał, iż nic wymówić nie zdołał—krew w nim zastygła.

Z przestachem jeszcze raz spojrzął po sali — ujrzał sześć okropnych czarnych postaci gotowych odebrać mu życie trzymanem w rękę żelazem.

Jeden z siedzących powstał i wyrzekł grzmiącym głosem: człowieczku nieszczęsny! zdeptałeś wszystko co tylko człowiek prawy szanuje!

Bóg, miłość rodzinna, bratnia, święte i wielkie ogniska, są dla ciebie czczemi imionami. — Judasz sprzedał Chrystusa i potem z rozpaczycy odebrał sobie

życie—tybyś bez wzdrygnięcia po kilkakroć przedał swego zbawcę. — Jesteś strasznym zbrodniarzem straszniejszym niż wszyscy bandyci bo skrytym płaszczem światowego znaczenia, bo wolno ci broić bezkarnie, ty też z tego często korzystasz.

Sądziłeś przestępco, że nie ma sprawiedliwości na ziemi na takiego jak ty złoczyńcę, a w sprawiedliwość pośmiertną nie wierzyłeś, a przynajmniej lękałeś się wierzyć, lecz bardzo się oszukałeś.—Oto masz przed sobą ludzi, których nigdy nie widziałeś w twym życiu, a którzy wszelako znają cię dokładnie; słuchaj i milez. Nie wspominam o wielu twych zbrodniach, w kraju i za granicą popełnionych; wspomnę o ostatniej, za którą karę odbierzesz. Zapewne pomnisz, jak przed laty kilku, w lesie Jakubińskim na polowaniu byłeś sam w gęstwinie ukryty; nie daleko ciebie znajdował się ś. p. Grodziński, twój krewny. Wtém nadszedł tamże znajomy ci Stalski—niekzenna radość zablęła w twych oczach — bo od dawna nienawidząc go, poprzysiągłeś jego zgubę. Zbliżenie się dzika dopomogło twym planom; w razie nawet bowiem odkrycia, mogłeś się tłumaczyć tём, iż do zwierza strzeliwszy, twego wroga trupem położyłeś. Stalski strzelił—ty razem z nim—lecz nie do odyńca, ale w jego piersi! nad twoje spodziewanie los ochronił twego nieprzyjaciela, a zgubił krewnego. Ty nizezenniku i z tego uniałeś korzystać—bo zamiast nieść pomoc rannemu do-

broczyńcy, pośpieszyłeś do domu i przed małżonką twej ofiary, wystawiłeś najlepszego przyjaciela jako zabójcę jej męża. któremu się ona nawet usprawiedliwić nie dozwoliła. Ty ze swej strony, łożyłeś wszystkie starania, aby usunąć wyjaśnienie strasznej prawdy. Lecz byli ludzie, którzy jak się przekonywasz, nie tylko twoje czyny, ale i myśli znają, i teraz dopiero kazali się stawić przed sobą, aby razem wyrzucić ci przed oczy niegodziwość, i karę za nią wymierzyć. „Ja, rzekł dalej oskarżyciel do swoich kolegów, po zważeniu wszystkich przestępstw tej przewrotnej poczwary, sądzę, że niebezpiecznie tak jadowitego węża puszczać na świat; więc niech umrze.“ Tu umilkł, a siedzący kolejno powtarzali: „Niech umrze.“ Gdy przyszła kolej na zajmującego pierwsze miejsce, ten nic nie wyrzekł, tylko rękę na krucyfiksie położył — i nastąpiło grobowe milczenie, przerywane tylko cichym szmerem, które wiekiem się zdawało trwać dla przerażonego Sępińskiego — on to bowiem był podróżnym, tak tajemniczo w powozie przywiezionym. Naręście po krótkiej, nadzwyczaj cichej naradzie, pierwszy sędzia, wzniosłszy krzyż który trzymał w ręku, rzekł: „Nędzny przestępco! wiesz że wszystko, co ci było powiedzianem, jest prawdą; że nawet tak bezczelny zbrodniarz jak ty, nie śmie nic przeciwko temu powiedzieć; ostatnie twoje przestępstwo pozbawiło naprzód życia poczciwego człowieka, od-

raziło serce jego małżonki od domu prawdziwego przyjaciela, a temu przez lat kilka zatruwało spokójność. Gdybyśmy chcieli, dla uspokojenia Stałskiego, wyjaśnić prawdę, to nasze wyjaśnienie na rusztowanie by cię poprowadziło. Gdybyśmy znowu zapragnęli, działając po twojemu tajemniczo, sami wymierzyć ci karę, to za minut parę, twenędzienne życie byłoby przeciętym, i nikt by nigdy nie przeniknął, gdzie się podziateś! Lecz i tego nie uczynimy — chcemy abyś żył dla zgryzot sumienia, a może Bóg kiedy ześle ducha upamiętania na ciebie. Masz tylko przysiądź, iż nigdy nie powtórzysz nikczemnego kłamstwa, że Stalski był zabójcą Grodzińskiego. Teraz zbliż się tutaj i pisz co ci podyktuję.“

Sępiński ze drżeniem wypełnił rozkaz, zbliżył się do stołu i pisał co mu kazano; potem podpisał i powrócił na swe miejsce.

Wszyscy sędziowie kolejno podpisali to co on napisał; potem podano mu krucyfiks, a po odbytej przysiędze, iż wszystko wypełni i zachowa w tajemnicy, co tu widział i słyszał, zastąpiono mu oczy a jeden z sędziów jeszcze rzekł: „Pomnij przestępcu, że po spełnionej kiedykolwiek jeszcze przez ciebie zbrodni, spotkanie któregokolwiek z naszego zgromadzenia, będzie dla ciebie pewnym hasłem śmierci.“ Tu wsadzono go do powozu, drzwiczki zamknięto, dwóch jezdnych znowu zjawiło się po

bokach, woźnica zaciął konie i powóz znown znikł z przed oczu.

Po całodziennej hlisko podróży, w czasie której tylko wśród lasu się zatrzymywali, znów około dziesiątej lub jedenastej w nocy, wysadzono w milczeniu Sępińskiego w lesie Jakubińskim. Człowiek tajemniczy który z nim siedział w powozie, błysnął mu wśród nocy sztyletem—ten przerażony, czując się wolnym, skoczył w krzaki—nikt za nim nie gonił—powóz i ludzie znikli w ciemności.

Zapewne domyślił się każdy, że autorem sceny poprzednio odbytej był pan Stalski, który dowiedziawszy się, że Sępiński, godząc na jego życie, zabił swego krewnego, zapragnął przynajmniej posiadać jego własne zeznanie: sprosił więc kilku najzaufanszych przyjaciół, między którymi pana Adamskiego, który grał rolę oskarżyciela i ojca Florjana który był głową rady. Następnie posłał Grzegorza z dwoma dzielnymi górnikami, którzy schwytawszy winowajcę, w zakrytym powozie cały dzień z nim po różnych okolicach jeździli, aby nie pomyślał, iż jest w domu Stalskiego, znajdującego się o dwie godzin drogi od Jakubna; — a wszystkie plany nad spodziewanie się powiodły.

W kilka tygodni po tém zdarzeniu, Sępiński, który ciągle mieszkał w domu pani Grodzińskiej, namówił ją, pod pozorem edukacji dzieci, do zamieszkania w Warszawie, i do zerwania wszystkich sto-

sunków z miejscem dawnego pobytu. Jakubno i dwie inne wioski puszczone w dzierżawę.

W lat parę nastąpiła śmierć Stalskiego. Grodzińska nic o tém nie wiedziała, żywiąc bowiem ku niemu niechęć, nie spytała nawet nigdy o powodzeniu tej rodziny.

Tymczasem młoda Leokadja dorastała, kończąc bardzo korzystnie nauki. Razem z nią wychowywał się i kształcił młody Adolf Sępiński. Młodzieniec ten hojnie uposażony w zewnętrzne dary urody, wszystko wlał w powierzchowność. Leokadja też wcale nie miała ku niemu żadnego przywiązania, i tylko bojaźń wuja, który w tym domu potrafił wszystkich opanować, zmuszała ją do łągodzenia grzesznością obojętności dla Adolfa.

Celem ukończenia edukacyi Leokadyi, postanowiła jej matka zwiedzić z nią Prussy i Austryą. Pierwsze dni maja roku następnego były wyznaczone na podróż. Przez ten czas, Sępiński miał się zająć wyrobieniem paszportów i ułatwieniem wielu innych interesów, a pani Grodzińska zwiedzić dokładnie wszystkie osobliwości swej rodzinnej ziemi. Przebywając więc Krakowskie, nie chciała pominąć górniczych zakładów; wstąpiła zatem do osady B., gdzie trafem szczególnym stała się obecną nieszczęśliwemu wypadkowi, jakiemu uległ młody William, w ówczas przechodzący wszystkie początkowe próby górnictwa i pracujący w kopalniach.

Gdy po wypadku, którego mało życiem nie przeplacił, powrócił do zdrowia, zaczął najstaranniej śledzić nazwiska swych opiekunek i dobrodziejek, w zamiarze zwrócenia im summy w pularesie zawartej; lecz wszystko okazało się bezskuteczném.

W témże czasie, władze górnicze, które co rok wysyłały swym kosztem dwóch najzdatniejszych młodzieńców za granicę, dla udoskonalenia się i poznania wielu ulepszeń, znanych w postronnych krajach, w tym roku Williama Stalskiego i Stanisława Prątkiewicza uznały godnymi tego wyboru. Z najwyższą radością młodzieńcy usłyszeli o tak zaszczytném dla nich zaufaniu, i w podróż wybierać się zaczęli. Przygotowania szły nadzwyczaj szybko i w parę tygodni były już skończone. Pan Adamski pożyczył Williamowi 5000 złp. na nieprzewidziane wypadki, które im się mogły przytrafić. Pani Stalska przy pożegnaniu te tylko słowa rzekła do syna: „Pomnij Williamie, jakim był twój ojciec, i tak postępuj jak dotąd, a z pociechą cię powitam, wracającego i bogatego wiadomościami pożytecznymi dla kraju.“ Dalej mówić nie mogła, bo łzy, które tłumiła, strumieniem teraz popłynęły. Siostra Williama, Paulina, podwójną była przy pożegnaniu dotknięta boleścią, bo nietylko żegnała ukochanego brata, lecz oraz razem z nim jadącego Stanisława, swego narzeczonego. Grzegorz chciał uściskać dłoń swego panicza, jak go zawsze nazywał; lecz ten

uściskał go jak brata, czém łzę z oczu pocziwego człowieka wywołał.

R A T U N E K.

Owdzie tłumami stoją dokoła,
Gdzie brzeg wyniosły zdala się jeży;
Ten wzuosi rękę—ten krzyczy, woła,
Lecz nikt na pomoc z tłumu nie bieży.

An. Czajkowski.

Królestwo Saksonii, przecięte wzniosłemi pasmami gór Saskich kruszcowych, zarzucone jest licznemi jeziorami i wielkimi stawami. W pobliżu Frejberga, głośnego bogatemi kopalniami srebra i akademią górniczą, sławną na całą Europę, płynie rzeka Mulda, tworząca wielkie kanały i stawy, których wody przemysłni Saksonowie ująwszy olbrzymiemi śluzami w pewną zakreśloną granicę, zmuszają je do obracania kół i poruszania wielu machin.

Słońce wiosenne coraz silniej przygrzewając, swemi promieniami niszczyło zabytki zimy; wielkie śniegi i lody gór, pod jego gorącym tchnieniem, wbystre zmienione potoki, spuszczały się w doliny, jako złowrogie zwiastuny powodzi. Kanał Frejberg-

ski nadzwyczaj szybko przybierał: zdawało się że wieczno-trwałą prawie groblę wysadzi ze swej podstawy. Przerażeni mieszkańcy nie znaleźli innego środka ratunku przeciw zniszczeniom, jak tylko, podniosłszy wszystkie stawidła, całą służbę otworzyć. Ten tylko, kto widział spad Niagarski lub Szaffuzski, może sobie wyobrazić widok jaki tu się przedstawił. Woda wyparta z łożyska, kolumną 30-40 łokci kwadratowych rzucała się w głąbie odpływu. Grom wielu bardzo dział jeszcze nie zagłuszyłyby huku i szumu łamiących się z sobą wód. Zdumienie i podziw przejmowały patrzących, jak ogromne bałwany to lotem strzały w głąb się wciśkały, to znowu wznosząc pienne łono, jak węże wśród wału się wiły. Wszyscy prawie mieszkańcy Frejberga wyszli na most, patrzeć na ten wspaniały widok. Wśród zgromadzonych, grono z czterech osób złożone, odznaczało się wytworniejszemi i cudzoziemskimi ubiorami; składali go dwaj mężczyźni: jeden młody, lecz blady i wynędzniony, drugi odrażającej powierzchowności, mogący mieć około pięćdziesięciu kilku lat, i z dwóch kobiet, z których młodsza była prześliczną, z niebieskimi oczyma, blondyną. Rozmowę prowadzili w języku francuskim, i tak byli widać nią zajęci, iż nie uważali, jak około nich przeszło dwóch ludzi, w ubiorach górników Saksońskich, z nadzwyczajną prawie natrętną przypatrujących się im uwagą, którzy o kilka kroków śród tłumu się skryli.

— Ah, panie Adolfie,— rzekła kobieta starsza,— nie wychylaj się tak za poręcz mostu, możesz spaść.

— O! i cóżby to szkodziło, tobym się skąpał,— rzekł z junakierją bardziej się jeszcze przechylając Adolf.

Plusk—jakby kamyczka w rzekę wrzuconego, rozległ się,—Nieba! on zginie,—zawołał jegomość starszy i w tejże chwili wściekłe bałwany chwyciły w swą paszczę nieszczęśliwego Adolfa. Przerazenie wszystkich lica pobielilo.

— To on,— zawołał ktoś z tłumu i natychmiast jakiś młodzian, zrzuciwszy tylko z siebie płaszcz podróżny, z zimną krwią Anglika, a z siłą i zręcznością, którejby się najpierwszy marynarz nie powstydzil, wyskoczywszy na najwyższą palisadę mostu, zapewne dla nadania większej siły swojemu skokowi, rzucił się w przepaść kipiącą.

Zwyciężył pomysł młodziana, szalone bałwany nie zdołały ująć go w swe skrzydła, żeby go potem jak piłką przerzucać mogły. On jak strzała z wartkiej puszczona cięciwy, przeszył ich straszną powierzeźnią i skrył się pod nimi, na dnie nie tak wzburzonem. Na moście, w zgromadzeniu z parę tysięcy osób złożonem, grobowa panowała cisza, przerywana tylko szamotaniem młodego człowieka, chcącego zapewne biedz także na ratunek tonącemu; lecz silnie go trzymał za ramiona jakiś ogromny robotnik.— Ah, herr Jezu! gdzie chcesz lecić, sza-

leńcze, czyż dla jednego głupca ma ginąć dwóch dzielnych jak wy chłopaków? — Zwyciężony przez mocą młodzieniec, stał drżący, chciwem okiem śledząc wody, na których dotąd nic prócz piany widać nie było.

W nieprzeliczonych romansach, po zabawie i tańcach, towarzystwo salonowe podzielone na dobrane grona, siada do osobnych czółen i przy śpiewie ptastwa, przy blasku zachodzącego słońca, wesolo żeglują po wodzie. Traf niespodziewany, lub spodziewany, wywraca łódź, śmiały bohater, z narażeniem swego modnego stroju, rzuca się w wodę, ocala przestraszoną piękność, i prócz szumnych pochwał gawiedzi, zyskuje na wiecznej wdzięczności oparte względy do serca, ręki ocalonej i t. d. Tu rzecz zupełnie inna: tu dzielny młodzian niesie bez wahania w ofierze życie, w którym tyle może spojczywać nadziei, nie dla kochanki lub piękności, lecz dla ocalenia swego wroga.

William Stalski poznał na moście Adolfa Sępińskiego; przeszedł z pogardą ze swym przyjacielem Stanisławem, od niego niedostrzeżony; widział jego przechylenie się, upadek, — a teraz pospieszył mu z pomocą. Wszyscy z natężoną uwagą, przestrachem, a może tylko ciekawością, oczekują rozwiązania tej sceny.

Nareście, w środku upustu, tam gdzie już woda nie tak była kipiącą, wynurza się z pod fali głowa

dzielnego obrońcy. Wszyscy wydali okrzyk radości. William zaczął śledzić falistą powierzchnią wody, czy nie ujrzy gdzie nieszczęśliwego; aż o kilka łokci coś białego mignęło. Jak jaskółka przemknął się tam, i znalazł Adolfa wysilonego i duszącego się, lecz posiadającego jeszcze trochę przytomności, tak zgubnej dla ratującego: bo tonący, jak mówią i brzytwy się chwytą— i może tak nieszczęśliwie ując swego wybawcę, iż ten razem z nim nie-raz zginąć musi. Dla tego William wymierzył mu naprzód silny policzek, czém go zupełnie ogłuszył; a potem ująwszy jedną ręką za długie na szczęście włosy, drugą zaczął płynąć. Lecz tu do brzegu daleko— a fala płynąć przeszkadza. Na brzegu czyliżby wszyscy tylko świadkami bez współczucia byli? i żaden nie zapragnął pięknym czynem podzielić się z Williamem, jemu znów dając pomoc? O, niestety byśmy mieszkańców Frejberga o brak litości lub odwagi obwiniali... Oto ośmiu dzielnych chłopców wskoczyło w łódzie, lecz nim ci od brzegu odbili, już jedna łódź daleko się naprzód pomknęła. Kierował nią mężczyzna wysokiej i atletycznej budowy, ubiór jego był prosty i zanedbany; głowę okrywał mu wielki kapelusz, używany przez pasterzy Saksońskich, głęboko na oczy wciśnięty. Twarz jego była tak zabrudzona i czarna, że trudno było dopatrzeć koloru jej cery. Ogromnym wiośłem on szybko tak jak piórkiem wywijał. Znu-

żony William, ostatkiem sił już prawie walczył z bałwanami, gdy łódź do niego przybiła. Nieznajomy przewoźnik schylił się i ujął silną dłońią za ramię Williama, pomagając mu do wejścia w łódź. Następnie wciągnął martwego Adolfa, i nie rzekłszy ani słowa, odwrócił się, chwycił wiosło i zaczął do brzegu płynąć.

Na lądzie tysiące ludu oczekiwało z radością dzielnego i śmiałego Williama, okazując mu to słowy, to giestem swoje uszanowanie. Gdy łódź do brzegu przybiła, nieznajomy jej sternik, pierwszy wyskoczywszy na brzeg, znikł wśród zgromadzenia.

William, wsparty na ramieniu Stanisława, postępował otoczony kolegami górniczymi, albowiem obadwa od niejakiego czasu słuchając kursów akademii górniczej, wolne chwile praktyce poświęcali. W tym jakiś starzec do nich się przybliżył, i zatrzymawszy lekko Williama, rzekł: „Panie! ocaliłeś mi syna, oby cię niebo błogostawiło! Niech będę szczęśliwym i dowiem się komu to winienem.“

— Nie bądź ciekawym starcze, — rzekł zimno William.

— Zaklinam cię panie, wyjaw mi twe nazwisko!

— A więc dowiedz się, że William Stalski wyratował ci syna.

Starzec skamieniał prawie na tę wiadomość. William odwrócił się do zdziwionych kolegów, i poszli zwolna ku miastu.

* * *

Późna noc już uspiła mieszkańców Frejberga, gdzie niegdzie tylko jeszcze błyskały światła, i z coraz bardziej spóźniającą się porą gaśły. W oknach tylko pięknego domku, za którym przyjemny rozciągał się ogród, światła jaśniały. Była to noc piękna, luba balsamiczném powietrzem, i strojna we wszystkie uroki wiosny. Jedno z okien domu, na ogród wychodzące, z wolna się otworzyło, i w niem ukazała się młodzianka twarzyczka kobiety, jasnym w nieładzie po śnieżnej szyi biegnącym ocieniona włosem; strój nocny okrywał do połowy widzianą w oknie postać. Ciemność, ogród zamknięty, zabezpieczały od ciekawego natręta; lecz wietrzyk, ten śmiały ciekawiec, nieraz ugiąwszy wietkie fałdy zaniedbanej szaty, odslaniał to łabędzie łono, to... Lecz co nam po raju z liter ułożonym; ot, zajrzyjmy lepiej do domku. W pierwszym pokoju drzymało dwóch służalców; w następnym, dość pięknie umeblowanym, stało łóżko posłane, przy nim stolik, na którym leżały porozrzucane karty i kości, i niedopita butelka wina. Nad łóżkiem wisiała para pistoletów i krucic, którychby się i sam Budet nie powstydział. Kilka świec paliło się na stole. Drzwi do następnego pokoju były osłonięte dywanem, po uchyleniu którego i wejściu do następnej komnaty, spostrzedz można było na łożu jakiegoś człowieka, a raczej szkielet człowieka. Zdawał się być młodym, lecz skóra na jego twarzy była tak

żółta, sucha i pomarszczona, iż trudno było wieku dopatrzeć... Na stole przy jego łożu znajdowało się mnóstwo flaszek, flaszeczek i stoików, — najpewniejsza oznaka choroby, i lampa, której światło stłumione słabo oświecało pokój. Po komnacie dywanem wysłanej przechodził się wolnym krokiem mężczyzna lat pięćdziesiąt kilka mieć mogący. Boleść ciążyła na jego pooraném czole, oko przyémione ledwie niekiedy rzucało spojrzenia — lecz spojrzenia zdolne przerazić

W tém chory cicho coś wyrzekł, chodzący przybliżył się i usiadł przy łożku.

— Ojcie! — rzekł chory słabym głosem, — komuż więc winienem życie? bo zdaje mi się, o ile mogę pamięcią ogarnąć ten wypadek, to twarz mego wybawcy zdawała mi się nie obcą. Kto on ojcie, kto on?

— Ah Adolffie! nie wiem nic o jego nazwisku.

— Ojcie, ojcie! wiem że ty znasz jego imię; na niebo więc lub na piekło zaklinam cię, wymień mi je.

— Więc chcesz koniecznie wiedzieć?

— Koniecznie.

— Posłuchaj że mię zatém: jest to nasz ziomek przybył tu z Polski, ze swym przyjacielem, kosztem rządu, w celu korzystania z nauk tutejszej akademii i poznania wszystkich ulepszeń, jakie przemysłni Saksonowie ciągle tworzą. Pracował czas jakiś w ko-

palniach srebra, obecnie zaś w topielni, ztąd o godzinę drogi za rzeką Muldą, niedaleko kanału, gdzie tak okropny zdarzył ci się wypadek, a gdzie go w ówczas, na nasze szczęście, los przyprowadził.

— Lecz jego nazwisko, jego nazwisko! — zawołał chory, z trudnością podnosząc się na postaniu.

— William, — rzekł ze drżeniem Sępiński.

— Stalski! — dodał chory, — syn naszego wroga, — i wysiłony upadł na łoże.

— Jakżeś więc mógł spamiętać jego rysy, gdyś go jeszcze znał w dzieciństwie?

— Jak? — posłuchaj mię ojcze! Twarz, to zwierciadło duszy — u człowieka prawego jest jej obrazem, a występny i zbrodniarz musi ją często jak maskę zmieniać i malować, aby się niewydała cała jego niegodziwość. Dla tego to twarz Williama, którego jeszcze dzieckiem znałem, nie zmieniła swych rysów i dawnego charakteru; dla tego ja ją poznałem, choć zapomniałem jego nazwisko. Nasze twarze ojcze, niestety! nie wiem czyby były tak prędko poznane. Lecz, czyś mu ojcze podziękował?

— Podziękował! o tak, — rzekł ze wściekłością zrywając się Sępiński, — chciałem to uczynić; lecz znać wiedział kto jestem, bo mię z pogardą odepchnął.

Tu nastąpiła chwila milczenia, tak przykra dla obu, którą przerywało tylko przyspieszone stąpanie i jakieś niezrozumiałe wyrazy, wymawiane

przez chodzącego, z których można tylko było do-
słyszeć czasem: Mściciel ojca... zgubić może... po-
siada tajemnicę... nienawiść!.. zemsta!..

W pokoju obocznym, przed łóżkiem rozebraném, nad którym wisiał krucyfiks, klęczała kobieta, głę-
boko widać wnikniona w modlitwę, bo czas jakiś
zdawała się prawie martwym posągiem. Skończyła
modlitwy, zadzwoniła lekko, weszła służąca, roze-
brała ją i oddaliła się. Kobieta udała się na spo-
czynek, zostawiwszy świecę zapaloną. Lecz sen nie
śpieszył się: jakieś zdarzenie minione zdawało się
krzyżować w jej pamięci. Zapewne był to wypadek
dnia wczorajszego, z jej krewnym Adolfem.

— To szczególna, — rzekła jakby do kogós, — i
ten dzielny młodzian, który ratował Adolfa, i ów
śmiały przewoźnik, który im pierwszy łódź podał,
nie byli odemnie widziani. Tak to wszystko nagle
nastąpiło i ja byłam tak przerażona, żem nawet za-
pomniała się zapytać o ich nazwisko. Sępiński zaś
mi powiedział, że ich wcale nie zna, i tylko się do-
wiedział, że to byli dwaj Czescy robotnicy, którzy
w tutejszych kopalniach pracują. Ja nie pojmuję,
jak można być tak obojętnym i nie dowiedzieć się
coś pewnego o wybawcach swego syna. Muszę się
sama jutro tem zająć.—Lecz otóż i sen.

W czwartym i ostatnim pokoju, w którym świa-
tło było zgaszone, przy otwartém oknie siedziała
już opisana przez nas dziewczica. Główka wsparta

na małej rączce, zdawała się marzyć — marzyć daleko i szeroko. Marz, marz, lube i cnotliwe dziecię! nie przewidujesz, że o kilka od ciebie kroków jest istota, która radaby twe wszystkie westchnienia przejąć,—twe wszystkie myśli i marzenia wydrzeć z twej niewinnej piersi.

O, nigdy śmiały Beduin z większą rozkoszą nie spoglądał na kochankę, własnymi od najezdnicza oswojonymi piersiami, nigdy władca najświetniejszych haremów, z większą rozkoszą nie poił się widokiem wdzięków rajskiej odaliski, a niżeli jakiś człowiek, w szerokie fałdy płaszcza obwinięty, który od kwadransa śledził oblicze nadobnej Leokadyi. Nareszcie parę kroków do okna się zbliżył. Leokadja przestraszona, naprzód zarzuciła na siebie w bliskości leżący burnus, następnie cofnąwszy się w głąb pokoju, chciała zadzwonić, lecz nieznajomy ani kroku dalej nie postąpił, i tylko rzekł błagającym głosem, w języku krajowym:

— Wstrzymaj się pani! — a tak było coś szczerzego i ujmującego w tym głosie, iż Leokadja puściła sznurek od dzwonka i parę kroków nazad ku oknu się zbliżyła.

— Kto pan jesteś i czego żądasz o tej porze, — rzekła z odwagą, na jaką się zdobyć mogła.

— Pani,—rzekł nieznajomy,—naprzód racz przebaczyć, żem tak awanturniczo śmiały zakłócić twą spokojność. Teraz zaś postuchaj mojego usprawie-

dliwienia: Jesteś pani cudzoziemką w tym kraju, przybywasz z Polski, tam ja mam przyjaciela: przeczucie mi mówi, że pani o nim musiałaś słyszeć, a że jutro oświcie wyjeżdżam z Frejberga, odważyłem się więc tu udać, ażeby jeśli można, o nim się coś dowiedzieć.

— Panie,—rzekła ze swej strony Leokadja,—zdaje mi się, żem głos pański wczoraj na moście kanału Muldy słyszała, w chwili gdy mój krewny wpadł do wody. Czy pan czasem nie jesteś jego szlachetnym wybawcą?

— Tak pani! kłamać nie umiem i nie mogę, ja nim jestem. Lecz za jedyną nagrodę tego czynu, który już w mojem sercu znalazł zawdzięczenie, błagam cię pani, już mi o tém nie wspominaj; wiele boleści przez to mi się oszczędzi. A teraz racz mi pani powiedzieć, czy jej nie była znaną rodzina Stalskich w Krakowskiem mieszkających?

— I owszem panie, familja ta żyła nawet bardzo dobrze z memi rodzicami, dopóki bolesny i okropny wypadek nie rozłączył nas.

— I od tego czasu czy nic o nich nie słyszałaś pani?

— Słyszałam tylko, że Stalski umarł, małżonka zaś jego mieszka ciągle z córką w Krakowskiem, gdzie jej syn William pracuje w górnictwie.

— William! to mój przyjaciel, że też pani pamiętasz jego imię. Czy dawnoś go pani widziała?

— Przed kilku miesiącami, gdy z matką przejeżdżała przez osadę B., znalazłyśmy pana Williama niebezpiecznie ranionego odłamem skały; lecz przy boskiej pomocy powrócił już do zdrowia.

— Nieba litościwe! — rzekł nieznajomy z zapamiętaniem, — panie to byłyście aniołami opiekuńczymi w czasie jego choroby? panie uratowałyście mu życie. O! niech wam Bóg tyle ześle szczęścia, ile go serce Williama życzy.

— Jakto? więc panu ten wypadek znajomy? — rzekła z pomięszaniem Leokadja.

— Tak pani, ze wszelkimi szczegółami, i w imieniu mojego przyjaciela składam dzięki istotom, które za posłanniczki niebios uważam. Tylko zostawiony pulares z pieniędzmi bardzo go zmartwił. Szukał i szuka sposobności zwrócenia go do rąk pani. Teraz łaska i prośba ostatnia niech będzie przez panią spełnioną. Oto,—rzekł nieznajomy, dobywając małego pudełeczka,—tu spoczywa połowa pierścienia mej najdroższej matki. Obiecałem Williamowi, że kiedyś ten najświętszy zakład naszej przyjaźni mu prześlę. Nie prędko zdarzy mi się lepsza jak obecnie sposobność dopełnienia obietnicy. Ośmielam się więc prosić panią, czyby nie raczyła wręczyć osobiście Williamowi tego pudełeczka. Jakkolwiek śmiałe i dziwaczne jest moje żądanie, mam jednak nadzieję, że ono znajdzie pobłażanie w jej dobroci.

— I owszem panie, z chęcią spełnię jego życzenie, tém bardziej że pan tak wielki dług wdzięczności od naszej rodziny zaciągnąwszy, masz prawo śmiało żądać większych daleko przysług.

— O! dość, dość pani z tą wdzięcznością. Oto racz mi pani przebaczyć, że tak długo zabierałem czas, który winien być jej spoczynkowi poświęcony, i przyjęć moje pożegnanie z życzeniem, aby nam nieba kiedy jeszcze się ujrzeć dozwoliły.

Z D R A D A.

Nikt tam nie zawołany wnijsć się nie poważy,
 Tam jego myśl ukryta samotnie się żarzy;
 Tam może brnąć już w rozpacz w niezwyklej niemocy
 Depce barzliwym krokiem po ciemnościach nocy.

Marja Malczewskiego

Jasny świt zaledwie zaczął poślacać i z mgły wynurzać szczyty kruszcowych gór saskich; jeszcze cały Frejberg spoczywał, i tylko gdzie niegdzie przemknął się robotnik w zamulonej odzieży, z kulistym kapeluszykiem na głowie.

W ustronnym domku przedmieścia, skromne pomieszkание zajmowało dwóch młodych ludzi; obadwa jeszcze spoczywali. Wtém ktoś zapukał do

drzwi — zapukał raz, drugi i trzeci, nim chłopiec, który był razem kucharzem, lokajem i wszystkiem, podniósłszy głowę z pośłania, zapytał głosem rozspanego: Kto tam?

— Czy tu mieszka pan Stalski?

— No — tu; a co chcesz?

— Mam list.

Chłopiec otworzył, i wszedł żyd brudny i obdarty.

— Williamie! wstawaj, zawołał jeden z dwóch młodzieńców, który się pierwiej obudził. Poślaniec z listem do ciebie; lecz jakiś podejrzany i brudny, bo daj czy nie zwiastun złych nowin.

William jeszcze się nie obudził.

— Janku! obudź pana.

William obudzony przez chłopca, podniósł się z pośłania, przetarł rozespiane oczy i odebrał list. Był on pisany na cienkim woniejącym papierze; za-wierał co następuje:

Panie!

Wczorajsza rozmowa wiele wyświeciła mi jego charakter. Nie mając w tym kraju nikogo, komu bym zaufać mogła, do niego się udaję. Mam panu do powierzenia ważną tajemnicę; to mię ośmiela do oznaczenia mu doliny wśród gór za Muldą, o godzinie ósmej w wieczór.—Leokadija Grodzieńska.

— Jak na teraz, kochany Stasiu, ba rdzo się omyliłeś; ten obdarty izraelita jest dla mnie poślan-cem

szczęścia—rzekł William po przeczytaniu listu, dając hojną nagrodę posłańcowi, który natychmiast wyniósł się za drzwi.

Zbytecznym byłoby opisywać, jak długim się wydawał dzień dla niecierpliwego Williama. Praca go nudziła, i nieraz z rozrządzenia takie myłki popełniał, iż koledzy serdecznie się z niego śmiać musieli. Nareszcie nadszedł oczekiwany wieczór. Siódma uderzyła. Znudzony William, z nadzieją wesołego spędzenia wieczoru, zrzucił ubior roboczy i przywdział najlepszy strój, owinął się w czarny szeroki płaszcz, i ochoczo udał się w miejsce wskazane.

Za miastem, w rozkosznej dolinie, gdzie niegdzie drobnymi zastanej krzewami, płynie rzeka Mulda. Tę przebywszy, William udał się wąską drożyną w dzikie skały sosną i jodłą okryte. Przeszedłszy kilkaset kroków, trafił na piękną małą płaszczyznę dokoła górami otoczoną, ustrojoną w mnóstwo naturalnych kłębów. Pod jednym z takowych usiadł, czekając nadejścia Leokadyi.

Godzina już blisko tak mu wśród miłych marzeń ubiegła, a nikogo widać nie było. W tém coś w krzakach zaszeleściło. William się podniósł, a w tejże chwili ktoś go nagle z tyłu uchwycił i na ziemię powalił; jednocześnie ostrze noża powitało jego żebra, raniony z przytomnością zdołał się porwać z ziemi, będąc zaś bezbronnym, tak silny raz pięścią

wymierzył w czoło mordercy, iż ten upadł na ziemię, a krew z ust i nosa obficie bryzgnęła, i toporek który trzymał, wypadł mu z ręki.

Hola, hola silny ptaszku, zawołał drugi w tej chwili zjawiający się bandyta, i ogromną pałką już miał roztrzaskać głowę leżącego na ziemi Williama, gdy silne i niespodziewane uderzenie toporka, powaliło go na ziemię. Głowa rozplątana buchnęła potokami krwi, czarnej jak dusza zbrodniarza, która w tej chwili ciało porzuciła.

Niespodziewany obrońca Williama skoczył do niego, zerwał płaszcz, odsłonił piersi i przekonał się że tenże lekką tylko odebrał ranę, albowiem nóż, niewprawną i słabą kierowany ręką, nie mógł zadać śmiertelnego razu. Zbrodniarz, który pierwszy napadł na Williama, leżał na ziemi omroczony silnym uderzeniem. Ciemność nocy nie dozwalała rozpoznać jego rysów.

Przytłumione światło lampy, słaby blask rzucało po sali, gdzie leżał młody Sępiński. Twarz chorego żółta i chuda, oczy zapadłe i blasku pozbawione, przykry sprawiały widok. Przy jego łóżku siedziała pani Grodzińska z Leokadją. Chory coś mówił cichym głosem. Spojrzenie jego, błędne i niespokojne, obiegało salę i często na drzwiach się zatrzymało.

—³Już dziewiąta, jego jeszcze nie widać. O Boże! coby się z nim stało?

— Nie martw się Adolfie, zapewne ważne potrzeby wywołały go tak rano z domu i niezawodnie lada chwila powróci.

— Oj! ważna to zapewne potrzeba — drżę cały! czy moje przewidywania się nie spełnią.

— Adolfie, ty nam zawsze nie ufasz, nie musisz zapewne wierzyć w nasze szczere do ciebie przywiązanie. Gdy ciągle jakaś troska tajemna cię gnębi; nam jednak nigdy jej nie powierzyłeś. Ufaj wszelako, tak dobroci ludzi, jak w nierównie większe jeszcze miłosierdzie Boga. Najzawistniejszy los nie zadał nigdy takiej rany, którejby ten dobry Ojciec nie zagoił. Cierpienia są koniecznemi dla ludzi. Wierz mi, że jeszcze i dla ciebie zabłyśnie.....

Łoskot i brzęk, który się rozległ w drugim pokoju, przerwał mowę. Drzwi z trzaskiem się otworzyły i weszło dwóch żołnierzy, za nimi urzędnik policyjny i jego podwładny; za tym, jakiś człowiek krwią zbryzgany, z rękoma w tył związanymi. Ten okropny orszak kończyło dwóch sług policyjnych i jakiś człowiek wysoki, z twarzą brudną, wczarnym prostym ubiorze, który drzwi zamknawszy, założył ręce na krzyż, czekając co dalej nastąpi.

Urzędnik bez ceremonii usiadł przy stoliku, dobył z kieszeni papiery i rozpoczął badania.

— Czy jej znajomy ten człowiek?—rzekł do pani Grodzińskiej, wskazując na związanego.

— Nie pojmuję pana,— rzekła zapytana, — jakie mogę mieć stosunki z człowiekiem w kajdanach tu przywiedzionym.

— Wystąp naprzód złoczyńco!

Ten się wahał; lecz sługa policyjny, pochwyciwszy go za ramię, wyprowadził na środek sali.

— Nieba! to mój krewny, to wuj mój! — wykrzyknęły poblądłe matka i córka.

— Ha! to mój ojciec, — rzekł cicho i ponuro chory.

— Uzbrójcie się panie w odwagę, — rzekł urzędnik policyjny, — do wystuchania tego co powiem. Dziś wieczorem, pewien młody człowiek wyszedł dla przejścia się w góry za Muldę, niedaleko topielni srebra. Tam spoczywającego napadło dwóch zbójców: jeden z nich powaliwszy go na ziemię, nóż mu w piersiach utopił; lecz raz widać nie był śmiertelny, bo napadnięty z przytomnością porwał się z ziemi, i silnym uderzeniem pięści powalił zbrodniarza. Lecz w tejże chwili drugi nikczemnik miał dobić nieszczęsnego młodzieńca, gdy opatrność zesłała tego dzielnego człowieka, — rzekł wskazując na wysokiego przy drzwiach stojącego mężczyznę, — który własnym toporem tych zbójców, głowę drugiemu napastnikowi rozplątawszy, pierwszego związał. Właśnie też wtenczas nadeszło kilku przechodzących robotników, którzy pomogli mu do ratowania rannego młodzieńca i oddania zbrodniarza

pozostałego przy życiu, w ręce sprawiedliwości. Nim właśnie jest tu przedstawiony, który się nazywał Sępińskim i oświadczył, iż jest krewnym pani. Czy nie macie panie nic przeciwko temu do nadmienienia?

Wszyscy milczeli przerażeni.

Sępiński straszném okiem powiódł po sali, zatrzymał spojrzenie na stojącym przy drzwiach czarnym człowieku.

— Kto jesteś? — rzekł grobowym głosem, — ty, który mię na rusztowanie prowadzisz?

— Kto jestem? — odrzekł tenże z pogardą, — zaraz się o tém dowiesz. Jam jest kruche naczynie sprawiedliwości Boga, twoim aniołem — mścicielem, przed którym drżysz od lat czternastu, i który od lat czter-nastu mógł cię tam poprowadzić gdzie wkrótce będziesz.

— Mój przyjacielu, — rzekł urzędnik policyjny, — jeśli wiesz co o przeszłości tego człowieka, winieś to nam wyjawić koniecznie.

— Lecz ktoś ty jest, szatanie czy człowieku, — rzekł z obłąkaniem prawie Sępiński.

— Ktom ja? tak bardzoś ciekawy? natychmiast się dowiesz, — rzekł nieznajomy, postępując naprzód. Wziął lampę ze stołu, i zbliżywszy się z nią do Sępińskiego, wyjął z kieszeni jakiś papier starannie obwinięty i pokazał mu go przy świetle lampy.

Sępiński niepewnym i przerażonym okiem pożerał pismo. Nagle pobladł i upadł z jękiem na ziemię.

— Słuchajcie więc, — rzekł nieznajomy, — człowiek ten przed laty czternastu, na polowaniu, chciał zabić Stalskiego, którego się lękał i którego nienawidził. Traf ochronił ofiarę podłej zemsty, a jego krewny Grodziński, mąż oto tej pani, został zabity. Nędznik ten rozgłosił, iż Stalski jest jego zabójcą, czem zatrwał dni tego poczciwego człowieka i oddał go od rodziny, którą on kochał prawdziwie. Lecz był świadek tej zbrodni, a oto tu jest własnoręczne jej zeznanie, do którego przestępca został zmuszony.

To rzekłszy, nieznajomy oddał badającemu pismo, które tak przeraziło Sępińskiego; sam zaś jeszcze dodał na końcu:

— Lecz nie wiecie państwo, co za potwór stoi przed wami. Nie odgadnicie zapawne, komu on teraz chciał wydrzeć życie. Oto wybawcy swego syna, który może teraz z przyczyny otrzymanej rany, kończy tak wcześnie cnotliwe życie.

To rzekłszy, nieznajomy wyszedł z pokoju. Wszyscy czas jakiś zostawali w okropnym zdumieniu. Pierwszy Adolf Sępiński odezwał się, ledwie dostrzyżanym głosem do ojca:

— Tyś zabił mego wybawcę i czyż Bóg sprawiedliwy, że ci pozwala chodzić po tej świętej ziemi.

Tu głos zmarł w jego piersiach, i chory upadł na posłanie.

— Synu! synu! — wrzasnął zrywając się z ziemi Sępiński i chcąc się zbliżyć do niego.

— Idź! idź odemnie, niech choć chwilę skonu mam spokojną, — rzekł chory z śmiertelnem wysileniem.

Policja porwała złoczyńcę i wszyscy opuścili mieszkanie nieszczęśliwej Grodzińskiej.

ŚWIĘTA BARBARA.

Hej do koła, hoże pary!
 Uściśnieniem sprząćcie dłonie;
 Zaczynajcie taniec stary,
 Dzielny jak myśl co w nas płonie.

R. Z.

Cała osada S* i całe górnictwo polskie było w poruszeniu. „Święta Barbara,“ tysiące ust powtarzało, tysiące rąk dobięrało najlepszych strojów, aby w dniu swej patronki pięknie i czysto wyglądać. Oto już wszyscy zebrani w szeregach czekają rozkazu. Nadchodzi naczelnik, otoczony gronem urzędników. „Glückauf, naczelniku, Glückauf!“ zawołały tłumy górników. Ten podziękował im uprzejmie i udał się pierwszy do świątyni Pana; za nim

zaś w szeregu udali się wszyscy. Lecz po nabożeństwie, po cóż te massy ludu znów zbierają się i ustawiają w szeregach? Między nich wstępuje jakiś urzędnik, cóż to wszystko znaczy? może ktoś zapyta: oto władze górnicze nie poprzestają na tém, aby ich podwładni, przez uwolnienie od pracy obchodzili tak wielkie dla nich święto; lecz myślą i o uprzyjemnieniu im dnia tego, i myślą bardzo mądrze. Oto wśród stojących szeregów, postępuje główny kassjer i rozdaje wszystkim po parę złotych jako gratyfikacją, każdy odebrawszy swoje, spieszy do domu.

Wieczór zapadł, wszystkie domy są oświetlone. Lecz dom naczelnika najrzęsiściej płonie światłem. Na dziedzińcu mnóstwo powozów i bryczek, a przez okna wyrrywają się niekiedy strumienie hucznej muzyki. Za wejściem, w przedpokoju, zastają się liczną służbę, gotową na usługi każdego. Dalszy pokój był zajęty przez muzykę; za nim jest salon gustownie ustrojony i dobrze oświetlony, cały jest zapełniony; niema jednak przykrego i duszącego natłoku. Obecnie muzyka milczy. Przebiegnijmy więc tylko przybytek tańca i pośpieszmy dalej. Tam się znajdują grona poważniejszych mężczyzn i kobiet; jedni gawędzą o przeszłości, o swych gospodarskich zajęciach, o projektach na przyszłość; matki o swych córkach, ojcowie o wychowaniu i przeznaczeniu swych synów. Dalej jest kilka stolików

pocziwego, starego wista. Owdzie grono zapalonych górników, sprzecających się z sobą o gatunki rud, stopień pokładu, warstwy i t. d. Na wszystkich twarzach panuje przyjacielska wesołość. Dalej, jeszcze jeden jest pokój, wyłącznie przez mężczyzn zajęty; tam było cicho—wśród gęstych kłębow fajczanego dymu, dostrzedz można było stoliki, zieloném nakryte suknem, od grających otoczone. Stosy złota i srebra leżały przed niektórymi ulubieńcami fortuny. Słowem, w tém miejscu obrał sobie siedlisko, wszędzie się wkręcić umiejący djabełek! Za kołem grających, stanęło dwóch młodzieńców trzymających się pod rękę.

W tém z głównego salonu muzyka zaszumiła dziarskiego mazura. Młodzieńcy porzuciwszy grających, udali się do sali tańca. Byli to dwaj znajomi już nam. William Stalski i Stanisław Prątkiewicz, obecnie mąż siostry Williama, Pauliny. Wszedłszy do sali, stanęli około kolumny marmurowej, słuchając przygrywek mazura i przypatrując się tancerkom, celem uczynienia wyboru. Już chwilę rozmawiali, gdy nagle William zbladł — i konwulsyjnie schwycił przyjaciela za rękę. Co ci jest Williamie? Zapytany wskazał na damę w pobliżu siedzącą, której dotąd nie spostrzegli i od której nie byli widziani.

— Patrz Stasiu! to ona!

— Leokadja? a prawda, czekajmy końca. Oto

zbliża się do niej jeden z naszych zuchów, prosząc do mazura. Patrz, bardzo uprzejmie mu odmówiła. Idzie Edward, czoło naszych tancerzy; z uszanowaniem do niej przemawia. Co za szczególna kobieta, zaledwie uważa na mówiącego, zdaje się kogoś z niespokojnością śledzić po sali. Oto i Edward odchodzi.

Gdy Stanisław kończył te słowa, młoda kobieta obejrzała się i dostrzegła ich. Zaledwie oczy jej spotkały się z błędnym wzrokiem Williama, twarz jasnym powłękła się szkarłatem, i pomięszanie tak było widocznem, że siedząca przy niej matka z niespokojnością zapytała, co się jej stało?

— Czy tańczysz z kim tego mazura? — zapytał William poruszonym głosem, swego przyjaciela.

— Tańczę z Karoliną S. A ty?

— Ja z nikim nie tańczę jeszcze.

— Więc tańcz z Leokadją, zaręczam, że ci nie odmówi.

— Z Leokadją? dla czegoż z Leokadją?

— Dla tego, że ona jest prześliczna i że ty ją kochasz,—rzekł cicho Stanisław.

William, jakby od żmii ukąszony, odskoczył.

— Ja? ja kocham ją? Ja nią gardzę.

— No, no, cicho; ja pójdę spróbować szczęścia do Leokadji. Ty za mnie tańcz z Karoliną, którą ja potem przeproszę.

Muzyka na nowo zagrała. Leokadja nie odmówiła Stanisławowi, i wszystkie pary ochoczo rzuciły się

w wir ojczyzstego tańca. William, o ile tylko przyzwyczajenie dozwalała, unikał Leokadii.

Lecz nie wspomnieliśmy jeszcze o dwóch pokojach, do których było wejście z salonu. Jeden z nich przeznaczonym był do poprawy strojów dla dam, a drugi zastoniętą tylko oświetlony lampą, służył zapewne dla odpoczynku po znużeniu w tańcu. W nim po prawej stronie wnijsia, na ścianie wisiła puszka, nad którą znajdował się napis: „Dla rannych, kalek górników,“ piękny zaiste pomysł i co za dobra myśl, aby czyn szlachetny miał prawdziwą swą wartość, uczyniono go tajemniczym. Jednakże choć tę puszkę w najsamotniejszej umieszczono sali, przecież była ciągle odwiedzana przez pocziwych ludzi. Oto nawet w tej chwili ktoś przed nią stoi, składając ofiarę na ołtarzu braterskim. To William, ręka jego ostatnią wkładała monetę, gdy się za nim rozległ lekki szelest. Ogląda się pomięszany i widzi przed sobą równie pomięszaną Leokadję.

— Czy mię przeczucie nie zwodzi? czy mam przyjemność z panem Williamem Stalskim mówić?

— Tak pani, w czem mogę jej służyć?

— Panie, — rzekła Leokadja drżącym głosem, — włożono na mnie obowiązek, który jest dla mnie świętym, chociaż wspomnienie jego bolesnem. Przed dwoma laty podróżowałyśmy z matką po Prussach i Austrii; z nami był Sępiński z synem, krewny mojej matki. We Frejbergu zabawiłyśmy dłużej

cokolwiek, dla obejrzenia tamecznych kopalń srebra. W tenczas! właśnie rzeka Mulda i kanały przez nią utworzone nadzwyczaj wezbrały. Ah! okropny to wspaniały był widok! który aby bliżej widzieć, udałyśmy się nad jej brzeg. Nieszczęście chciało, iż syn naszego krewnego Sepińskiego wpadł w wodę; nikt się nieośmielił nieść mu pomocy, oprócz jednego młodego górnika we Frejbergu pracującego, którego nawet dla przestrachu dojrzyć nie mogłam. Na drugi dzień wieczorem, w ogródku otaczającym nasze pomieszkowanie, zjawił się przed mem oknem jakiś człowiek, płaszczem obwinięty. Przełęczniona, chciałam uciekać; lecz on głosem błagającym prosił, abym nie odmawiała jego prośbie. Nie wiem jak się to stało, dość iż dowiedziałam się, że on dnia wczorajszego był wybawcą mego krewnego. Oświadczył mi, że w Polsce ma przyjaciela, którym właśnie pan jesteś. Pragnął więc przesać mu na pamiątkę dawno przyobiecana połowę pierścienia jego matki. Na mnie zatem włożył obowiązek, abym ją do własnych rąk jego oddała. Wdzięczność to żądanie spełnić mi rozkazała. Po przybyciu do kraju, dawno pragnęłam się wywiązać z obietnicy. Dowiedziawszy się, że pan bawisz w Warszawie, chciałam poznać stosunki i towarzystwa, w których pan bywasz; lecz nie wiem czemu to przypisać, iż zjawienie się gdziekolwiek moje było dla pana hasłem odejścia. Nie śmiem badać tego przyczyny, skorom

jednak już tyle nadużyła cierpliwości pana, proszę go więc posłuchać najokropniejszej wiadomości, którą nie wiem jak się ośmielię objawić.

W tém muzyka grać przestała. Leokadja z pośpiechem rzekła do Williama.—Mazur się skończył; może tu kto nadejść. Żegnam pana. Jednak zaklinam go na świętą pamięć ojca jego, abyś się chciał pojutrze choć na chwilę zatrzymać w ogrodzie przy dworze Jakubińskim. Tam się pan dowiesz, jak bolesny cios uderzył moją spokojność. Tam się przekonasz, że jemu jednemu tylko wszystko opowiedzieć zmuszoną jestem.

To rzekłszy i skłoniwszy się Williamowi, odeszła. W godzinę pani Grodzińska z córką wyjechała z balu.

L I S T Y.

Niedalekim był wieczór; na dworze było chłodno i wietrzno. Na gościńcu do Jakubna prowadzącym ukazało się dwóch ludzi konno jadących.

— Wiesz co Williamie, — rzekł jeden z nich, — mnie się zdaje, iż Leokadja nic w tém nie jest winną, i że tylko jakieś nieszczęsne fatum tak rzeczy poplątało, i wiesz co? o ile z opowiadania Grzegorza mogę wnosić o jej niez mordowanych staraniach w cza-

sie twej słabości, po odebranej ranie przez spadły kibel rudy, to sądzę, uważasz Williamie? to ja sądzę że ona cię kocha.

— Przestań, przestań Stanisławie, dawniej z rozkoszą słuchałem twych słów, lecz po tém co zaszło, to tylko wzgarda dla Leokadii może się mieścić w mej piersi! Bo dusza zdolna do tak nikczemnej intrygi, nie pojmie uczucia czystego i szlachetnego.

— Williamie, Williamie! nie mów tak stanowczo przed widzeniem się z Leokadją, bo mam przeczucie, iż wkrótce inną piosneczkę śpiewać będziesz. Oto patrz, już się zbliżamy pod Jakubno, zsiądź z konia i udaj się pieszo do ogrodu, który ci tak dobrze w twej młodości był znanym; bo jakkolwiek rzeczy wypadną, powinieneś, jako prawy człowiek, szanować sławę Leokadii, i twoje widzenie się z nią winno być zupełną tajemnicą.

Tak się stało. William zostawił konia przyjacielowi, a sam się udał do ogrodu, gdzie wszedłszy przez skryte drzwiczki, pośpieszył wiadomemi sobie ścieżkami, do altany w końcu ogrodu się znajdując.

Dawnemi czasy, gdy rodziny Grodzińskich i Stalskich żyły w najściślejszych związkach, altanę tę ozdabiał wielki obraz obudwu domów. Na nim, pan Stalski i pan Grodziński, trzymający się pod rękę, z radością spoglądali na troje dziecię igrają-

cych, między którymi były dwie dziewczynki i chłopczyk. Dziewczynkami były: Paulina Stalska, obecnie żona Stanisława i Leokadja Grodzińska. Chłopczykiem był William. Po nagłej śmierci Grodzińskiego, obraz ten zdjęto i ukryto. Jakaż więc musiała być radość Williama, gdy wszedłszy do altany, ujrzał znów wszystko na dawnym miejscu. Z radością spoglądał na wizerunek drogiego rodzica! Cofnął się w rajska krainę młodości i marzył—marzył—marzył rozkosznie, gdy w tém stanęła za nim Leokadja. Zachmurzyło się czoło młodego górnika, jednakże najgrzeczniej powitał wchodzącą. Zajęli krzesła i Leokadja tak mówić zaczęła:

— Niezawodnie mię pan poczytujesz za szaloną, płochą lub awanturnicę, lecz panie! gdzie idzie o spokojność człowieka, nie można się wahać, chociaż po cierniach iść trzeba. Postuchaj mię więc pan cierpliwie:

Przyjaciół pana, a wybawca mego krewnego Adolfa, zostawiwszy mi pół pierścienia, z prośbą o oddanie go do rąk pana, sam natychmiast odszedł, mając wkrótce Frejberg opuścić. Na drugi dzień, Adolf, w skutku gwałtownego upadku do wody i długiego w niej zostawania, był słabszym jak dnia poprzedniego. Z rana zaraz pragnął, aby do niego ojciec przyszedł; lecz ojca nie było. Czekaliśmy godzinę, dwie, aż i wieczór się zbliżył, a on nie wracał. Aż nagle drzwi się otwierają i spostrzegamy: o Boże!

doład mi sił do skończenia, spostrzegamy oczekiwane z rękoma związanimi, strażą otoczonego! Urzędnik policyjny oświadczył, iż go schwymano wśród spełnienia zbrodni i dla tego został uwięzionym. W ten czas wystąpił, jako oskarżyciel, jakiś człowiek, słusznej atletycznej budowy, z twarzą zamoloną, w brudnym i prostym odzieniu; lecz pod tą siermięgą zdawało się być coś wyższego, zdawało się, iż ten nędzarz jest mściwą ręką sprawiedliwości Boga, bo straszne było jego oskarżenie, oskarżenie całego życia zbrodniarza! a sprawiedliwe, bo złoczyńca nie nie śmiał zarzucić, tylko jęcząc leżał jak nędzny robak na ziemi. W ten czas to dopiero dowiedziałam się, że ś. p. mój ojciec nie był zabity przez nierozważny strzał ojca pańskiego, lecz przypadkowo padł ofiarą zemsty, jaką ku niemu pałał Sępiński. Krew się ścinała na tak straszne obwinienia... dotąd jeszcze brzmi w mem uchu okropny koniec oskarżyciela mowy: Czy wiecie komu ten zbrodniarz chciał teraz odebrać życie? Oto, wybawcy swego syna, który może teraz kona w skutek rany, niewdzięczną i zbrodniczą zadanej ręką. Ta okropna wiadomość doznała nas, a nieszczęsny syn zbrodniarza za jej usłyszeniem skonał, przeklinając własnego ojca. Ja z matką na drugi dzień opuściliśmy miasto, które nasz niegodny krewny, ostatnią, a tak straszną splamił się zbrodnią.

Umilkła Leokadja wzruszona i przerażona własnymi wspomnieniami. William, który dotychczas spokojnie jej słuchał, spojrzawszy jej badawczo w oczy, zbliżył się do niej i ująwszy za rękę, przeprowadził przed obraz familijny i rzekł: Przed wizerunkiem świętej przyjaźni naszych ojców, przysięgnij mi pani, czyś wszystko i prawdziwie wyrzekła?

Leokadja z godnością wzięła wiszący na ścianie krucyfiks i uroczystym wymówiła głosem: Przysięgam. A teraz,—rzekła obracając się do Williama,—co panu dało powód do podobnego zapytania?

— Racz mię pani także przez chwilę posłuchać cierpliwie. Naprzód wiedz pani, iż mnie ten cały wypadek najdokładniej wiadomy. Gdy więc mój przyjaciel we Frejbergu ją pożegnał i udał się do swojego mieszkania, niech pani raczy powiedzieć od kogo nazajutrz rano odebrał ten bilecik?

Tu William wręczył Leokadji list, oddany mu we Frejbergu przez żyda, jej imieniem podpisany i dodał:

— Ten bilecik wezwał mego przyjaciela na miejsce, gdzie go zamordować chciano.

Leokadja przebiegła oczyma nieszczęsne pismo, i rzekła spokojnie:

— Panie! czyś śmiał pomyśleć iż ten list ja pisałam?

— Nie wierzyłem, abys pani była sprawczynią niegodnego podstępu; lecz spojrz pani na to drugie

pismo, a przekonasz się czy mi wątpliwość nawet mogła pozostać. Pismo to, mój przyjaciel przyszedłszy do zdrowia, znalazł w swym pokoju. Oto treść jego:

„Młody przyjacielu!

Czy pomnisz, kiedyś uniesiony nierozważną chęcią ratowania młodego Sępińskiego, sam o mało własnem życiem nieprzyplacił tego, kto ci pierwszy łódź podał? Oto człowiek wysoki i brudny, którego ty nie znasz i znać nie będziesz. Ja nim byłem... bom cię pokochał za twą wspaniałomyślność. Widziałem iż ojciec młodego głupca wściekał się prawie, poznawszy cię, i mruczał między zębami jakieś wyrazy, w których i zemsta była. Zacząłem przeto go śledzić.

Wieczorem, w ogrodzie, długo i cicho rozmawiał z jakąś młodą kobietą, którą nazywał swą siostrzenicą, a nazajutrz rankiem spotkałem do twego mieszkania dążącego jakiegoś żyda z listem. Chciałem widzieć pismo, żyd się wzbraniał, lecz kilka dukatów rozbrciło go, przeczytałem o zaprosinach na schadzkę w górach kruszcowych za Muldą... tam się więc udałem, i przybyłem w porę jeszcze aby cię ocalić! Resztę wiesz... Zbrodniarz schwytany pójdzie na rusztowanie. To tylko mam ci dodać, że po wyjściu twojem z ogrodu, gdzie tak długo z tą samą młodą kobietą rozmawiałeś, a tą, jak się później dowiedziałem, była panna Grodzińska,

taż wysłała za tobą żyda, zapewne dla wyśledzenia gdzie mieszkasz, aby ci wspomniony bilecik łatwo mógł nazajutrz być wręczonym. Widać że panna i stary jegomość wielką mieli ochotę wyprawić cię na drugi świat, przyczyny ja nie wiem, ty sam ją odgadnij. Może ci oni znajomi. Teraz za te dwie małe przestrogi z mej strony, żądam abys tego pisma nie używał nigdy ku pogębieniu Sępińskiego, bo na co dręczyć żmiję, której paszcza już w kłęczkach spoczywa? a zemstę nad młodą intrygantką, co to na drugi dzień zaraz Frejberg z matką opuściła, zostawiam twej woli.

Żegna cię, nieznajomy przyjaciel.

William skończywszy czytać fatalne pismo, spojrział na Leokadję; zdziwiony że to na niej żadnego nie uczyniło wrażenia, przybliżyła się do niej, za rękę chwyta, ona jak lód zimna. Położenie jego było bardzo krytyczne. Szczęściem, przypomniał sobie, iż niedaleko altany było kiedyś źródło; tam więc pobiegł, zaczerpnął w co mógł wody, i nią zlał czoło omdłalej. Zwolna przyszła do siebie. Długo obłąkanem okiem wodziła dokoła; nareszcie głosem stłumionym zawołała: O Boże! wiedziałam że są zli ludzie; lecz żeby mogło być tyle zrad i podstępów, nigdybym nie przypuściła. I mnież to uczyniono współniczką tak czarnej zbrodni? Gdy to mówiła, głos jej był spokojny, choć drżący. William zu-

pełnie był przekonany o jej niewinności; a żalując prawie, iż jej uczynił tak bolesne odkrycie, rzekł:

— Pani! przysięgam ci na nicbo, że zupełnie jestem przeświadczony, iż nigdy niebyłabyś zdolną do podobnych podstępów, i przysięgam ci, że me serce nigdy temu nie wierzyło. Lecz pani powinnaś mi przebaczyć, że mój rozum choć na chwilę mógł się obłąkać, bo dowody były tak straszne, i z tak szatańską wymyśloną złośliwością, że trudno było zebrać myśl rozsądną. Jeszcze raz przeto błagam pani, twego przebaczenia. Mam nadzieję, że sprawiedliwy Twórca to kiedyś wyjaśni, ja bowiem ciągle korresponduje z Frejbergiem.

— Ależ na Boga! ja nie mogę pojąć przyczyny, jaką mieć mógł zemstę Sępiński do przyjaciela pańskiego, który czy aby żyje?

— Żyje,— odpowiedział z uśmiechem William.

— Ja dotąd nie wywiązałam się z danej mu obietnicy i nie oddałam połowy pierścienia, której drugą połowę nikt oprócz niego mieć nie może,— tu Leokadja doręczyła Williamowi wspomniony przedmiot. Ten wzięwszy go do ręki i obejrzawszy dokładnie, dobył z pudełeczka inny kawalek pierścionka i przyłożywszy go do pierwszego, rzekł z uśmiechem,—patrz pani, to szczególna, jak te dwie części przystają.—Leokadja bacznie spojrzawszy na napis złożonego pierścionka, zawołała:

— Jakto, sprawiedliwy Boże, tym przyjacielem

pańskim, na którego życie niegodziwy Sępiński nastawał, miałżeby być!

— William Stalski,—odrzekł tenże z uśmiechem.

Dość długo jeszcze William musiał odpowiadać na pytania uszczęśliwionej Leokadji, lecz zagadki co do tajemniczego człowieka, który Williamowi dwa razy ocalił życie, rozwiązać nie byli w stanie. Nie mogli bowiem przypuścić, aby tenże sam człowiek był autorem dwóch znajomych nam listów.

Za najlepszych swych przyjaciół miał zawsze William Stanisława i pana Adamskiego, ten ostatni był przyjacielem jeszcze jego ojca, a obecnie opiekunem jego rodziny. Wiadome były jemu wszystkie wypadki, jakim William uległ we Frejbergu, oprócz dwóch listów, o których choć słyszał z ust Williama, lecz się nie dowiedział o ich treści i o działających w nich osobach. Stanisław zaś wiedział o wszystkim, ale umiał milczeć.

W parę tygodni po widzeniu się Williama z Leokadją, wszedł tenże pewnego dnia do państwa Adamskich. Samego gospodarza nie było, lecz jego małżonka, która zawsze uważała Williama za własnego syna, powiedziała mu, aby poszedł do pokoju męża i tam na niego czekał. Tu wszedłszy, William przechadzał się czas jakiś w zamyśleniu, aż raz stanąwszy przed biurkiem pana Adamskiego, ujrzał je otwartem i w jednym kącie leżący list, który go

zajął, w nim bowiem swe nazwisko dostrzegł. Pismo jednak było grube i niezgrabne, znać pisane zupełnie niewprawną ręką; jakieś przecucie kazało Williamowi przeczytać, wziął więc list do ręki, spojrział naprzód na datę, dwa lata minęły od czasu jój zapisania, osnowa następująca:

„Frejberg, d....

Wielmożny panie dobrodzieju!

Nigdy nie przestanę błogosławić nieba, iż ci podało myśl szczęśliwą, aby mnie powierzyć czuwanie nad naszymi paniczami, toć to już drugi raz, panie, Williamowi byłem przydatny: jak tylko ujrzałem, iż we Frejbergu jest ten szatan Sępiński, mimo to, że mu pan William syna wyratował, zacząłem go śledzić; lecz przytém dawałem baczność i na mego panicza. Jednego wieczoru nasz panicz był w ogrodzie, dość długo rozmawiał z panną Grodzińską; o czém? nie wiem. Wiem tylko, iż go dostrzegł Sępiński, i z ogrodu, posłał za wracającym do domu p. Williamem, żyda, który jak cień włókł się za nim. Ale zapomniałem panu donieść, że w tymże domu co nasi panicze, najałem sobie izdebkę, nigdy się im jednak nie pokazuję. Otóż tedy nazajutrz słyszę do bramy stukanie, poszedłem otworzyć. Był to tenże sam żyd co wczora śledził panicza. Pyta mnie, czy jest w domu? ja mówię: jest, a co chcesz? Mam list. No, rzekłem do niego, daj, to ja oddam. Lecz syn pogański nie dał się uwieśdź i

zaniósł sam. Tego więc dnia szczególnie śledziłem p. Williama, bom wiedział, że gdzie się Sępiński wda, tam źle.

Wieczorem panicz sam poszedł za Muldę w góry, tu go napadło dwóch zbójców; z nich jeden był Sępiński. Bóg mi dozwolił obronić panicza. Sępiński w więzieniu, a nasz panicz jeszcze w łóżku z odebranej lekkiej rany. Ale, ale: w czasie słabości panicza, tenże sam żyd przyniósł znowu jakiś list do pana Williama; zapewne znowu od Sępińskiego, lub nie wiem od kogo, dość że po przeczytaniu jego, pan William okropnie się zmartwił i swą słabość o parę tygodni przedłużył, i t. d.

Grzegorz.

Zaledwie William po przeczytaniu miał czas położyć list, gdy wszedł pan Adamski, niosąc znowu list z pieczętką zagraniczną.

— No Williamie; masz list z Saksonii!

William powitawszy przyjaciela, rozłamał pieczętkę danego mu listu; był to od jednego z jego kolegów górniczych frejbergskich; od Augusta Losz-wicz; z rzeczy zaś mogących nas obchodzić w tym liście, była następna wiadomość:

„Ponieważ mię prosites, abym po ukończeniu processu Sępińskiego, doniósł ci o nim poszczególnie, trzeba ci więc wiedzieć, iż ledwie siedm upłynęło miesięcy, jak sprawa ta została rozstrzygnioną w ostatniej drodze sądowej, i wyrokiem

stanowczym skazano go na więzienie do samej śmierci. Zbrodniarz do wielu bardzo przyznał się przestępstw; zapytany jakim sposobem zwabił cię w miejsce odludne? i dla czego pragnął zamordować wybawcę syna swojego? odpowiedział: Nikogo w świecie bardziej nad rodzinę Stalskich nie miałem w obrzydzeniu; a że tylko już William pozostał jako głowa całej familii, mimo więc to iż wyratował mi syna, nie mogłem się oprzeć chęci zgubienia go, gdyż zawsze musiałem lękać się i nienawidzić go! Sposob zaś jakiegom użył do sprowadzenia go w miejsce dogodne mym planom, był ten; Oto wiedziałem, iż młody Stalski, wychowany razem prawie z moją siostrzenicą Leokadją Grodzińską, kochał ją zawsze, i że ona mimo długie lata nie widzenia, i ziarna niezgody jakie między te dwie rodziny rzuciłem, ciągle pamiętała o miłym towarzyszku młodości. Jej więc imieniem napisałem do niego bilecik, aby się stawił za Muldę; nierozważny dał się utudzić i wpadł w sidła! Lecz czy pomnicie sędziowie człowieka, co przeszkodził spełnieniu czynu? Był to niejaki Grzegorz, niegdyś wychowaniec domu Stalskich, nie wiem co on robił we Frejburgu; dość że troskliwie unikał widzenia się z Williamem i jego pobyt był tajemniczy. Postanowiłem więc zadać stanowczy cios wznawiającym się uczuciom pana Stalskiego i Leokadyi, i napisałem do tegoż list, niby od Grzegorza, a raczej

nieznajomego przyjaciela w którym Leokadję uczyniłem współniczką zamachu na jego życie... i ten z więzienia, przez usłużnego żyda, posłałem. List zbawienne wywarł skutki; William kilka tygodni chorował dłużej po przeczytaniu go a teraz, gdy ja siedzę pod strażą, może przemyśla nad sposobami zemsty nad Leokadją, która jest zupełnie niewinną. Cha! cha! cha! Jak to pocieszenie moi panowie!! rzekł w końcu zbrodniarz z szyderstwem.“

William, przeczytawszy do tego miejsca, jak szalony wypadł z mieszkania pana Adamskiego; i udał się do swego szwagra Stanisława, a za chwilę obadwa wewłał popędzili drogą ku Jakubnu.

Pan Adamski, który razem z Williamem czytał list z Saksonii, pomyślawszy chwilę rzekł: Teraz pojmuję tego chłopca: on kocha Leokadję; zdaje się że przyszła kolej i pora na spełnienie ostatniej chęci umierającego przyjaciela, Piotrze! Piotrze zaprzęgaj!

* * *

W parę godzin, wraca pan Adamski i przywozi z sobą jakiegoś księdza, przypatrzony się jemu bliżej, to nasz znajomy, to ojciec Florjan! Sędziwy kapłan z panem Adamskim wszedł do pokoju, gdzie dość długo rozmawiali, aż im oznajmiono przybycie Williama i Stanisława. Młodzieńcy z uszanowaniem i radością powitali ojca Florjana. Po

skończonych wzajemnych wynurzeniach, wszyscy zasiedli około stołu, a kapłan dobywszy stary jakiś papier, rzekł do Williama: Młodzińcze! oto ostatnia wola twego umierającego ojca dziś się spełni, uznaliśmy że już nadeszła stosowna do tego chwila, słuchaj więc: *(czyta)* „Całe życie moje pracowałem nad przywiedzeniem do skutku natechnień mego sumienia, to jest nad uszczęśliwieniem otaczających mię istot. Poznałem że prawdziwą zasadą szczęścia duszy jest religja, a podstawą szczęścia na tém świecie jest: umieć pragnąć nie wiele.. Błogość doczesna wiele zależy od sposobu spędzonej młodości. Ja ją strawiłem w trudach i walkach o utrzymanie życia. Ojciec mój, którego ciągle miałem za biednego, który spokojném okiem poglądał na pot ciekący mi po znojoném czole przy pracy na kawałek chleba; który nieraz cierpliwie słuchał narzekań i skarg moich, że nie mogę użyć przyjemności jakie mają bogacze; otóż wówczas dopiero, kiedy pilnością i pracą doszedł do dobrego bytu i umiał go cenić, ów z pozoru tak nieczuły ojciec, oddał mi 100,000 złp. mówiąc: znasz niedolę, bos doświadczył; więc cierpienia twych braci zawsze doznają ulgi u ciebie, a tém samém godnie użyjesz majątku, moją cnotliwą pracą zebranego. Przyjaciele! gdy śmierć nie pozwala mi nacieszyć się widokiem rozwijających się przymiotów mych dzieci, wam więc tę rozkosz zostawiam. Pragnę aby mój William

przebył także ciernistą drogę żywota, aby poznał przykrość ubóstwa i przywykł do wytrzymania ciosów losu, które w męża zmieniają młodziana. Wtedy dopiero gdy już to wszystko przejdzie, (a wasz rozsądek powie wam iż chwila ta nastąpi) oddacie mu 200,000 zł., któremi się z siostrą podzieli, a które są plonem mego skromnego i pracowitego życia. Tobie Adamski, powierzam, do czasu oddania Williamowi tych pieniędzy, bezwarunkowy ich zarząd, a przedewszystkiem pamiętaj kochany przyjacielu, tak ułożyć okoliczności, aby moja droga małżonka, pod względem wygodnego jej bytu, zawsze mogła pomyśleć, że ja jeszcze jestem na ziemi. Żegnaj was przyjaciele! Chwila, w której memu synowi to pismo przeczytacie, niech służy za błogosławieństwo jemu, jego drogiej matce i siostrze.

Ojciec Florjan skończył czytanie. Wszyscy ze łzami w oczach uściskali się wzajemnie i poszli razem do świątyni Tworecy; tam się odbyło żałobne nabożeństwo za duszę zmarłego Fryderyka Stalskiego.

* * *

Dwa lata, jak dzień jeden, przebiegły,—dwa lata, jak kolegów mych prac i trudów górniczych pożegnałem! Będąc zatem w tamtych stronach, nie mogłem oprzeć się chęci widzenia tych, których się najlepiej kochało; w ich liczbie, pierwsze zajmowali miejsce William Stalski i Stanisław. Zmierzałem więc do osady S* jako do punktu, gdzie jeśli ich

nie znaleźć, to przynajmniej dowiedzieć się mogłem gdzie szukać. Lecz podróżując w okolicach, których się już lat parę nie widziało, i z człowiekiem zupełnie tam obcym, nie łatwiejszego jak zabłądzić; to się i zemną stało. Noc mnie zaskoczyła wśród lasów, na los szczęścia kazałem jechać pierwszą lepszą drożyną; aż tu niebawem widzę migające się światła, aha! to wioska. Pośpieszajmy, już jestem we wsi, pytam o karczmę. Wskazują mi dom porządny z powierzchowności; zajeżdżam, wnet konie wygodnie umieszczono, mnie dano osobny pokój; świecę przyniosła sama gospodyni, kobieta wiejska lecz schludnie i czysto ubrana, a przytém lubiąca pogawędzić. Nuż tedy, to o tém to o owem.

— Ale zapomniałem się was, moja gosposiu zapytać, jak się ta wioska nazywa?

— A dyć to Jakubno, prose wielmożnego pana.

— Jakubno? — zawołałem, zdziwiony i uradowany, że się tu co o Grodzińskiej i jej córce dowiem.

— A któż tu gospodaruje?

— A toć sam pan.

— Jakto? więc pani Grodzińska sprzedała te dobra?

— Ale gdzie tam, prose jegomości.

— No cóż to za pan?

— Juści mąs nasej młodszej pani, pan Stalski.

William! zawołałem, klaszcząc w dłonie, William!

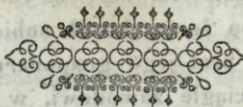
Tu wydarłem kartkę z pularesu, napisałem słów kilka i posłałem do niego. W dziesięć minut William przyleciał. Co radości, co uciechy było, to nie do opisanja. Konie moje zaprowadzono do dworu, gdzieśmy się oba udali. Przed gankiem powitała nas, z miłym aniołkiem na ręku, żona Williama, i weszliśmy do salonu, gdzie przy herbacie siedziały, wesoło gwarzając, pani Grodzińska i Stalska. Po przywitaniach, wzajemnych przypomnieniach się, zasiadłem w kole tego szanownego grona, i pogadanka na chwilę przerwana, znów się potoczyła swym trybem. Dowiedziałem się, że Stanisław, odebrawszy spadek po żonie, kupił sobie piękną wioseczkę, w której brat jego gospodaruje; sam bowiem poświęca się ciągle zawodowi, w którym już tyle nabył wiadomości i do którego się przywiązał. Pan Adamski ze swą rodziną zdrów, przeszedł na wyższą posadę, wielbiony od swych kolegów i młodzieży górniczej. Ojciec Florjan także żyje i niekiedy Jakubno odwiedza. Jutro ma tu być.

— A Grzegorz poczciwy? — zapytałem Williama, gdy w tém drzwi się otworzyły i wszedł jakiś człowiek bardzo porządnie ubrany, o ile zatrudnienia gospodarskie pozwalają; wszystkich powitał uprzejmie, na mnie, jako na obcego, chwilkę popatrzył, i wkrótce uściskaliśmy się, poznawszy jeden drugiego.

— Oto, — rzekł William, biorąc przybyłego Grze-

gorza przyjaźnie za rękę, — rządcą dóbr i wierny przyjaciel serc naszych.

Znowu zasiedliśmy dawne miejsca, rokoszując sobie przy pogadance o dawnych dziejach. Uderzyła dziewięta, panie starsze wstały i pożegnały nas, życząc dobrej nocy; i my wkrótce poszliśmy za ich przykładem.



KASPER WESSELING.

(z Angielskiego)



Nigdy nie widziałem tak pięknego poranku; wszystkie przedmioty jasno-złotym odziane blaskiem; tyśiączne szczyty i kopyły katedralnego kościoła lśniły się szczególną jasnością, a mury starożytnej twierdzy zdawały się tracić ponurość swoją przy blasku słońca. Z jednej strony wznosiły się gmachy staro-
miasta, tu i owdzie wieże klasztorów i świą-
tyń, sterczące między czarnymi kolumnami i fanta-
stycznymi słupami dymu. Z drugiej, olbrzymie
dęby rzucały długie cienie po żółtych niwach zbożem
okrytych, i krętą rzekę widać było w przerwach,
dopóki nie znikła w ciemnym ogromie lasu, ciągną-

cego się wdali, na kraju widnokręgu. Ach! wszystko było tak wonne i świeże, podobne do owego poranku, w którym głos anioła zwiastował świętej Magdalenie, że Chrystus wstał z grobu.

Ponuro dzwoniły dzwony na wieżach, i ja mogłem słyszeć śpiew zakonników, wznoszący się czasami z sąsiedniego klasztoru. Te dzwony dzwoniły ogłaszając śmierć moją, te śpiewy brzmiały, wyprawiające mą duszę w daleką, daleką podróż.

Lecz nie dozwolono mi tak pięknego widoku używać spokojnie. Mówiono, lecz nie słyszałem, o czém mówiono; wskazano na wóz, co stał gotowy, mając mnie odwieść wzduż wałów miasta, do szubienicy. Zrozumiałem co chcieli odemnie, i wypełniłem ich wolę bez namysłu. Kapłan zajął obok mnie miejsce, a kat, z twarzą zamaskowaną i osłoniętą, zasiadł w tylnej wozu części. Koła toczyły się powolnie; tym czasem dzwony rozsyłały swe brzmienia, zgadzając się z ponurym hukiem bębnow; a śpiew zakonników wznosił się stopniowo, w tém mocniejszych tonach, im bliżej do nich dojeżdżaliśmy. Ojciec spowiednik modlił się długo i gorąco, z okiem łzą zasłanym i drżącym głosem błagał mię abym chociaż jeden znak żalu okazał, — mówił mi o niebie, — mówił mi o piekle, — wspomniął o Tym, który umarł daleko od mojej haniebniejszą śmiercią, abym mógł być zbawiony. Napróżno słowa jego wlatowały mi w ucho, ja siedziałem pogrążony w głu-

piej prawie obojętności. Schylałem się i żegnałem naśladując jego ruchy; lecz spoglądałem na złoczone wieże, jak wielką sprzeczność stawiające z straszliwymi narzędziami śmierci i uroczyście postępującym orszakiem. Niestety! niebo i ziemia śmiały się, szydząc z mej zbrodni i kary za nią. Jaskółka świegotała obojętnie nad głowami naszymi, pies nawet warczał z urąganiem, i grzał się na słońcu, zupełnie szczęśliwy.

Kapłan zgadywał me myśli; przepowiadał czas, w którym olbrzymie gmachy w proch się obrócic mają w którym ani jeden kamień wspaniałej świątyni na drugim nie zostanie, gdy samo nawet słońce zaćmiło się i zgaśnie. Lecz ja będę żył wiecznie, będę nieśmiertelny. Co zaś ma być zemną, zależy od tej chwili. Bieda mi nic nie trafia do mego przekonania.

Przybyliśmy teraz do końca naszej podróży; zeszliśmy z wozu i postąpili ku rusztowaniu, wzniesionemu na wałach, z których oko bujało w obszerniej u spodu płaszczynie. Pojrzałem na niezliczone głów mnóstwo. Gdym się ukazał, głowy te podnosiły się i schylały jako fale wzburzonego morza; cofały się w oznakach odrazy i wstępu jakby od przebrzydłego gadu, mającego rzucić się na nich. Przypomniałem sobie nie jedną twarz, znaną mi za lepszych czasów. Patrzałem na nich nieprzerwanie brzęczeli jako rój szerszeni, jęk słu-

miony przelatał od jednego do drugich; poruszali się, kiwali, wyszczerzali zęby. Ah! jako żywo, w tym tłumie na każdych ustach spoczywa sztyrdierstwo, w każdym oku błyska okropna wzgarda. Teraz doświadczyłem wielkiego pragnienia, o którym mówią, że zbliżając się śmierć zwiastuje. Czy można to nazwać pragnieniem! cała budowa moja była spiekła; wycieńczona. Wody, wody, ach! czenie są bogactwa -Indyj w porównaniu z jedną kroplą czystego, chłodnego płynu.

Tkwi jeszcze w mojej pamięci bolesne wspomnienie całej tej sceny, kat, wał, drabina, szubienica i stryżek, kruk samotny, co usiadł na belce, pełna rozpacz postawa spowiednika, i blade twarze widzów, ta posępna dzikość oczu, wszystkich we mnie skupionych. Lecz cóż to za jeździec? Okryty karzewa, złany potem, chwycie się prawie na koniu z utrudzenia! Jedzie z Drezna, tłum ustępuje przed nim ma pismo, w rękę, zsiada, oddaje zwierzchnikowi; ach widzę tam wielką pieczęć Elektora. To dla mnie utaskawienie. O radości! smutne przygotowania już niepotrzebne, i jam znów przy życiu; wyrwany jestem z paszczki śmierci, bym dalsze lata pędził w enocie, pomysłnościach, gotując się do wieczności. Niestety! tak nie jest, oddaje on pismo sekretarzowi jako innych dotychczas przedmiotów. Teraz przypomniał mi że już minął czas oznaczony, i że mam wstąpić na dra-

binę, z sługą publicznej sprawiedliwości. Błagałem go na klęczkach, czołgałem się po ziemi, jakżebym go kochał, uwielbiał, za jedną godzinę, jedną chwilę zwłoki. Płakałem, uniewinniałem się, jedną tylko miałem prośbę—jedną tylko. Prosiłem o udzielenie mi czasu, na przygotowanie się do innego świata; czyliż chciałby zabijać mą duszę równie jak ciało? Nie! lecz postanowienia były ostateczne, musiał zastosować się do nich. Rzekł do mnie smutnym głosem i z odwróconemi oczyma, iż gdy inne środki nie udały się, trzaba stale wszystko przecierpieć.

Pozwoliłem im prowadzić się powolnie ku szczyłom drabiny. Kat zdjął ze mnie zwierzchnie suknie, związał mi ręce w tyle i ostrzygł długie włosy, z których byłem niegdyś tak próżny. Nierozsądny! gniwałem się na niego; w tej nawet chwili tyle miałem słabości, żem się gniwał.

Doszliśmy pomału do wierzchołka drabiny. Czuję, jak mi zawieszają zgubny stryczek na szyi, o Boże! okropnie słabo zrobiło mi się podówczas. Co potem było, nie wiem; pomnę tylko, jakby przez mgłę, wydane hasło. Zleciałem na kilka stóp prostopadle, i w tym samym czasie wskoczył mi kat na ramiona, ściskając mocniej węzeł swym dodatkowym ciężarem. Tysiące, miliony światła, jaśniejszych od słońca, płały mi przed oczyma; w moich uszach brzmiały pomieszane dźwięki, w których

chwytanie przezemnie oddechu, przeraźliwe jęki widzów i krakanie ptaka-wróżbita siedzącego nade mną, łączyły się z szumem niezliczonych wodopadów i okropnem wyciem tysiąca wilków. Wiłem się konając, by się uwolnić od więzów krępujących me ręce i od nędznika siedzącego mi jeszcze na barkach. Skakały światła, migotały, mnożyły się; brzmienia powiększały się, w coraz mocniejszych tonach, coraz rozmaitsze. Zdawało mi się, żem rozpalony do czerwoności, krew wrzała mi w żyłach, tętna biły silnie, lżej potem, i ustały nareście. Byłem jak lód zimny, poczem nastąpiła ciemność, milczenie i zupełna nieczułość.

Skoczyłem z łóżka na którym leżałem. Pokój był obszerny, ponury, a narzędzia, których nie mogłem pojąć użytku, rozłożone były na półkach, wzdłuż ścian. Byłem-li w krainach okropności? ach, nie! gdyż dobry kapłan siedział przy łożu, w towarzystwie szanownego starca i wymawiał dobitnie swoje błogostawieństwo.

Krótką jest powieść i prosta. Ksiądz otrzymał me ciało od zwierzchności miejskiej, pod pozorem pochowania go tajemnie, lecz w zamiarze odwiezienia do domu przyjaciela, uczonego alchemika, którego prace nagrodił wynalazek jakiegoś płynu bardzo skutecznego. Użyto lekarstw, gdy ciepły byłem jeszcze, które szczęściem przywróciły mię do życia. Pod przewodnictwem dobrego kapłana miałem czas

żałować za grzechy, a od przyjaciela tegoż, nauczyłem się tajemnic jego sztuki.

Już teraz wiele, bardzo wiele lat upłynęło, odkąd obadwa moi dobroczyńcy do lepszego przenieśli się świata. Tak zachwalona sztuka lekarska nie wskazała środka przeciw ułomnościom, powoli z wiekiem nadchodzącym. Jeden zapisał mi wszystko, co tylko mógł zostawić—swoje błogosławieństwo; drugi zaś, mniej ważną puściznę—swoje aparaty i księgozbiór. Mieszkam ciągle w jego ustronnem zaciszu.

Doszedłem teraz do bardzo późnej starości. Dwa już pokolenia minęły za mojej pamięci, i ja dziś bezpiecznie widzę się po ulicach Wittenbergu, pośród tych, co słyszeli od swych naddziadów ozbrodniach sławnego Kaspra Wesselinga.

Dla nadzwyczajnej starości i ustronnego życia, uważają mię za osobę świętą i tajemniczą. Proszą o błogosławieństwo dla swych dzieci i o modły za chorych i strapionych; zbierają się tłumem około mnie dla dotknięcia się kraju mej szaty. Biedni ludzie, mówię im, że jestem równie jak oni ułomny i grzeszny; lecz niechęć mi wierzyć. O! gdyby w tej śnieżnej i zgrzybiałej postaci, mogli poznać złoczyńcę, o którego niecnem życiu i nędznej śmierci tak dobrze wiedzą, z jakże odmiennemi uczuciami spoglądałoby na mnie? *A. Z.*

ŚPIEW

CHILDE-HAROLDA Z NAD RENU.

(Z pieśni III wrotki LV).

Pielgrzymki tegoż.

1.

Ponury zamek na Smoczej skale (*)
Stoi nad krętą szeroką rzeką,
Która swe wody wzdyma spaniale,
Skrapia winnice, płynie dalako.

(*) Zamek Drachenfels, stoi na najwyższym szczycie „Siedmiu gór,” nad brzegiem Renu; już w zwaliskach i ze szczególnemi ma związek podaniami; pierwszy widziéć się daje na drodze z Bonn, lecz jest na drugim brzegu rzeki; z tej strony i prawie naprzeciwko, są szczątki innego, który się zowie Zamkiem Żydowskim, i krzyż ogromny, na pamiątkę bratobójstwa, na pewnym spełnionego wodzu. Liczba zamków i miast po obu stronach Renu, bardzo jest wielka, a ich położenie nadzwyczaj piękne.

Z Bajrona, tłumaczył A. Z.

I pola, wzgórza w kwiaty ubrane,
 Niwy co cieszą błogą nadzieją,
 Wioski i miasta wdali rozsiane,
 Których się jeszcze ściany bieją;
 Jakże ta strona byłaby miła,
 Ażebyś tylko ty zemną była!

2.

I wiejskich dziewcząt niebieskie oczy,
 Ręce co niosą z kwiatów ofiarę,
 Tych rajskich dziewic uśmiech uroczy;
 Tam w górze zamki książęce stare;
 Ich siwe mury liściem majone,
 I strome skały z przepaścią bliską,
 Zwaliska dumne, choć pochylone;
 Uspodu winnych lodyg siedlisko:
 Lecz brak mi tego, za czem myśl goni,
 Twój rękę w mojej nie cisnę dłoni!

3.

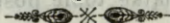
Posyłam róże, które mi dano;
 Choć wiem, że zwiędną wkrótce, za chwile,
 Nim się do twojej ręki dostaną,
 Lecz nie wzgardź niemi, przyjmij je mile:
 O, jakąż roskosz to we mnie nieci!
 Ty na nie rzucisz swoje spojrzenie,
 Twa dusza do mej duszy przyleci...
 Tak, drogie dla mnie są nieskończenie.
 Kwiaty nad Renu brzegiem zbierane,
 I na pamiątkę tobie posłane!

Pieni się rzeka, spaniale płynie,
 Krasa tój ziemi, gdzie tak wesoło,
 I w każdym zwrocie daje krainie
 Świeżość, ozdobę, piękność wokoło;
 Umysł w zamiarach czczych zatopiony,
 Spędziłby życie tu błogo, mile;
 Na świecie innej nie znajdziesz strony,
 Coby mi była przyjemną tyle,
 Ażebyś tylko ty zemną była,
 Swem okiem brzegi Renu krasila.

PIOSNKA.

(z Moora).

Są na wsi gaiki, krzew róż nad strumieniem,
 I słowik swe pienia rozgłasza dzień cały;
 Tam młody, poilem się błogiem marzeniem,
 Gdzie brzmiał głos śpiewaka i róże jaśniały.
 O, zawsze pamiętne mi będą te chwile!
 Gdy starczy, w samocie mam czas do myślenia,
 Chcę wiedzieć, czy słowik jak dawniej brzmi mile?
 Czy róże lśnią jeszcze na brzegu strumienia?
 Nie, róże wnet zwiędły nad wodą w tej stronie,
 Lecz inne zerwano; gdy blaskiem jaśniały,
 A krople dobyte z nich wydały wonie,
 Co lato przypomną, choć miną upały.
 Nim rokosz dawniejsza w lat zamrze potoku,
 Wprzód pamięć wyciąga z niej trwale wspomnienie;
 Tak lube mej duszy, jak były wprzód oku,
 Gaiki na brzegu cichego strumienia!



TAJEMNICE POCZCIWEGO CZŁOWIEKA.

MAŁY OBRAZEK

Z DOMOWEGO POŻYCIA

przez

D. S.

Piem się rzeka, spaziale płybie,
 Krasa tej tkwi, gdzie tak wesoło,
 I w każdym zarwie dają kraście
 Świeżość, ardość, pieszczot wokoło;
 Umysł w zamieślach rzeczy ztopiony,
 Spędziłby życie tu błogo, mile;

TAJEMNICE

POCZCIWEGO CZŁOWIKA

WYŁY OBRAZEK

Są na wsi góry, lasy, rzeki, strumienie,
 I słow **POCZCIWEGO CZŁOWIKA**
 Tam młody, postać się błagają, wesoła,
 Gdzie brzoła, gło, jak ród jeździły.
 O, zawsze pamięć mi będa to chwilel
 Gdy starczy, ~~...~~ myśleć,
 Chęć wiedzieć, czy słow jak dawnej bixol
 Czy rólę kula jeszcze na bręga
 Nic, rólę wnet zwycięż, nad wód w tej strumie
 Leż, iac zerwano, gdy niekiedy jeździły,
 A krople dobieć z nich, wydać, wale,
 Ca lato przypomnia, chęć zaim, dęły,
 Nim roskoni, dawniejsze wisi zamrze pólak,
 Wpędź pamięć wytrąca z niej trwał wspaniałe
 Tak będa mój duszy, jak były wprzód, aka
 Gdzie na bręga cichego strumienia!

L. POSADZENIE.

Każdy z żyjących ma swoje tajemnice, małe dziecię gdy zaledwie poznawać zaczyna, przed matką chowa już cacko gdy sądzi, że mu odebrane być może, młoda dziewica co dopiero jak pączek róży ma rozwinąć listki i okazać światu wdzięk uroczy już ma tajemnice; które przez zbytek źle zrozumianej skromności lęka się by je kto mógł wiedzieć choć są tak niewinne jak jej serce, co dopiero bić mocniej zaczyna, i owa kobieta dobra, czuła, i cnotliwa wolnaż jest od tajemnic? nie, lecz jakież są one, oto jedynie mając na celu dobro rodziny nad którą jak stróż anioł czuwa nieprzestannie. Ma je i ów młodziak któremu dopiero życie zakwita, już szkolne tajemnice strzeże starannie w swej duszy,

a ów mąż eo w urzędowaniu lub obywatelstwie staje się użytecznym krajowi gdy jest prawym człowiekiem, ma tajemnicę z dobrem swych braci, gdy przeciwnie ma one co każą jego serce, małżonek napozór czuły, dobry i przykładny gwałtu co ma tajemnic przed biedną ofiarą swoich podejść i mistrzowskich wybiegów, mąż czuły, dobry, ma również tajemnice ale z dobrem rodziny której jest głową, ma tajemnice i żołnierz co winien lać krew w obronie swych braci, honorowe lub nie, to zależy od jego usposobień moralnych, ma je ksiądz, ale innych mieć mu niewolno jak z dobrem owieczek których jest duchownym pasterzem, biada gdy w jego duszy spoczywa inna tajemnica, Namiestnik Chrystusa winien być czystym w oczach własnych, Boga i ludzi, mają swoje tajemnice: z hańbiona niewiasta, występna żona, 'dziecię niewdzięczne, niecny zbrodniarz, ale pokryje je nieprzejrzaną zasłoną przed okiem twoim czytelniku bo niemyślę wymienieniem onych kazić kart tego pisemka, które poświęcam opisom obyczajowym, ma tajemnicę i złota gwiazda rodzaju ludzkiego to jest: poczciwy i szlachetny człowiek które jeżeli chcesz poznać zacny czytelniku przebiegnij następujący opis.

Nakonec jak mi Bóg miły mamy wszyscy swoje tajemnice które niebardzo byśmy radzi, by je mógł ktoś więcej nad nas wiedzieć.

Gdy raz pierwszy jesteśmy w nieznanym sobie towarzystwie nieraz my kobiety (bo trzeba się przyznać do winy) przez wrodzoną sobie ciekawość pytamy wystrojonej sąsiadki chociaż jej wcale nieznamy o niejedną osobę która w zebranim gronie zwróciła naszą na siebie uwagę, owoż wtedy zagadniona sąsiadka podług swego usposobienia czy fizycznego czy moralnego czego z łatwością odgadnąć niemożna, odpowiada nam słodko lub z przekąsem, grzecznie lub z nachmurzeniem, jednakże są osoby co rade zawiązać rozmowę i z uprzejmością raczą zadowolnić nasze chęci, bo nie ma prawa bez wyjątku, jak głów co jedne więcej mają mózgu od drugich, objaśnią one nas z życiem osoby która naszą zwróciła uwagę, dowiemy się o jej stosunkach towarzyskich, majątkowych, o jej pochodzeniu o usposobieniach złych lub dobrych i często kończą opowiadania: to wielkie nie dobrego, lub to poczciwy człowiek, wyrażenie: to poczciwy człowiek jest listem zalecającym, ale nie dla mnie, gdyż od niejakiego czasu gdym z pewnego zdarzenia poznała niecną obłudę serc ludzkich, gdy staranniej zaczęłam zgłębiać ich charaktery, przestałam wierzyć w ową słowną poczciwość i sądzę ludzi z ich czynów z kąd wynika: że jeżeli mam wyrzec o poczciwości czyjej, potrzebuje w tém względzie własnego doświadczenia, dla czego może mnie kto zapyta, opinia powszechna mylić się nigdy niemoże? bajki

z przeproszeniem szanownej opinii powszechnej muszą jej prawdę w oczy powiedzieć że bardzo często myli się okropnie, bo ją częstokroć na świat wyradza okrzyk jakiego Dandego, próżniaka co pędzi wiatry po ulicy, wyrok zepsutej kobiety której majątek lub znaczenie w świecie, w przekonaniu półgłówek lub mało dbających o swoją sławę, nie dozwalała by była sromotnie wygnaną z społeczeństwa zacnych niewiast, nakoniec opinią powszechną stwarza niekiedy jedno słowo modnego głupca, rzucony frazes nieznośnego pedanta, ztąd ona biorąc pierwiastki życia, niesprawiedliwe wydaje wyroki z trybunału kłamstwa i podłości, bez rozwagi udziela patentów na pocziwców, tym co raczej tytuły oszustów nosićby powinni, opinia powszechna często jednem morderczem technieniem zabija moralnie najgodniejszych, miernego skrzypiciela okrzykuje wirtuozem, lichą tancerkę baletniczką i jest tak zarozumiała, że gdy głos jaki wzniesie się przeciw jej wyrokom, krzyk, hałas, że święta boska prawda umilknąć musi, częstokroć w skutek opinii powszechnej ucziwy człowiek tuła się po świecie z dwójakiem o sobie mniemaniem, lub z nazwą nudnika, pedanta, gdy jeden oszust, kłamca, odgrywa rolę pocziwego człowieka—wyrzecz słowo przeciw jego udanej enocie, tysiące głosów przeciw tobie powstanie, gdy jasno chcesz dowieść jego niecnoty ukrytych, nazwą cię oszczercą; nakoniec opinia powsze-

chna wszystko stanowi, zdania, rozum, trzyma w mocnych więzach i rządzi niemi podług swojej chęci, woli, jak młoda, piękna, ale kapryśna kobieta, starym i niedołężnym mężem. Jeżeli cię nieznudzę pobleżający czytelniku, wymienię ci tu kilku z tytułami pocziwców, a sam osądzisz czyli takowe nosić byli. powinni, godzinka cierpliwości to niewiele, a za grosz nauki to nie źle.

To bardzo pocziwy człowiek mówiono na pana L. który był posiadaczem pięknej kamienicy i znacznych kapitałów, jakie na procenta pożyczął, był starym kawalerem, najwięcej samotnie zostawał w domu siedząc na zielonej poduszce, która trzeba wiedzieć, że jest nieodstępną towarzyszką starych kawalerów, jak kwiatek w włosach niemłodej; kokietki, ujrzysz ją niezawodnie na kanapie w jego mieszkaniu z wyciśniętym wśródkiem dołkiem, w nocy pod głową, jadąc opiera na niej plecy, gdy jest passażerem deliżansowym służy mu za wygodniejsze siedzenie, i wtedy tylko (gdy mu są znane prawa grzeczności dla płci pięknej, co jednakże bardzo rzadko trafia się u starych kawalerów), gotowi z niej zrobić ofiarę dla jadącej damy, gdy ta ma niedogodność w sparciu głowy lub siedzeniu, jednakże kto lubi dobrą radę, nieżyczę jej przyjmować, trąci ona bowiem różnorodną wonią tabaki, tytoniu i ect. Pan L. z zieloną poduszką w życiu swoim nikomu nic dobrego nie zrobił, jednak używał tytułu uczi-

wego człowieka, i dla czegoż może mnie z ciekawych kto zapyta? oto że niejeden traci grosz pożyczwszy u niego pieniędzy chociaż na dziesięć od sta na miesiąc, głosił o jego poczciwości, i tworzył dlań ową opinią powszechną, człowiek zaś co pojął warunki życia ludzkiego, zapytałby podobnego pana L. poczciwca, masz-li jaką pociechę w swęj duszy? powiesz-że sobie tę—lub owę rodzinę wydzwignąłem z niedoli, nędzarzowi co wyglądał wsparcia z litościwej przechodnia ręki, często nienapotykaç jej nigdzie zapewniłem byt spokojny wdowie, sierotom łzy smutku otarłem, o nie, tego niepowiesz gdy masz tyle sumienia że niezechcesz zostać obrzydłym kłamcą, możesz tylko rzec sobie: mam szkatułę pełną złota ale ani grosza niedam biednemu, gdyby nawet krwawemi płakał łzami, mam dziś dobry obiad, ale ani kaska nieudzielę z niego łaknącemu gdyby konał z głodu u progu mego mieszkania, opływam w wszelkie rodzaje wygody życia, ale ich nie podzielę z tym, komu na nich zbywa, gdyby to nawet ratować miało od nieomyślnej śmierci ojca biednej rodziny, śpie smaczno, snu mego nieprzerzywa nędza brata, bliźniego, co nagi i głodny patrzy na łaknące swoje dzieci, i dać im ratunku ani pożywienia niemożę; żyję szczęśliwie ukradłszy u łatwowiernego świata imie uczciwego człowieka,—niecni egoiści, czemuż nie jestem piorunem, bym

bić mógł w wasze kamienne serca i ród wasz po-
dać wiecznemu zatraceniu.

To poczciwy człowiek mówiono o jednym bogaczu, którego często widywałem w kościele, bo pan R. nieopuszczał żadnego odpustu, co dzień bywał w świątyni pańskiej, modlił się gorąco, wznosząc do nieba oczy, bił się tak silnie w piersi, że powszechną tém zwracał na siebie uwagę obecnych, rozdawał hojne jałmużny, uprzedzał każdego z ukłosem, wołał z daleka upadam do nóżek, całując stopki (a takim nigdy wierzyć nieradzę), nakoniec zapraszał na obiady, sute wieczerze, nakarmione żółtą przysmakami przyjaciół pana R. utworzyły dla niego opinią powszechną, wołano, krzyczano, to poczciwy człowiek, chociaż pan R. stał się bogaczem z krzywdą trojga nieletnich sierot powierzonych opiece jego. Kto z krzywdą drugich dorabia się majątku, a nadewszystko z krzywdą sieroty, czy może być poczciwym, oddaje to pod sąd twój światły czytelniku.

To poczciwy człowiek, mówił wytrefiony modniś chwając swego przyjaciela, do pewnego starca, co lubił prawdę każdemu powiedzieć, nikogo nigdy nieskrzywdził, nicoszukał.

— Tylko własną żonę, — odrzekł prawdomówiący.

— O to słabość ludzka, — odpowiedział trefniś, — cóż ów winien że mu się inna podobała.

— Ale kto zaczął kobietę udręcza, prawa Bożkie i ludzkie, wzbraniają zwać go pocziwym człowiekiem.

— Przecie nikogo nie zabił.

— A ha, to podług pana ten pocziwy, kto niktogo nie zabił, a ten co zatrzał czyją spokojność? co potwarzają znieślawił? kto podejściem wydarł drugiemu majątek? co skrzywdził sieroty? kto cudzą żonę przywiódł do niewiary? kto drugiego okradł? czy tacy mogą nosić nazwy uczciwych ludzi, — zapytał rozgniewany starzec.

Podobnym to Dandym, ich pustym głowom a ztąd zdaniom bez zasadnym winniśmy owych pocziwców co zakał rodzajowi ludzkiemu przynoszą, ale dość tych uwag, dalej do rzeczy:

— W roku 18.. w wiosce Zatorsk dziedzicznej hrabiego M..... której schludne zabudowania szeroko rozciągały się nad korytem płynącego Bugu był ekonomem Aliński, przed rokiem już będąc niemłodym ożenił się z młodą wdową panią Zaciewską której z pierwszego małżeństwa syn jeden pozostał, z prawa natury wynikło że pan Aliński został ojcem, i synkowi dał imię Wilhelm, dwóch braci dwa lat wieku dzieliło między sobą, lecz gdy Andrzej syn pani Alińskiej doszedł lat ośmiu a Wilhelm sześciu, mała w ich wzroście zachodziła różnica, jednakże chociaż ich jedna rodzica matka i jedna pierś karmiła, skłonności moralne kładły wiel-

ką różnicę w charakterach dwóch przyrodnych braci: Andrzej był dobry, łagodny, uczynny, zawsze skory uczynić przysługę młodszemu bratu, i jak mógł zasługiwał się przybranemu ojcu, który srogi i niesprawiedliwy często stawał się dla niego bardzo przykrym i nieubłagany, nie każdy bowiem umie dopełnić powinności które nań wkładają, Bóg, ludzie i sumienie, względem istot których ma być ojcem, nie każdy czuje nędzę dziecięcia co własnego utraciło ojca, co drobne rączką wyciąga do obcych by go kto z czułych przycisnął do serca, jak go własny przyciskał ojciec, nieczuły kto odpycha biedne sierotkę co się mu tak tuli do łona, niech nieżąda błogosławieństwa nad własnym pokoleniem bo Bóg ojciec sierot jest ich krzywd mścicielem. Często Wilhelm kłamstwem obwinił przed ojcem niesłusznie swego brata i ten odnosił karę, a gdy mu wymawiał niecny czyn jego, tak dobrze i zręcznie udał że o niczym niewie składając winę na drugich, że poczciwy Andrzej przeproszał brata za krzywdzące posądzenie, podobna obłuda wykrywała nikczemność duszy syna pana Alińskiego i że z czasem stanie się przebiegłym oszustem. Gdy dwaj bracia dla rozrywki wychodzili w pole, Wilhelma zabawą było: wyjmować z krzaków gniazdko ptasie i mordować pisklęta, bić żaby kamieniami, męczyć kota puszczać go z przywiązany pęcherzem do ogona, zagniatą robaczki

niewinnie pełzające po ziemi, ztąd między dwoma braćmi przychodziło do zaciętej walki, bo Andrzej nie mógł patrzeć na okrucieństwa przez Wilhelma spełniane — troskliwe matki o dobro swych dzieci ich moralne ukształcenie, winne by wzbraniać podobnie barbarzyńskich rozrywek, gdy niechęcią by ich dzieci zaprawiwszy serca na morderstwie ptaków, zwierząt i płazów, niechcieli w przyszłości moralnym sposobem mordować swych braci. Gdy młodzieńcy oddani byli do szkół, tam Andrzej uczył się dobrze, obyczaje miał najlepsze, zyskał przychylność kolegów, ale niebył tak szczęśliwy by zwrócić na siebie uwagę zwierzchników. Wilhelm zaś fałszem zyskał więcej, mimo że był ostem i najgorszych obyczajów, został stawiany innym za przykład pracy i prowadzenia się, obłudą zyskać pochwały, to wielka umiętność, ale nie każdy dar ten od złego ducha ma sobie nadany. Gdy dwaj bracia byli w piątej klasie, za przybyciem do domu na wakacje, umarła im matka, Andrzej czuł stratę jak czuć winno dobre i przywiązane dziecko. Wilhelm zaś po pogrzebie, gdy nań zebrani rozeszli się do domów, grał w piłki na smętarnu, gdy Andrzej tonął we łzach, krzyżem leżąc na świeżo usypanej mogile, dziecię, co jak Wilhelm nieczuje straty dawcy swego życia, w świat wchodząc wstępnie nań drogą niecnoci i zbrodni.

Nim do szkół wyjechali, Andrzej grobowiec swój

matki obsadził dokoła nieśmiertelnikami, rano i w wieczór przepędzał tam po godzinie, a w dzień pracował nad wyrobieniem niewielkiego krzyżyka, z napisem: „Drogiej matce, syn przywiązany tę pamiątkę kładzie.“ W wigilją mającego nastąpić wyjazdu, ozdobił nim wieczne, spokojne siedlisko swej matki. Wilhelm zaś od dnia pogrzebu ani był na grobie. Gdy nastąpił dzień odjazdu do szkół, pan Aliński oznajmił Andrzejowi: że niemyśli wcale łożyć kosztów na jego utrzymanie, i że ma się starać o miejsce dla siebie. Andrzej usłyszawszy tak srogi dla siebie wyrok, płakać rzewnie począł, gdy Wilhelm na tzy braterskie patrzył z urąganiem, młodzieniec wybić się opuścić dom przybranego ojca, prosił go przynajmniej aby co pozostało po jego matce choć w części udzielonem mu być mogło, na zaspokojenie pierwszych potrzeb, za co pan Aliński rozgniewawszy się, otworzył drzwi i wyjść mu kazał. Biedny Andrzej w rozpacz oddał się z domu rodzicielskiego o pięciu złotych tylko, bo czterdzieści które był sobie ubierał z korepetycyi dawanych w szkołach, Wilhelm klucz dobrawszy do jego kufierka okradł i stracił. Andrzej wyszedłszy z domu niezulego ojczyzna, udał się na grób swej matki, a padłszy nań na kolana, wołał łkając: „Droga matko gdybyś żyła, syn twój niebyłby tułaczem na świecie,“ wyplakawszy się do woli szedł smutny traktem wiodącym do miasteczka

o mil dwie od Zatorska odległego, gdzie przybywszy, zaszedł na odpoczynek do oberży. Sprawni żydkowie dowiedziawszy się, że Andrzej szuka dla siebie miejsca, nastęczyli mu takowe u hrabiego S. który właśnie w tej samej oberży popasał. Hrabia po rozmowie z Andrzejem, który mu się tak z powierzchowności jako i ze sposobu tłumaczenia podobał, oznajmił że potrzebuje pisarza do swej kancelarji, stanęła ugoda, hrabia wyznaczył Andrzejowi tysiąc złotych rocznej pensji i wziął go do dóbr swoich w odległą stronę województwa Augustowskiego, gdzie na mieszkanie wyjeżdżał. Trzy lata bez żadnych zdarzeń godnych wspomnienia, młody Andrzej pracował w interesach hrabiego, które, gdy go hrabia bliżej poznał, miał sobie z całą ufnością powierzone, on nakoniec zawierał kontrakta z dzierżawcami, odbierał znaczne summy, jeździł do Warszawy dla ukończenia ważnych processów, przy końcu trzeciego roku, pani hrabina słynna w okolicy z czarujących wdzięków, raz pod niebytność swego męża, kazała go prosić do siebie, a gdy Andrzej udał się na wezwanie, sądząc że jakieś zlecenie odbierze, rzekła doń uprzejmie.

— Siadaj pan mam z nim wiele pomówić.

Andrzej usiadł, hrabina rzekła:

— Oto mam zamiar uczynić pana szczęśliwym.

Młodzieniec się skłonił.

— Wiesz zapewne że związek mój z hrabią sko-

jarzyła duma familijna, sroga tyranka serc coby rade iść za popędem własnych uczuć, ona to złączyła mnie z człowiekiem starym, nienawistnym,— tu się zatrzymała, czarne oczy zatapiając w piękną twarz Andrzeja, — i cóż nierozumiesz mnie pan, — rzekła biorąc młodzieńca za rękę, — że jesteś przedmiotem... najtkliwszych uczuć mego serca... jedno twoje słowo, a opuszczę dom mi nienawistny, rozpocznę rozwód i zrobię cię panem miljonowego majątku.

— Woli jej zadość uczynić niemogę,— rzekł Andrzej bez namysłu, wzgardliwe spojrzenie rzucając na hrabinę.

— A to dla czego?—zawołała cofając się, a twarz jej okrył żywy rumieniec.

— Niechcę,— rzekł z mocą Andrzej, — nosić nazwy uwodziciela żony mego dobroczyńcy, jak również niezakładam szczęścia w majątku podłością nabytém, ani w kobiecie co nikczemnie zdradza swego męża.

Gdyby piorun uderzył nad głową hrabiny, nie tyleby ją przeraził, jak ostra ale szlachetna odpowiedź młodzieńca, ona co przywykła do hołdów, nie jeden przyjąłby jej ofiarę z wdzięcznością, gdy Andrzej bez urodzenia i majątku wzgardził jej miłością, nieograniczona passja ogarnęła wszystkie władze jej duszy, a gdy wyszedł młodzieniec, pła-

kała zaprzysięgając w duszy straszną zemstę dla niego.

Andrzej zaś postanowił niewyjawiać przed nikim zajścia między nim a hrabiną, albowiem słabości którym i płeć nasza ulega niekiedy, są tajemnicą w duszy poczciwego człowieka, bo człowiek poczciwy czuje najlepiej czem jest dla kobiety strata dobrego imienia.

Po upływie dni kilku gdy byli razem w obecności hrabiego, twarz jej nieokazywała wzruszenia, bo kobieta jej podobna odegra wszystkie role z łatwością, będzie płakać gdy żalu nieczuje, śmiać się gdy nią świat pogardzi, udawać czułą gdy zemstą pała, nakoniec całować, gdy czułemu sercu ma zadać raz śmiertelny, i choć jestem kobietą, z żalem wyznać muszę, że niema szkodliwszego stworzenia na świecie, jak zepsuta kobieta, i komuż to winniśmy owe niewiasty zakałą, płci której na świecie tak szczytne jest powołanie?.. wam matki niedołążne, bo mało przykładacie starań w kształceniu serc waszych córek, a często niestety! własnym przykładem wskazujecie im drogę hańby i bezwstydu! i gdzież są owe patryarchalne cnoty naszych prababek?... wykorzeniła je wasza próżność i miłość obcych zwyczaj, gdzie niegdzie tylko w duszy młodej dziewicy błyska odcień cnot rodzinnych dawnych pokoleń, ich prawość, nieskażone sumienie żyje jeszcze w duszy owej kobiety, której rozsądna i bo-

gobojna matka na świecie, nie przy tualecie podsycając próżność swej córki, szukała dlań wzorów do cnoty, ale w cichém domowém życiu, w przykładach wzorowych niewiast, któremi szczyciły się zmarłe wieki, ale ich rzadko znajdziesz, ową złotą gwiazdkę co na tle ówczesnego wieku błyska dla wielu niepojętém światłem, trudno, o trudno ją znaleźć w mnogości gwiazd fałszywych i jeżeli na nią natrafi młodzian co oko lubi zatapiać w rozliczném kole owych ciał niebieskich, to prawdziwy mędrzec, bo potrafił ująć rzetelne szczęście, a dla swego pokolenia wybrać zbawcę anioła.

Ciągle trwała obojętność między Andrzejem i hrabiną, i tak trwało kilka tygodni, gdy raz hrabia wszedł do pokoju młodzieńca i rzekł doń obojętnie.

— Musiemy się rozłączyć zacny panie Andrzeju, za okazywaną mu przychylność i prawdziwie ojcowskie dla pana z mej strony chęci miałeś zamiar wywiązać się czarną nie wdzięcznością chcąc uwieść moją żonę; powinienbym sromotnym wygnaniem go z domu ukarać niecne zuchwalstwo, ale mógłbym tem narazić na szwank sławę mojej żony którą cenie równie z moją, nakoniec straciłeś pan całkiem [moje zaufanie, niemógłbym powierzyć mu jak dawniej spełnienie ważnych interessów bo człowiek co się poważył targnąć na spokojność małżonków, nie może posiadać niczyjej ufności, za-

tém masz pan rzekł kładąc na stół pieniądze, zapłatę swych usług, chciałem dodać hrabia dopomódz panu z czasem jako uczciwemu człowiekowi abyś w świecie mógł mieć znacznie, ale niemyślę udzielić mojej pomocy podłości, kończąc te słowa wyszedł z pokoju zostawiając Andrzeja w niemém osłupieniu.

Inny na jego miejscu nie dałby wyjść z pokoju hrabiemu póki by mu nierzekł: Pańska żona jest niema intrygantką. Ale Andrzej lubił wszystko robić z rozważą, ochłonawszy ze wzruszenia wyszedł na świeże powietrze, bo mu krew biła do głowy, serce drgało, a żal szczególny krępował go niemiłosiernie, przez godzinę chodził gubiąc się w myślach jak usprawiedliwić zdoła przed człowiekiem szacownym ale łatwowiernym, hrabia niewierzyłyby jego tłumaczeniu, nakoniec jakież przekonywający dowód mógłby na swoje niewinnienie przytoczyć.

— Niech to Bóg rozstrzygnie rzekł wracając do swego pokoju. Bo człowiek poczciwy gdy ciąży nad nim srogie posądzenie w jego tylko opiece pokłada nadzieję niewinnienia swego, bo ludzie, o! ci ludzie, skorzy w posądzeniu bez przekonania niepomnąc na własne przekroczenia!

O nie, inna gwiazda oświeca twój żywot na ziemi poczciwy człowieku jak udręczeń i przeciwności, ale inna świeci tam wysoko, spojrz, widzisz na nieba błękicie ową złotą gwiazdę co świeci ży-

wszém od innych światłem, co jasnym ogniem gasi blask swych towarzyszek, muwią że to gwiazda bochatera, nie, to gwiazda poczciwego człowieka, gwiazda jego przyszłych przeznaczeń!....

Andrzej w pieniądzech zostawionych przez hrabiego znalazł dwa tysiące więcej jak mu się należało, zatem siadł i napisał list następujący.

Panie Hrabio!

Smutne przeznaczenie znagła mnie dom twój hrabio opuścić obciążonym gorszącym mnie podejrzeniem, człowiek honoru, człowiek prawy, umie czuć cały ogrom podobnego przeznaczenia, nie będę się usprawiedliwiał, bo byś hrabio niechciał wierzyć że w tym którego zaprędko potępiłeś bije serce prawe, szlachetne, zostawiam to czasowi. Bóg sędzia spraw ludzkich odkryje z czasem i moją niewinność, jakże ten co był przedmiotem łask twoich nieumiał i niechciał być ci niewdzięcznym, w pieniądzech któremi wynagrodziłeś moje usługi znalazłem dwa tysiące więcej, jeżeli je hrabio dałeś w nagrodę prac moich, niecenię je tyle bym mógł twą ofiarę przyjąć, jeżeli zaś chcesz mi dopomóżyć w obecném położeniu, niegodzien jest tego człowiek, którego niewdzięcznym osądziłeś.

Twój Sługa *Andrzej Zacniewski.*

Andrzej po napisaniu listu i zwróceniu pieniędzy wydzielił się od hrabiego z funduszem złp. dwa tysiące.



H.

SZKLANKA HERBATY.

Przybywszy Andrzej do pobliskiego miasteczka dóbr hrabiego S. zaciągnął się do pułku linowego N* konsystującego tamże pod dowództwem pułkownika K. w upływie roku wszczęła się wojna, Andrzej w pierwszej potyczce okazał nieustraszoną odwagę. Zachęciwszy bowiem swoich kolegów, w kilkudziesiąt odważnych uderzył na mocno osadzoną baterję, rozbił ją, zdobył cztery armaty, w szeregi nieprzyjacioł niosąc popłoch, zwycięstwo przechylił na swoją stronę, za widoczny czyn odwagi nieodniósł Andrzej należnej nagrody, udzielono ją porucznikowi D. kuzynowi pułkownika, który od pierwszego strzału jaki mu świsnął kulą koło ucha, starannie chował się za szeregi żołnierzy, i w chwili

trwogi nieprzyjaciela, gdy Andrzej uprowadzał zdobyte armaty, pobiegł do głównodowodzącego donieść o zwycięztwie odniesionym przez swoją kompanię, za co na placu został kapitanem, wielka sztuka stanąć odważnie w obec nieprzyjaciela, bić się mężnie i zwyciężać, ale i to sztuczka nie miała umieć schwycić nasuwające się okoliczności i zręcznie obrócić je ku własnej korzyści, różnica w tém taka zachodzi: że pierwsza cechuje duszę męzną, niepospolitą, druga jest udziałem dusz nikczemnych.

Andrzej nie szemrał, spełnił powinność człowieka honoru, nagrody żądać niepowinien,— w dni kilka po zawieszeniu broni, stanęli do nowego ataku, krwawa walka ważyła zwycięztwo na stronę nieprzyjacielską, w pułkowiku do zachęcenia żołnierzy, widział Andrzej wiele opieszałości, gdy już ciągly ogień, wielką liczbę położył na placu jego braci, już—już widział stygnącą pozostałych odwagę, wybiegłszy na front krzyknął: w imię Boga i honoru naprzód za mną! i sam rzucił się w szeregi nieprzyjacielskie, wszyscy na głos i czyn Andrzeja, ruszyli się za nim, krew bryzła strugami zalewając plac boju, odniesiono zwycięztwo, gdy Andrzej po trudzie chciał chwilę odpocząć i opatrzyć odniesioną w nogę ranę, spostrzegł kapitana C. otoczonego od szczęściu żołnierzy nieprzyjacielskich, który miał już skonać pod ich razami, skoczył doń Andrzej, a kładąc od razu czterech trupem, ratuje

życie kapitana. Koledzy Andrzeja słusznie przypisywali jego odwadze wygraną bitwę i szmer powstał w pułku, gdy w dni kilka ogłoszono rozkazem dziennym, pochwałę pułkownikowi K. za odniesione zwycięstwo, ozdobiono go krzyżem, niewspominając męstwa Andrzeja. Koledzy jego niezniesli spokojnie wyrządzonej mu krzywdy, zebrali się pod namiot pułkownika, dopominając o wynagrodzenie kolegi za okazaną odwagę, w skutku czego Andrzej został porucznikiem, owoż nowa epoka rozpoczęła się jego życia, od wszystkich był kochany, żołnierze gotowi byli iść za nim w piekło, trwało to czas jakiś, gdy pułk w którym Andrzej służył, odebrał rozkaz zamknięcia się w fortecy X. w wigilją dnia, gdy warownia miała być atakowaną od nieprzyjaciół oblegających ją dokoła, przywołany został Andrzej do pułkownika, który do niego rzekł grzecznie:

— Chcę z panem pomówić w bardzo ważnym przedmiocie, sądzę że jako człowiek rozsądny uznasz słuszność moich przełożeń, a jako posiadający miłość żołnierzy, dopomożesz do wypełnienia mego przedsięwzięcia.

— Jakież jest ono?—zapytał Andrzej.

— Jutro ma być forteca atakowana, przewiduje straszny los bitwy, trzeba użyć środków by zapobiedz temu...

Andrzej zatopił wzrok w twarz pułkownika stojącego przed nim.

— Podług życzeń wielu ze starszych oficerów,—mówił dalej pułkownik,—kompania pańska ma osadzić wyłom zrobiony w poprzednim bombardowaniu, zatem lepiej by było... abyś pan...

— Cóż takiego?

— Niewiele przykładał starań do jego obrony.

— Jak to?—zapytał Andrzej,—mam zdradzić zaufanie którym zaszczycają mnie moi koledzy?

— Pan źle tłumaczysz... pan sądzisz... że jestem...

— Zdrajcą swego króla i ziemi która cię nosi,—krzyknął Andrzej ujmując za rękę szpady.

— Pan się zapominasz,—rzekł pułkownik cofając się,—że jesteś w obec swego dowódcy.

— Zdrajca nie jest moim dowódcą, ani mężnych których chciał okryć niesławą,—zawołał Andrzej wychodząc z pokoju.

Nazajutrz o świcie atakować zaczęto forteczę, nieprzyjaciel nacięrał z mocą. Andrzej odebrał rozkaz cofnięcia swojej kompanii strzegącej wspomnionego wyłomu.

— Ani kroku nieodstąpie,—rzekł do przynoszącego rozkaz.

Powtórny rozkaz zaczął płoszyć żołnierzy, co gdy spostrzegł Andrzej, zawołał: — stojcie w imię Boga rozkazuje!—na głos jego wszyscy skoczyli na

miejsca, a sam zbliżywszy się do pułkownika szepnął mu do ucha:

— Raz jeszcze podobny rozkaz, a własną ręką w obec zebranych żołnierzy strzele w twoje nieene serce.

Bili się do późna i wszystkie usiłowania nieprzyjacielskie, dzięki waleczności żołnierzy, których Andrzej ciągle zachęcał, zostały bezskuteczne, jakaż nagroda spotkała odważnego młodzieńca? jaka często spotyka za poświęcenia pocziwego człowieka, został wykreślony z kontroli wojskowej, sądzicież że Andrzej zachwiał się na drodze którą obrał w postępowaniu swoim? nie — rzetelnie pocziwy człowiek niezrazi się przeciwnościami, które go zwykle jak chmury jesienne dokoła otaczają, jednakże poszukiwał krzywd mu wyrządzonych, ale głos sprawiedliwego, był głosem wołającego na puszczy.

Po uwolnieniu od służby wojskowej, z bardzo małemi funduszami udał się do Warszawy, najął małą stancyjkę pod strychem, na Freta ulicy, płacąc za nią dziesięć złotych miesięcznie, i aplikował w jednej z dykasterji stolicy, po skończeniu roku szczupła jego kassa zmniejszyła się znacznie i chociaż jadał raz tylko na dzień, a gospodarz gdzie Andrzej mieszkał, ofiarował mu bezpłatną stancją, był jednak w rozpaczy co nadal pocznie, gdy naczelnik bióra, w którym Andrzej pracował, wydzielił mu polecił trzysta złotych rocznej pensji, duch wstąpił

w biednego młodzieńca i z radości dzień tak dla siebie szczęśliwy, obchodził uroczyście — rok przeminął, znowu dostał trzysta złotych więcej, a po następnych dwóch latach oceniając naczelnik jego pracę i zdatność, przedstawić go polecił do posady z roczną pensją dwa tysiące złotych, ale Andrzej odmówił przyjęcia rzeczonych posady, prosząc naczelnika za swym kolegą panem B. za którym przemawiała słuszność z powodu więcej pięciu lat służby i rodziny której był ojcem. Naczelnik bardzo się zdziwił żądaniem Andrzeja, jednakże będąc szlachetnym ocenił postępek i woli jego zadość uczynił.

— Pan mnie nie dziękuj,— rzekł naczelnik do pana B. w obec wspólnie z nim pracujących,— bo ani zdatność, ani praca nieprzemawiały za panem do otrzymania posady, winienes ją szlachetności pana Zaciewskiego, który zrzekł się jej na korzyść pańską.

Pan B. w obec kolegów podziękował Andrzejowi i dopiero wszyscy dowiedzieli się o jego szlachetnym postępku, z czynu bowiem podobnego niechętni się człowiek poczeiwy, bywa on tajemnicą jego szlachetnej duszy.

W rok, Andrzej znowu miał nadzieję uzyskania nowo tworzącą się posadę z roczną pensją trzy tysiące złotych, gdy jeden z jego koleżków rzekł mu po przyjacielsku:

— Niema pewności byś mógł otrzymać to miejsce.

— Ato dla czego? zapytał Andrzej.

— Kopią dołki pod tobą, — Pan B... paraliżuje wszystkie zabiegi naczelnika przyjazne dla ciebie.

— Andrzej niechciał wierzyć bo człowiek poczciwy niełatwo posądza drugich czyn ich hańbiący, dla tego też często bywa oszukany, jednakże sprawdziły się przepowiednie koleżki Adrzeja, pan B. otrzymał pomienioną posadę.

Niemy oszuście rzekł mu Andrzej gdy go spotkał, kto nieumie być wdzięcznym niewarto by żył na świecie i trzymanemi aktami w ręku cisnął mu w oczy.

— W parę dni na zaskarżenie pana B. został Andrzej przywołany do naczelnika.

Żle pan postąpiłeś rzekł doń, poważyles się skrzywdzić starszego od siebie urzędnika.

— Nikczemnik niegodzien innego obejścia.

— Ale nie donas należy sąd na podobnych wydawać odpowiedział z flegmą naczelnik, zostawmy to mędrszemu od ludzi sędziemu, pan zostałeś oskarżony, polecono udzielić mu dymissyą, moje starania nic niepomogły wtem względzie, oto jest pańskie uwolnienie, życze mu przyjaźniejszy los dla siebie znaleźć.

— Andrzej pożegnał naczelnika i udał się do siebie niemając więcej majątku nad piętnaście złotych w kieszeni, gdy wszedł do stancij pierwszy widok

który oczy jego uderzył, był list zapieczętowany pod jego adresem, który za wierał te słowa:

— Po odebraniu tego listu szanowny panie Zaczynski chciej natychmiast przybyć do mnie.

Twój Przyjaciel *Skapiński*.

Pan Skapiński był właścicielem kamienicy w której Andrzej mieszkał, młoda żona którą przed pięć laty pojął trwonila jego majątek na stroje, balety i spacerzy robiąc ofiarę cierpien z męża i córki pana Skapińskiego co mu została z pierwszego małżeństwa, a którą był przymuszony z domu oddalić. Gdy Andrzej udał się na wezwanie, pan Skapiński rzekł z trudnością podnosząc się na łóżku.

— Niech ci Bóg płaci żeś przybył właśnie w dobrą porę kiedy niema mej żony ani z sług nikogo, siadajże koło mnie, a pomałym odpoczynku dodał słabym głosem: przez trzy lata które mieszkasz u mnie, miałem sposobność poznać, jak jesteś użytecznym człowiekiem, przekonanie o twojem zacnym sposobie myślenia i charakterze dały mi dwa zdarzenia, jedno w kościele Sw. Krzyża gdy uboga staruszka stanęła przy ławce w której siedziałeś, wyszedłeś z niej robiąc jej miejsce, drugi raz pamiętam gdy nad wisłą gorzał dom, ty widząc rozpacz biednej matki która zostawiła tam dziecię wychodząc na zarobek, skoczyłeś w płomień i wyratowałeś niemowlę, to przekonało mnie o zacności twoich uczuć, bo młodzieniec co wiek szanuje i na-

raza życie dla ratunku bliźniego niemylnie jest poczywym człowiekiem, o toż do uskutecznienia moich zamiarów przedsięwziętem cię użyć, śmierć jest dla mnie niemylną, której co chwila z upragnieniem wyglądam, niemogę zrobić rozporządzenia mego majątku albowiem ulegając przed ślubnym żądaniem mojej żony zapisaaliśmy między sobą majątek naprzeczyć, ślepa miłość niedozwoliła widzieć różnicy wieku jaki między mną a moją istniał, ani pamiętałem na moje biedne dzieci które chciałbym umierając nagrodzić, sto tysięcy gotówki chciałbym skryć przed szponami mojej żony i zostawić je mojej córce, do tego właśnie użyć cię zamierzyłem, oto są rzekł starzec wyjmując z podpoduszki pieniądze i list napisany doniej, schowaj to wszystko u siebie, gdy moja córka pójdzie zamąż oddasz jej to odemnie.

— Panie,—rzekł Andrzej zdziwiony,—jakaż mogę ci dać rękojmią za spełnienie twojej woli. Jest nią twój charakter zacny młodzieńcze,—gdy te słowa kończył, twarz jego mienić się poczęła, przez siłę podniósł poduszkę, wyjął sporą sakiewkę i siląc się chciał mówić, lecz tylko mógł z trudnością wyjąknąć:

— A to dla—dla—cie—zbladł, — pochylił głowę skonał

Andrzej stał chwilę nieruchomy, podniósł opuszczoną sakiewkę, była pełną dukatów, niewiedział

co ma z nią zrobić, niemylnie chciał mi ją ofiarować myślał Andrzej w duchu, ale któż może mnie o tem zapewnić, nie, rzekł podsuwając pod poduszkę upuszczoną sakiewkę, grosz wdowy nigdy nie będzie ciążył na mojem sumieniu, i oddalił z pokoju, bojąc się być spostrzeżony, właśnie wchodził do swej ubogiej stancyjki myśląc gdzie skryć pieniądze, gdy pani Skapińska ze spaceru przybyła, ujrawszy śmiertelne zwłoki męża, narobiła krzyku, płakała, łamała ręce, rzuciła się na martwe zwłoki, a przybyli z nią razem unosili się, że tak młoda kobieta żałuje starego, który mógł być jej ojcem i odtąd pani Skapińska policzoną była między wzorowe żony starych mężów, proszę, mógłżby kto sądzić że na tem biednym świecie dość oznak powierzchniowych, by zyskać nazwę cnotliwej! Andrzej słysząc spazmatyczne wrzaski na górze, a znając niecne postęпки żony zmarłego, podziwiał obłudę serc ludzkich.

Andrzej zamknawszy pieniądze w małą szkatułkę, skrył ją aż pod podłogę, w obawie by podczas jego niebytności ukradzioną mu niebyła.

W pół roku po dymisji, w dzień majowy ale chłodny i wietrzny, z schyloną głową szedł Andrzej ulicą Długą, bo wiatr z deszczem dał mu nieznośnie w same oczy, samotnie idąc myślał o biednym losie który go nieprzestaje prześladować, dnia tego było mu bardzo niedobrze po porcji niedopieczonej

pieczeni, którą zwykł jadać w garkuchni na Bednar-
skiej ulicy, która była całodziennym jego pożywie-
niem, stanął na chwilę by odetchnąć i zasłonić po-
ły z dziurawą podszewką od wytartego surduta
które wiatr nieznośny, uporczywy, ciągle rozwijał
jakby chciał je oczom przechodniów okazać, gdy
Andrzej toczył walkę z połami i wiatrem, spojrzął
w okno kamienicy i przeczytał napis: tu kawa i
herbata: wzięła go chętka napić się gorącej herbaty
ale pomyślał: mam tylko pięć złotych w kieszeni,
które są całym moim majątkiem, niewiem jak długo
żyć z nich trzeba będzie, a może mi nikt nie da ani
świszku do przepisania, co jest moim całym utrzy-
maniem: ale na bok uwagi, chęć przemogła i An-
drzej wszedł do kawiarni, gdzie zastał kilka osób,
umieścił się w kąciku chowając starannie wytarte
łokcie.

— Proszę o szklankę herbaty, — rzekł do chłopca
który zmierzwszy go oczami wyszedł z pokoju.

Andrzej wziął gazetę i czytał.

— Mój panie prosiłem cię o szklankę herbaty, —
ponowił Andrzej ujrawszy na nowo przechodzą-
cego chłopca.

— Zaraz, — mruknął pod nose m i po chwili po-
stawił przed nim szklankę herbaty mętnej i bladej,
spojrzął Andrzej po szklankach zebranych gości,
była zupełnie inną, lecz niechcąc robić hałasu, pić

spokojnie zaczął, gdy następująca rozmowa zwróciła jego uwagę.

— Gdzie pan pracujesz?— pytał stary jegomość z wielkim nosem, obok siebie siedzącego młodzieńca.

— W kommissji ***

— Podobno macie nowego teraz prezesa.

— A tak od pół roku.

— Jak się nazywa?—ktoś zapytał z obecnych.

— Pan Aliński.

Andrzej mocno się zdziwił usłyszawszy nazwisko swego brata, o którym niewiedział że się znajduje w Warszawie i na takim stopniu.

— Proszę,— rzekł mężczyzna na którego głowie włos srebrny przebijał,—przed szczęściem laty był razem zemną sekretarzem, ja dziś jestem na tym samym stopniu, a ów pan prezes, muszę też przypomnieć mu się kiedy, sądzę że niezapomniał jak za niego wyrabiałem czynności.

— Radzę zaniechać panu ten zamiar,— rzekł jegomość z wielkim nosem,—często szczęście zmienia sposoby myślenia, a pan prezes podobno jest z rzędu tych ludzi.

— Niemyślę prosić go o żadne łaski,— odrzekł sekretarz.

— Dzisiejszy stopień winien on swemu kuzynowi hrabiemu M. co go protegował;— wtrącił jeden z przytomnych.

— Uchowaj Boże,—rzekł sekretarz,—hrabia nie-

był żadnym jego kuzynem, tylko ojciec pana Alin-
skiego był w dobrach hrabiego ekonomem, i ztąd
hrabia opiekował się dzisiejszym prezesem.

— Szczwany to lis,—ktoś mruknął w kątku.

Andrzej wysłuchawszy całej rozmowy, zabierał
się do wyjścia, sięgnął do kieszonki gdzie miał pie-
niądze i zbladł, bo nie znalazł pięciu złotych, tylko
dziurę w kieszonce u kamizelki którą wylecieć mu-
siały, zbliżył się zatem do gospodyni i rzekł uprzej-
mie.

— Zechcesz pani skredytować szklankę herbaty
którą wypilem, albowiem zgubiłem pieniądze z dziu-
rawej kieszeni, ale jutro przyniosę jej należytość.

— A mnie co do tego,—ofuknęła się niegrzeczna
kawiarka,—trzeba było piérwej zobaczyć mój panie,
jakie masz kieszonki i czy w nich jest dwadzieścia
groszy na zapłacenie herbaty, którą pić miałeś.

— Ale jak mi Bóg miły,—rzekł Andrzej zawsty-
dzony...

— No, no, dość tego, znamy takie figle, bo w War-
szawie dość oszustów, proszę zapłacić, bo inaczej
będę umiała sobie postąpić,—krzyczała coraz gło-
śniej mierząc Andrzeja oczami,—proszę, nawet wziąć
niema co w zastaw, czapczyzna trzech groszy nie-
warta, surducina z wytartemi łokciami, a z bótów
już palce wyłazić mają, otóż to mi pan do herbaty.

Przebiegły oszust znajdzie kredyt na tysiące, bo
umie omamić i oszukać, a pocziwiy człowiek co

prawą postępuje drogą, nie zawsze znajduje go u ludzi, gdyby i umierał z głodu, a któż są owi ludzie co mu pomocy dać niechęć? jego bracia, bliźni, a gdzież owa święta iskra wiary, wskazówka cnót braterskich co ma tleć w ich sercach? zgasła, popiół pozostał, który wiatr samolubstwa na wieczne zatracenie rozdmuchnął po świecie.

Andrzej, gdy krzykliwa kawiarka anatomizowała jego biedny ubior, stał jak na torturach, gdy młody i piękny mężczyzna z przytomnych w kawiarni, przystępując zapytał:

— O co rzecz idzie?

Krzykliwa kawiarka z nieznośnym wrzaskiem wyłuszczyła mu rzecz całą.

— O byłoś się o co tak gniewać, moja pani jesteś grubijanką, oto jest dwadzieścia groszy, rzekł kładąc je na stolik przed zapyżoną gospodynią.

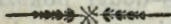
— Slicznie panu dziękuję, — rzekł Andrzej wybawiony z kłopotu, — chciój pan wierzyć że nigdy pić bym nieśmiał herbaty, gdybym za nią nie miał czem zapłacić, ale—dodał pokazując dziurę w kieszonce od kamizelki,—tedy musiały mi wylecieć pieniądze, racz mi pan wskazać swoje mieszkanie i powiedzieć nazwisko, abym wiedział gdzie i komu uiścić mam z długu.

— O ta bagatel niewarta trudów, niech to będzie na hypotecę u pana, los różnie ludźmi rządzi na świecie, może ja kiedy będę potrzebny to mi pan oddasz,—odrzekł śmiejąc się piękny młodzieniec.

— Tak, tak, — odezwał się otyły jegomość, co przybył razem z wybawcą Andrzeja, — pożyczaj na hypoteki pijaków i oszostów, a pewny bądź że ci kiedy oddadzą.

— Nie sądź pan ludzi z pozoru, — rzekł Andrzej śmiało przystępując do otyłego jegomości, — gdybym nie uważał żeś pan przybył z tym panem, — mówił wskazując na młodzieńca, który za niego zapłacił, potrafiłbym w obec zebranych tu osób nauczyć pana co to jest szkalować nieznane sobie osoby, wstrzymuje mnie od tego obawa abym niewdzięcznością niewywiązał się memu wybawcy.

Otyły jegomość z tchórzył, bo był z liczby owych zuchów co to miecz podnoszą gdy niewidzą przeciwnika, a tęgo zmykają gdy go ujrzą przed sobą. Andrzej zaś podziękowawszy raz jeszcze nieznamemu, wyszedł z kawiarni.



III.

TONACY.

Gdy Andrzej wyszedł na ulicę, wiatr chłodny orzeźwił go ze wzruszenia którego doznał w kawiarni i myśl jego swobodniejsza zwróciła się na słyszana tam rozmowę.

— Brat mój jest Prezesem mówił do siebie, mogę mieć nadzieję pomyślniejszej przyszłości, i Andrzej tak mówiąc zdążył ulicą długą zmierzając do swej stancyj, gdy nagle usłyszał krzyk za sobą.

— Pali się pali.

— Gdzie się pali zapytał lecącego policyanta.

— Na Freta ulicy u pani Skapińskiej.

— Andrzej mało niepadł na ulicę gdy wspomniawszy swoją stancjkkę pod strychem i powierzone mu pieczęcie do schowania, leciał pędem bez odetchnienia

i gdy wbiegł na miejsce z kąd kamienicę widzieć można było, ujrzał ją całą w płomieniach, podwoił biegu okropny widok, z okienek pod strychem już bucha płomień, straż drzwi pilnuje, nie dozwala nikomu przystąpić, Andrzej gwałtem wdziera się na wschody.

— Niewolno krzyczano zewsząd do niego, chiba chcesz zginąć bo się belki wałą, młodzieniec nie zważa bo mienie sieroty ma zniszczyć płomień, odepchnąwszy straż wbiega na wschody, wybija drzwi do swjej stancyj, ogień buchnął, dach trzeszczy, wałą się belki, dostawszy szkatułki uradowany wraca ale już po wschodach popalonych, przedziera się z trudnością przez płomień i wybiega na ulicę przed oczy widzów którzy go za straconego mieli.

— Splonęła kamienica pani Skapińskiej a Andrzej w nowym się znajdował kłopotcie, niema miejsca schronienia się ani pieniędzy by przynajmniej mógł w bezpiecznym przenocować miejscu, tak dumając idzie ulicą Miodową, piękny powóz zwrócił jego uwagę na siebie, a nadewszystko siedzący w nim mężczyzna w którym Andrzej poznał kapitana C.... co mu życie na polu bitwy uratował, potrzeba znowa do wielu rzeczy, Andrzej idzie do kamienicy przed którą wysiadł, a sądząc że się myli pyta a nazwisko przybyłego przed chwilą mężczyzny. nie mylił się był to kapitan C.... który od dwóch

lat wzięwszy dymissyą z bogatą ożenił się wdową i osiadł w Warszawie.

— Gdy wszedł na górę służący go zameldował a po pół godzinném oczekiwaniu wyszedł kapitan dumnym wzrokiem mierząc Andrzeja.

— Kapitanie czyli mnie niepoznajesz zapytał młodzieniec.

— Nieprzypominam go sobie.

— Jestem Andrzej Zacniewski, Porucznik z pułku, ***.

— Aha, tak zdaje mi się że go znałem, cóż pan żądasz? pytał kapitan.

— Chciałem w dawnym koledze znaleźć pomoc dla siebie, jestem nieszczęśliwy, i bardzo nieszczęśliwy.

— A któż temu winien, musiałeś się puścić na hulackie życie mój panie, mówił kapitan z urąganiem spozierając na biedny ubiór Andrzeja, gdy byś statkował niemylnie miałbyś kawałek chleba, ja zaś niemogę ci dopomódz sam dziś jestem potrzebny.

— Czy biedny ubiór co mnie dziś okrywa nadaje prawo posądzać o złe postępkі zapytał Andrzej, a ten ca jest na tobie cnotliwy panie, ma zapewne władzę tłumienia uczuć szlachetnych, serca w głąz zamieniać, i tworzyć niewdzięczników, co rzekłszy odwrócił się i wyszedł z pokoju.

— Gdy schodził ze schodów spotkał służącego który ogromny kosz wina dzwigał na górę.

— Co niesiecie zapytał go Bartek stróż kamienicy,

— Szampan.

— Cóż to znowu bal u was.

— A jakże, przecie dwa razy na tydzień balujemy.

— Kapitan widzę lubi się bawić, a dużo zapłaciłeś za owe wino.

— Pięćset złotych.

— niech je kule biją, żebym dziś miał te pieniądze, zarazbym się z kasią ożenił, krzyknął Bartek.

— O tak odrzekł służący, na wino to są pieniądze, ale gdy ubogi pod próg podejdzie, dostanie sturczańca i basta, bo dla niego niema trzech groszy.

Andrzej usłyszawszy rozmowę, większe jeszcze oburzenie uczuł w sercu swoim, idąc ulicą, spotykał wiele osób przechodzących, mój Boże myślał, tłumy mnie mijają nim przejdę ulicę, tyśiące się ludzi przesnuje, ale w tej zgrai znajdziesz się choć jeden czuły człowiek, któryby cierpiącemu nieodmówił pomocy? gdy tak dumał, usłyszał głos za sobą:

Jeżeli się niemylę mam honor spotkać pana Andrzeja Zaciewskiego porucznika z pułku ***

— Tak jest,—rzekł młodzieniec spoglądając na stojącego przed sobą mężczyznę.

— Co to poruczniku niepoznajesz swojego sierżanta, Antoniego Zarembę, coby w piekło się rzucił gdybyś mu był rozkazał tylko.

— A niech cię uściskam,— krzyknął Andrzej na ulicy całując serdecznie Zarembę, po przywitaniach jak to zwykle bywa, poszli do pobliskiej restauracji na kolację, Andrzej zjadał smaczno, i jakoś lżej mu się zrobiło na duszy i w sercu weselej, gdy żołądek nie był pustym.

— I cóż poruczniku,— zapytał sierżant smutnie spoglądając na ubogi strój Andrzeja, -- jak ci się powodzi.

Andrzej opowiedział mu swoje zdarzenia od czasu wyjścia z pułku aż do obecnej chwili, w oczach Zaremby łzy stanęły, a gdy mu powiedział o postępku kapitana, wykrzyknął: łotr, łotr oczéwisty, warto w łeb strzelić z karabina, ale odniesie on karę, jaką wszyscy twoi prześladowcy odnieśli, bo pułkownik dostał dymisję za nadużycia jakie narobił w pułku i dziś jest bez chleba, porucznik co zabrał należną ci nagrodę, w jednej z potyczek mimo że chował się między krzaki, tam dosięgnęła go kula i na miejscu ubiła.

— A tobie jak się powodzi? — zapytał Andrzej.

— Ot, jako tako, pomiarkowawszy że się nic niedosłużę w wojsku, wkrótce po tobie poruczniku

wziąłem uwolnienie od służby, ożeniłem się z wdową, która miała małą ale korzystną częśćkę otrzy-
mile od Lublina i jestem bardzo szczęśliwy.

Po kilkogodzinnej rozmowie gdy się już mieli po-
żegnać, rzekł Zaremba do Andrzeja bez ogródek:

— Ręka rękę myje, noga nogę wspiera, a cze-
mużby człowiek nie miał udzielić pomocy. Oto sza-
nowny porucznik przyjm tę małą bagatelkę na ja-
ką twój sierżant zdobyć się może,—i poczciwy Za-
remba wyjąwszy skórzany woreczek z kieszeni, do-
stał z niego dziesięć dukatów i przed zdumionym
Andrzejem położył.

Młodzieniec niemógł się wstrzymać od łez rozczu-
lenia, a rzuciwszy się na szyję poczciwego sierżan-
ta, zawołał:

— Niech ci Bóg za mnie zapłaci, bo dziś niemiałem ani grosza przy duszy.

Wyszli razem i na zakręcie Krakowskiego Przed-
mieścia rozstali się z sobą.

Andrzej wolniej odetchnął i przyjaźniej na ludzi
spozierać począł, bo jego kieszeń nie była pustą,
a mimo wszelkiej filozofii straszny ciężar uciska na-
sze serca, gdy z niej wyjąć co niemamy, by zaspoko-
ić głód i pragnienie, owe dwie potrzeby które
najtrwalsze podstawy wyobrażeń filozoficznych oba-
lić zdołają, przespawszy się smaczno Andrzej, na-
zajutrz kupił sobie porządniejszy ubiór, dowiedział
się o mieszkaniu brata i udał się doń natychmiast,

po chwili staje przed piękną kamienicą, woskowane wschody prowadzą go na piętro, otwiera drzwi przedpokoju i zastaje dwóch lokai w bogatej barwie.

— Co pan potrzebujesz,— zapytał z nich jeden, niepodnosząc się z miejsca.

— Czy jest pan prezes w domu, chciałbym się z nim widzieć.

— O to nieracja że pan chciałbyś się widzieć, tylko nieszczęście że niekażdy kto pragnie, może oglądać jego oblicze,— odrzekł drugi sługus trochę grzeczniejszym tonem.

— Czy go niema w domu? — ponowił Andrzej.

— Owszem, ale w godzinie gdy pije kawę niewolno jest wchodzić nikomu.

— Powiedz tylko mój panie, że Andrzej Zacniewski chce się z nim widzieć, sądze że się niebędzie gniewać.

— O, gdybym mu nawet powiedział, że tu św. Piotr czeka z kluczami od nieba i choć mu bardzo ta znajomość potrzebna, jednak zaręczam że niewstałby od kawy,— rzekł sługus śmiejąc się na całe gardło.

Gdy Andrzej wyjść chciał, ubogi otworzył drzwi przedpokoju.

— Ruszaj, ruszaj,— krzyknęli obaj, — nic tu nie dostaniesz,— i nędzarz przestraszony wrzaskiem cofnął się do sieni, grubijańskie obejście służących z biednym co staje u drzwi bogaczy, jest niemyślną

oznaką nieczułości serc ich panów, bo gdzie pan czuły na nędze żebraka, tam i sługa z uprzejmością przyjmie wchodzącego nędzarza, wyszedł i Andrzej wrękę wypchniętego żebraka włożył złotówkę.

— Niech ci Bóg miljonami zapłaci,— rzekł ubogi wznosząc oczy do nieba.

Po obiedzie Andrzej na nowo udał się do mieszkania prezesa.

— A teraz mógłbym się widzieć,— rzekł uprzejmie.

— Najgorszą obraćś pan porę, prezes pali fajkę,— rzekł służący.

Andrzej wyszedł, nad wieczorem znowu stanął w przedpokoju swego brata.

— Jakiś pan uprzykrzony,— rzekł lokaj spostrzegając młodzieńca,— niemożesz się pan widzieć i teraz z panem prezesem, bo pije w tej chwili herbatę.

Po trzech dniach nakoniec lokaj chcąc go się pozbyć, zameldował prezesowi.

— Powiedz kpie jakiś,— rzekł Wilhelm głośno,— że nieznam żadnego pana Zacniewskiego, a tém samém nie mam potrzeby z nim się widzieć.

Andrzej z oburzeniem wyszedł z przedpokoju i przebiegając schody spotkał ubogą ubraną kobietę, która go zapytała.

— Niewiadomo panu czyli będę mogła widzieć się z panem prezesem.

— Bardzo wąpię.

— A to nieszczęście, chodzę tu już cały miesiąc,— i biedna kobięcina złorzeczyć zaczęła, gdy Andrzej żałował, że przestąpił próg wyrodka natury, wyszedł na ulicę drżąc z gniewu i oburzenia, bez myśli stanął na miejscu ulubionj przechadzki nad Wisłą, gdy krzyk wielu głosów przerwał jego dumanie.

— Tonie, tonie,—wołano zewsząd, Andrzej podniósł głowę, spojrzął na obszerną Wisłę i ujrzał opodal brzegu tonącego, na którego ratunek mimo licznego zbioru osób nikt się niekwapił. Andrzej umiał pływać, bez namysłu wskoczył w Wisłę, i walcząc z bałwanami które powstająca burza toczyła po powierzchni wody raz ginąc z przed oczy widzów, to ukazując się w innej stronie, wyniósł szczęśliwie tonącego na brzeg.

— Komuż winien jestem życie,—pytał wyratowany odzyskawszy przytomność, do koła spoglądając siebie, gdy mu wskazano Andrzeja, ścisnął go serdecznie, mówiąc:

— Pozwól niech ci moja rodzina podziękuje za wyratowanie mego życia,—i Andrzej prawie gwałtem wepchnięty został do bogatej karety, która przed mostem na nieznanomego czekała, po małej chwili stanęli na Krakowskim Przedmieściu przed pięknym pałacem i Andrzej zaprowadzony na wspinałe wschody, potem do przedpokoju, gdzie w bo-

gatej barwie stał służący, który na zapytanie przybyłego odpowiedział:

— Pani Hrabina w domu.

Wszedł Andrzej za nieznanym do bogato umeblowanej sali i zdumiony został przepychem i gustem zebranych tam bogactw. Dama poważna, pięknie przybrana, około lat czterdziestu mająca siedziała na wspianym taborecie szyjąc w krośnach, a obok niej młode dziewczę niewieściej jak lat piętnaście mające, cudnej piękności, wyglądała świeża i powabna jak lilija co o wschodzie słońca rozwija śnieżne listki, by świat zdumieć wdziękiem i urodą.

— Droga Lauro rzekł przybyły do damy szyjącej w krośnach, przedstawiam ci mego wybawcę, gdyby nie jego szlachetne poświęcenie już bym was nie miał szczęścia oglądać, kąjąc się w wiśle tonąłem, i odwadze tego młodzieńca winien jestem życie.

Hrabina krzyknęła, a młoda dziewczę z płaczem rzuciła się na szyję swego ojca ściskając serdecznie.

— Drogi mój panie mówiła nadobna Marya z zapłakanymi oczami składając drobne rączki przed Andrzejem, niewiem jak ci mam podziękować, siadaj pan siadaj wołała podając mu krzesło; musiałeś się bardzo zmęczyć bo twarz twoja jest jak ogień czerwona.

— Andrzej zadość uczynił woli Maryj gdy ta na nowo pobiegła uściskać swego ojca.

— Po chwilach uniesień i podziękować młodzieńiec chciał się oddać, gdy pan Hrabia Żywicki wyratowany przez Andrzeja odezwał się w te słowa.

— Winienem panu życie, zatem dług wdzięczności względem niego zaciągnąłem, wywiązać się zań jest moim obowiązkiem, powiedz czem mogę ci służyć?

— Uczynilem powinność Chrześcijańską panie Hrabio — odpowiedział Andrzej — a nadto jestem nagrodzony ratując życie ojca rodziny.

— O na tém pozostać niemoże rzekł Hrabia, może położenie pańskie wymaga jakiej pomocy i pan Żywicki zwinięty duży rulon dukatów chciał w sunąć w rękę młodzieńca, gdy ten ją uchylając rzekł łagodnie.

— Już ci mówiłem Hrabio że jestem nagrodzony, złoto mało ma w oczach moich ceny i przyjąć go niemogę.

— Zatem powiedz czem ci mogę się wywdzięczyc bo inaczej być nie może.

— To pozwól Hrabio abym ci odkrył wypadki mego życia, i jeżeli raczysz chciej pomódz człowiekowi który na drodze honoru pragnie znaleźć dla siebie szczęście.

Andrzej z aczej rodzinie opowiedział swoje zdarzenia — Hrabia słuchał uważnie — Hrabina unosiła się w duszy nad charakterem młodzieńca, a Ma-

rya pod czas opowiadania, piękne oczy często z zajęciem zwróciła na powolną twarz Andrzeja.

— Z opowiadania rzekł Hrabia poznałem twoję szlachetną duszę — i będę się starał o polepszenie twego losu, lecz pierwej sprowadź się do nas, ofiarujemy ci mieszkanie u siebie stół i wygody, a jeżeli pozwolisz uznamy cię za naszego syna którego niedawno straciliśmy — bo w sposobie myślenia masz z nim wiele podobieństwa — ale Bóg zabrał nam go w kwiecie wieku i hrabia westchnął — hrabina łze otarła a Marya zawołała.

O tak — tak — będziesz moim bratem, będę cię kochać jak kochałam Alberta.

— Andrzej podziękowawszy najczulej za opiekę hrabiego, w parę godzin został mieszkańcem pięknego pałacu i nieodstępnym towarzyszem państwa Żywickich — Nazajutrz wstając rano na miejscu skromnego surduta, znalazł nowy ubiór, strój modny odmienił go zupełnie, i wszyscy z zadziwieniem ujrzeli piękną jego postawę a Marya skacząc wołała:

— Ach jak pan Andrzej pięknie wygląda. — W parę miesięcy pan Żywicki wyrobił mu urządowanie w sądownictwie, nie wielkie wprawdzie ale miał nadzieję że później los jego zdoła polepszyć, im więcej rodzina państwa Żywickich poznawała Andrzeja tem więcej ceniła jego szlachetność i bezinteresowność. Marja nieraz tęskniła gdy nie prędko przy-

chodził od pracy, a gdy go ujrzała zwykle wołała.

— O mój bracie już mi smutno było bez ciebie.

— Gdy młodzieniec widział radość Maryj serce jego biło mocno i z trudnością mógł powściągnąć wzrastające w nim uczucie dla powolnej córki swoich dobroczyńców, o niebędę tyle nikczemnym mówił nieraz do siebie, niewdzięcznością niewywiąże się memu opiekunowi, pierwszej skonał nim Marja wiedzieć będzie ile ją moje serce ubustwia, i wzrastające w sercu jego uczucia dla córki państwa Żywickich stało się głęboką tajemnicą w duszy poczciwego człowieka, Andrzej stronił od Maryj siedząc tylko niekiedy w odległym kącie salonu popodziwiał jej urocze wdzięki, i niewinne rozstrzebanie.

W rok po otrzymanej posiadzie, Andrzej na wyższy posunął się stopień z pensją roczną trzy tysiące złotych, a rozsądek jego i trafność w wielu zawikłanych sprawach, zjednały mu wielką wziętość, szacunek zwierzchników i poważanie podwładnych, sam hrabia wzywał go do narad względem własnego processu który został mu w spuściznie po jego przodkach, i nieraz przyjmował jego zdrowe rady.

Andrzej wolne godziny od mozolnych prac biurowych spędzał na spacerach z swemi opiekunami, lub samotnie błądził po pięknych okolicach Warszawy, nieraz z Marją przebiegał ich kręte uliczki,

urocze w zgorza i łąki, lub sam siedząc w cieniu marzył o Maryj.

Wracając raz z samotnej wycieczki przechodząc koło jednego z hoteli, uwagę jego zwrócił na siebie stojący w progu starzec w ubogim ubraniu.

— Czy mnie pan niepoznajesz zapytał Andrzej stając przed nim.

— Starzec przybliżył się i z uwagą spoglądał na młodzieńca.

— O mój Boże krzyknął po chwili, widzę że Andrzeja Zacniewskiego.

— Tak jest mój ojciec rzekł Andrzej całując w ramię swego ojczyrna, 'cóż tu porabiasz, przybyłeś pewno do swego syna?

— Nie — jestem murgrabią tego hotelu.

— Jakto? zapytał zdumiony Andrzej.

— Że los szczęśliwy zmienia serca nie tylko obcych dla nas ludzi ale i własnych dzieci — póki syn mój potrzebował ojcowskiej opieki ciężką pracą dałem mu wychowanie, gdy go los wyniósł do zaszczytów i majątku, gdy mu niepotrzebnym jest stary ojciec, zamknął drzwi przed nim, niekazawszy go wpuścić na próg swego pańskiego mieszkania, patrzy obojętnie gdy zgrzybiały starzec tułać się musi po obcych domach, czynić najlichsze posługi, być płatnym sługą cudzego mienia, i gdy starzec kończył te słowa łza potoczyła się po wybladłych jego licach i spadła..... sądzisz że na ziemię? — nie — łza rozżalonego serca rodziciel-

skiego niespada nigdy na zatracenie ale na głowę wyrodzonego dziecięcia.

— Andrzej stał w zadumaniu gdy go starzec zapytał?

— Byłeś u niego?

— Byłem, kazał powiedzieć że niezna żadnego Zaciewskiego — ale wartoż o tém wspominać, oto Bóg dobry i ludzie czuwali na demną, mogą żyć nie tylko dla siebie, patrzeć obojętnie na 'twoją nędzę jest mi niepodobna, bo byłeś mężem mojej matki a to dość bym cię szanował i kochał jak mego ojca — zatem chciej przyjąć odemnie pomoc i opiekę.

— Czyż za to rzekł starzec ze łzami żem cię z domu mego wygnał i bez wsparcia pozwolił tułać się po świecie, chcesz być osłoda smutnych lat moich?

— Niemówmy o tém, rzekł Andrzej — to już minęło i ja o tém dawno zapomniałem.

Gdy starzec miał mu odpowiedzieć głos grzmiący dał się słyszeć z piętra.

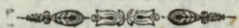
— Aliński — i gdzieś u djabła siedzi ten stary ciemięga — darmożjad, tylko przez litość człowiek wzięwszy kija nieobłoży boków i niewypędzi do milion czartów, no i cóż gdzież on? wałano coraz głośniej.

Staruszek odwrócił się od Andrzeja obciérając łzy spływające i poszedł na łagodne wezwanie,

Andrzej oddalił się ze smutkiem gdy turkot złoconej karety zwrócił jego uwagę i poznał w niej jadącego Wilhelma.

— Potworo rzekł w duszy, używasz spokojnie bogactw zlaných łzami uciemieżonych, gdy twój ojciec zelżony służyć musi na kawałek chleba, Bóg w czarną księgę przestępstw ludzkich krwawemi łzami któreś z powiek rodzicielskich wycisnął, zapisał niemylnie czyn twój zbrodniczy.

Nazajutrz o siódmej rano Andrzej zawiedzą swoich dobroczyńców którym rzecz całą opowiedział poszedł do gospodarza prosząc o uwolnienie swego ojczyma—gdy ten niechciał woli jego zadość uczynić tłomacząc się zawodem i stratą z tąd wynikłą, zażądał sto złotych za wynagrodzenie onych, Andrzej dał mu takowe, poczem zawiózł staruszka na ulicę ogrodową i umieścił w schludnym dworku dając wszystko co tylko do wygod życia sądził potrzebnym. Starzec płakał z radości i rozczulenia raz że odbiera dar z ręki tego któremu nie raz boleśnie serce zakrwawił, powtóre że odzyskał pokój, Andrzej spełniwszy czyn dobroczynny niechełpił się z swego szlachetnego postępku który zwykle bywa tajemnicą w duszy poczciwego człowieka.



IV.

POCALUNEK.

Cóż to uciekasz,—wołała raz Marja, gdy Andrzej cofnął się z sali ujrzawszy ją samą,—chodź, chodź, mój bracie,—mówiła luba dziewczyna,—coś ci powiem ciekawego.

Andrzej się przybliżył, a Marja rzekła:

— Idę za mąż, czy będziesz tańczył na mojem weselu.

Młodzieniec stanął, a słowa skończyły mu na ustach.

— I cóż tak stoisz nieruchomy, patrzysz w jedno miejsce,—wołała Marja,—oto patrz lepiej na mnie, przeczytaj ten list, — i dziewczę w rękę Andrzeja włożyła okrutne dlań pismo, — a teraz, — ciągnęła dalej,—już niebędę ową nic nieznaczącą Marją i mama niebędzie wołać na mnie Marie que faites-vous?

a ojciec bezprzestannie powtarzać, Marjo jesteś niezdolnie roztrzepaną, będę panią swojej woli i będę robić co mi się podoba.

Andrzej jeszcze nieskończył okrutnego listu, gdy jakaś nieprzejrzana zasłona skryła mu wszystko z przed oczu i padł zemdłony na ziemię. Przeraziły krzyk Marii przywołał jej rodziców, co w przyległym pokoju radzili względem oświadczeń hrabiego Edmunda J.

— Co panu jest, — pytała hrabina, gdy Andrzej trzęszony wódkami, a więcej na krzyk i płacz Marii otworzył oczy.

— Nic pani, nic... było mi źle, — mówił Andrzej, bolała mię głowa, bo chodziłem w gorąco.

— O nieprawda, nieprawda, niech mama nie wierzy temu, — rzekła naiwnie Marja, — ja znam dobrze pana Andrzeja, wiem że jak go boli głowa bywa błądy nieznośnie, a przed chwilą gdy wchodził do sali przewybornie wyglądał, jak mnie zobaczył cofnął się, co zwykle robi, lecz go sama wezwałam, chcąc zaprosić na moje wesele, ale gdym mu list pokazała zbladł i upadł, niemogę dociec coby to było, — dodała Marja ściskając ramionami.

— Dużo lubisz mówić, — rzekła nieukontentowana hrabina, znaczące spojrzenie rzucając na swego męża, gdy Andrzej powstawszy z miejsca opuścił salę, udając się do swego pokoju.

— Utracam cię Marjo, utracam, — wołał sam zo-

stawszy, — niedobra, nieczuła, czyliżes nieczytała w mych spojrzaniach tej czystej gwałtownej miłości dla siebie i nierzekłaś: kocham cię Andrzeju. O niewdzięczna kobieto, pragniesz bogactw i tytułów, nie czulego serca, — i młodzieniec spędził wieczór na dumaniach, a noc całą bezseną.

Hrabia Edmund J. któremu Marja przyrzeczoną została, miał posiadać znaczny majątek, był on synem poczciwego ojca, ale słabej i niedołążnej matki, która złem prowadzeniem psuła zamiary troskliwego ojca o dobro jednego syna. Edmunda od kolebki otaczały bony, usta jego pierwszy drogi wyraz dla ucha rodzicielskiego niewymówiły ojczystym językiem, gdy dorósł wysłano go za granicę, tam ukończył nauki, tam oko pieścił widokiem Francyi, Włoch, Szwajcaryj, nieznając stron rodzinnych, znał historją Francii, niewiedząc jakich bohaterów zrodziła jego własna ziemia, pieścił ucho śpiewem włoskim, nieznając owej lubej dumki nunconęj na rodzinnych niwach. Po śmierci rodziców stracił majątek na podróże, rozrywki i karty, przez bogate ożenienie chciał byt swój polepszyć, Marja zwróciła na siebie jego uwagę, albowiem była dziewczką znacznego majątku, młoda dziewica niepoznawszy uczuć swego serca, była powolną przedstawieniem rodzicielskim, gdyby jednak okiem doświadczenia umiała spojrzeć w głąb jego, o nie obraz Edmunda znalazłaby tam pewno.

W wigilję ślubu Marja zostawała samotnie w swoim pokoju niepojmując smutku, który jej duszę dojmował, a łzy co chwila napełniały jej oczy, wejście służącej przerwało dumania dziewczicy, która wnosząc wazon mirtu u nóg jej postawiła.

— Ale z nich wieniec,—mówiła wskazując Maryj piękne listki dziewiczego kwiatu,—będzie potem do mnie należał.

— Chcesz z niego mieć pamiątkę dobra moja Katarzyno, rzekła Marja smutnie kiwnąwszy główką.

— O ja nieproszę o niego dla siebie.

— A dla kogóż, — zapytała Marja spozierając na tajemniczą postać Katarzyny.

— Prosił mnie o to...

— Któż?

— Oh niemogę powiedzieć... przysięgam wieczną tajemnicę,—mówiła Katarzyna, —ale jeżeli mnie pani nie wyda to powiem, oto pan Andrzej prosił mnie o ów wieniec i obiecał trzy dukaty, gdy mu go przyniosę.

— Twarz Maryj powlekła bladość, a serce raz pierwszy w jej życiu bić gwałtownie poczęło.

— O pan Andrzej ciągnęła dalej gadatliwa Katarzyna, zawsze mnie prosił a każdy kwiat który pani nosiłaś, gdym mu wczoraj zaniósła niezapominajki odjęte od twego boku, zaczął je całować płakać że i ja płakałam, i Katarzyna łzę spływając otarła fartuszkiem.

Ciężkie westchnienie wydarło się z piersi młodej narzeczonej, a świat cały jakby w inną przebrany szatę przedstawiał się jej oczom, gadatliwa służebnica odkryła tajemnice jej serca o której sama niewiedziała. Wieczorem gdy weszła Marja gdzie byli zebrani jej rodzice, Edmund i kilka osób z rodziny, oczy dziewicy błędziły po obszernej głuchej i samotnej dlań sali szukając na darmo Andrzeja. Młodzieniec uciekał widoku Maryj, a od dni kilku dreszcz śmiertelny przechodził jego członki, ciało paliło jak węgiel, myśli mąciły się z sobą, wiązały zdania sprzeczne jedne z drugimi, niekiedy idąc ulicą niepamiętał gdzie się znajduje, a gdy jego przybrany ojciec pytał o przyczynę smutku, milczeniem zbywał jego troskliwość potrząsając głową, lub mówił bez związku.

Nadszedł dzień ślubu ruch niezwykle panował w pałacu państwa Zywickich. Marja noc prawie całą bez sennie strawiła, jeżeli na chwilę zamknęła powieki, srogie widziadła snuły się przed jej oczyma, raz widziała Andrzeja jak rozdarte wskazywał jej łono wołając: patrz zamordowałaś mnie, to znowu klęczała z nim wspólnie u stóp ołtarza, a ksiądz stulą wiązał ich ręce. Gdy rano otworzyła oczy pierwszy widok była ślubna suknia, zbiegł dzień i godzina stanowcza nadeszła, Marja w dziewiczej szacie z zielonym wieńcem na czole była jak anioł z stępujący na ziemię z słowem po-

ciechy i zbawienia, — przed ślubem na małą chwilę skryła się do samotnego pokoju, by modlitwą uśmierzyć srogą walkę uczuć swego serca, gdy Andrzej chcąc ukryć czarny smutek przed okiem licznych, widzów wszedł do owego pokoju — stanął, twarz Maryj okrył żywy rumieniec, a serce biło zniepokojęto siłą.

Jesteś szczęśliwą Marjo rzekł po chwili Andrzej życzenia twego serca zniszczone zostały.

— Ja szczęśliwą, mówiła dziewica z gorzkim uśmiechem.

— O Marjo zawołał młodzieniec i zamilkł, miałże zdradzić tajemnice swego serca? miałżeby ją wyjawić w dzień ślubu córki swego opiekuna?

— Żegnaj cię Andrzeju mówiła Marja, już nadchodzi chwila wiecznego rozłączenia gdy jednak, mogło być inaczej!..... i młoda dziewica ze łzą w oku spleonęła wstydem i piękną główkę z godłem niewinności schyliła na pierś przybranego brata. Andrzej uniesiony, przycisnął ją do serca, złożywszy pocałunek na koralowych ustach młodej narzeczonej.

Drzwi sali rozwarły się i pochwili Marja była u nóg rodzicielskich, Andrzej blady, marzył o lubym uścisku który miał być wieczną tajemnicą w szlachetnej jego duszy. Gdy już wyjeżdżać mieli do ślubu szmer niezwykle rozległ się w przy-

ległym pokoju i straż policyjna weszła do sali gdzie weselni goście zebrani byli.

— Co pan żądasz zapytał z mięszany hrabia Żywicki przystępując do kommissarza policyj który ze strażą wszedł do sali.

— Przybywam w imieniu króla i prawa ując hrabiego Edmunda J. odrzekł spokojnie komissarz, gdy na wszystkich twarzach malowało się nieme zadziwienie.

— Pan mnie nie słusznie znieważasz rzekł Edmund zmięszany.

— Czynię moją powinność, i spełniam rozkaz wyższej władzy — oskarżony pan zostałeś o z fałszowanie wexlu na trzykroć sto tysięcy.

Na te słowa twarz Edmunda śmiertelna okryła błądź, okropne zamieszanie powstało w godowej sali, ujęto hrabiego J... który czując się do winy w więzieniu przez truciznę odebrał sobie życie.

Państwo Zywieccy dziękowali Bogu, że przed ślubem odkryto podstępek Edmunda a Andrzej od siebie gdy wspomiał nie godny czyn hrabiego, jednakże ten wypadek niebył bez wielkiej straty dla rodziców Maryj, albowiem wręczone miał sobie Edmund od hrabiego a konto posagu Maryj trzykroć sto tysięcy na zakupienie dóbr przed ślubem które przeszły w ręce dłużników Edmunda. W parę miesięcy po owym wypadku hrabia ukończając process po swoich przodkach przegrał go i ogo-

Łocony został zupełnie z majątku, Andrzej w tej porze został sędzią i prawdziwym synem państwa Zywickich, on ich otaczał wszelkimi wygodami i ani na chwilę nie dał uczuć straty własnego majątku, piękna Marja odkrywszy przed rodzicami uczucia swego serca dla Andrzeja z ich wolą stała się nagrodą zacnych cnot jego, mąż [Marji w nowym urzędowaniu okazał wiele zdatności i sumienia, bo w szlachetnej jego duszy brzmiały nieprześcannie te słowa:

— Sędzio! w twoim ręku jest los wielu z twych braci, w twoim słowie ich śmierć lub życie, niewolno być ci niesprawiedliwym, bo sędzia ludów czeka cię w wieczności. Andrzej stawał zawsze w obronie pokrzywdzonych, a kilka spraw oddanych pod wyłączny sąd jego zjednały mu nazwę sprawiedliwego i światłego sędziego,—przed kratkami gdzie Andrzej zasiadał widział nieraz tych co wpływali na wypadki jego życia, pani hrabina S.... oskarżona o zamiar strucia swego męża, widziała w Andrzeju swego sędziego, a hrabia poznał w owej sprawie niecną przebiegłość swej żony, a szlachetność uczuć młodzieńca którego za porywczco potępił, i ów pułkownik obwiniony o fałszowanie podpisu ze szkodą nieletnich sierot, czekał wyroku który usta Andrzeja wydać miały na występłą jego głowę, i pan B... co podejściem wydarł Andrzejewi posadę wywiązując mu się czarną

niewdzięcznością, obwiniony o nadużycie w urzędowaniu słyszał wyrok przez Andrzeja wydany na siebie, i pan kapitan C.... straciwszy majątek na zbytki, ścigany od dłużników w tym miał sędziego, który w cisnącej potrzebie z jego progów wyszedł bez wsparcia, patrząc na tych co z obawą czekali stanowczego dla siebie słowa Andrzeja, rzec by można było: człowieku postępuj jak ci nakazuje Bóg i sumienie, bo nie wiesz kto sędzio twoim będzie!

Mąż Maryj używał nieprzerwanego szczęścia, ciążyła mu tylko tajemnica powierzona przez pana Skapińskiego i pieniądze które dotąd chował przy sobie, gdy dnia jednego dowiedział się że jego córka poszła za męża, Andrzej udał się natychmiast do nowo, zaślubionej pary co nie miała innego majątku nad szczupłą pensyjkę którą nowo ożeniony posiadał z swego urzędowania, zdziwienie nowo zaślubionych było nie do wyrażenia, a ich radość przechodziła granicę, Andrzej gdy ujścił się z długu oddalił natychmiast unikając podziękowań szczęśliwych małżonków, wracając do domu gdzie go zawsze z niecierpliwością oczekiwała Marja, wstąpił do cukierni, a wzięwszy gazetę do ręki przeczytał ze zdumieniem następujące obwieszczenie:

Poszukiwany jest Andrzej Zacniewski syn Józefa i Anny Zacniewskich by się zgłosił po odbiór znacznego spadku po zmarłym Pułkowniku we Francyji

Apolinarym Zacniewskim rodzonym bracie rzeczowego Józefa Zacniewskiego, pomieniony successor wymieniony w testamencie zmarłego pułkownika opatrzony w wierzytelne dowody prawego pochodzenia ma się zgłosić do bankiera Rée w Paryżu exekutora testamentu zmarłego pułkownika.

Andrzej z radości pobiegł do domu a w biegnąc wołał: Marjo! Marjo! jesteśmy bogaci i dał jej przeczytać artykuł w gazecie — radość wszystkich zajęła, w dni kilkanaście Andrzej uzyskawszy urlop opatrzony w potrzebne dowody udał się do Paryża, w parę miesięcy przywożąc z sobą milion pięććroć sto tysięcy gotówki, za przybyciem wziął zaraz uwolnienie od służby, kupił piękne dobra Zatorsk wystawione na zbycie po śmierci hrabiego M... gdzie się Andrzej wychował i gdzie był grób jego matki który najpierwej starannie ozdobić kazał — następnie ulubioną wioskę państwa Zyczyńskich niedaleko od Warszawy którą byli przez process utracili kupił na ich imie i w dzień imienin ukochanej Maryj ofiarował jej rodzicom, i pan Aliński w sercu Andrzeja niezostał pominięty, mała ale ładna wioseczka niedaleko Zatorska została jego własnością, lecz nie tylko pamiętał o tych co jego serce blisko dotykali, pozakładał dobroczynne zakłady gdzie sieroty i biedne wdowy znajdowały przytułek i wsparcie, nikt nieodszedł z progu Andrzeja by niebył hojnie opatrzony, bło-

gostawieństwa którym go codziennie obsypywano, unosiły się jak wonne kadzidła ku niebu tworząc z wieńca swego nieśmiertelną koronę którą po cnotliwej pielgrzymce Bóg uwieńcza skroń sprawiedliwego, w rok po odziedziczonym spadku jadąc Andrzej do Lublina na Sty Jan dla ukończenia familijnych interessów ujrzał dwie mile od miasta przy drodze pałace się zabudowania, kazał stanąć by się dowiedzieć kto uległ nieszczęściu zgorzałej cząstki poznał poczciwego sierżanta Zarembe.

— Ot poruczniku zginąłem do szczętu rzekł Zarembe ze łzami w oczach stojąc smutnie nad spalonymi gruzami.

— Nie zginąłeś ufaj w Bogu ten nigdy nieopuszcza poczciwego człowieka rzekł Andrzej udając się w dalszą drogę.

Za przybyciem do Lublina najpierw mąż Maryj wszedł w kupno ładnej cząstki blisko położonej Zatorska a napisawszy list do Zaremby w tych słowach, przesłał go umyślnym posłańcem.

Szanowny Sierzancie!

Poczciwy człowiek nigdy niezginie bo Bóg sprawiedliwy czuwa nad nim, sędzi jego czyny i nagradza, Szanowny Kolego! w wielkiej niedoli podałeś mi dłoń braterską której długo i nadarmo szukałem pomiędzy ludźmi, pozwól mi ję dziś podać sobie, w zamian spalonej cząstki która ci przed parą dniami zgorzała przyjunij od dawnego koleż-

ki który dziś bogaty nadspodziewanie tę małą bagatelkę której wartość przekona cię załączony tu kontrakt na imie twoje zdziałany.

Twój Przyjaciel *Andrzej Zacniewski*.

Gdy już miał Andrzej wyjeżdżać z Lublina odpoczywając w swej stancyi po całodziennych trudach usłyszał następującą rozmowę w drugim pokoju prowadzoną:

— W najsmutniejszym jestem położeniu mówił głos męzki mam dłużnika na mojej wiosce któremu gdy jutro nie oddam dwadzieścia tysięcy, ma wyzuć mnie z dziedzictwa.

— Wszak miałeś obiecaną pomienioną summę? rzekł ktoś drugi.

— Ale mi dziś przed godziną odmówiono co jest niemylną intrygą mego dłużnika, jestem w rozpaczy, stracę cały majątek.

Andrzej przez ciekawość zajrzał przez szparę odedrzwi, i natychmiast ze stojącej na stole szkatułki odliczył dwadzieścia tysięcy i udał się zniemi do przyległego pokoju:

— Wszak pan pytał wchodząc potrzebujesz wypożyczenia dwudziestu tysięcy złotych.

— Tak jest.

— Oto są rzekł Andrzej licząc na stole pieniądze, gdy pożyczający z dumieniem w patrywał się w twarz Andrzeja.

Gdy skończył zapytał nieznajomy.

— Chciej pan powiedzieć warunki pożyczki, procent i termin oddania.

— Ja panu niepożyczam rzekł Andrzej ale oddaję dług u niego zaciągnięty.

— Jak to ja u nikogo długu nie miałem? zawołał nie znajomy.

— Miałeś pan umnie, miałeś rzekł spokojnie Andrzej.

Jak mi Bóg miły ja w mojem życiu nieposiadałem takiego majątku, abym z niego mógł komu pożyczyć.

— Ja zaś zaręczę pana mogą rzekł Andrzej że tylko uiszczam się panu z długu.

— To być nie może rzekł nieznajomy, ja od nikogo na pożyczaną summę nie mam rewersu.

— Ale człowiek poczciwy oddaje choć pożyczka bez rewersu, rzekł Andrzej.

— Nie ja niepamiętam abym komu kolwiek pożyczył, jeszcze taką summę, mówił nieznajomy gubiąc się w myślach.

— A pamiętasz pan ową kawiarnię na długiej ulicy w Warszawie gdzie to młody człowiek wypiąwszy szklankę herbaty nie miał ją czem zapłacić z gubiwszy pieniądze z dziurawej kieszeni zapytał Andrzej.

— Przypominam sobie.

— Tym młodym człowiekiem byłem ja rzekł Andrzej—gdym ciebie pytał szlachetny panie o two-

je nazwisko i mieszkanie, bym mógł ujść się z długu, rzekł: niech to będzie na hypotecę u pana, los równie ludźmi rządzi, może mi kiedy oddasz, pamiętałem, a pamiętałem, bo poczciwy człowiek gdy pożycza nigdy niezapomina, a ty panie powinieś był pamiętać że pomoc dana w potrzebie bliźniemu nie zostaje nigdy bez nagrody, szczęśliwy wypadek zdarzył że stojąc obok w tej stancyj dodał Andrzej wskazując na drzwi, usłyszałem panów rozmowę, zajrzałem przezedrzwi, i poznałem ciebie panie, przyjm te małą przysługę od człowieka który może ci ją zrobić bez własnego uszczerbku, a który żyć niemógłby nie wywiązawszy się za uczynioną mu przysługę.

— Ale zmituj się pan,—rzekł nieznajomy,—dwadzieścia tysięcy a dwadzieścia groszy, to wielka różnica, to niesłychany procent.

— Prawy w oczach Boga, co zwykł za grosz udzielony biednemu tysiącami płacić.

— Niechże wiem komu jestem winien oswobodzenie moje.

— Jestem Andrzej Zacniewski.

— Andrzej Zacniewski,—powtórzył nieznajomy, to pan kupiłeś dobra Zatorsk.

— Tak jest.

— Ja zaś jestem Leon Liniewski, — rzekł młodzieniec,—pański sąsiad, albowiem mam małą wioszczkę blisko dóbr jego.

— Wielce mnie to cieszy, — zawołał Andrzej i dwaj młodzi ludzie uściskali się serdecznie.

— Pozwól pan przedstawić sobie mego kuzyna, pana Ziębińskiego, — rzekł Leon wskazując przytomnego w spokoju mężczyznę jest on także sąsiadem pańskim.

— Przypominam sobie że pana nie pierwszy raz widzę, — rzekł Andrzej obracając się z uśmiechem do pana Ziębińskiego — wszak pan byłeś razem w towarzystwie swego kuzyna w owej pamiętnej dla mnie kawiarni na Długiej ulicy.

— Tak rzekł kuzyn Leona gdy twarz jego okrył rumieniem wstydu.

— Spodziewam się, rzekł Andrzej, że pan zmienisz odtąd swoje zdanie, i zechcesz uznać, że hy-poteka mniemanych oszustów i pijaków, bywa niekiedy pewną, również przynasz, że i pod ubogą odzieżą biją serca prawe i szlachetne, jak niekiedy piękny ubiór pokrywa duszę niecne i nieczyste.

— Daruj mi panie, — zawołał pan Ziębiński, — od dziś dnia na Boga ci przysięgam, nikogo z pozoru niesądzić, — i serdecznie uściskał się z Andrzejem.

Odtąd pana Zacniewskiego, Leona i jego kuzyna nieprzerwana łączyła przyjaźń.

W wigilją wyjazdu z Lublina, gdy Andrzej sam zostawał w stancji, wszedł jakiś człowiek i zapytał:

— Pan podobno potrzebujesz ekonomy.

Pan Zacniewski spojrzął na przychodnia i odpowiedział:

— Tak jest, masz pan świadectwa?

— Oto są.

— Wszystkie są dobre,—rzekł Andrzej,—ale ja zaprzeczam ich prawdzie, pan jesteś oszustem, sfałszowałeś je.

— Dla czego mnie pan oto posądzasz,— rzekł zmieszany przychodzień.

— Bo ten co umiał być niewdzięcznym, nie może być dobrym człowiekiem, a tém samém zasługiwać na podobne świadectwa, cóż to,— mówił dalej Andrzej, — niepoznajesz mnie szanowny panie, przypatrz no mi się dobrze, to prawda że czas zmienia serca ludzkie, a tém bardziej ich postacie, jednakże może mu jego sumienie przypomni owego Zacniewskiego co się dlań zrzekł posady, a w nagrodę odebrał jego niewdzięczność, i cóż panie, — ciągnął dalej Andrzej,—chleb wydarty bratu niekażdy strawić może?

Dawny kolega Andrzeja pan B., poznawszy go dopiero, zawstydzony stał u progu, i gdy ktoś drzwi otworzył, wymknął się niepostrzeżony.

Na drugi dzień po przybyciu Andrzeja do domu, przybył do Zatorska Zaremba, i w obec wszystkich rzuciwszy mu się do nóg, wołał:

— Czcigodny poruczniku, niech ci Bóg płaci żes

mi nie dał skonać z głodu z moją żoną i biednymi dziećmi.

Dopiero zdumiona rodzina Andrzeja dowiedziała się o wszystkim od sierżanta, albowiem czyn jaki spełnił względem swego kolegi był tajemnicą w szlachetnej duszy poczciwego człowieka.

* * *

Już od lat kilku Andrzej na łonie najdroższej Mariji i ładnych czworga dzieciaków używał nieprzerwanego szczęścia, gdy go raz interessa familijne powołały pod Warszawę, zajechawszy na popas do porządnej oberży o pięć mil od stolicy, wyszedł przed sień, gdy człowiek okryty łachmanami, wyciągnął doń rękę prosząc o wsparcie. Andrzej chciał mu je udzielić, lecz proszący padł u nóg jego.

— Co to, — zapytał przestraszony pan Zacniewski siedzącej po pod sieniem szynkarki.

— Niech się pan nietrworzy, — odpowiedziała, — to on ma taką chorobę.

— Kto to jest?

— A to ojciec naszego przeszłego dziedzica, był to pan niegdyś bogaty, ale jak ludzie mówili, że nieprostą drogą dorobił się majątku, przed laty nabył tę wioskę, ale Bóg wie pono szachrajским sposobem, krzywo-przysiągłszy wyгнаł z wioski biedną wdowę z sierotami, których łzy wołały o pomstę niebieską, widno z dopuszczenia Boskiego jakoś mu się niewiodło w owęj wiosce, bo jednego roku

umarła mu żona, zacna pani, krzyż męczeński biedaczka z nim ucierpiała, na drugi rok grad mu zbił co do dziedźła, choć w okolicy nigdzie szkody niepoczynił, trzeciego roku nieurodziło się, czwartego spalił piorun że ledwo z potępioną uciekł duszą, ludzie szemrali mówiąc że nad głową ich dziedźca jakowes przekleństwo wisi, potem uciekła mu córka z jakowymś drabem, i on sam jakoby zwarzjował, zaczął się zamykać, niewidywał ludzi, a gdy kto doń przyszedł, to zawsze o karze boskiej gadał, jak dorósł syn jego zaczął processować ojca, a gdy przegrał w sądzie sprawę, wzięwszy kija, Boże odpuść grzech ciężki, wygnał z domu swego rodzica, i gdy potem przypadkiem błakając się po okolicy po proszonym, zajrzał i w dziedźniec synowski, by mu kto tyżkę strawy wyniósł za wrota, to go potępieniec psami wyszczuć kazał, mówią ludzie że i on swemu ojcu tak zrobił, a Bóg sprawiedliwy oddaje dzieciom co one względem rodzica zawinią, ale i jemu przyszło na zły koniec, — mówiła dalej szynkarka,—bo owa skrzywdzona wdowa przez ojca za dopuszczeniem Boskim wygrała process, odebrała wioskę, a nasz młody dziedźca od wsi do wsi chodzi o kiju poproszonym, a gdy mu kto udzieli z litościwych to w karczmie przepija.

— Ale co mu jest moja pani,—pytał Andrzej patrząc na rzucającego się żebraka.

— Bóg za grzechy dopuścił wielką chorobę co

nim tłucze po kilka razy na dzień, zamawiałać mu ją moja kuma Antkowa, ale widno że mu niepomaga.

— Jak on się nazywa,—zapytał Andrzej.

— Wilhelm pono mu imie, a nazwisko Aliński,— odpowiedziała szynkarka.

Andrzej na chwilę stanął nieruchomie, lecz gdy przyszedł do siebie, rozkazał swoim ludziom wziąć Wilhelma by go wygodniej położyć, lecz ten ruszyć się nie dał z miejsca i potoczywszy się pod ścianę na śmiecie, oczy powiodłszy dokoła siebie wołać począł:

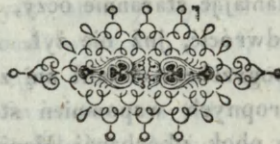
— O Boska kara, zaparłem się brata, ojca, a oni stoją przedemną, wydarłem wdowie majątek, a jej łązy skonać mi niedadzą, krzywoprzysięgłem i zato widno stoi przedemną, i Wilhelm odwrócił do ściany głowę, zasłaniając starannie oczy, gdy po chwili chciano go odwrócić, już nie żył. Andrzej rozporządziwszy pogrzebem oddalił się z miejsca które mu tyle okropnych wspomnień stawiało przed oczy, i dopiero obok ukochanej Marji znalazł pokój i wesołość, gdy panu Alińskiemu powiedziano o śmierci Wilhelma.

— Niebył on moim synem,— rzekł, jednak łzę cichą otarł z lic sędziwych.

Okropny był koniec Wilhelma, ale śmierć występnych jestże kiedy inną? Uciemiężyciel 'siérot, syn wyrodny i krzywoprzysięzca, niezawsze kona na łóżku na którym złorzeczenia ludzkie spocząć

mu spokojnie niedadzą, miejscem gdzie kończy zbrodniami skażony żywot, jest częstokroć chlew lub śmiecie pod ścianą, śpiewem dłań żalobnem złorzeczenie ludzkie, a grobowcem ohydne wspomnienie.

Nie taki los twój poczciwy człowieku, nie upadaj na przykrej drodze twójgo żywota, ani trwoż się czarną niewdzięcznością twych braci, oni niezawsze cenić umieją serc co ani cię występku niekazi, ale spojrz w twoje sumienie, tam sowita nagroda dla ciebie, zwróć oczy ku niebu, tam sprawiedliwy twój sędzia, on tylko twe czyny cenić, sądzić i nagrodzić potrafi.



ZRÓWNOWAŻENIE PODAŃ

PRZED HISTORYCZNYCH.



Kiedy po jednej stronie naszego życia duchowego gromadzą się pojęcia, ozdobione powagą, odznaczone pochodzeniem boskiem, a z drugiej, pojęcia wyrobione własną ręką i trudem ludzkości myślącej, jak dwaj przedstawiciele: Rozum i Wiara, w obec najwyższego sternika, Ducha—jednoczą się, jak dwa plemiona, w jedną całość zgodną i rozumowaną. W takim to cudnym pojednaniu dwóch połów nieśmiertelnej budowy człowieka, Wiara jest

władzą, ale władzą pochodzącą od Boga, jak mówi pismo, Rozum jest prawem i jej stróżem. Pokazuje to jeszcze młody i nie wytrawny stan towarzyski, kiedy się kłóć i burzą pomiędzy sobą: stanowisko wiary z rozumem, jak na odwrót ich zgoda jest zbawieniem, jest prześliczną harmonją społeczeństwa! A jeżeli podobna harmonja wiary z przekonaniem wrodzonego uczucia, z potęgą myśli, słowem harmonja rozumu z wiarą, nastroi się w naszych oczach, jeżeli poczynamy wierzyć dla tego, że się we własnym duchu naszym odezwała tego rozumna konieczność, wówczas jakże miło jest, po ogromnym świecie fizycznym i po również ogromnym świecie ducha, wynajdywać i spotykać co raz to żywsze pobudki, stwierdzające tę konieczność! jak wielce radować się musi duch nasz, widząc iż dwie jego dzielnice, różnemi co do formy rządząc się prawami, zbiegają się z sobą w zasadach, dochodzą do jednakowych wywodów. Serce powiada: jest duch nad duchy, a rozum powiada: musi być koniecznie! I nic roskoszniejszego dla duszy jak bawić się w tak szczytnej rozwadze.

Podobnego rodzaju myśli nasuwają się przy porównaniu najdawniejszych podań o początku rzeczy istniejących, o pierwszych kolejach przyrodzenia i ludzi stworzonych. Nie pierwszy to już raz zaczęto się dorozumiewać, iż w bujnej a niekiedy ciemnej i zakłóconej tkance mitów, ukrywa się ziarno prawdy,

a właściwiej jeszcze mówiąc: ziarno czynu rzeczywistego. Jeszcze Orygenes powiedział, że: „na całym wschodzie u Persów, Syryjczyków, Indjan, pod baśniami religijnymi leżą głębokie tajemnice. Mędrzec umie z nich wyciągnąć treść właściwą, lecz umysły pospolite widzą tylko samą powłokę zewnętrzną. Tak według Plutarcha mitologia Egiptjan ma jedną stronę zmysłową i poziomą, drugą szczytną i tajemniczą. Dla oka zmysłowego Sfinks stoi u podwojów kościoła na ozdobę tylko, dla mędrca jest on godłem pełnym tajemnic teologicznych. Ale jeżeli zgarniemy z powierzchni tych mitów pianę i szumowiny narzucone przez wieki i narody, jeżeli zdejniemy z nich barwę, wypiętnowaną od wpływu rozmaitych klimatów, otrzymamy zupełną tożsamość. Boć wszelka myśl idzie przez formy, rozradza się na miliony obrazów, odbić, a w końcu, w chwili dojrzałości, zrzuca z siebie to wszystko co nabyła tymczasowie, spada z liści i z kwiatków, wyobraźni i zmyśleń, i znów przedstawia się w postaci ziarna, które było na spodzie. Ludzkość jest gruntem, na którym się ta cudna vegetacja myśli odbywa.

Pomijamy podania biblijne, jako znane powszechnie, przytoczymy podania innych narodów. Rzecz godna uwagi, że wszelkie myśli pierwotne zaczynały się w Azji. Była to kraina, która się najpierwej usposobiła do przyjęcia człowieka, albowiem przy-

rodzenie musi nieodzownie rozwinąć się pierwaj samo w sobie, uprzętnąć zawady, ułożyć i uporządkować żywioty, zanim się stanie siedliskiem, godném piastować na sobie wieniec stworzenia. Tak Azja, w której przyroda pod tajemniczą postacią węża kusiciela, obwija się na drzewie i kusi człowieka, Azja była zawsze ojczyzną nowości.

W jednym ustępie dziejopisarza Beroza znajdujemy następujące podanie: „Iż potwór, pół ryby i pół człowieka, wyszedł był z morza i okazał się pod Babilonem. We dnie był pomiędzy ludźmi nie jedząc, nauczał ich sztuki budowania miast i świątyń, ustanawiania praw, uprawiania roli i t. p. Były czasy, kiedy istniała tylko woda i ciemności, w ich łonie gnieździły się dzikie zwierzęta, ludzie skrzydlaci, ludzie z dwiema głowami męzką i kobietą.

Bóg, powiada mit chaldejski, ukazał się we śnie królowi, imieniem Ksysutr, i uwiadomił go o mającym nastąpić potopie; rozkazał mu zebrać na piśmie wiedzę o początku, dziejach i końcu wszystkich rzeczy; później zaś zbudować okręt, przygotować w nim potrzebne zapasy i wejść do niego z dziećmi i całą rodziną, zamknąć ptaki i zwierzęta czworonozne. Po niejakiem czasie, ocalony Ksysutr, widząc że wody opadły, wypuścił kilka ptasząt. Za pierwszym razem te, nie znajdując pożywienia, wróciły do okrętu; wypuszczone po raz drugi, przwnio-

sły na nóżkach cząstki błota, a za trzecim nie wróciły. Dorozumiał się król przyczyny tego zjawiska i wyszedł z okrętu, uczynił ołtarz i później porwany został do nieba. Współtowarzysze ocaleń, na głos nieba, wybudowali Babilon i inne miasta.“

Owo zgoła w mitach chaldejskich kwitnie całkowita myśl pisma. Bezwątpienia były to może i wędrownie wyobrażenia, ale za cóż nieprzypuścić, iż zachowały się wprost drogą podaną przez pokolenia?

Pojęcia Fenicjan o stworzeniu, również na swoich obliczach noszą cechę wspólnego pochodzenia I jakkolwiek wiekowe koleje wyobrażeń i zmiany miejscowe naruszyły tożsamość, przekształciły pierwotną myśl, wszakże we wszystkich znajdujemy, pod mniej lub więcej ciemną powłoką, trzy zasady główne: myśl o pierwiastkowej dobroci rodzaju ludzkiego, o upadku i karze, tudzież o odrodzeniu się powtórnem na nowo. Z tego stanowiska opartywane mity, nabierają jeszcze więcej wzajemnego do siebie podobieństwa. Posuwajmy więc dalej porównanie, może tym sposobem nasunie się nam mimosłownie i niespodzianie jaka zasada, tłumacząca wspomniane podobieństwo.

W Chinach znajdujemy następujące podanie: „Na początku ludzie byli pełnymi cnoty, byli istotami duchownymi. Wszystko co miał człowiek, pochodziło od nieba (Tao-tian), nie było jego własnością. Duch posłusznym był niebu, jak dziecię

mistrzowi. Lecz cielesne namiętności uczyniły go niewolnikiem zmysłów. Tak więc powolny rozkazom nieba, człowiek był czystym nakształt ducha; lecz spuszczać z oka samego siebie, uległ władzy namiętności, utracił rozum święty. Zadawalniając potrzeby ciała pokarmem, utracił rokosze ducha; tym sposobem oddzielił się od człowieka przedwiecznego, odpadł od wielkiej całości, którą jest prawda przedwieczna. Ogród zawieszony nad ziemią został zamkniętym, droga do nieba zastawioną, a zachowawczy owoc życia stał się niedostępnym dla świata. Po upadku człowieka, skoro nabył nauki samolubstwa, wszystkie istoty oświadczyły się przeciw niemu. Wówczas to nad upadłym w czystości człowiekiem ukazało się miłosierdzie i podźwignęło go; bo człowiek ma wszystko z nieba, dopóki wiernym będzie rozumowi, żyć będzie, skoro się z nim minie, umrze.

Rzecz o potopie u Chińczyków dochowała się całkowicie: „Po nadejściu potopu kolumny nieba zachwiały się i zerwały się związki utrzymujące ziemię, niebo upadło na północ-zachód, a ziemia na wschodnio-południową stronę. Sprawca, który wywołał powódź, był złoczyńca Kong-Kang, potwór z głową ludzką, z wężym ogonem.“ Widzimy tu więc jawną obecność trzech momentów człowieka: dobroci, upadku i podźwignienia.

Pojęcia Zendawesty o dwóch zasadach: dobrego i

złego, których Ormuzd i Aryman są uosobieniem, takimiż oddychają żywiołami. Stosunek zasady złego do dobrego, czyli trwała walka między Ormuzdem i Arymanem, nakoniec ostateczna przewaga pierwszego nad drugim, wychodzi na jedno co wiara: w życie i przyszłą nagrodę.

U Greków zachowała się także wiadomość o potopie Deukaliona i Ogigesza, najpierwszego króla Attyki. Dziejopisarze greccy odnoszą ten wypadek w przeszłość odległą na pół trzecia tysiąca lat przed Chrystusem. Rzeczą jest widoczną, że ta rachuba lat nie polega na żadnym stałym systemie liczenia, wszakże dowodzi iż Grecy, uznając ogromną dawność powodzi, uznawali przytém jej wiarygodność.

Zgoła, powtarzamy raz jeszcze, iż wiara w powszechne odpańnięcie rodzaju ludzkiego od przedwiecznej jego doskonałości, a oraz ukaranie potopem, zachowało się i zachowuje dotąd u wszystkich ludów ziemskich.

Również godnym zastanowienia jest mit o zbudowaniu wieży babilońskiej i pomieszaniu przy niej języków. W opowiadaniu Alexandra Polihistora założycielami wieży byli giganci, którzy po zburzeniu jej *ręką Boską*, rozproszyli się po całej ziemi. Wzmianka o olbrzymach daje wyraźnie do poznania, iż mit Aleksandra zupełnie nie jest pochodzenia biblijnego. Tenże sam przytacza rzecz

o ukaraniu ludzi, za dumne zamiary, zburzeniem wieży przez wiatr, pomięszaniem języków, i od niego nazwę miasta wyprowadza. Toż samo czytamy w księgach Sybilli. Bereza, dziejopisarz babiloński, współ czesny Alexandrowi wielkiemu, zachował tenże wspomnioną tradycję, chociaż napuszczoną już barwami greckiej mitologii. W koranie, po odrzuceniu tylko dodatków, uczynionych przez tłumaczy, znajduje się historia olbrzymów, synów Ada. Ci powziąwszy myśl wyniesienia się, zbudowali grod wielki, ozdobili go gmachami. Lecz zesłany od Boga wichler zburzył dzieło ich pychy. Za odcień, choć bardzo już słaby, pomięszania języków, uważać można jeden z mitów Hygina, gdzie Merkury wytłomaczył języki ludów, dotąd *jednej ogólnej* mowy używających. Wówczas pomiędzy ludźmi powstała niezgoda i rozbrat, co się Jowiszowi nie podobało.

We wszystkich tych i tym podobnych szczegółach można by jeszcze widzieć wędrówkę pojęć, a zatem podobieństwo, wyżej dotknięte, odnieść do kategorii przechodu religij. Na taką myśl łatwiej jeszcze wpadnie ten, komu wiadome jest de facto przeniesienie mitów wschodnich na zachód. Takim sposobem cześć np. Bacha, przeszła z Indyi do Europy, takim sposobem przeszedł system bożyszczy egipskich, takim wreszcie sposobem Rzym stał się stekiem bogów całej ziemi, colluvies genium

et decorum. Ale co na to powiemy, kiedy podobnymi wyobrażeniami odezwą się krańce wschodniej Azji i Ameryki, kiedy w Korei jest wieść że ludzie wszyscy mówili pierwsiastkowo jednym językiem, że później zbudowali wieżę, w zamiarze dostania się do niebios, i że w skutku tego pomięszwały się języki? niesprawiedliwie uczony Lücken, uderzony zbyt czynnem podobieństwem tego miejsca do biblii, wpada w powątpienie o wiarygodności samego faktu. Humboldt w czasie swoich podróży odkrył w Meksyku piramidę, której założenie przypisują przedwiecznym mieszkańcom kraju. Dla unaocznienia przytaczamy należącą do tej piramidy powieść ludu: „Przed wielkim potopem w roku 12008 po stworzeniu świata, krainę Anahuar zamieszkiwali olbrzymowie. Z tych wszyscy co byli uszli od zguby, przestoczonymi zostali w ryby; siedmiu tylko schroniło się w pieczary. Po ustąpieniu wód, jeden z nich, imieniem Kseluaz, przewany budowniczym, udał się do Cholulan, i tam na pamiątkę na górze Jlalok, że mu i sześciu jego współtowarzyszom dała schronienie, wznosił sztuczną górę piramidalnej postaci. Cegiel kazał narobić Tlamanalok, a ustanowieni rzędem aż do Choluli robotnicy podawali je sobie z rąk do rąk. Bogi widzieli tę budowę, wierzchołkiem mającą dosięgnąć obłoków, niechętnie, i rozgniewani zuchwałością Kseluaza, spuścili ogień

na piramidę. Wielu pracowników zginęło, dzieła więc zaczętego już nie kończono, lecz poświęcono je bożkowi powietrza, Kwecalkoate. Ma się tam po dziś dzień znajdować ten kamień, co w ten czas upadł w kuli ognistej z obłoków. Indianie w czasie uroczystych płasów na około piramidy, opiewali te zdarzenia w pieśni zaczynającej się od wyrazów: Talunian Naluleez, których nie ma w żadnym z dzisiejszych języków Meksyku. U jednego z uczonych włoskich znajdujemy odbicie obrazu meksykańskiego, na którym: widać rozlaną powódź a po niej pływającego w czółnie człowieka. Zgłębi wód wychodzi drzewo, na niem siedzący ptak ma przed sobą trzydzieści trzy języki, i dzieli je na równo pomiędzy ludzi, tuż przy nim umieszczonych w bezładzie i pomięszaniu. Ci rozpraszą się w celu zaludnienia na nowo ziemi.

Czy podobna nie przypomnieć sobie w tém miejscu, Deukaliona, który na pustą ziemię rzuca kamienie, ztąd powstaje *twardy* rodzaj ludzki! W tych wszystkich szczegółach jest coś tak dziwnie przejmującego do głębokiej rozwagi i marzeń, że trudno to wypowiedzieć. Pytanie, co to wszystko ma znaczyć? gdzie jest to podziemne koryto, którém szły ludzkie wyobrażenia od granic wschodu na zachód i od południa na północ, a szły potajemnie i głębią, pod powierzchnią znanych nam dziejów? zmieniając się to na olbrzymów, to na

zwierzęta (w Indyan), to na kamienie (na wyspach Marjańskich)?

Pomijamy tutaj tłómaczenie lub wyjaśnienie: o ile te podania o powodzi u rozmaitych ludów mogą być uważane za odnoszące się do jednego, powszechnego, lub wielu, różnemi czasy zaszłych wypadków; pomijamy zapytanie: czy w podaniu, opisaném przez natchnionego od Boga, ukrywa się symbol prawdy fizycznej lub religijnej. W wszelkim nawet razie powszechne i jednozgodne świadectwo ludów i w tym względzie godne jest zastanowienia, jeżeli nie dla historyka tedy dla geologa. Ale podania mieszczące w sobie myśli o ogólnych pochodach ducha ludzkiego, o grzechu pierworodnym, o wyznaniu ze stanowiska przedwiecznej szczęśliwości, gdzie nawet, obok treści, same barwy, sama forma tak wielkie przedstawia podobieństwo? Czy nie będzie jeden z tych cudów, o *których się aniby śniło naszym filozofom*, gdyby jawne dowody historyczne o tém nie nauczały? Takie nie mogą już być dziejami *jednego plemienia* (tak pewien z nowszych historyków nazywa całą historią Noachidów).

Przedewszystkiém więc, jak czyniono we wszystkich szczegółach starożytności dotyczących, tak i w tym, oddzielić należy dwa główne żywioły; w nich nawet, po dokładném wpatrzeniu, pojrząc by można odmienne barwy: dziejową i mityczną.

Dziejowy żywioł jest jeden wszędzie; mityczny, jako forma, mógł się rozrodzić w tysiączne od-cienia. Gdybyśmy przeto oddzielili to wszystko co czasy, miejsca, różnice oświaty i ruch charakterów i stosunków zmieniły, otrzymalibyśmy *jeden toż samy* szczegół historyczny. Wówczas jednak, je-szcze się rodzi zapytanie, z kądże ta jedność po-wszeczna? Oto z jędnosci ducha ludzkiego.

Wrodzoną jest człowiekowi myśl o upadku. Któż z nas, wpatrując się w ideał człowieka, kiedy je-szcze do tego postuży mu jakie wyższe natchnienie, ktoś, mówię, przy świetle tego ideału, zwracając się potem na samego siebie albo na podobnych so-bie ludzi, z żalem nie pogląda na swoją rzeczy-wistość, zimną, poziomą, cielesną. Ten żal przed-stawia się niekiedy, i to są rzadkie chwile, daro-wane od niebios, w postaci tęsknoty do jakiegoś innego stanu ducha, do innej krainy. Człowiek w samym sobie ma podanie o wielkiej przyszłości, pełnej uroku. Do niej koniecznie zwracać się mu-szą myśli, znudzone i znacierpliwione życiem do-czesnym, a umysły wyższem udarowane światłem przemieszkują w tej krainie bez ustanku, im życie praktyczne jest dłużym tylko, koniecznością narzu-coną przez warunki istnienia. Teraz że wyobraź-my sobie człowieka, przeniesionego na wielką skalę ogułu, czyli inaczej wyobraźmy sobie ludzkość dziejową... Ludzie, i sami tylko mogą pojmować

wzniesione nad ich poziom przedmioty, mogą dumać i namyślać się o istocie najwyższej: w niej to składają oni ideały wszystkich warunków, wszystkich stron, które w ich małym, wąłym i chorowitym świecie społecznym przedstawiają się tylko na skalę ograniczoną. Ztąd koniecznym jest dla człowieka przypuszczać sobie dobę pierwotnej doskonałości, nieskażonych myśli i serc Indzkich. Takie przypuszczenia znajdziecie wszędzie a wszędzie po całym świecie, u Indów, u Persów, u Platona, w Ameryce, słowem wszędzie; mniejsza o ostłonę poetyczną! Przeto podania o grzechu pierwotnym są *oderwaną formułą* upadku. Trzeba ją było koniecznie z dziedziny filozofii wyprowadzić a wplątać w wiecznie poruszające się koło historii, jakoż rzeczywiście zjawił się mit o Ormuzdzie i Arymanie; o wieku Saturna, o duchach Platona, które odstąpiły od bóstwa, słowem zjawił się cały orszak fantazyi. Takim sposobem wtoczony w rzeczywistości grzech pierwotny, stał się godłem upadku de facto. Na podobnej drodze rozwinęły się po większej części wszystkie mity. Wreszcie podobnym sposobem pozostała druga połowa owej wielkiej myśli, to jest nadzieja poprawy człowieka i pojednania go z Bogiem. Przyzna się zapewne każdy z uznających siebie, iż ma silną wiarę w jakieś odrodzenie się społeczeństwa, że tej wiary za nic by w świecie nie oddał. A ze wszystkich lu-

dzi któż szczytniej pojmować może ideę odrodzenia jak chrześcijanin? Bądź jak bądź, zawsze za przypuszczeniem o upadku moralnym iść musi pocieszająca ufność w piękniejszą budowę towarzyską. Więc i tutaj oderwana zasada musiała (z natury ducha starożytnego, który nie znał tajemnic abstrakcyi) urosć w rozliczne przypowieści i postaci symboliczne. A jako nowowieczni, badacze dziejów, np. Wiko, w bohaterach greckich i rzymskich, w bożyszczach i olbrzymach, widzą uosobienie abstrakcyj, tak ludy dawne, same o tém nie wiedząc, i jedynie na głos przecucia, budowali pojęcia zmysłowe, chcąc zamknąć w nich pochody ducha i całej ludzkości przez wskazane im doby. Ztąd jakże szczytnego znaczenia nabierają słowa Stwórcy, gdy obiecuje przy oddaleniu Adama z raju, zesać na świat Zbawiciela, aby skruszył głowę smokowi! Byli mężowie wybrani, którzy przy świetle natchnienia (intuicyi) dostrzegali jawnie odległą jeszcze, ale niemylną przyszłość, zdumieni ziomkowie czcili ich i odznaczyli od tłumu imieniem proroków. Ci tedy prorokowali ludzkości wiek zagłady starych samolubnych wyobrażeń, a za nią nadejście odnowienia.

Owoż kończąc ten obraz porównawczy podać leżących w przysionku dziejów, pozwalamy sobie całe pasmo rozumowań naszych odnieść do następujących wywodów:

1. Podania o początku rzeczy są u wszystkich ludów też same de facto, bo muszą być takimi z teoryi, jako dzieło ducha idącego za rozumnym głosem przeczucia.

2. Podania o potopie i pomięszaniu języków, również z idei podobne do siebie, bez względu czy do oddzielnych różno razowych odnoszą wypadków, dowodzą jawnie potężnego działania tej siły przeczuciowej.

3. Forma tych podań jest rzeczą, od warunków czasu i miejsca pochodzącą, a nawzajem podobieństwo formy, pochodzić może od wędrówki i przechodu mitów.

4. Są te podania, po największej części, uosobieniem pojęć oderwanych.

F. J.



PEWNET LUBLINIANKI.

Twarz twoja piękna jako twarz kwiatu,
Kiedy na wiosnę tęsknemu światu,
Niesie nadzieję pogody.
Dusza twa miła, jak wzrok miesiąca,
Który swawolne chmurki roztrąca,
Darząc świat nocą swobody.

Cudny twych kruczych połysk warkoczy,
A blask z hebanu czarownych oczy,
Dla nocy słońce zachował.
Po białem licu w tchnieniu niewinném,
Rumieniec płynie, ach, w gronie inném
On by serc tysiąc czarował. . .

Koral ust, zębów perłowy sznurek,
Łuki brwi twoich, u ziemskich córek
Nieznajdziesz takich piękności.
Wyniosła kibić i pierś twa krągłą;
Wszystko zachwyca, a w duszy ciągle
Pogoda, w ciele wdzięk gości.

Lecz na co ludzie stworzyli stany?
Na co bogactwem dmą dumne pany,
Łzą zlewa rolę kmieć pańską!
I ty aniele losem rzucony
Na pracowite wioski zagony,
Zostałaś — córą włościąnską.

Nieznasz dostatków, nauki, świata,
Jak dni fijołka tak twoje lata
Płyną ukryte i ciche.
Ale to mniejsza! boś zdala wzrosła
Od stron, gdzie zbrodnia swe czoło wzniosła,
I serca struła przez pychę.

Nauką twoją, słowa plebana,
A światem twoim, chatka kochana,
W której ujrzałaś świat boży.
Twem towarzystwem bracia i matka,
Czeladka wierna, dobra sąsiadka,
Której twa piękność nietrwoży.

Ty sama niewiesz ile masz wdzięku,
Na czele żniwców, gdy z sierpem wręku

Idziesz jak bóstwo pól płodnych!
 Gdy w swym ogródku modlisz się rano,
 Gdy krówkom wonne podajesz siano,
 Z rąk twych niewinnych, swobodnych.

Kiedy w dzień święta obliczem swoim,
 Nad zwierciadlanym zabyśniesz zdrojem,
 I różą kwiecisz skroń białą.
 Tu malarz mógłby imię swe wstawić,
 I wzór piękności światu wystawić,
 Bo rymu tutaj, za mało.

O! niech cię setne dożyje żniwo,
 Niech w czasie miłym matkę szczęśliwą,
 Hoże rodzeństwo otoczy.
 Myśl nasza nieraz rzuci salony,
 Odbiegnie wrzawy i winne strony
 Wzleci i ujrzy—twe oczy!



M Y Ś L.



Jako drobne ziarenko zagrzebane w glinie,
 Z czasem miły da widok swym rodzinnym wzgórzom,
 A z laty dumne czoło ku niebu wywinie,
 Mężny postawi odpór i wichrom i burzom.

Tak myśl wlana w niemowlę, rozwinięta z laty,
 Kwitnie w sercu człowieka potężna, wspaniała:
 A choć z wiekiem przejrzałym i uwiędłą kwiaty,
 To zostanie dla drzewa wieczny owoc—chwała.

Lecz biada latorośli w której wietkie serce,
 W kradnie się przewrotności córą gąsienica.
 Gdy dzielny życia zaród wytępi w iskiecierze,
 I wysię krew gorącą z młodzieńczego lica.

Lecz stokroć biada temu, komu w myśl dorosła,
 Wciśnie się podły robak burzyciel dobroci;
 I zatrzyma w polocie jej dążność wyniosłą,
 Złotem zwiedzie ofiarę, a duszę zabłoci.

* * *

A mąż prawy tej próbie ostoi wytrwale,
 Nieukłęknie w pokorze zmiennemu losowi;
 Bo i w nieszczęść przeczuciu i w cierpień nawale,
 Polotu świętej myśli los nie zastanowi.

Myśl wielka jako pani służebnemu światu,
 Wielkie czynu kolisko cudownie zakryśli,
 A naówczas w piękności wiosnowego kwiatu,
 Rozwinie się przed nami kraj czynu i myśli.

* * *

O myśli! samodzielna żywota królowo!
 Ty ludzkości odkryłaś wielki skarbiec świata,
 Tobą serca ubrane jak szatą godową,
 Uczciły matkę ziemię i człowieka—brata.

I wyżej, wyżej coraz skrzydły ognistemi,
 Szybujesz ku niebiosom jako jutrznia błoga.
 Kiedyś do źródła twego ubiegiesz z tej ziemi,
 Do myśli prawodawczej, Wszechmogącej Boga!

Edmund Znatowicz.



W LUBLINIE.

SŁOW KILKA

L. L. 4

O KOŚCIELE

OO. BERNARDYNÓW

(Z ryciną)

przez

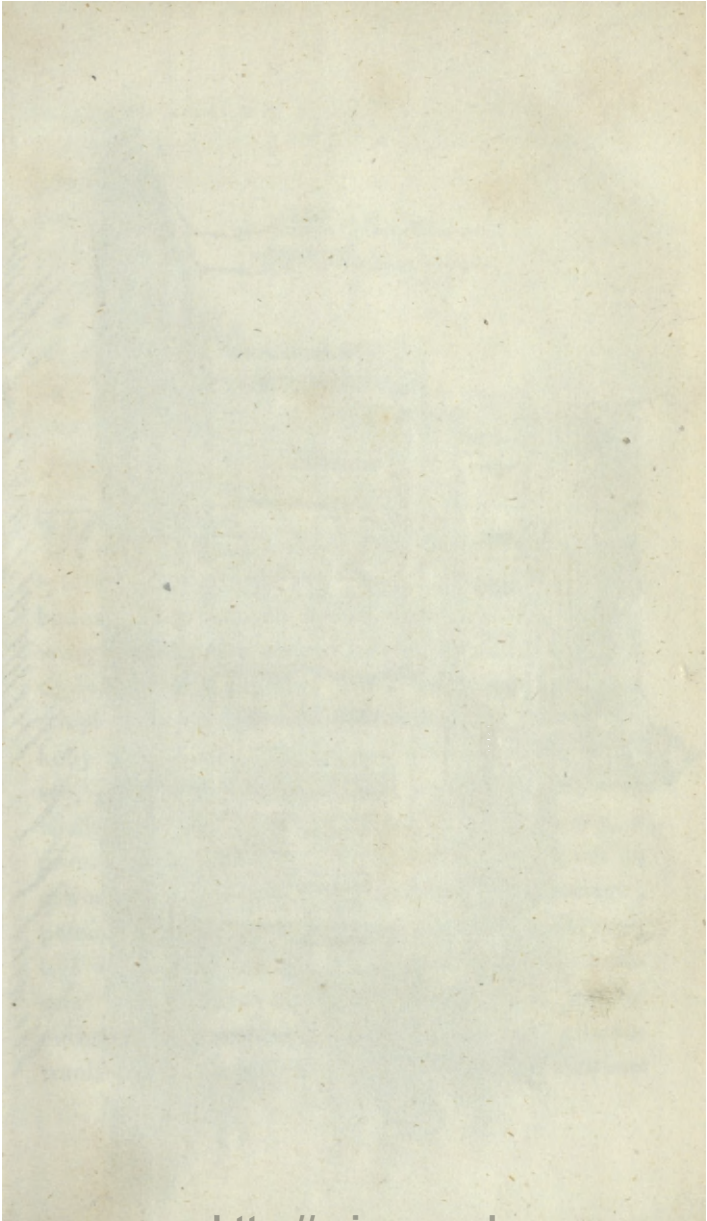
Łęka niekroć biała temu, komu w myśl deroka
W dnie się pudły robak burzytel dobroci
I zatrzyma w polocie jej dźwięk wyniosła,
Złoty zmiadnie ofiar, a deusz zabłoci.

A maż prawy tej prawy jako wywale,
Nimkigknie w pokoye zmiadnieu loawo;
Bo z w...
Polotu swięt...
SŁOW KILKA

Był wieka jolo...
Wielkie czyny kółko...
WÓTYCZANEC OO. BERNARDYNOW

W JUBILEU
S myki i...
Fy ludzkość...
Wielki...
Wielki...

I w...
Szubajez ku...
Kiedyś do...
Do myśli...
W...
W...





Wyobrażenie kościoła Bernardynów w Lublinie

Kościół C.C. Bernardynów w Lublinie

<http://rcin.org.pl>

Wielki i piękny kościół OO. Bernardynów, pod
tytułem Nawrócenia św. Pawła, prostej Doryckiej
budowy, bez żadnych ozdób wewnętrznych, fundo-
wany został przez miasto Lublin w roku 1459, lecz
utrzymuje się zupełnie temu przeciwne podanie,
dotąd istniejące pomiędzy mieszkańcami miasta, ja-
koby po ciemnej i ulewnej nocy znaleziono w miej-
scu, gdzie dziś kościół wznosi wysokie wieże, wóz
wielki w sześć wołów ukraińskich zaprzęgnięty, a
na nim skrzynię żelazną—magistrat na miejscu ją
otworzył, znaleziono skarb i pismo nieznanego,
polecające aby za pieniądze znajdujące się w skrzyni,
był wystawiony kościół, tak frontem, jak woły z wo-
zem staną, skrzynię wspomnianą dotąd widzieć
można w skarbnicy klasztornej. Poprzednie zabudo-
wania bractwa, z drzewa ciosanego stawiane

były, lecz wkrótce zapomocą łaskawych dobrodziejów, których zakon dawniej liczył, klasztor murem obwiedziony został od częstych napadów Tatarskich, kościół ukończony sklepieniem w roku 1466 i nakoniec za wpływem wspomnianych dobrodziejów, wzniosły się obszerne cele na dwa piętra, w roku 1599, to jest w sto czterdzieści lat po założeniu kościoła, ogień zakradłszy się w zabudowania klasztorne, wszystko w perzynę obrócił, jako to: relikwie święte, przywileje, sprzęty, braci tamże spoczywających, wszystkie ołtarze, obrazy, figurę męki Chrystusowej, o której stary rękopism wspomina, że podobnej piękności figura nigdzie widziana nie była—zniszczenie zrządzone przez ogień, ofiary dusz świętobliwych zagładzić potrafiły i klasztor znowu do dawnego powrócił stanu.

Zakon OO. Bernardynów w Lublinie, utrzymuje się z dobrowolnych ofiar jałmużny, która dziś jest częstokroć niewystarczającą na utrzymanie dwudziestu zakonników, których zwykł liczyć klasztor i na wsparcie biednych co znana ludzkość serc przełożonych tutejszego zgromadzenia pod drzwi klasztornej furty sprowadza. Pomiedzy znaczną liczbą dobrodziejów co niegdyś hojnie wspierali ubogich braci służbie Bożej poświęconych, wymienić należy:

Michał Korybut król Polski i Jan III Sobieski, którego zakon zwał swym szczególnym dobrodziejem. Marek Sobieski wojewoda Lubelski. Króle-

wicz Jakób Sobieski. Książę Jerzy Czartoryjski. Tomasz Zamojski ordynat i wojewoda Lubelski. Mikołaj Daniłowicz podskarbi koronny. Jan z Podosia Podowski wojewoda Mazowiecki, Ciechanowski i Drohicki starosta. Marcin Kalinowski hetman. Gniewosz, starosta Radomski. Jerzy Mniszek, wojewodzie Sandomierski. Piotr Czarny, chorąży Lubelski. Zofja Siennicka, kasztelanowa Lubelska. Księżna Drucka Lubomirska z Ostroga. Krysztof Dłuski. Zawadzki z Łysołaj. Mikołaj Uchrowiecki, starosta Chełmski. Józef Skrzetuski, starosta Mogielnicki. Tomasz Dłuski, podkomorzy Lubelski, za pomocą wspomnianych dobrodziejów, zakon odbierał hojną jałmużnę i co rok z złożonych ofiar na jego ołtarzach ubezpieczał mury i wewnątrz czynił ulepszenia. Za panowania Zyg. III Seweryn Godziemka Zalewski, miecznik ziem pruskich, wielce się przyczynił do restauracji tego kościoła, o czem świadczyła tablica na murze Zalewskiego z napisem (*).

Obszerny kościół OO. Bernardynów zdobi jedenaście bardzo skromnych ołtarzy, które są następujące :

1) *Ołtarz wielki, św. Antoni Padewski*, na zasuwie *Nawrócenie św. Pawła*, fundowany przez Teresę Angielę z Miechowskich Zamojską, małżon-

(*) Histor. polon. possel. fol. 604 T. IV str. 652.

kę Tomasza Zamojskiego Ordynata, na który ofiarowała złp. 6000 w roku 1738.

Po prawej stronie od wchodu do kościoła.

2) *Ołtarz Niepokalanego Poczęcia Matki Boskiej*, zwany dotąd kaplicą królewską, z powodu odnowienia jego przez Jana III króla Polskiego.

3) *Ołtarz św. Iwona*, patrona prawników, wzniesiony w roku 1740 kosztem JJ00. książąt Jabłonowskich.

4) *Ołtarz św. Jana Kapistrana*, niewiadomej fundacji.

5) *Ołtarz św. Walentego*, z relikwiami tegoż świętego złożonemi w szklanej trumnie niewiadomej fundacji.

6) *Ołtarz św. Rocha*, przy ścianie zwany kaplicą, niewiadomej fundacji.

Po lewej stronie od wchodu do kościoła:

7) *Ołtarz św. Franciszka Serafickiego*, z relikwiami św. Klemensa papieża męczennika, z ampułką krwi jego, wszystko złożone w szklanej trumnie. Ołtarz wspomniany fundowany przez JW. Tomasza Dłuskiego, podkomorzego Lubelskiego, w roku 1755.

8) *Ołtarz św. Jana z Dukli*, postawiony z ofiar jałmużny,

9) *Ołtarz św. Anny*, zrujnowany w napadach wojennych, odnowiony został przez mieszkańców

Lublina r. 1721, w roku zaś 1745 ozdobiony był sukienką srebrną przez Zawadzkiego z Łysołaj.

10) *Ołtarz św. Tekli*, fundowany w roku 1762, przyozdobiony sukienką srebrną przez Józefa Skrzetuskiego, starostę Mogielnickiego.

11) *Ołtarz Jezusa Miłosiernego*, przy ścianie na zasuwie *św. Józef*, ołtarz ten zwany kaplicą, nie-wiadomej fundacji.

Przed spalaniem nastąpionym w roku 1599, w sta-rych rękopismach wspomniane są ołtarze: *św. Pio-tra Alkantary*, *św. Wojciecha*, *św. Stanisława*, *św. Maryi Magdaleny*, *św. Bernarda*, *Najświę-tszej Marji w Niebowziętej*.

Wiele pięknych grobowców zdobi kościół OO. Bernardynów jakimi są:

Po stronie lewej.

1. Osadzony w filarze z czerwonego marmuru, z wyrobioną statuą leżącego w zbroi rycerza, nad nim napis:

Nadgrobek Andrzejowi Osmólskiemu

Tu kości pozostałe twej zacnej osobie,
Cny Andrzeju Osmólski, położone w grobie,
Na pamiątkę potomnym, abowiem tve cnoty,
Przyszłym po nas, mają być wspomniane z ochoty,
Starożytność domu mądrością zdobiłeś,
Rozumem wielce bacznym w górę wynosiłeś,

A będąc ostatnim potomkiem onego,
 W niepłodności nie zgani nikt życia twójgo,
 Krótko mówiąc był żywot prawie święty,
 Godzien aby za przykład był każdemu wzięty.
 Umarł miesiąca listopada dnia 8 roku 1598. Zo-
 fja Gniewoszowa z Sidlec, małżonka smętna, na wie-
 czną pamiątkę postawiła.

2. Tablica z szarego marmuru na ścianie z na-
 pisem:

Bierz przykład zatopiony w rozkoszach człowiecze,
 Że ci czas śmierci w życiu nigdy nie uciecze,
 Chociaż wiek długi tuszą, czyż mało sędziwych,
 Na fortuny, honory, z chciwością skwapliwych,
 W probach śmiertelnych leżą, co młodemi byli,
 I podobnież jako ty marności liczyl.
 Mnie imie *Walerjan Trębiński* przezwiskiem,
 Widząc się przy starości sądów Boskich bliskim,
 Z dyspozycją duszy y fortuny cały,
 Powołanym gdzie termin wyroki wydały,
 Boskie 54 lat żyjąc na świecie,
 Dwudziestegom czwartego umarł lipca w lecie;
 W roku tysiąc siedemset pięćdziesiątym czwartym,
 Ostatnim przyjął sercem wijatyk otwartym,
 Żyłem jak ty, umarłem y złożonym w grobie,
 Westchni za mną bo tenże koniec przyjdzie tobie.

3. Obok poprzedzającego, pięknej roboty czarny marmurowy nagrobek z napisem:

Joanni Kochanowski Gneznensis Cracoviensis canonico, sacrae R. Mai. Secret. Atq. Eremiano Kochanowski fratribus quorum mentes, ex hac mortali statione in caelestem patriam, vitam sine morte victurae Lublini ecesserant: exuviae autem hic depositae pijorum deponent sufferagium obierunt ille quidem A. D. 1613 die 16 Julii hic vero A. D. 1604 die 13 men. Octob.

4. W posadzce marmur czerwony z napisem:

Mikołaj z Brodowa Brodowski, pisarz ziemie Lubelskiej, roku 1618 d. 16 stycznia credo carnis resurrectionem.

Po prawej stronie kościoła.

5. Z szarego marmuru nagrobek osadzony w filarze z greckim i łacińskim napisem:

ΕΠΙΤΑΦΙΟΝ ΡΩΣΣΙΑ ΜΟΙ ΠΑΡΙΕ ΘΕΟ-
ΛΩΡΟ ΣΤΝΟΜΑΗ γο ΜΑΡΑΜΟΡΟΣ :
ΤΑΡΧΗ: ΑΕΤΑΦΘ Colloquium viatore illo to-
re V lumine trusfixum macrone: lustro: secilla. Le-
ctorq. die ferunt: hac: duo: signa: mihi? L. prisca:
propago: *Teodorus Krzycki* abe vocatu: mortu:
hocce sacro: lon: dit ossaloga V. Cynthia cur jacu-
to stellive: decora: coruscant: L. mores: acuilam: cum:

pietati: notat: V forsun: eget: precih: L. sig. V voce
devambo prececar- L. utinam chripage: fruatur V
Amen. Anno dom. 1609.

6. W tymże kościele miał piękny grobowiec
Stanisław Bończa Strzeszkowski z Zuchowa dziedzic
na Koszycach i Strzeczkowicach chorąży Lubelski
w roku 1557 zmarły: (1) zniszczony zapewne przez
ogień w roku 1599 nastąpiony.

Są jeszcze dwa grobowce potłuczone których na-
pisów wyczytać nie można.

Na ścianie po prawej stronie kościoła przy ołta-
rzu Niepokalanego Poczęcia Matki Boskiej, piękny
widać grobowiec ze rdzawego marmuru z płasko-
rzeźbą klęczącego przed krzyżem męża niżej napis.

Alberto Oczko (1) majorum et proprio incom-
parabilis acvo D: D: Sigism: Aug: poloniae regis

(1) Niesiecki stron. 229 i 230 T: IV Okólski T: I str. 65.

(2) Ten sam Oczko który w Warszawie przy kościele S.
Krzyża założył fundusz na 12 ubogich wspólnie z Anną Volf
(czytaj opis Warszawy Gołębiowskiego) o tym Oczko wspo-
mina Siarczyński w obrazie wieku Zyg: III na kar. 24 tomie
2 w tych słowach:

Oczko Wojciech z rodu zacnego w Morawii, lekarz Lwow-
ski, pisał się medykiem króla Jmci ale to dla zaszczytu tyl-
ko, zawsze próżność chciwą tych marnych świetności była.
Używany był powszechnie i kochany, jak z listów areybi-

anhiatro ac luretario pro prudenti, magnamino acqubili et benefico, Vincentius Oczko medicinae doctor Con: Gnesn: Lovic: patrio et benefactori morens posuit F. C. vixit annos LXIII fuit principibus viris ob multiples virtutes, facundi in sermone longuare, peristia grafissimus et acceptissimus.

Nakoniec w kościele OO. Bernardynów spoczywają ciała znacznej niegdyś familii Mińskich, Uchrowickich, Zofii Siennickiej kasztelanowej Lubelskiej wraz z mężem, Konstantina Korinakt, Jerzego Minszeta Wojewodzica Sandomirskiego, Jerzego Czartoryjskiego, Łysakowskiej starościny Rodelskiej, Skarnickiego kasztelana Inowrocławskiego,

skupa Solikowskiego widzieć się daje. Nazwę jego biorąc za wyraz pieszczony od oka, zwano go po łacinie Occellus. Polska stała się dla niego ojczyzną przywiązał się do niej i ją nad wszystkie kraje przeniósł; ale w niej szczególnie ruś czerwoną wychwalał, i jako lekarz najzdrowszą ją częścią kraju uważał. Podług Rurowskiego wydał książkę opisu ziół: *Description herbarum* r. 1581. Drugą Czacki i Bętkowski wymienia przymiot w Krakowie r. 1581. Jabłonowski muzeum pol. trzecią przywodzi: *De varies affectionibus corporis tumani* 1578. Juszyński wymienia jeszcze inną *Cieplice* wysłą r. 1578. Tenże mu i między rymopisami dał miejsce iż pisał wiersze łacińskie *In opera pauli Novicampiani carmen apologeticum* 1576 mało o tym sławnym lekarzu wzmianki współczesnych. Piasecki wspomina że Oczko dał świadectwo, że 90 letniej matce Prymasa Karnkowskiego nowe zęby wyrosły, rok śmierci niewiadomy żył pod panowaniem Zyg. III.

Doroty i Krysztofa Dłuskich, Jałowickiego starosty Chełmskiego, Korycińskiego chorążego, Piotra Czarnego chorążego, Mnichowskiego Łowczego Lubelskiego i jego rodziny w grobach między braćmi leżą:

Andrzej Jermelski, Adam Wynuiński pisarz Ziemski Lubelski, JW. Podowski z podosia Generał i Wojewoda Mazowiecki w Habcie pochowany.

Między stalami kantorowskiemi których nie ma śladu spoczywają.

Jmć ksiądz Mikołaj Liberat opat Pokrzywnicki i podstarości Lubelski Poniatowski.

W kaplicy królewskiej gdzie ołtarz Niepokalanej Poczęcia Matki Boskiej złożone zwłoki Marka Sobieskiego wojewody Lubelskiego (1) dziada króla

(1) O tym Marku Sobieskim tak wspomina Siarczyński w obrazie wieku Zyg. III.

Sobieski Marek wojewoda Lubelski, wprzód chorąży koronny wyborne przymioty wzięte z przyrodzenia, starannym wychowaniem ukształcił, a serce do odwagi w bojach nieprzyjaciółmi swęj ojczyzny zaprawił, widziano go nie raz jak w przegrywkach i podjazdach na harcowniki nieprzyjacielskie wypadał, tych stał trupem, a swoim ochoty dodawał, jak w Inflantach trzema postrzałami ranny z placu nieuszedł aż bitwę skończył, jak pod Pikowem i Lucynem, jak nad Telezynem rzeką w Wołoszech, waleczne swe rotę do boju prowadził, walczył i często wątpliwe zwycięstwo na stronę polską przeważał. Męztwo wyrównywała siła nadzwyczajna i zręczność w prawą na byta, pod Tczowem w Prusiech pogniwnszy się za nieprzyjacielem z urwanym brzegiem wpadł

Jana III i małżonki jego z Snopkowskich Sobieskiej jako też Bernarda Sobieskiego ze Skrzyńca.

Nakoniec złożone tu są wnętrzności JO: Księcia Korybuta Demetryusza Wiśniowieckiego Hetmana Koronnego zmarłego r. 1682 28 Lipca którego ciało spoczywa w Solcu u OO. Reformatów, serce zaś w Krakowie u Dominikanów.

Co do wspomnień historycznych takie mieści w sobie kościół i klasztor OO: Bernardynów.

W roku 1671 pod czas swej bytności w Lublinie król Michał Korybut dwa razy swą bytnością zaszczycił klasztor.

W roku 1674 Sobieski Hetman koronny przybył do Lublina po śmierci króla Michała, dla odprawienia kommissyj wojskowej, marszałkiem której był JW. Kobyłecki sędzia Grodzki, zaczęła się dnia 15 Lutego trwała sześć tygodni, miejscem

w wistę, i lubo ranny i obciążony zbroją wplaw rzekę na koniu przepłynął. Na łowach w Litwie z Stefanem królem, gdy przeciw niemu straszny niedźwiedź z kijem wychodził, Sobieski z szablą tylko w rękę i oszczepem podskoczył i zwierza srogiego jednym cięciem zabił. Kochanym był i szanowanym też od Stefana jako i od Zygmunta III pierwszy rzekł o nim iż gdyby miał los całego państwa na jeden herc wystawić tedyby nikogo do tego nie wezwał jak Marka Sobieskiego. Drugi rady jego często wzywał i na niej polegał, najprzód kasztelanem i potem wojewodą Lubelskim go uczynił. Na jego zalecenie przeciwko przełożeniom Jana Zamojskiego łaskę W. Ror. Myszkowskiemu Zygmunt oddał.

owego zebrania był refektarz OO. Bernardynów Lubelskich.

W roku 1683 w wspomnionym kościele odprawiało się solenne nabożeństwo na uproszenie opieki pana zastępów gdy Jan III król wiódł polskie rycerstwo pod Wiedeń dla poskromienia hardego bissurmana.

W roku 1699 na święta wielkanocne przybyli do Lublina synowie zmarłego króla Jana III Jakób, Alexander i Konstanty obrawszy sobie na czas pobytu w mieście, klasztor OO. Bernadynów, księżta razem z senatorami im towarzyszącymi jedli w wielki czwartek wieczerzą pańską w refektarzu klasztornym, której uczestnikami byli i bracia ubodzy, po skończeniu królewskiej wieczerzy, książę Jakób umywał nogi dwunastu zakonnikom w asystencyj Senatorów i księżąt braci, po dopełnieniu ceremonii zacząwszy od przełożonego całował nogi wszystkich zakonników z wielką pokorą, wydalając się z klasztoru oprócz sprawienia zakonnikom habitów przeznaczył tajną jałmużnę.

Obecnie klasztor wielce jest zdezelowany, cele drugiego piętra stoją pustkami dla braku fundusów, a kościoła smutniejszy jeszcze stawia obraz oczom każdego przechodnia, czas wyrzył na nim ślady swej potęgi a ściany od dawna nie pobielane wrażają ponury smutek w duszę patrzącego. Nie

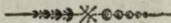
ubiegnie lat wiele, gdy zwaliska owej świątyni która przeszło pół czwarta wieku urągała żelaznej woli czasu, staną się wspólnym grobowcem prochów z ludzkich kości co w zimnych jej podziemiach spoczęły na wieki! Straszna potęgo czasu, ty niszczysz najtrwalsze pomniki, najpiękniejsze dzieła rąk Stwórcy w nicość zamieniasz.



SPIS RZECZY.



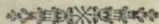
	<i>Str.</i>
Zamek Rabsztyń, wspomnienie historyczne przez Wincentego Hipolita Gawareckiego (z ryciną)	18
Dyskrecya (zfrancuzkiego) przez K.	32
Marja	69
Widmo (powiastka gospodarska) przez D. T.	127
Przekleństwo, szkic z drugiej połowy szesnastego wieku, przez Z. S. (z ryciną)	149
Krótkie wspomnienia życia i pism Sebestyana Fabiana Klonowicza przez Z. S.	204
William, szkic z życia górników przez Seweryna S.	219
Rasper Wesseling (z angielskiego) przez A. Z.	291
Tajemnice poczciwego człowieka, mały obrazek z domowego pożycia przez Z. S.	301
Zrównoważenie podań przed historycznych przez T. J.	371
Słów kilka o kościele OO. Bernardynów w Lublinie (z ryciną) przez Z. S.	391



WIERSZE RÓŻNE.



	Str.
Burza (wyimek) przez Wład. Surtelewskiego	6
Wieszcz (fantazya) przez tegoż	8
Manibus date lilia plenis. przez A. Z.	51
Skarb ukryty	58
Odpust przerwany przez A. Z.	121
Do czciela dobrego tonu przez Jezierskiego	141
Wspomnienie na myśl gminną	140
Ustęp z XII pieśni Nalo, wielkiego poematu w mowie Sanskryckiej przez F. Jezierskiego	143
Chleb-kamień przez A. Z.	212
Spiew Childe-Harolda z nad Renu (z pieśni IV wrotki LV) pielgrzymki tegoż tłumaczył, A. Z.	298
Piosnka z Moora przez A. Z.	300
Do pewnej Lublinianki	340
Myśl, przez Edmunda Znatowicz	389







N.P.I. 667

1846